



Georgette Heyer

GEORGETTE HEYER

*Revolucja*

Przełożył  
Andrzej Molek

# 1

Z/apadał zmierzch, a nad polami snuły się chłodne, wieczorne mgły, kiedy dylizans zdążający z Londynu do Little Hampton przybył do wioski Billinghamurst i zatrzymał się przed zajazdem. Opuszczono schodki i z dylizansu wysiadła samotna pasażerka, skromnie ubrana młoda dama. Miała na sobie pelerynę i kapelusz z podniesionym rondem. Podczas gdy czekała na wyładowanie z bagażnika kufra i walizy, stangret, upewniwszy się, że przyjechał kilkanaście minut przed czasem przewidywanym w rozkładzie jazdy, przywiązał lejce do poręczy i wbrew obowiązującym przepisom wszedł do baru, by przed dalszą podróżą uraczyć się jakimś wzmacniającym napojem.

Pasażerka stanęła obok swych bagaży ustawionych na skraju drogi i niepewnie rozejrzała się wokół. Sądziła, że ktoś będzie na nią czekał, ale, jak nauczyło ją doświadczenie, po guwernantkę wysyłano zazwyczaj zwykłą bryczkę, nie miała więc odwagi podejść do stojącego po przeciwnej stronie drogi eleganckiego powozu, chociaż był on jedynym zaprzęgiem w zasięgu jej wzroku. Jednakże po chwili z koźła powozu zeskoczył stangret. Podeszedł do niej, uchylił kapelusza i zapytał, czy to ona jest tą młodą damą, która przybyła z Londynu w odpowiedzi na ogłoszenie. Kiedy potwierdziła, ukłonił się,

wziął jej walizę i poprowadził do powozu. Wyraźnie podniesiona na duchu tak nieoczekiwanym potraktowaniem, wsiadła do środka, stangret okrył ją ciepłym pledem i wyraził nadzieję, że nie będzie jej w drodze dokuczał wieczorny chłód. Następnie złożył schodki, zamknął drzwiczki, umieścił kufer i walizę na dachu i po chwili powóz ruszył.

Dama z westchnieniem ulgi oparła się o miękkie poduszki. Dylizans, którym przybyła z Londynu, był zatłoczony, a wielogodzinna podróż trzęsącym się pojazdem nie należała do wygodnych, toteż w pełni potrafiła docenić kontrast pomiędzy dylizansem a dobrze resorowanym powozem. Pomyślała, że chyba nigdy nie przywyknie do niedogodności związanych z ubóstwem, chociaż w ciągu minionych sześciu lat miała okazję zdobyć wiele przykrych doświadczeń. Zdecydowana nie poddawać się dłużej takim melancholijnym rozważaniom zaczęła zastanawiać się nad czekającą ją pracą.

Po krótkiej rozmowie w hotelu Fentona w Londynie z panią Macclesfield, która miała zostać jej chlebodawczynią, nie przypuszczała, że osoba ta okaże się tak wspaniałomyślna, by po guwernantkę wysłać swój własny powóz. Przypuszczała raczej, że jej serce jest równie twarde jak spojrzenie wyłupiasztych oczu, jednak nie mając innych propozycji bez wahania przyjęła oferowaną posadę. Wybór miała niewielki. Najczęściej poszukiwano guwernantek dla młodych dżentelmenów w wieku dojrzewania, a panna Elinor Rochdale była zbyt młoda i zbyt urodziwa, by mogła zostać zaakceptowana przez ostrożnych rodziców.

Znalezienie posady stało się w ostatnich tygodniach zadaniem pilnym, gdyż oszczędności panny Rochdale były już całkiem skromne, a duma wciąż zbyt wielka, by nadal mogła korzystać z gościny swej dawnej guwernantki. Na szczęście jedyny męski potomek pani Macclesfield miał zaledwie siedem

lat. Zdaniem matki był dzieckiem niezwykle żywym, a przy tym wrażliwym. Opiekowanie się nim wymagać miało wielkiego taktu i cierpliwości. Przed sześciu laty panna Rochdale odpowiedziałaby wzruszeniem ramion na tak przerażającą propozycję, ale teraz wiedziała już, że idealne warunki zdarzają się niezwykle rzadko i że tam, gdzie nie ma rozpuszczonych dzieci zatruwających życie guwernantce, najprawdopodobniej wymagać się będzie od niej pełnienia dodatkowo funkcji pokojówki.

Ciaśniej owinęła nogi pledem. Stopy chroniła przed chłodem gruba owcza skóra leżąca na podłodze powozu. Poczuli się niemal tak, jak gdyby znów była panną Rochdale z Feldenhall, udającą się w powozie ojca na wieczorne przyjęcie. Fakt, że wysłano po nią tak elegancki pojazd z nienagannie zachowującym się służącym, wydał jej się nieco dziwny: pani Macclesfield nie sprawiała wrażenia osoby aż tak zamożnej i dystygowanej. Gdy Elinor wsiadała do powozu wydawało jej się, że jego drzwiczki ozdobione są herbem, ale w półmroku mogła się pomylić. Zastanawiała się nawet, czy nie trafiła do jakiejś utytułowanej rodziny. W przypływie dobrego nastroju snuła w myślach całkiem nieprawdopodobne wizje dotyczące czekającej ją przyszłości.

W pewnym momencie zauważyła, że konie nagle zwolniły i to przywróciło ją do rzeczywistości. Wyjrzała przez okno, ale okazało się, że zapadła już noc i nie była w stanie dostrzec żadnego szczegółu z otaczającego ją krajobrazu. Zorientowała się tylko, że powóz toczy się wolno wąską i krętą drogą. Nie wiedziała, ile czasu trwa podróż, ale wydała jej się dość długa. Przypomniała sobie, że pani Macclesfield wspomniała, że jej posiadłość, Five Mile Ash, położona jest blisko Billingham. Być może powóz jechał jakąś okrężną drogą, ale w miarę upływu czasu panna Rochdale coraz bardziej nabierała prze-

konania, że albo pani Macclesfield ocenia odległości w typowo wiejski sposób, albo celowo wprowadziła ją w błąd.

Podróż wydawała się nie mieć końca, ale kiedy zaczęła już podejrzewać, że stangret zgubił w ciemnościach drogę, konie zwolniły, powóz skręcił pod ostrym kątem i przez kilkaset jardów jechał jakąś jeszcze węższą, wysypaną żwirem, źle utrzymaną drogą. Wreszcie zatrzymał się i stangret zeskoczył z kozła.

W bladej poświacie księżycy, który ukazał się spoza chmur, panna Rochdale wysiadając z powozu zobaczyła imponujących rozmiarów dom, chociaż niski i o nieregularnej sylwetce. Na tle nocnego nieba rysowały się dwa ostre szczyty spadzistego dachu i bardzo wysoki komin. W świetle lampy palącej się w jednym z pokoi widać było, że okna są witrażowe.

Stangret pociągnął za sznur ciężkiego żelaznego dzwonka i zanim przebrzmiało jego echo drzwi otworzyły się. Starszy mężczyzna w podniszczonej liberii, uważnie przyglądając się pannie Rochdale, wpuścił ją do środka. Widok wnętrza okazał się dla niej tak zaskakujący, że zatrzymała się na progu. W pierwszym momencie wydało jej się nieprawdopodobne, by kobieta, z którą rozmawiała w hotelu Fentona, miała coś wspólnego z tą podupadłą wspaniałością.

Hol, w którym się znalazła, był ogromny, o nieregularnym kształcie. Po jednej jego stronie znajdowały się szerokie, dębowe schody, a po drugiej kamienny komin, tak wielki, że, jak pomyślała, można by upiec w nim całego wołu. Trzeba było chyba wielkiego kunsztu, by rozpalając ogień nie zadymić całego holu. Słuszność tego spostrzeżenia potwierdzał wygląd pocerniałego sufitu. Ani na podłodze, ani na schodach nie dostrzegła dywanów, a deskom brakowało połysku. Okna zasłonięte były długimi, brokatowymi, wypłowiałymi i miejscami wystrzępionymi zasłonami. Potężny rozkładany stół

pośrodku holu pokrywała gruba warstwa kurzu. Leżała na nim szpicruta, a obok rękawiczki i pognieciona gazeta oraz mosiężny wazon przeznaczony zapewne na kwiaty, teraz pełen jakichś wysuszonych badyli, dwa cynowe kubki i flakonik. U podnóża schodów stała kompletnie zardzewiała zbroja. Jedną ze ścian zdobił rzeźbiony herb, na pozostałych wisiąco parę obrazów w ciężkich złożonych ramach, trzy nadjedzone przez mole wypchane głowy lisów, dwie pary jelenich rogów, kilka starych myśliwskich strzelb i pistoletów.

Panna Rochdale wzrokiem wyrażającym pełne zaskoczenie spojrzała na służącego, który ją przywitał, i zauważyła, że on również przygląda się jej z zainteresowaniem. W jego postawie było coś, co w połączeniu z ponurą scenerią holu przywodziło na myśl najbardziej niesamowite powieści, które wypożyczała z biblioteki. Poczucia się, jak gdyby została porwana, i dopiero po chwili zdrowy rozsądek pozwolił jej odrzucić te śmieszne przypuszczenia.

- Nie sądziłam, że jest tu aż tak daleko od stacji dylizansów - powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi możliwe miłe brzmienie. - Przyjechałam później, niż się spodziewałam.  
- To tylko dwanaście mil - odparł służący. - Proszę tędy, jeśli łaska.

Podszedł do drzwi w głębi holu i otworzył je, ale nie zaanonsował jej, tylko wymownym ruchem głowy dał do zrozumienia, że powinna wejść. Posłuchała po chwili wahania. Zdumiona była coraz bardziej, a nawet nieco zaniepokojona.

Znalazła się w bibliotece, która sprawiała wrażenie równie zaniedbanej, jak hol. Mrok rozjaśniało tutaj kilka świec umieszczonych w zaśniedziałych kinkietach, a na kominku płonął ogień. Właśnie obok tego kominka z ręką opartą o półkę stał dżentelmen ubrany w bryczesy z kozłowej skóry oraz tabaczkowy surdut i wpatrywał się w płomienie. Kiedy

za panną Rochdale zaniknęły się drzwi, spojrział na nią przez ramię w taki sposób, że osoba nie przyzwyczajona do traktowania jak towar przeznaczony na sprzedaż, poczułaby się zażenowana.

Mężczyzna wyglądał na trzydzieści parę lat. Panna Rochdale pomyślała, że jest on zapewne mężem jej przyszłej chlebobawczyni. Z zadowoleniem zauważyła, że wygląda na człowieka z wyższych sfer, a jego nienaganny, modny strój wyraźnie kontrastuje z otoczeniem.

Dżentelmen nadal stał przy kominku, więc panna Rochdale zdecydowała się podejść bliżej.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Lokaj zaprowadził mnie do tego pokoju, ale być może?...

Odniosła wrażenie, jak gdyby na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale usłyszała odpowiedź, wygłoszoną chłodnym, spokojnym tonem:

- Postąpił zgodnie z moim poleceniem. Proszę usiąść. Mam nadzieję, że nie musiała pani czekać na stacji dyliżansów.

- Ależ nie - odparła. Usiadła na krześle przy stole, splecione dłonie oparła na leżącej na kolanach torbie. - Czekał na mnie powóz. Muszę panu podziękować za wysłanie tak wygodnego ekwipażu.

- Wątpiłem, czy uda się tutaj znaleźć jakiś zdatny do użytku pojazd.

Ta wygłoszona obojętnym tonem uwaga wydała się pannie Rochdale wyjątkowo dziwna. Dżentelmen zauważył widać jej zaskoczenie i dodał:

~ Przypuszczam, że w Londynie wyjaśniono pani dokładnie charakter przedstawionej oferty.

- Myślę, że tak.

- Zdecydowałem się sprowadzić panią od razu tutaj.

- Sądziłam... miałam takie wrażenie, że to właśnie w tym domu jestem oczekiwana.

- To prawda - potwierdził. - Nie chciałbym jednakże, żeby pani poczuła się oszukana, wolałem więc, zanim zostanie podjęta ostateczna decyzja, dać pani okazję zobaczenia na własne oczy tego, co może nie zostało zbyt dokładnie opisane.

Rozejrzał się po zaniedbanym pokoju, a potem znów przyjrzał się jej badawczo.

- Nie rozumiem pana, sir - powiedziała. - Wyjeżdżając z Londynu sądziłam, że zostałam definitywnie zaangażowana.

- Ależ tak, jeśli nadal jest pani tym zainteresowana.

W tym momencie nie była już tego całkiem pewna, ale perspektywa powrotu do Londynu i czekania na następną ofertę wydała jej się na tyle przykra, że odezwała się pogodnym tonem:

- Zrobię wszystko, sir, żeby dobrze wywiązać się ze swych obowiązków. - Zauważyła w jego spojrzeniu odrobinę ironii i poczuła się tym zaniepokojona. - Nie wiedziałam, że to właśnie pan mnie angażuje - dodała. - Myślałam...

- Nie musiała pani wiedzieć. Skoro zdecydowała się pani przyjąć ofertę, ja nie mam już nic do powiedzenia w tej sprawie.

Mając w pamięci zachowanie jego małżonki w czasie krótkiego spotkania w Londynie, uznała za trochę dziwne, że to właśnie on z nią rozmawia. Co prawda sprawiał wrażenie człowieka przywykłego do rozkazywania. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Po krótkim milczeniu zaproponowała:

- Czy nie uważa pan, że powinnam wreszcie poznać mego podopiecznego?

- Niezłe określenie - zauważył uśmiechając się kwaśno.

- Ma pani rację, tylko że pani podopieczny jest na razie nieuchwytny. Wkrótce go pani zobaczy. Jeśli nie przeraziła

pani sceneria, w jakiej się pani znalazła, to mam nadzieję, że i spotkanie z nim nie zachwieje pani decyzją.

- Myślę, że nie - powiedziała. - Z tego, co wiem, jest on nieco... posiada być może zbyt wiele wigoru.

- Albo ma pani talent do posługiwania się niedomówieniami, albo nie powiedziano pani wszystkiego, skoro tak pani to określa.

Roześmiała się.

- Jest pan wyjątkowo szczerzy, sir. Nie oczekiwałam, że usłyszę całą prawdę, ale wydaje mi się, że tego, co nie zostało powiedziane, potrafię się domyślić.

- Jest pani odważną kobietą - zauważył.

- Chyba nie, ale umiem sobie radzić z kłopotami. On został zapewne nieco rozpuszczony.

- Wątpię, czy można no tak delikatnie określić - odparł beznamiętnym, chłodnym tonem.

- Chyba nie powinnam zbyt poważnie traktować tego, co pan mówi - powiedziała równie chłodno. - Mam nadzieję, że szybko potrafię uzyskać wpływ na niego.

- Uzyskać na niego wpływ? - powtórzył tonem wyrażającym niedowierzanie. - Byłoby to niezwykle osiągnięcie. Jeszcze nikomu nie udało się dokonać czegoś takiego.

- Doprawdy, sir, pan chyba przesadnie... - Zawahała się.

- Na Boga, nie - zniecierpliwił się.

- Tak, ja wiem, że będzie to wymagało wielkiego wysiłku z mojej strony.

- Jeśli już zamierza pani pozostać tutaj, to lepiej byłoby, gdyby zajęła się pani takimi problemami, z którymi można sobie łatwiej poradzić - stwierdził i jeszcze raz rozejrzał się po pokoju.

- Nikt mi nie mówił, sir, że mam tutaj pełnić rolę gospodyni - powiedziała pozwalając sobie na nieco opryskliwy ton.

-W moim pokoju na pewno będzie czysto i porządnie, ale nie mam zamiaru zajmować się całym domem.

Wzruszył ramionami, odwrócił się od niej i butem przysunął w głąb paleniska poczerniała od żaru kłodę.

- Postąpi pani zgodnie ze swoim życzeniem - powiedział. - To nie moja sprawa. Należy się jednak pozbyć romantycznych złudzeń. Podopieczny, jak pani zechciała go nazwać, być może zaakceptuje panią, ale tylko dlatego, że ja go do tego zmuszę, a nie z żadnego innego powodu. Proszę nie łudzić się, że potraktuje panią uprzejmie. Nie sądzę jednak, żeby pozostała pani tutaj dłużej niż przez tydzień, zresztą nie widzę potrzeby, chyba że pani zdecyduje inaczej.

- Nie dłużej niż tydzień? - zawołała. - On nie może być aż tak zły, jak usiłuje mnie pan przekonać. Przecież to absurd. Proszę wybaczyć, ale nie powinien pan mówić takich rzeczy.

- Chcę, żeby poznała pani prawdę i jeszcze raz zastanowiła się nad swoją decyzją.

Panna Rochdale była coraz bardziej skonsternowana. Zdołała tylko powiedzieć:

- No cóż, postaram się zrobić, co mogę. Co prawda nie przypuszczałam... ale trudno mi teraz... nie jestem w stanie odrzucić...

- Tak, tak, oczywiście. Rozumiem panią. Nie mogło być przecież inaczej.

- Proszę mi tylko wyjaśnić - powiedziała patrząc na niego - dlaczego najpierw zostałam zaangażowana, a teraz pan usiłuje mnie zniechęcić.

- To istotnie wygląda na absurd - powiedział z uśmiechem, który sprawił, że jego surowa twarz wydała jej się znacznie sympatyczniejsza. - Widzi pani... nie jest pani osobą, której oczekiwałem. Jest pani zbyt młoda..

- Nie ukrywałam swojego wieku, sir. Jestem starsza, niż się panu wydaje. Mam dwadzieścia sześć lat.

- Wygląda pani na młodszą.

- To jest bez znaczenia. Zapewniam pana, że nie jestem osobą niedoświadczoną.

- W tym, co panią czeka, raczej nie ma pani doświadczenia.

W umyśle panny Rochdale zrodziło się nagle straszne podejrzenie.

- Na Boga, on chyba nie jest... chyba nie może być obłąkany, sir? - powiedziała niepewnie.

- Nie, jest zupełnie zdrowy. To nie szaleństwo, to brandy jest przyczyną całego zła - odparł.

- Brandy? - zdumiała się.

- Tak. Sądziłem, że wie pani o tym - powiedział unosząc brwi. - Bardzo przepraszam, ale zamierzałem... poleciłem poinformować panią o tym.

Panna Rochdale doszła do wniosku, że to nie jej podopieczny, ale rozmówca jest obłąkany. Wstała i ze stanowczością, która stłumić miała jej wewnętrzny niepokój, oznajmiła:

- Myślę, sir, że najlepiej będzie, jeśli bez dalszej zwłoki porozmawiam z panią Macclesfield.

- Z kim? - zapytał.

- Z pana żoną - odparła, wycofując się taktycznie w stronę drzwi.

- Nie jestem żonaty - stwierdził z niezmaconym spokojem.

- Nie ma pan żony? - zawołała. - Wobec tego... To jakieś fatalne nieporozumienie. Czy nie nazywa się pan Macclesfield?

- Na pewno nie. Nazywam się Carlyon.

Odniosła wrażenie, że jego zdaniem ta informacja jest wystarczająca, by wiedziała o nim wszystko.

- Bardzo przepraszam - wydukała po chwili, kiedy ochło-

nęła nieco. - Myślałam, że... A gdzie w takim razie jest pani Macclesfield?

- Nie sądzę żebym znalazł damę o takim nazwisku.

- Pan jej nie zna? To nie jest jej dom?

- Nie.

- Och, wobec tego zaszła jakaś straszna pomyłka! - zawołała z rozpaczą w głosie. - Nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść. Bardzo mi przykro, panie Carlyon, ale wydaje mi się, że trafiłam do niewłaściwego domu.

- Na to wygląda, madam.

- Cóż za przykre zdarzenie! Bardzo pana przepraszam... Kiedy stangret zapytał, czy przyjechałam w odpowiedzi na ogłoszenie, pomyślałam... Powinnam była zapytać, kto go przysłał.

- A więc pani przybywa z ogłoszenia... - Przerwał i uniósł brwi. - Z pewnością nie mojego.

- O, nie. Zostałam zaangażowana przez panią Macclesfield jako guwernantka do jej dzieci, a właściwie do synka.

- Roześmiała się mimo woli. - O Boże, czy może być coś bardziej niezwykłego? Teraz rozumie pan, jakie wrażenie wywarły na mnie pana wypowiedzi.

- Przypuszczam, że uznała mnie pani za szaleńca.

- To prawda. Ale nie ma w tym nic zabawnego. Proszę mi powiedzieć, gdzie ja jestem, sir?

- Jest pani w Highnoons, madam. A gdzie chciałaby pani być?

- W rezydencji pani Macclesfield, w Five Mile Ash - odparła. - Mam nadzieję, że nie jest to zbyt daleko stąd.

~ Niestety, około szesnastu mil w kierunku wschodnim. Chyba nie dotrze tam pani dzisiejszego wieczoru.

- Dobry Boże, sir, co mam zrobić? Pani Macclesfield będzie zapewne obrażona, a ja naprawdę nie wiem, jak wytłumaczyć swoje opóźnienie.



Widać było, że pan Carlyon nie przejął się tym zbyt. Po chwili zastanowienia zapytał:

- Czy poza panią na stacji w Billinghamurst wysiadła z dylżansu jakaś kobieta?

- Nie. Poza mną nikt nie wysiadł.

- Opuściła ją odwaga - zauważył. - Co mnie zresztą nie dziwi.

- Domyślam się, że pan również kogoś oczekiwał. Wyjątkowy zbieg okoliczności. Szkoda tylko, że nie wiem, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Jeszcze raz przyjrzał jej się uważnie i powiedział:

- Możemy spróbować znaleźć wyjście. Zanim pani uda się do Five Mile Ash, warto rozważyć moją propozycję.

- Przecież pan nie poszukuje guwernantki, sir.

- Nie. Poszukuję kobiety... Dobrze urodzonej kobiety... która gotowa byłaby, pod pewnymi warunkami, poślubić mojego młodego krewnego.

Panna Rochdale na dłuższą chwilę zaniemówiła.

- Mówi pan poważnie? - zapytała wreszcie.

- Z całą pewnością.

- Pan istotnie jest szalony.

- Nie, nie jestem, chociaż zgadzam się, że można odnieść takie wrażenie.

- Poślubić pańskiego krewnego? - powiedziała z niechęcią.

- Niewątpliwie tego dżentelmena, który tak bardzo przywiązany jest do brandy.

- Właśnie.

- Panie Carlyon, nie jestem w stosownym nastroju do tego rodzaju żartów. Niech pan będzie tak dobry i...

- Ja nie żartuję i nie jestem panem Carlyon.

- Proszę wybaczyć, ale tak właśnie pan się przedstawił.

- Jeśli chodzi o nazwisko, to istotnie wszystko w porządku.

tylko byłoby poprawniej, gdyby zwracając się do mnie używała pani formy lord Carlyon.

- Och. to niczego nie zmienia.

- A co miało zmienić?

- Ten... ten niedorzeczny, niefortunny żart z pana strony.

- Moja propozycja istotnie może wydać się pani niedorzeczna, ale zapewniam, nie jest to żart. Są ważne powody, dla których pragnąłbym doprowadzić do małżeństwa mojego kuzyna, i to tak szybko, jak tylko jest to możliwe.

- Nawet nie próbuję pana zrozumieć, milordzie, ale proszę mi powiedzieć, dlaczego pański kuzyn nie poślubi którejś ze swych znajomych?

- Niewątpliwie tak byłoby najlepiej, ale jego charakter jest zbyt dobrze wszystkim znany, by zaakceptowała go któraś ze znajomych pańien. W dodatku nie posiada już godnego uwagi majątku.

- Coś podobnego! - zawołała panna Rochdale. Nie bardzo wiedziała, czy ma się śmiać, czy wyrazić oburzenie. - Dlaczego wobec tego przypuszcza pan, że ja mogłabym zaakceptować tego potwora?

- Nie namawiam pani - odparł spokojnie. - Zawsze może go pani zostawić, nawet w drzwiach kościoła. Prawdę mówiąc, powinna pani tak zrobić.

- Albo śnię - powiedziała panna Rochdale, starając się zachować spokój - albo naprawdę jest pan szalony.

## 2

.Lord Carlyon spojrział na pannę Rochdale z wyrazem rozbawienia w oczach, ale nie powiedział nic, tylko potrząsnął głową. Rozdrażniona jego prowokującym zachowaniem odezwała się surowym tonem:

- Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy. Proszę mi tylko powiedzieć, w jaki sposób mogę dostać się do Five Mile Ash, zanim zrobi się zbyt późno.

Lord Carlyon zerknął na stojący nad kominkiem zegar, ale jego wskazówki zatrzymały się na jakiejś przypadkowej godzinie, wyciągnął więc z kieszeni swój zegarek.

- Już jest zbyt późno - powiedział. - Dochodzi dziewiąta.

- Dobry Boże! - zawołała panna Rochdale. - Co ja mam teraz zrobić?

- Ponieważ czuję się w pewnym stopniu odpowiedzialny za pani przygodę, postaram się panią zająć. Proszę mi zaufać.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, milordzie, ale obawiałabym się darzyć zaufaniem człowieka, u którego zauważam wyraźne objawy szaleństwa.

- Niechże pani będzie rozsądna - powiedział takim samym tonem, jakiego ona używała karcąc niesforne dziecko. - Dobrze pani wie, że jestem przy zdrowych zmysłach. Proszę teraz ponownie usiąść, a ja zorganizuję dla pani jakiś mały posiłek.

Zachowanie lorda podziało na nią uspokajająco. Z wdzięcznością przyjęła jego propozycję, tym bardziej że od rana nie miała nic w ustach. Wróciła do stołu i usiadła.

- Nie wiem, w jaki sposób zamierza się pan mną zająć, ale proszę pamiętać, że na pewno nie zamierzam wyjść za pańskiego kuzyna.

- Jak pani sobie życzy - odparł i pociągnął za sznur od dzwonka.

- Po tym, co tutaj zobaczyłam, przypuszczam, że dzwonek jest uszkodzony - zauważyła złośliwie.

- To bardziej niż prawdopodobne - zgodził się i ruszył w stronę drzwi. - Ale to nie mój dom.

- Zaczynam podejrzewać, że to ja tracę zdrowy rozsądek - stwierdziła panna Rochdale dotykając dłonią czoła. - Jeśli ten dom nie jest ani pana, ani pani Macclesfield, to czyj on, u licha, jest?

- Mojego kuzyna.

- Pańskiego kuzyna? Wobec tego nie mogę tutaj pozostać! - zawołała. - Chyba nie zamierza mnie pan tu zatrzymywać?

- Oczywiście że nie. Byłoby to wysoce niestosowne - powiedział i wyszedł z pokoju.

W myślach panny Rochdale zrodził się szalony pomysł, by po prostu uciec, ale zwyciężył zdrowy rozsądek. Wędrowanie nocą po nieznannej okolicy mogłoby tylko pogorszyć sytuację, a chociaż zachowanie gospodarza można było uznać za dość niezwykle, nic nie wskazywało na to, że gotów jest podjąć jakieś działania wbrew jej woli. Spokojnie czekała na jego powrót. Po chwili wszedł do pokoju.

- Wygląda na to, że nie znajdzie się w kuchni nic poza kawałkiem pieczeni na zimno, ale kazałem służbie zrobić wszystko, co w ich mocy - powiedział.

- Wystarczy mi kawałek chleba z masłem - zapewniła go.

- Zaraz coś podadzą.  
 - Dziękuję. - Zdjęła rękawiczki i złożyła je starannie.  
 - Zastanawiałam się, jak wybrnąć z tej sytuacji - powiedziała.  
 - Czy znajdzie się tu jakiś pojazd... powóz czy coś w tym rodzaju, który mogłabym wynająć, żeby natychmiast pojechać do Five Mile Ash?

- Mogłbym zawieźć panią własnym powozem, ale obawiam się, że pani przyszła chlebobawczyni nie będzie zachwycona, jeśli zjawi się pani w jej domu o północy.

Słuszność tej uwagi wydała się niewątpliwa. Wyobraziła sobie panią Macclesfield w takiej sytuacji i powstrzymała się od wszelkich protestów.

- W Wisborough Green jest przyzwoity zajazd, w którym mogłaby pani przenocować - zaproponował. - Rano, jeśli nadal będzie pani trwać przy swoim postanowieniu, zawiozę panią do Five Mile Ash.

- Jestem panu szalenie zobowiązana. Tylko co ja powiem pani Macclesfield? Prawdziwa relacja wyda jej się zbyt fantastyczna.

- Nie wątpię. Może lepiej powiedzieć, że pomyliła się pani co do daty i dopiero teraz przyjechała do Sussex.

- Takie wyjaśnienie na pewno tak ją zirytuje, że mnie natychmiast odeśle.

- Wtedy może pani wrócić do mnie.

- Tak! I wyjść za mąż za pańskiego okropnego kuzyna?

- Decyzja należeć będzie do pani - stwierdził z niewzruszonym spokojem. - Niewiele wiem o obowiązkach guwernantki, ale z tego, co słyszałem, mogę sądzić, że prawie wszystko jest lepsze niż tego rodzaju funkcja.

Tyle było prawdy w jego słowach, że nie mogła powstrzymać się, by nie westchnąć.

- No tak, ale nie małżeństwo z pijakiem, zapewniam pana - powiedziała znacznie już łagodniejszym tonem.

- Mój kuzyn prawdopodobnie nie pożyje długo.

Teraz, kiedy ustąpiło przerażenie, zaczęła odczuwać ciekawość. Spojrzała na niego pytająco.

- Nigdy nie cieszył się dobrym zdrowiem - wyjaśnił.

- Jeśli nie straci życia w wyniku jakiejś awantury, co jest wysoce prawdopodobne, to alkohol wkrótce go zabije.

- Dlaczego więc tak bardzo zależy panu na tym, żeby się ożenił? - zapytała.

- Jeśli umrze jako kawaler, będę musiał odziedziczyć jego majątek.

Przez chwilę patrzyła na niego pełnym zdziwienia wzrokiem, ale zanim zdołała znaleźć odpowiednie słowa, by wyrazić zaskoczenie, do pokoju wszedł lokaj z tacą, na której zauważyła herbatę, chleb z masłem i pieczeń.

Postawił tacę przed panną Rochdale, a potem zwrócił się do lorda Carlyona.

- Pan Eustace ciągle jeszcze nie wrócił, milordzie.

- To nie ma znaczenia.

- Chyba że znalazł się w jakichś tarapatach - mruknął służący. - Wyszedł w dosyć wojowniczym nastroju, milordzie.

Carlyon wzruszeniem ramion wyraził brak zainteresowania osobą kuzyna. Lokaj westchnął i wyszedł. Panna Rochdale przysunęła sobie krzesło do stołu i napełniła filiżankę herbatą. Pieczeń barania okazała się smaczna, wkrótce zaczęła więc nieco pogodniej oceniać swoją sytuację.

- Nie chciałabym być wścibska, milordzie, ale czy istotnie powiedział pan, że jeśli kuzyn zejdzie z tego świata jako kawaler, pan odziedziczy tę posiadłość? - zapytała.

- Tak.

- Nie chce pan jej dziedziczyć?

- Absolutnie nie.

Wypiła kolejny łyk herbaty.

- Wydaje mi się to bardzo dziwne - stwierdziła.

Lord Carlyon podeszedł do stołu i usiadł naprzeciwko niej.

- Może to i dziwne, ale prawdziwe - powiedział. - Powiniennem zacząć od wyjaśnienia, że od pięciu lat jestem opiekunem mojego kuzyna. - Przerwał i przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu z zaciśniętymi ustami. Potem zaczął mówić dalej tonem równie spokojnym, jak poprzednio. - Relegowano go z Eton, a winę za to krewni jego ojca przypisali mnie.

- Dlaczego? - zapytała.

- Nie mam pojęcia. Znaleźli się tacy, którzy uważali, że gdyby nie stracił wcześniej ojca, a jego matka, to znaczy moja ciotka, wybrała na opiekuna nie mnie, ale któregoś ze szwagrów, to jego charakter mógłby ukształtować się inaczej.

- Ten zarzut brzmi bardzo poważnie. Proszę mi wybaczyć, ale czy nie jest to dziwne, że to właśnie panu powierzono tę funkcję? Był pan wówczas chyba bardzo młody.

- Byłem w pani wieku. Miałem dwadzieścia sześć lat. Nie zostałem wybrany bez powodu. Ciotka, starsza siostra mojej matki, odziedziczyła posiadłość po moim dziadku. Mój majątek leży w odległości siedmiu mil, nasze rodziny przyjaźniły się. Ja też bardzo młodo straciłem ojca, co zapewne sprawiło, że wcześniej wydorostałem. Mając osiemnaście lat zostałem już głową rodziny, której najmłodszy członek nie opuścił jeszcze dzieciennego pokoju.

- Wielkie nieba! Chyba nie powie pan, że w tym wieku spadła na pana całkowita odpowiedzialność za rodzinę! - zawołała panna Rochdale.

- Może niezupełnie - uśmiechnął się. - Żyła jeszcze matka, ale nie cieszyła się dobrym zdrowiem, więc wszyscy szukali oparcia u mnie.

- Wszyscy?

- Mam trzech braci i trzy siostry, madam.

- I nadal opiekuje się pan nimi?

- Och, nie! Siostry są już zamężne, a jeden z braci pełni ważną funkcję w sztabie sir Rowlanda Hilla i obecnie przebywa na Półwyspie Iberyjskim. Drugi mieszka w Londynie i jest sekretarzem lorda Sidmoutha w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Można powiedzieć, że teraz odpowiedzialny czuję się tylko za najmłodszego, który jest na pierwszym roku studiów w Oksfordzie. W czasach, o których mówimy, całe rodzeństwo przebywało jednak w domu. - Uśmiech znów rozjaśnił jego oczy. - Z własnego doświadczenia musi pani wiedzieć, że sześcioro dzieci w wieku od czterech do szesnastu lat może być poważnym obciążeniem dla delikatnej kobiety.

- To prawda - powiedziała współczująco - ale mieliście przecież wychowawców... guwernantki.

- O, tak - zgodził się. - Było ich tyle, że straciłem rachubę. Dwaj moi bracia wykazywali wiele talentu do pozbywania się ich... Zanudzam chyba panią moimi sprawami. Chciałem tylko, żeby pani zrozumiała, dlaczego ciotka zdecydowała się powierzyć syna mojej opiece. Muszę jednak przyznać, że najwyraźniej nie potrafiłem zapobiec rozwinięciu się jego złych skłonności i w zdecydowany sposób wpłynąć na niego. Doprowadziłem tylko do tego, że nabrał do mnie głębokiej niechęci. Nie winię go za to. Jego niechęć nie jest większa niż moja do niego. - Patrzył na nią przez chwilę, a potem po chwili zastanowienia dodał: - Nie jest łatwo postępować z kimś, do kogo czuje się wyłącznie pogardę i wstręt. Jeden ze stryjów mojego kuzyna twierdzi, że byłem dla niego zbyt surowy. Może i tak, ale niezupełnie się z nim zgadzam. Kiedy musiałem zabrać kuzyna z Eton, powierzyłem go opiece znakomitego wychowawcy i nauczyciela. Nic to jednak nie dało. Oburzano się potem, kiedy nie zaaprobowałem

pomysłu, by wysłać go do Oksfordu. Oczywiście, istniało pewne znikome prawdopodobieństwo, że zachowa się tam w sposób możliwy do przyjęcia, ale nie miałem już wtedy co do niego żadnych złudzeń i sprzeciwiłem się. Uznano to za złośliwość z mojej strony.

- Że też musiał pan wysłuchiwać takich nonsensów - uważała panna Rochdale.

- Nie przejmowałem się nimi zbyt. Po licznych perypetiach chłopiec nabrał nagle chęci wstąpienia do armii. Pomyślałem, że zmiana trybu życia i środowiska, w którym się obracał, może wyrzucić na niego korzystny wpływ, kupiłem mu więc szlify oficerskie. Naturalnie, natychmiast posadzono mnie, że chcę się go w ten sposób skutecznie pozbyć, po to, by zagarnąć jego majątek. Na szczęście, zanim przyjęto go do służby wojskowej, poproszono by przedstawił referencje. Tymczasem chłopak osiągnął pełnoletność i pozbyłem się odpowiedzialności za niego.

- Dziwne, że w tym momencie nie przestał się pan nim interesować.

- W znacznym stopniu przestałem, ale ponieważ w jego mniemaniu stosunki między nami dawały mu prawo do zaciągania w moim imieniu długów i firmowania moim nazwiskiem różnych kredytów, nie mogłem jego postępowania całkowicie ignorować.

- A rodzina jego ojca ciągle ma do pana pretensje? Dają słowo, nie jest to miłe z ich strony! - oburzyła się panna Rochdale.

- Z czasem stawało się to coraz bardziej przykre - zgodził się. - Ich niechęć pogłębiła się, kiedy zmuszony byłem pewną część jego majątku, nie obciążonego jeszcze długami, wziąć w zastaw. Gdyby on teraz umarł i cały majątek przeszedłby w moje ręce, niewątpliwie stwierdzono by, że nie tylko celowo zachęcałem go do prowadzenia trybu życia przy-

spieszającego jego zgon, ale że w bliżej nieokreślony sposób zadbałem, żeby się nie ożenił.

- Wierzę, że musi to być dla pana przykre - stwierdziła.

- Przypuszczam jednak, że pana rodzina, pańscy przyjaciele nie wierzą w te nonsensy.

- Naturalnie.

- Nie powinien więc pan przywiązywać do tego większej wagi.

- I tak byłoby, gdyby chodziło tylko o mnie, ale tego rodzaju plotki mogą się okazać wyjątkowo szkodliwe dla moich bliskich, choćby dla mojego brata Johna. Nie chciałbym, nawet mimo woli, przeszkodzić mu w karierze. A Nicky... Nie, Nicky nie zniósłby spokojnie rzuconej na mnie potwarzy.

- Przerwał swoje wyznania uświadamiając sobie, że przecież rozmawia z zupełnie obcą osobą. Po chwili dodał: - Najlepszym sposobem, by zapobiec tym intrygom, jest znalezienie dla kuzyna żony i to właśnie zdecydowany jestem zrobić.

- Niestety, niezbyt dobrze pana rozumiem, sir. Skoro kuzyn tak bardzo pana nie lubi, to dlaczego sam nie znajdzie sobie żony? Przecież on też z pewnością nie chce, żeby pan odziedziczył jego majątek.

- To prawda, ale nawet doktor nie potrafi go przekonać, że jego zdrowie jest w katastrofalnym stanie. Ciągłe uważa, że ma jeszcze wiele czasu na to, by się ożenić.

- Jeśli tak, to w jaki sposób zmusi go pan do poślubienia nieznannej kobiety, którą znalazł pan przez ogłoszenie w gazecie? Wydaje się to nieprawdopodobne.

- Obiecałem mu, że jeśli się zgodzi, spłacę wszystkie jego długi.

- A on zostanie z niechcianą żoną - powiedziała z nie skrywaną ironią. - A może również zaopiekuje się pan tą pechową kobietą, sir?

- Oczywiście - odparł z pełnym przekonaniem. - Nie zrobię nic, by to małżeństwo było czymś więcej niż tylko formalną umową. Prawdę mówiąc, nie miałbym odwagi żadnej kobiecie zaproponować, by żyła z moim kuzynem.

Zmarszczyła brwi i zapytała rumieniąc się przy tym nieznacznie:

- Czy w ten sposób osiągnie pan swój cel? Proszę mi wybaczyć, sir, ale chyba pominął pan pewną ważną sprawę. Czy po to, żeby mógł pan pozbyć się spadku, pana kuzyn nie musi aby spłodzić swojego następcy?

- Nie. W tej sytuacji jest to bez znaczenia. Kuzyn odziedziczył majątek po naszym dziadku poprzez swoją matkę. Dziadek tak był niezadowolony z jej małżeństwa z Lionelem Cheviotem, że zrobił wszystko, by posiadłość nie znalazła się w jego rękach albo w rękach kogoś z tej rodziny. W tym celu zapisał wszystko wnukowi, pod warunkiem że jeśli Eustace umrze jako kawaler, majątek wróci do młodszej córki dziadka albo jej najstarszego syna, czyli do mnie.

- Na zasadzie majoratu, jak rozumiem.

- Niezupełnie. Gdy Eustace ożeni się, będzie mógł dysponować majątkiem według własnej woli. Bardzo to niezwykły testament i często zastanawiałem się, co dziadek chciał przez to uzyskać. On zresztą nie był wolny od pewnych dziwactw. Uważał na przykład, że wczesne małżeństwo jest korzystne dla młodych mężczyzn. Trudno powiedzieć, ale być może tym się kierował formułując swą ostatnią wolę... Musi się pani zgodzić, że mój plan nie jest aż tak fantastyczny, jak mógł się początkowo wydawać - dokończył spokojnie.

- Liczy pan na to, że uda się znaleźć kobietę gotową przystać na takie małżeństwo? Wydaje mi się to wątpliwe.

- Wręcz przeciwnie. Mam nadzieję, że nie będzie to takie trudne - odparł.

- Jeśli mnie ma pan na myśli, milordzie, to nie wróżę panu sukcesów - powiedziała rezolutnie potrząsając głową. - Ja z całą pewnością nie przystanę na taką propozycję.

- A dłaczegóżby nie? - zapytał.

- Dlaczego nie? - powtórzyła patrząc na niego z wyrazem zdumienia na twarzy.

- Tak. Proszę mi to wyjaśnić.

Nagle okazało się, że nie jest w stanie udzielić sensownej odpowiedzi, chociaż była przekonana, że istnieje uzasadnienie jej sprzeciwu. Przez chwilę próbowała znaleźć właściwe słowa, ale w końcu stwierdziła krótko:

- To chyba jest zupełnie jasne, milordzie.

- Nie dla mnie.

Najwyraźniej lord Carlyon nie należał do ludzi, których łatwo można przekonać. Spojrzała na niego z pewną niechęcią i powiedziała:

- Chyba nie uważa pan, że brakuje mi zdrowego rozsądku.

- Nie. Mnie też go chyba nie brakuje, a mimo to nie widzę uzasadnienia pani stanowiska. Czekam, aż pani mnie przekona.

Jego spokój i rozsądek sprawiły, że panna Rochdale poczuła pewien nieusprawiedliwiony niepokój.

- Nie mogę na to przystać - powiedziała chłodno. - Może pan przyjąć, że mam zbyt wiele poczucia godności, by zaakceptować taki kontrakt.

- I to jest jedyny powód? - zapytał.

- Tak... nie! Chyba pan rozumie, że trudno mi ująć w słowa, to co czuję.

- Jest pani zaręczona?

- Nie, nie jestem.

- A może oczekuje pani czyichś oświadczeń?

- Mówiłam już panu, że mam dwadzieścia sześć lat. Jest

wysoce prawdopodobne, że nigdy nie będę zaręczona - powiedziała ze złością.

-- W takim razie - stwierdził - przyjęcie mojej propozycji nie byłoby dla pani takie znowu złe. - Zauważył, że na jej policzkach pojawiły się rumieńce, więc uśmiechnął się do niej wyrozumiale. - Niech pani się na mnie nie złości. Proszę się tylko przez moment zastanowić. Czekam panią, jak mi się zdaje, ciężka, niewdzięczna praca. Nie wiem nawet, jak pani się nazywa, ale jest dla mnie oczywiste... zauważyłem to od razu, że nie zawsze znajdowała się pani w takim położeniu jak teraz. Skoro nie spodziewa się pani dobrze wyjść za mąż, to jaką przyszłość panią czeka? Zbyt dobrze zdaje pani sobie sprawę z trudności swej sytuacji, żebym musiał o tym mówić. Powinna pani zrozumieć, że korzyści, jakie wynikają z poświęcenia mego kuzyna, w pełni zrównoważą ujemne strony tego mariażu, które zresztą dostrzegam równie dobrze, jak pani. Jego charakter jest haniebny, ale pochodzi z dobrej rodziny. Jako zamożna pani Cheviot otoczona będzie pani powszechnym szacunkiem. Nie musi pani robić nic więcej, jak tylko stanąć razem z nim w kościele przed pastorem. Sam zajmę się tym, żeby potem nie był w stosunku do pani natarczywy. Resztę życia spędzi pani w komforcie, będzie pani nawet mogła powtórnie wyjść za mąż, gdyż, jak mówiłem, prowadząc taki tryb życia, kuzyn nie ma przed sobą zbyt wielu lat. Zanim mi pani odpowie, proszę się dobrze zastanowić.

W milczeniu wysłuchiwała jego słów, najpierw patrząc mu w oczy, potem opuściła wzrok i wpatrywała się w swoje splecione na kolanach dłonie. Nie mogła być obojętna wobec tego, co usłyszała. Rzadko zdarzało się spotkać człowieka, który tak dobrze rozumiałby jej przykrą sytuację. Przypadkowi znajomi uważali, że sama wybrała sobie zawód guwernantki

i w pełni go akceptuje. Natomiast ten obcy mężczyzna o twardym spojrzeniu, surowo i trzeźwo oceniający fakty, nazwał jej pracę ciężką i niewdzięczną. Powiedział to bez cienia współczucia, ale powiedział, a tylko ci, którzy doświadczyli takiego życia, potrafią zrozumieć, ile w tym prawdy.

Miała nadzieję, że wystarczy jej siły charakteru, by poradzić sobie z pragnieniem odrzucenia skrupułów. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że odczuwała tego rodzaju chęć. Jej przyszłość była istotnie niepewna, a tu wystarczyło tylko przystać na formalne małżeństwo, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, a kto wie czy nie perspektywę powrotu do wyższych sfer. Niełatwo jej było w tej sytuacji trwać przy swojej decyzji. Minęła minuta, może dwie, zanim odważyła się spojrzeć na niego. Spróbowała się uśmiechnąć, ale z mizernym efektem. Potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Błagam pana, proszę mnie dłużej nie namawiać. Jestem zdecydowana.

- Jak pani sobie życzy.

- Myślę, że pan rozumie, dlaczego nie mogę, sir.

- Prosiła mnie pani, żebym przestał panią namawiać, więc nic już nie powiem. Jutro, kiedy tylko pani zechce, zawiozę panią do Five Mile Ash.

- Jest pan bardzo miły - podziękowała uprzejmie. - Mam nadzieję, że pani Macclesfield nie wycofa swojej propozycji, chociaż jestem przekonana, że gdyby poznała prawdę, zrobiłaby to z całą pewnością.

- Będzie pani miała nieco czasu, żeby obmyślić jakieś usprawiedliwienie. Proszę wypić herbatę. Potem zawiozę panią do zajazdu, o którym wspominałem.

Podziękowała mu i sięgnęła po filiżankę. Doznała ulgi widząc, że nie czuje się dotknięty ani nawet rozczarowany odrzuceniem propozycji.

- Przykro mi, sir, że musiałam postąpić wbrew pańskim życzeniom - powiedziała.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby je pani spełnić - odparł. Wyjął z kieszeni tabakierkę i otworzył ją. - Nadal ma pani nade mną pewną przewagę - zauważył. - Nie wiem nawet, jak pani się nazywa.

- Nazywam się Rochdale - powiedziała po krótkim wahaniu. - Elinor Rochdale.

Jego ręka znieruchomiała nad otwartą tabakierką.

- Rochdale - powtórzył obojętnym tonem.

Poczuła, że silny rumieniec wykwitł na jej policzkach.

- Z Feldenhall - dodała prowokująco.

Skłonił głowę gestem nie wyrażającym niczego poza uprzejmością, ale panna Rochdale była zupełnie pewna, że zna jej historię.

- Nie myli się pan, sir. Jestem córką człowieka, który w rezultacie niefortunnych spekulacji i przy karcianym stoliku stracił całą fortunę, a potem się zastrzelił.

Sądziła, że wprawi go w zakłopotanie, lecz doznała rozczarowania. Schował tabakierkę do kieszeni i zauważył spokojnie:

- Nie przypuszczałem, że panna Rochdale z Feldenhall może być zmuszona do szukania posady guwernantki, mimo tego, co spotkało jej ojca.

- Drogi panie, nie mam ani pensa poza tym, co zarobię - powiedziała oschle.

- Wierzę, ale żyją chyba jacyś pani krewni...

- Istotnie żyją, ale mam taki dziwny charakter, że jeśli już muszę wykonywać ciężką, niewdzięczną pracę, jak pan to określił, to wolę otrzymywać za nią wynagrodzenie.

- Pani stosunki z krewnymi nie są chyba najlepsze.

- To prawda. Nie mogę ich za to winić. Jestem przekonana,

że niełatwo wziąć sobie na głowę ubogą kuzynkę, do tego z plamą na nazwisku. Sam pan wie, co to znaczy być obiektem plotek. Rozumie pan, że nie chcę sprawiać kłopotów ani rodzinie, ani przyjaciołom. Uważa pan zapewne, że mogłabym zmienić nazwisko. Mogłabym, ale na to nie pozwala mi duma.

- Nie śmiałbym czegoś takiego sugerować. Zgadzam się jednakże, że wchodzi tu w grę duma, i to do pewnego stopnia fałszywa.

- Fałszywa? - oburzyła się.

- Z całą pewnością. Sprawia ona, że wyolbrzymia pani konsekwencje śmierci swego ojca.

- Nie zna pan zapewne wszystkich okoliczności, które temu towarzyszyły.

- Przekonany jestem, że nie miały one związku z pani osobą.

- Może ma pan rację, że poczułam się tym wszystkim nadmiernie dotknięta. Jednakże moje pierwsze doświadczenia, po których zrozumiałam, jak świat patrzy na tę tragedię, nie były przyjemne. W momencie śmierci ojca byłam zaręczona z pewnym dżentelmenem... Ten człowiek skwapliwie wycofał się ze swych zobowiązań. - Uniosła głowę i dodała: - Zapewniam pana, że nie przejęłam się tym wcale.

- Czyżby? - zapytał, pozornie nie poruszony.

Poczuła się nieco zirytowana tym obojętnym pytaniem, chociaż nie oczekiwała współczucia.

- Nie należy do przyjemności zostać porzuconą - powiedziała szorstko.

- To prawda. Myślę, że świadomość pozbycia się niegodnego człowieka szybko uśmierzyła pani ból.

- Nie wiem dlaczego, milordzie, pańskie rozsądne uwagi trochę mnie irytują, ale wszystko, co pan mówi, jest prawdą



- powiedziała. - A teraz najlepiej będzie, jeśli odwiezie mnie pan do tego przyzwoitego zajazdu, zanim zostanę sprowokowana do odpowiadania panu w stylu zbyt swobodnym, nie do przyjęcia przy dzielącej nas różnicy pozycji.

- Przepraszam, jeśli panią uraziłem, panno Rochdale. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby wyrazy współczucia z mojej strony mogły w jakiś sposób satysfakcjonować panią czy w ogóle być do przyjęcia.

- Jakie to dziwne, że pan zawsze ma rację - powiedziała wkładając rękawiczki. - Myślę, że przyjaciele rozmawiając z panem zawsze odczuwają pańską umysłową przewagę.

- Mam wielu dobrych przyjaciół, więc nie sądzę, żeby tak było - odparł.

Roześmiała się i wstała z krzesła. W tym momencie ktoś energicznie zadzwonił do drzwi wejściowych, najwyraźniej chcąc pilnie wejść do domu. Znieruchomiała i spojrzała pytająco na Carlyona.

- Na pewno przybył mój kuzyn - powiedział ruszając w stronę drzwi. - Sądzę, że nie chce się pani z nim spotkać. Proszę się nie niepokoić. Nie pozwolę mu wejść do tego pokoju.

- Przecież to jego dom - zauważyła. - Przypuszczam zresztą, że nie zrobi mi krzywdy.

- Prawdopodobnie jest pijany, a dla pani wystarczy już na dzisiaj niespodzianek.

Lokaj musiał być widocznie blisko wejścia, bo zanim Carlyon podszedł do drzwi, w holu rozległy się szybkie kroki i do pokoju wpadł wysoki, szczupły młody dżentelmen.

- Och, Ned, jesteś tutaj, dzięki Bogu! - zawołał z wyraźną ulgą. - Chciałem cię szukać w domu, ale Hitchin powiedział mi, że pojechałeś do Highnoons. Znalazłem się w cholernych kłopotach i zupełnie nie wiem, co robić. Postanowiłem

porozumieć się z tobą, chociaż na pewno nie będziesz ze mnie zadowolony.

Wystarczyło jedno spojrzenie na tego jasnowłosego, niebieskookiego młodzieńca o opalonej twarzy, by panna Rochdale nabrała przekonania, że z całą pewnością nie jest to rozwiązy kuzyn Carlyona. Zaraz potem zauważyła, że obaj mężczyźni są w jakiś sposób do siebie podobni, chociaż nie było to wyraźne podobieństwo. Młodzieniec sprawiał wrażenie mocno wzburzonego, nie była jednak zaskoczona, kiedy Carlyon z kamiennym spokojem powiedział:

- Tak, z pewnością nie mogłeś lepiej postąpić, jak przyjechać do mnie. Nie sądzę jednak, żebyś miał wystarczający powód, by wywoływać takie zamieszanie. Powiedz, Nicky, co się stało?

Młody brat Carlyona westchnął ciężko.

- Och, Ned, ty zawsze potrafisz wszystkich przekonać, że nic złego się nie zdarzyło. Tym razem jednak naprawdę zdarzyło się. Ciężko mi to wyznać, ale zabiłem Eustace'a Cheviota!

## 3

W pokoju zapadło ciężkie milczenie. Carlyon stał nieruchomo ze zmarszczonym czołem i patrzył na brata. Nicky czekał z miną pokorną, ale równocześnie wyrażającą nadzieję. Panna Rochdale pomyślała, że przypomina szczeniaka, który poszarpał pantofel swojego pana i teraz liczy się z tym, że spotka go za to surowa nagana.

Milczenie przerwał Carlyon.

- No, to się popisałeś - powiedział ponuro.
- Właśnie. Wiem, że będziesz zły, Ned, ale naprawdę nie chciałem tego. Rozumiesz... to było... No, wiesz przecież, jaki on jest i...
- Chwileczkę, Nicky. Zaczynaj od początku. Co robisz tutaj, w Sussex?
- Och, zawiesili mnie w prawach studenta - wyjaśnił Nicky. - Byłem w drodze do domu...
- Z jakiego powodu? - przerwał mu Carlyon.
- Nic strasznego, Ned. Rozumiesz, na dziedzińcu uniwersytetu zjawił się facet z tresowanym niedźwiedziem.
- Ach, tak - powiedział Carlyon. - Rozumiem.
- Wiedziałem, że tak będzie. - Nicky uśmiechnął się, - Był ze mną Keighley i zrobiliśmy trochę zamieszania. Kiedy zobaczyłem niedźwiedzia ... rozumiesz, Ned, musiałem go sobie pożyczyć.

- ~ Oczywiście - zgodził się Carlyon.
- Właściciel niedźwiedzia powiedział potem, że go ukradłem, ale to kłamstwo! Jak on mógł pomyśleć coś takiego! Wyobrażasz sobie, jak mnie rozwścieczył. Nie dałem mu powodów, żeby traktował mnie jak złodzieja kieszonkowego tylko dlatego, że na chwilę wziętem tego zwierza i tak postraszyłem jakichś dwóch dżentelmenów, że wspięli się na drzewo. Ned, czegoś tak zabawnego w życiu nie widziałem!
- Wierzę, chociaż nie było mnie przy tym.
- A szkoda, bo pewnie też byś się ubawił. No, tak to było. Myślałem, że wykpię się jakąś drobną sumką, ale nagle napatoczył się dziekan. Ten włóczęga od niedźwiedzia oskarżył mnie o kradzież i on uwierzył, chociaż tłumaczyłem, że była to tylko pożyczka. W końcu zdenerwowałem się i zawołałem, że nie muszę kraść niedźwiedzia, bo gdyby tylko przyszła mi ochota, żeby mieć takie zwierzę, ty na pewno byś mi je ofiarował...
- Jest to ostatnia rzecz, jaką mógłbyś ode mnie dostać.
- Nie szkodzi, bo wcale nie jest mi potrzebny. Co ja bym z nim zrobił? Ta odpowiedź nie spodobała się dziekanowi. Coś tam jeszcze powiedział, coś tam ja, dość, że jestem relegowany z uczelni do końca semestru. Ten włóczęga od niedźwiedzia to nawet mi współczuł, tym bardziej że wyraźnie nie podobał mu się jeden z tych dżentelmenów, którzy uciekli na drzewo.
- No dobrze, ale co zdarzyło się potem?
- Och, potem... Potem musiałem spuścić z tonu. Keighley zawiózł mnie do Londynu swoim własnym powozem. Ned, jaką on ma parę gniadoszy! Szesnaście mil na godzinę i...
- Dobrze, dobrze. Chciałbym raczej poznać dalszy ciąg twojej historii.
- No tak. Z Londynu pojechałem dylizansem do Wisborough Green...
- Dlaczego, u licha?

- Och, puste kieszenie. Prawdę mówiąc, po zapłaceniu za przejazd zostało mi parę pensów.

- W to mogę uwierzyć. Czemu w Londynie nie poszedłeś na Mount Street?

- Bałem się, że spotkam tam Johna, a ty wiesz, jaki on jest. Zaraz zaczęłby nudzić, a ja nie cierpię wysłuchiwanie jego kazań. Doprowadzają mnie do furii.

- No to masz pecha, John jest w domu.

- Wiem, że tu jest. Poinformował mnie o tym Hitchin. Nie jestem z tego zadowolony, bo on zaraz zacznie lamentować nad tym, co się stało, powie, że nie powinienem tego robić, chociaż sam na pewno nie postąpiłby inaczej, bo jest przecież mężczyzną z charakterem, prawda, Ned?

- Tak, tylko ciągle nie wiem, co się stało.

- Właśnie do tego zmierzam. Kiedy przyjechałem do Wisborough Green, pomyślałem, że powinienem udać się do Hall, więc postanowiłem pożyczyć od Hitchina stary powozik. Służący Jem powiedział mi, że Hitchin jest w barze. Zastałem go tam, ale był tam również ten cholerny Eustace. Gdyby nie to, wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Czy w barze był jeszcze ktoś poza nim?

- Nie. Tylko Hitchin i ja. Przywitałem się z kuzynem uprzejmie. On też był spokojny. Hitchin zgodził się pożyczyć mi powozik. Byłem cholernie głodny, więc postanowiłem, że zanim zaprzęgna konika, zjem kolację. Mają tam świetną szynkę. Ledwie zacząłem jeść, przysiadł się do mnie Eustace z ponurą miną i zaczął gadać. Nie zwracałbym na to uwagi, gdyby nie to, że pozwolił sobie na jakieś uwagi na twój temat.

- Chłopak zamilkł, twarz mu wyraźnie stężała. Panna Rochdale zauważyła, że zacisnął zęby. - Powiedział wreszcie coś takiego, że nie mogłem tego znieść.

- Rozumiem cię, Nicky. Czy był pijany?

Nicky zastanowił się przez chwilę.

- No... nie był pijany jak bela, ale mocno wstawiony. Wiesz, jak zwykle. Ostrzegłem go, że jeśli nadal ma zamiar cię obrażać, to nie będę siedział spokojnie, ale to nie pomogło. Powiedział... zresztą nie ma znaczenia. Dość, że wstałem i przyłożyłem mu... John zrobiłby to samo, jestem tego pewny.

~ Chyba tak. Mów dalej.

- Wpadł w szal. Gotów był mnie chyba zamordować. Podniósł się z podłogi i rzucił na mnie. Zaczęła się regularna bójka. Jeszcze raz znokautowałem go. Padając pociągnął za sobą stół. Wszystkie naczynia i nakrycia znalazły się na podłodze, między innymi duży nóż, którym Hitchin kroił szynkę. Na Boga, Ned, ten Eustace to prawdziwy furia. Złapał nóż i chciał mnie nim ugodzić. Hitchin próbował go powstrzymać, szamotali się, walczyli i... O Boże, Ned, ja nie wiem, jak to się stało, ale przysięgam, że to wbrew mojej woli. Jakoś wyrwałem mu nóż z dłoni i zanim zdołałem go odrzucić, Eustace upadł nagle na mnie... nie wiem, czy potknął się, czy raptownie uwolnił z uchwytu Hitchina... nie potrafię powiedzieć, jak to się stało... to musiał być mój błąd... ale tak czy inaczej wpadł gwałtownie na mnie i nawet nie zdążyłem się cofnąć ... - Przerwał i dłońmi zakrył twarz.

- Myślisz, że był to wypadek?

- Oczywiście, że wypadek, ale to prawdopodobnie ja...

- Nie, na pewno nie. Niepotrzebnie tak się przejmujesz. Sprawa nie jest beznadziejna.

- Tak sądzisz, Ned? Czy będę musiał stanąć przed sądem? Oskarżą mnie o zamordowanie człowieka? Chyba naprawdę to zrobiłem, chociaż nie chciałem.

- Nic podobnego, Nicky. Bądź rozsądny. Mam nadzieję, że nie dojdzie do żadnego procesu. Przesłucha cię koroner, ale wystarczy, że Hitchin opowie, co widział, żeby uwolnić cię od odpowiedzialności.

- O tak - potwierdził Nicky. - On mi obiecał, że zrobi wszystko, żebym nie miał kłopotów. Mówił nawet, że gdybym nie wiem, co zrobił, to i tak będzie przysięgał na wszystko, że jestem niewinny.

- Dobrze, że tak twierdzi, ale ty lepiej tego nie powtarzaj.

- Oczywiście, że nie będę, tym bardziej że on nie musi kłamać, bo wszystko zdarzyło się dokładnie tak, jak ci opowiedziałem. Prawdę mówiąc, nie jest mi zbyt przykro, że Eustace nie żyje, ale nie przypuszczałem, że będzie to takie straszne. Robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę o tym, jak ten nóż wbija się w jego pierś.

- Najlepiej nie myśl o tym więcej.

- Nie, nie będę, ale powiem ci tylko, Ned, że teraz trochę załuję, że mnie relegowali.

W tym momencie panna Rochdale, która stojąc przy stole cały czas z rosnącym zainteresowaniem słuchała bezładnej relacji młodego pana Carlyona, zdradziła swoją obecność wydając z siebie dźwięk, który mógł przypominać zarówno westchnienie, jak i tłumiony śmiech. Lord Carlyon odwrócił głowę w stronę i powiedział:

- Obaj zapomnieliśmy o dobrych manierach. Pozwoli pani, że przedstawię jej mojego brata Nicholasa. Nicky, nie znasz chyba panny Rochdale?

- Bardzo przepraszam, ale nie zauważyłem pani. Dobry wieczór. - Skłonił się grzecznie.

- Wcale się nie dziwię i proszę się tym nie przejmować - powiedziała podając mu rękę. - Powinam panów zostawić samych, ale nie bardzo wiem, gdzie mam się udać. Może, milordzie, zaczekam na was...

- Nie, nie. Proszę usiąść, panno Rochdale. Postaram się nie zatrzymywać pani długo - powiedział Carlyon.

- Nie dajesz tego poznać po sobie, Ned, ale dobrze wiem,

że jesteś na mnie bardzo zły. Wcale bym się nie dziwił, gdybyś mi nawymyślał za to, że wplątałem cię w taką przykrą kabałę. Wiem, że narobiłem ci kłopotów, chociaż wcale nie chciałem. Bedlington i cała jego rodzina z pewnością będą opowiadać, że to ty mnie popchnąłeś do całej tej awantury z kuzynem. Sam nie wiem, jak to się skończy.

- To prawda, że nie jestem zadowolony, ale wymyślanie ci teraz nie miałyby sensu. Bardzo niedobrze się stało i musimy jakoś z tego wybrnąć. I wybrniemy. Powiedz mi tylko, czy nóż trafił prosto w serce? Czy Eustace natychmiast umarł?

- Och, nie! Początkowo myślałem, że to nic groźnego, wydawało mi się tak nieprawdopodobne, że go... Kiedy jednak obejrzał go Greenlaw...

- Jest tam doktor Greenlaw? - przerwał Carlyon.

- Tak... o, tak. Natychmiast go sprowadziłem, jak tylko zorientowałem się, że stało się coś złego. Chyba zgodzisz się ze mną, że dobrze zrobiłem, chociaż początkowo nie sądziłem, że to coś tak poważnego. Greenlaw powiedział jednak, że on prawdopodobnie nie przeżyje nocy, i...

- Czyżbyś chciał powiedzieć, że Eustace jeszcze żyje? - zapytał zdziwiony Carlyon.

- Nie wiem na pewno, ale myślę, że tak. Greenlaw mówił, że nie ma on przed sobą wielu godzin, ale...

- Na Boga, Nicky, czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałeś? To zupełnie zmienia postać rzeczy.

- Uważasz, że tak jest lepiej? - zapytał Nicky z nadzieją w głosie.

- Prawdopodobnie tak. Przynajmniej w części możemy uniknąć przykrych konsekwencji tego wypadku. W jaki sposób tutaj przyjechałeś? Powozikiem Hitchina?

- Tak... Przypomniałeś mi, że zostawiłem go na dziedzińcu, więc chyba powinienem...

- Matthew odprowadzi powozik do Wisborough Green. Powiedz mu, żeby to zrobił. Na dziedzińcu przed stajniami stoi mój podróżny powóz. Każ Steyningowi odwieźć się do Hall i poinformuj go, że nie będzie mi już potrzebny. Idź, Nicky, i nikomu nie mów o tym, co się zdarzyło, nikomu poza Johnem.

- W porządku, Ned, chciałybym tylko...
- Rób, co ci każe.
- Dobrze, ale powiedz, co ty chcesz zrobić?
- Muszę spotkać się z Eustace'em i spróbuję jakoś rozplatać ten węzeł.
- Myślę, że powinienem pojechać z tobą. Poza wszystkim...
- Twoja obecność nie jest tam potrzebna. Pożegnaj się z panną Rochdale i ruszaj.

Posłuchał niechętnie. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Carlyon zwrócił się do Elinor:

- Dobrze się składa, że jest pani tutaj. Nie muszę pani chyba wyjaśniać, że ranny człowiek, który leży w Wisborough Green, jest moim kuzynem.
- Domyśliłam się, że jest to ten pański kuzyn, którego proponował mi pan na męża.
- Istotnie, jest on mężczyzną, którego zamierza pani poślubić.
- Co pan opowiada! - spojrzała na niego groźnie.
- Słyszała pani, co mówił mój brat. Cheviot jeszcze nie umarł. Jeśli zdążymy dojechać do Wisborough Green, zanim wyzionie ducha czy choćby straci przytomność, zdąży pani wyjść za niego za męża, a on będzie miał okazję pozbawić mnie prawa dziedziczenia jego posiadłości. Ruszajmy. Nie mamy ani chwili do stracenia.
- Nie! - zawołała. - Nie zrobię tego!
- Musi pani. Nie pora teraz na dalsze upieranie się. Dopóki perspektywa śmierci kuzyna nie była tak oczywista jak obecnie.

mogłem liczyć się z pani skrupułami, ale teraz wszystko się zmieniło. Postępując zgodnie z moimi sugestiami niczego pani nie ryzykuje, nie musi się pani obawiać żadnych przykrych konsekwencji. Nim wzejdzie słońce, będzie pani wdową.

- Jedno się tylko nie zmieniło - odparła. - Chce pan, żebym sprzedała siebie, wychodząc za męża za umierającego człowieka dla korzyści, jakie może mi to przynieść. Mam prawo czuć się głęboko dotknięta takim...

- Nie zrobiłem niczego, co mogłoby panią obrazić. Niczego pani nie oferuję.

- Powiedział pan... a w każdym razie dał mi do zrozumienia, że będę, mówiąc wprost, na pana utrzymaniu.

- To, co powiedziałem przed godziną, nie ma już znaczenia. Teraz po prostu proszę panią o pomoc.

- Och, to błąd, wiem, że to błąd i przy tym szaleństwo! - zawołała załamując ręce. - Co pan sobie myśli stawiając mnie w takiej sytuacji? Czy nie rozumie pan...

- Doskonale rozumiem, ale w tym momencie nic pani nie grozi, a ja zrobię wszystko, żeby zapobiec szerzeniu się plotek. Wierzę, że uda mi się to osiągnąć, jednakże to sprawa przyszłości.

- Och, jest pan okropny! - zirytowała się.

- Może pani myśleć o mnie, co pani chce, panno Rochdale, ale będzie pani miała czas powiedzieć mi to później. Teraz muszę przyprowadzić pod dom kariołkę. To nie potrwa długo.

- Nie pojedę z panem, milordzie.

Zatrzymał się z ręką na klamce.

- Panno Rochdale, była pani ze mną szczerą i ja szczerze z panią rozmawiałem. Rozumiemy doskonale swoją sytuację. Powtarzam: postępując zgodnie z moją prośbą nic pani nie traci. Proszę się nie obawiać, że ludzie będą tym zaskoczeni. Oczywiście, pojawią się jakieś domysły, podejrzenia, ale kto ośmieli się powiedzieć coś złego na pani temat, jeśli wiadomo

będzie, że jest pani zaprzyjaźniona z Carlyonami? Proszę zachować się jak kobieta rozsądna, a wierzę, że tak jest, i proszę nie stwarzać dodatkowych problemów. Pani wybaczy, ale rozmawiamy już zbyt długo, muszę pójść po powozik.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, została sama. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że cała sprawa nie jest aż tak prosta i zwyczajna, jak on to przedstawia, jednakże, czy to z powodu zmęczenia wydarzeniami całego dnia, czy to z lęku przed czekającą ją jutro wizytą w Five Mile Ash, czuła, że nie jest w stanie dalej bronić swego stanowiska i sprzeciwić się człowiekowi, który najwyraźniej potrafił przełamywać każdy sprzeciw. Kiedy w parę minut później do pokoju wszedł stary służący i oznajmił, że jego lordowska mość czeka na nią przy wyjściu, posłusznie wstała z krzesła i poszła za nim do dwukółki. W jasnym już teraz świetle księżycy zauważyła, że jej kufer i waliza zostały umieszczone w bagażniku, co w jakiś sposób przesądziło sprawę. Skorzystała z pomocy Carlyona, który podał jej rękę i usiadła w powoziku obok niego. Konie niespokojnie potrząsały głowami, ale pojazd nie ruszał.

- Obawiam się, że może pani zmarznąć - powiedział, krytycznym wzrokiem oceniając jej pelerynę. ~ Barrow, przynieś jakiś ciepły płaszcz pana Cheviota. Nieważne który. Proszę się dobrze otulić pledem, panno Rochdale. Na szczęście mamy przed sobą tylko sześć mil, a noc jest pogodna.

Rozdzierana sprzecznymi uczuciami pomiędzy rozbawieniem a rozdrażnieniem, spełniła jego polecenia. W jego zachowaniu nie dostrzegła ani ulgi, ani triumfu z powodu jej kapitulacji. Podejrzewała, że nawet nie przyszło mu do głowy, by mogła odrzucić propozycję, i doszła do wniosku, że powinna ostro utrząść mu nosa.

Lokaj po chwili wyszedł z domu, niosąc ciężki podróżny płaszcz, i wręczył go Carlyonowi, który otulił ją nim pieczo-

łowicie, zaciął konie i powozik potoczył się po zwirowanym podjeździe. Zaraz za bramą konie przyspieszyły gwałtownie.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że pojedziemy dość szybko. Powóz jest bezpieczny, a ja dobrze znam drogę - powiedział.

- Bardzo to miłe z pana strony, tym bardziej że na pewno nie zwolni pan, niezależnie od tego, co powiem.

- To prawda, ale z całą pewnością może być pani spokojna. Nic nam nie grozi.

- Jestem spokojna - powiedziała chłodno. - Wygląda na to, że umie pan powozić.

- Cieszę się, że potrafi to pani ocenić. Wiem, że pani ojciec wyróżniał się podobnymi umiejętnościami.

- O tak, to prawda. Pamiętam... - przerwała, gdyż uświadomiła sobie, że przestała na moment panować nad sobą.

Zdawało się, że nie zauważył jej wahania.

- Był, jak to nazywamy, niezrównany... prawie niedościgniony. O ile wiem, powoził parą pięknych siwków. Podziwiałem je.

- Nie tylko pan. Kupił je sir Henry Peyton, kiedy... Przypuszczam, że jest pan członkiem klubu jeździeckiego.

- Tak, chociaż rzadko bywam w Londynie. Prawdę mówiąc ciągle jeżdżenie powozikiem do Salt Hills i z powrotem wydaje mi się nieco nudne.

~ Istotnie. Do tego zawsze w tym samym tempie.

- Czy pani też potrafi powozić?

- Często się tak zabawiałam. Ojciec kazał nawet zbudować dla mnie specjalny powóz. Czy polowanie też należy do pana ulubionych rozrywek?

- Owszem, ale rzadko uprawiam ten sport w Sussex. Nie ma tutaj odpowiednich lasów. Poluję zwykle w Leicestershire, gdzie mam niewielką posiadłość.

Zamilkła i dopiero po dłuższej chwili odezwała się nagle:

- Och, to wszystko jest absurdalne. Muszę się szybko obudzić, bo wydaje mi się, że śnię.

- Obawiam się, że jest pani bardzo zmęczona - powiedział poważnie.

Tak ją zirytowały jego prozaiczne wypowiedzi, że wyteżyła umysł, by obmyślić jakąś uwagę, która wyprowadzi go z równowagi. Znalazła wreszcie coś, co, jak przypuszczała, zburzy jego kamienny spokój.

- Doprawdy, nie wiem dlaczego zmusił mnie pan, bym wsiadła do tego powozu, ani dlaczego w takim pośpiechu wiezie mnie pan na spotkanie ze swoim kuzynem, milordzie. Przecież on nie będzie miał przy sobie stosownych dokumentów, a bez tego nie można zawrzeć ślubu.

- Oczywiście, nie myli się pani, ale ja wszystkie dokumenty mam w kieszeni - odparł.

- Mogłam się tego domyślić - powiedziała drżącym głosem.  
- Co więcej, podejrzewam, że jest pan również umówiony z pastorem, który udzieli nam ślubu.

- W drodze do Wisborough Green zatrzymamy się na chwilę przy plebanii.

- Mam nadzieję, że pastor odmówi przeprowadzenia tej ceremonii.

- Przypuszczam, że po paru minutach rozmowy, może bez entuzjazmu, ale zgodzi się pojechać z nami.

- Zamierzam mu powiedzieć, że działałam pod przymusem, wbrew mojej woli, i nie mam zamiaru poślubić pana kuzyna.

- Nie widzę powodu, żeby mówić to jemu. Wystarczy, że powie to pani mnie - stwierdził spokojnie.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Przypuszczam, że uważa mnie pan za osobę wyjątkowo nierozsądną - odezwała się po chwili Elinor.

- Nie, zdaję sobie sprawę, że znajduje się pani w niezręcznej

sytuacji, i to usprawiedliwia pani zdenerwowanie. Najlepiej będzie, jeśli zaufa mi pani. Proszę teraz nie myśleć o tym, co zdarzy się później. Tym już ja się zajmę.

Perspektywa przerzucenia wszystkich kłopotów na jego ramiona wydała jej się pociągająca, chociaż oczywiście nigdy nie przyznałaby się do tego. Nie powiedziała nic więcej, tylko opadła na oparcie siedzenia. Fizyczne odprężenie wpłynęło kojąco na jej umysł. Ciągle jeszcze uważała, że powinna jakoś wyplatać się z tej awantury, ale nocne powietrze, przyjemnie chłodzące policzki, podziałało na nią usypiająco. Przestała myśleć o przykłej perspektywie jutrzejszego spotkania z porytowaną chlebodawczynią i z dziwną łatwością pozwoliła sobie zanurzyć się w na półsennych marzeniach, w których oczekiwano tylko, by postępowała tak, jak jej każą.

Carlyon zatrzymał konie na placu pod bramą plebanii, wręczył jej lejce i powiedział:

- Nie będzie mnie przez dziesięć minut. Czy mogłaby pani w tym czasie powozić? Konie nie powinny stać bez ruchu.

- Tak - zgodziła się.

Zdażyła zrobić zaledwie jedną rundę wokół placu, gdy Carlyon wrócił w towarzystwie niewysokiego, tęgiego mężczyzny. Zastanawiała się, jakich użył argumentów, by namówić pastora do przeprowadzenia tej dość niezwykłej ceremonii, ale nie była zaskoczona tym, że mu się to udało. Zrobiła obok siebie miejsce dla pastora i oddała lejce Carlyonowi. Podziękował i przedstawił ją.

- To jest panna Rochdale, pastore Presteign.

Pan Presteign przywitał się, a potem dodał:

- Naturalnie, jeśli ma pan stosowne dokumenty, to nie widzę przeszkód. Ale wie pan, milordzie, że jeśli któraś ze stron działa pod przymusem, nie będę mógł pomimo mojego szacunku dla waszej lordowskiej mości... Nie znaczy to, bym

sugerował, że mógłby pan, sir... na to mam zbyt wiele szacunku dla pana...

- Drogi pastorate, zna pan przecież sytuację. Może ten ślub jest niezwykły, ale absolutnie zgodny z prawem. Sam pan się przekona, że mój kuzyn... o ile zastaniemy go jeszcze przy życiu... z wielką chęcią zrobi wszystko, co jego zdaniem może mi zaszkodzić, a ta młoda dama może wycofać się z umowy w każdym momencie.

Pastor wydawał się usatysfakcjonowany. Panna Rochdale mogła tylko zastanowić się nad przewrotnością własnego usposobienia, które nie kazało jej natychmiast skorzystać z doskonałej okazji wyplątania się z tej intrygi.

Z plebanii do Wisborough Green było już niedaleko. Po przyjeździe panna Rochdale znalazła się w całkiem przyjemnym saloniku. Na kominku płonął ogień, przy którym z radością ogrzała zmarznięte dłonie. Po chwili dołączył do nich pastor Presteign. Teraz dopiero w pełnym oświetleniu zobaczyła, że jest to zabawnie wyglądający mężczyzna o czerwonych policzkach i niebieskich oczach. Przyglądał się jej z wyrazem zaniepokojenia zmieszanego z zaciekawieniem.

Przywitał ich służący, do którego Carlyon zwracał się imieniem Jem. Elinor usłyszała, jak mówiąc charakterystycznym miejscowym dialektem poinformował go, że doktor jest przy panu Eustace w sypialni i że zamieszanie było tutaj straszne, ale pan Nick jest niewinny, co w każdej chwili może potwierdzić przed koronerem.

- A gdzie Hitchin? - zapytał Carlyon zdejmując rękawiczki.  
 - Zaraz go tu sprowadzę - odparł służący, ale nie wyszedł, tylko czekał, by pomóc Carlyonowi zdjąć długie, ciężkie płaszcze.  
 - Powinien być w barze. Bardzo jest zmartwiony. O, powiem panu, sir, że takiej bójki to jeszcze tutaj nie mieliśmy, a pan wie, że pracuję tu od wielu lat.

W tym momencie wszedł do pokoju właściciel zajazdu, pan Hitchin, poważnie wyglądający mężczyzna w średnim wieku. Jego pogodna zazwyczaj twarz wyrażała teraz głęboki niepokój. Na widok Carlyona doznał wyraźnej ulgi.

- Chyba jeszcze nigdy tak się nie ucieszyłem z pana wizyty - powiedział. - Szczęśliwie się złożyło, że po południu spotkałem pana w drodze do Highnoons, bo dzięki temu biedny pan Nick szybko pana znalazł. Był mocno wzburzony i trudno się temu dziwić. Powiem tylko i mogę to przed każdym pod przysięgą potwierdzić, milordzie, że on nawet nie pomyślał, żeby nożem zaatakować pana Eustace'a. Opowiem koronerowi dokładnie, jak było, że pan Nick był greczny i opanowany, dopóki ten człowiek nie zaczął mówić rzeczy, których doprawdy znieść nie można, i trudno się dziwić, że odważny młody dżentelmen, jakim jest pan Nick, ostro na to zareagował.

- Czy pan Eustace żyje? - zapytał Carlyon.

- Och, żyje, ale rokowania nie są pomyślne, jak wiem od doktora. Proszę się nie niepokoić o pana Nicka, milordzie. Widziałem wszystko i żaden koroner nie podważy moich zeznań.

- Cała wieś może powiedzieć, jaki był pan Eustace - pośpieszył mu z pomocą Jem-

- Pójdę teraz zobaczyć się z panem Eustace'em. A ty, Jem, nie gadaj zbyt wiele, tylko przynieś kawę dla lady i pastora - powiedział Carlyon i ruszył w stronę drzwi. Hitchin podążył za nim. Poszli razem krótkim korytarzem prowadzącym w stronę schodów.

- Widzę, że wasza lordowska mość przywiózł pastora, ale, proszę wybaczyć, pan Eustace nie jest w najlepszym nastroju na tego rodzaju wizytę, chociaż może i dobrze w takim momencie wszystko uczciwie i szczerze wyznać - powiedział Hitchin.

- Też tak sądzę - zgodził się Carlyon.



## 4

Carlyon ostrożnie otworzył drzwi do pokoju u szczytu schodów. Był to duży apartament o ścianach wyłożonych boazerią, oknach zakrytych grubymi bawełnianymi zasłonami, z wielkim łóżem pod baldachimem opartym na czterech słupkach. Na łóżu, przykryty kolorową narzutą, leżał młody mężczyzna z głowę odwróconą lekko na bok. Na czoło opadł mu kosmyk czarnych włosów. Usta o niemal bezkrwistych wargach miał rozchylone, oddychał ciężko i szybko. W blasku świecy na ustawionym przy łóżu stoliku jego twarz wydawała się śmiertelnie blada. Oczy miał zamknięte, sprawia! wrażenie człowieka pogrążonego w ciężkim śnie.

Siwy mężczyzna w zwykłym surducie, a nie, jak można było oczekiwać, w lekarskim kitlu, siedział na krześle obok wezgłowia. Na odgłos otwieranych drzwi podniósł się i podszedł do Carlyona.

~ Spodziewałem się pana - powiedział półgłosem. - Daję słowo, że sprawa wygląda poważnie, bardzo poważnie.

- Tak pan mówi? Co z nim?

- Nic nie mogę zrobić. Nóż przebił wnętrzności. Krwawi. Obawiam się, że nie dożyje do rana.

- Czy jest przytomny?

Doktor uśmiechnął się smutno.

- Wystarczająco przytomny, by jeszcze planować, w jaki sposób panu zaszkodzić, milordzie.

Carlyon spojrział w stronę łóżka.

- Mam nadzieję, że nie uda mu się znaleźć jedyne go skutecznego sposobu, który pozwoliłby mu zrealizować te plany.

- On już znalazł sposób, ale chyba nie powinien się pan niepokoić.

- Znalazł sposób?

- O tak, ale tylko ja i Hitchin słyszeliśmy, co powiedział. Kiedy zorientowałem się, o czym mówi, natychmiast odesłałem pielęgniarkę. Myślę zresztą, że zbyt dobrze wszyscy go tu znają, żeby zdołał napytać panu biedy.

- O czym pan mówi?

- Coś takiego nie przysłoby panu do głowy, milordzie - powiedział patrząc na niego. - Pan Cheviot doskonale jednak wie, że najłatwiej może w pana uderzyć poprzez pańskich braci. Powiedział, że to za pana namową Nicholas postanowił go zamordować. Liczy na to, że pan Nicky trafi na szafot.

Carlyon milczał przez dłuższą chwilę. W migotliwym blasku świec jego ściągnięta twarz przybrała surowy wygląd.

- Niech sobie mówi, co chce. Przede wszystkim darzę zaufaniem Hitchina. Poza tym mam nadzieję, że uda mi się zwrócić uwagę kuzyna w innym kierunku. Czy jest on w stanie przejść przez ceremonię zaślubin?

Doktor uniósł brwi.

- Ach, więc o to chodzi - mruknął. - Ale gdzie pan teraz znajdzie odpowiednią osobę, milordzie? Myślałem o tym, ale nie widzę możliwości, żeby to się powiodło. Zostało zbyt mało czasu.

- Przywiozłem pewną damę, która gotowa jest poślubić go. Czeka na dole, razem z pastorem.

Doktor spojrział na niego z pełnym podziwu wyrazem twarzy.

- Przywiózł pan? Milordzie, znam pana od lat. Opatrywałem pana tyle razy, składałem panu złamane kości, ale nadal jest pan w stanie zaskoczyć mnie... Tylko czy pan Cheviot na to przystanie?

- Tak, bo jemu wciąż się wydaje, że czyham na jego majątek. Zawsze mnie o to podejrzewał i wie, że małżeństwo stworzy sytuację po jego myśli.

Przerwał, gdyż Eustace Cheviot poruszył się i otworzył oczy. Doktor podszedł do łóżka, żeby sprawdzić puls.

- Zabierz te cholerne ręce - szepnął Eustace. - Ja wiem, że to już koniec.

Carlyon stanął po drugiej stronie łóżka i patrzył na niego. Eustace przyglądał mu się nieprzytomnie, ale w pewnym momencie jego wzrok nabrał ostrości. Nienawiść ożywiła stężone rysy.

- Och, na Boga, jak ja żałuję, że na złość tobie nie ożeniłem się - powiedział cichym głosem. - Myślałeś, że mnie wykiwasz, aleja nie byłem taki naiwny, jak ci się zdawało, Carlyon.

- Przejrzałeś mnie, prawda? - zapytał spokojnie Carlyon.

- Obmyśliłeś sobie piękny plan, żeby ludziom zamydlić oczy. Może nie wiem wszystkiego, ale przypuszczam, że chciałeś mnie ożenić, by wyglądało na to, że rezygnujesz z Highnoons. Potem szybko pozbyłbyś się mnie, czyż nie tak? Ale ja jestem sprytniejszy niż ci się wydaje, mój kuzynie. Zapewniam cię, że nim minęłaby godzina od wyjścia z kościoła, sporządziłbym testament i ostatecznie straciłbyś spadek. Wydawało ci się, że nie mam tyle rozumu, by pośpieszyć się z testamentem?

- Nie powinien pan tyle mówić, panie Cheviot - wtrącił doktor.

Grymas bólu wykrzywił twarz Cheviota. Na moment zaniknął oczy, ale po chwili znów spojrział na Carlyona.

- Twój kochany Nicky okazał się dla ciebie zbyt szybki - mruknął.

- Dla ciebie też, Eustace.

Ranny mężczyzna bezradnie pokręcił głową.

- Tak, na Boga - szepnął. - Weźmiesz wszystko! Niech cię diabli!

- Istotnie, wezmę - powtórzył Carlyon.

- Ale i tak nie będzie cię to cieszyć. Nicky stanie przed sądem. On mnie zamordował, słyszysz? Zamordował z premedytacją!

- Może i stanie przed sądem, ale jego szanse i tak są większe niż twoje, kuzynie. Jedyne świadki waszej kłótni zezna na jego korzyść. Nicky zostanie uniewinniony.

Spokój i pewność siebie Carlyona przyniosły właściwy efekt. Umierający jęknął i spróbował unieść się na łokciach.

- Na litość Boską, milordzie, niech pan leży spokojnie! - zawołał doktor łapiąc go za ramię.

- Ale i tak stanie przed sądem. - Eustace dyszał ciężko.

- Twoja duma tego nie znieśie. Niezależnie od wyroku.

- No tak, kuzynie, nie powiodły się nasze plany: ani mój, ani twój. Ale nie wszystko stracone. Ty możesz pozbawić mnie spadku, a ja chętnie, gdybym tylko mógł, uchroniłbym Nicky'ego przed twoimi machinacjami. Widzisz, bardziej cenię sobie brata niż Highnoons. Wszystko jeszcze można załatwić.

Cheviot patrzył na niego półprzytomnie. Jego przyćmiony umysł niezupełnie rozumiał to, co usłyszał, ale uchwycił się tego ostatniego pomysłu.

- Jak? Jak? - zapytał szeptem.

- Możesz wziąć ślub, zaraz, tutaj, i zapisać cały majątek żonie.

Cheviot marszczył czoło, jak gdyby próbował zebrać myśli.  
 - Co tobie z tego przyjdzie? - zapytał podejrzliwie.  
 - Pomoże mi to podczas ewentualnego procesu Nicky'ego.  
 - I nie przejmiesz mojego majątku?  
 - Nie przejmę.  
 - Zrobię to - powiedział Cheviot opadając na poduszki.  
 - Tak, zrobię to. Nie obchodzi mnie twój brat. Umrę szczęśliwy wiedząc, że cię wykiwałem.

Carlyon skinął głową i ruszył ku drzwiom. Doktor wyszedł za nim na korytarz.

- Nie zrobi pan tego, milordzie - powiedział.  
 - Zrobię. Kuzyn też sobie tego życzy.  
 - On nie rozumie połowy z tego, co się do niego mówi!  
 W całej mojej praktyce nie spotkałem człowieka tak pozbawionego dobrych skłonności. Wiem, ile cierpliwości pan wykazywał, ile wyrozumiałości, a on coraz bardziej pana nienawdził. To nikczemny typ. Ale ten plan... Nie, to się nie uda, milordzie.

- Uda się doskonale. Kuzyn nie wie, dlaczego to robię, ale chce tego, a skoro mnie zależy, żeby uniknąć przejęcia spadku po nim, to nie widzę powodu, by nie wykorzystać okazji.

- Ale czy to się powiedzie, milordzie? Poza tym to pośpieszne małżeństwo może wcale nie wpłynąć korzystnie na sprawę pana Nicholasa. Gdyby się wydało...

- Och, nie myślę teraz o bracie. Jemu nic nie grozi. Pozostaje jeszcze jedna sprawa. Lepiej byłoby dla tej damy, żeby nikt nie wiedział, iż tego wieczoru po raz pierwszy zobaczyła Cheviota. Myślę, że z tym też sobie poradzimy.

- Dobry Boże! - zawołał doktor. - Mówi pan, że ona go nie zna? Pan mnie po prostu zadziwia. Jak można sobie z tym poradzić?

~ Och, długotrwałe narzeczeństwo... utrzymywane w tajemnicy.

- W tajemnicy? - powtórzył Greenlaw. - Ale dlaczego?

Carlyon był już w połowie schodów, ale zatrzymał się, odwrócił w stronę doktora i z kwaśnym uśmiechem powiedział:

- Drogi panie, oczywiście z obawy przed moimi diabelskimi knowaniami!

- Panie Edwardzie - odezwał się Greenlaw. - To znaczy, lordzie Carlyon...

- Słucham?

Doktor patrzył na niego z oburzeniem, ale i z podziwem.

- Nic! - powiedział wreszcie i wrócił do swojego pacjenta.

U podnóża schodów czekał na Carlyona właściciel zajazdu.

- Milordzie, lady nie życzyła sobie nic do picia - powiedział. - Natomiast pastor, zgodnie ze swym zwyczajem, wypił kropelkę jałowcówki.

- Doskonale. Czy ma pan pióro, atrament i jakiś papier?

Hitchin zapewnił go, że zaraz wszystko przygotowuje. Jego twarz rozpozodziła się nagle.

- Ach, pan Eustace chce zapewne sporządzić testament! - zawołał, jak gdyby dokonał wielkiego odkrycia. - Jedno mnie tylko zastanawia... chciałbym wiedzieć, milordzie... ta dama...

- Ta dama jest zaręczona z panem Eustace'em.

- Zaręczona z panem Eustace'em?! - Hitchin wytrzeszczył oczy. - Taka miła, taka delikatna...

- A pan Eustace - ciągnął dalej Carlyon - pragnie ją poślubić, żeby zabezpieczyć ją na wypadek swojej śmierci.

Właściciel zajazdu zaniemówił. Dopiero po dłuższej chwili wydukał:

- Tak, milordzie.

Potem udał się na poszukiwanie pióra i papieru.

Po dłuższym grzebaniu w szufladzie biurka znalazł całkiem

zdatne do użytku pióro. Obejrzał je dokładnie, przemawiając przy tym głośno do siebie:

- Pan Eustace... coś podobnego! Nie, jemu nic takiego nie przyszedłoby do głowy... Nie, nie, żeby czymś takim się zajmować... A jednak... Och, to musi być pomysł lorda Cariyona. - Hitchin pokręcił głową, a potem jeszcze wyjął z szuflady kałamarz. - A pan Eustace nie zaprzeczy niczemu i zamilknie na zawsze - dokończył swój monolog.

Tymczasem Carlyon wszedł do salonu. Panna Rochdale i pastor siedzieli po przeciwległych stronach kominka. Elinor była blada, wyglądała na zmęczoną. Spojrzała na niego z niepokojem w oczach. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Jeśli można, to chciałbym prosić, żeby poszła pani ze mną na górę.

Elinor nic nie powiedziała, natomiast pastor zerwał się z krzesła i zapytał nerwowo:

- Milordzie, przypuszczam, że pan Cheviot naprawdę życzy sobie zawrzeć to małżeństwo?

- I to bardzo gorąco.

- Lordzie Carlyon... - powiedziała cicho panna Rochdale.

- Chwileczkę, proszę pani. Nie musi się pani niczego obawiać.

Wstała i przyjęła jego ramię. Poklepał uspokajająco jej dłoń i poprowadził w stronę drzwi.

- Błagam pana - szepnęła. - Jestem przekonana...

- Proszę mi zaufać - powiedział.

Nie widziała żadnego powodu, dla którego miałyby mu zaufać, ale nie potrafiła się sprzeciwić. Wydało jej się to niemożliwe. Posłusznie poszła razem z nim schodami w górę i weszła do pokoju rannego.

Eustace Cheviot leżał z otwartymi oczami, z głową zwróconą w stronę drzwi. Panna Rochdale z lękiem spojrzała na

niego, ale on nie patrzył na nią. Wzrok utkwiał w twarzy kuzyna i przyglądał mu się podejrzliwie, a przy tym z takim wyrazem napięcia na twarzy, że sprawiał wrażenie drapieżnego ptaka czekającego na łup. Panna Rochdale mocniej ścisnęła ramię Cariyona, ale on zdawał się nie zauważać tego i doprowadził ją bliżej.

- Nie zmieniłeś zdania, Eustace? - zapytał chłodno.

- Na pewno nie.

Doktor z zaciekawieniem przyglądał się panie Rochdale, a ona poczuła, że się rumieni. Zadowolona była, że stoi u wezgowia łoża i twarz jej pozostaje w półcieniu. Dopiero potem uświadomiła sobie, że w czasie całej tej niezwyklej ceremonii, pan młody ani razu nie spojrzał na nią. Sama czuła się oszołomiona, jak pod działaniem narkotyku albo zahipnotyzowana. Wszystkie czynności wykonywała jakby bez udziału własnej woli. Patrzyła na doktora, pastora, Cariyona, widziała, że rozmawiają ze sobą, ale nie słyszała, co mówią. Wykonywała nakazane jej czynności, ale czyniła to tak bezwolnie, że potem nie była w stanie przypomnieć sobie dokładnie, co działo się w tym ponurym pokoju o oknach zasłoniętych ciężkimi zasłonami. Jej pamięć zarejestrowała tylko wzór i kolory narzuty nakrywającej łoża i to, że pojedynczy kosmyk czarnych włosów Cheviota przylgnał do jego czoła. Kiedy połączono ich dłonie drgnęła i niespokojnie rozejrzała się wokół. Spomiędzy spiętrzonych poduszek dobiegł ją głos obcego mężczyzny, który z wysiłkiem powtarzał słowa pastora. Potem usłyszała skierowane do niej polecenie:

- Proszę powtarzać za mną...

- Ja, Elinor Mary... - powiedziała posłusznie.

Potem nastąpiła przerwa. Pastor rozejrzał się niespokojnie, a wreszcie, unosząc znacząco brwi, spojrzał na Cariyona stojącego po przeciwnej stronie łóżka. Carlyon zrozumiał.

Zdjął sygnet ze swojego palca i wcisnął go w dłoń kuzynowi. Ale to on w końcu włożył ten pierścień na palec Elinor, prowadząc bezwładną rękę kuzyna. Stała zupełnie nieporuszona, aż wreszcie ktoś ujął ją pod ramię i podprowadził do stołu, gdzie poproszono, żeby się podpisała. Wykonała i to polecenie, zdziwiona, że dłoń nie drgnęła jej przy tym. Ktoś wziął od niej arkusz papieru z podpisem. Patrzyła, jak doktor podtrzymuje Cheviota, gdy ten wolno stawia swój podpis. Wreszcie podszedł do niej Carlyon, znów ujął ją pod rękę i zaprowadził do drzwi.

- To wszystko - powiedział. - Proszę teraz iść na dół do salonu. Wkrótce tam będę,

Zamknął za nią drzwi i niespokojnie zerknął w stronę łóża. Doktor odmierzył kolejną porcję lekarstwa i wlał je w rozchylone usta Cheviota. Spojrzał przy tym wymownie na Carlyona. Odezwał się pastor Presteign:

- Wierzę, głęboko wierzę, że postąpiłem słusznie. Naprawdę wierzę. Jestem przekonany, że nigdy..,

- Słusznie! - Cheviot otworzył nagle oczy. - Pastorze, to najlepsza rzecz, jaką pan w swym życiu zrobił. Ale ja nie mogę umrzeć dopóki nie sporządzę testamentu. Papier... atrament, ty cholerny konowale! Gdzie mój kuzyn? On by mnie wykiwał, gdyby mógł, ale ja pożyję wystarczająco długo, żeby zrobić mu ten kawał. Zobaczycie.

- Panie Cheviot, panie Cheviot, pan powinien pogodzić się z Bogiem - odezwał się Presteign.

Cheviot opadł na poduszki, wyczerpany gwałtownym wybuchem. Zamknął oczy. Doktor trzymał go za rękę i sprawdzał słaby puls, wpatrując się przy tym w twarz umierającego. Przy stole Carlyon pisał coś na dużym arkuszu papieru. W pewnym momencie przerwał i spojrzał z niepokojem na kuzyna. Potem znów słychać było skrzypienie pióra.

W pewnej chwili Cheviot ponownie wyrwał się ze stanu odrętwienia.

- Testament! Światło! Nic nie widzę w tych piekielnych ciemnościach.

- Spokojnie - powiedział Carlyon, nie podnosząc nawet głowy. - Zdażysz jeszcze podpisać swój testament.

- Jesteś tam, tak? - zapytał Cheviot, usiłując dostrzec go w odległym krańcu pokoju.

- Tak, jestem.

- Zawsze cię nienawidziłem - powiedział całkiem spokojnie.

- Panie Cheviot, błagam, niech pan porzuci te złe myśli i póki jeszcze czas...

- Na litość boską, człowieku, zostaw go w spokoju - szepnął Greenlaw.

- Tak, zawsze cię nienawidziłem - powtórzył Cheviot. - I właściwie nie wiem dlaczego.

Carlyon strząsnął piasek z papieru, wstał i podszedł do łóżka.

- Jesteś w stanie podpisać swój testament, kuzynie? - zapytał.

- Tak, tak - szepnął niecierpliwie Cheviot, próbując chwycić pióro, które Carlyon wsunął mu między palce.

- Czy twoją wolą jest zapisać cały majątek, którym w chwili śmierci dysponujesz, swojej żonie Elinor Mary Cheviot?

Cheviot parsknął śmiechem. Potem z trudem złapał oddech i wyszeptał:

- Tak, tak. Gdybym tylko mógł lepiej widzieć...

- Proszę przysunąć tu świecę.

Pastor wziął w drżącą rękę stojący na stoliku świecznik.

- Nie, tak nie można, milordzie - mruknął doktor.

- Wiem. Eustace, tutaj masz pióro i teraz jest już jasno. Podpisz się.

Umierający gotów był podjąć ten ogromny wysiłek. Podtrzymywany ramieniem Carlyona przez chwilę patrzył nieprzytomnie na położony przed nim arkusz, wreszcie jego wzrok nabrał nieco ostrości, zacisnął palce na piórze i powoli podpisał się we wskazanym miejscu u dołu dokumentu. Pióro wyśliznęło mu się z dłoni, na papierze obok podpisu została atramentowa plama.

- Och, wiem, co mam teraz zrobić - powiedział, jak gdyby ktoś kwestionował jego władze umysłowe. - Połóżcie moją rękę na tym dokumencie, a ja powiem... powiem... Taka jest moja ostatnia wola i testament... To wszystko. Na Boga, Carlyon, pokonałem cię! W ostatniej chwili. Na mecie!

Carlyon ułożył go ponownie na poduszkach i wyciągnął papier spod jego ręki.

- Wy jesteście świadkami - zwrócił się do dwóch mężczyzn. - Podpiszcie ten dokument.

- Jeśli on jest w pełni władz umysłowych - powiedział z powątpiewaniem Presteign.

- Co do tego nie mam wątpliwości. - Doktor uśmiechnął się kwaśno. - Jego umysł jest taki jak zawsze.

- Skoro pan jest tego pewny... - Presteign szybko złożył swój podpis na testamencie.

Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili stanął w nich Hitchin i poinformował, że na dole czeka pan Carlyon.

- Carlyon?

- Pan John, milordzie. Wprowadziłem go do salonu. Chce się koniecznie zobaczyć z waszą lordowską mością.

- Doskonale. Zaraz tam będę.

Doktor wstał od stołu i wręczył Carlyonowi podpisany testament Cheviota.

- Gotowe. Mam nadzieję, że nie będzie pan, milordzie, żałował tego, co zostało załatwione tej nocy - powiedział.

- Dziękuję. Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek żałował.  
- No, no... żeby z powodu jakichś tam skrupułów rzucić na cztery wiatry taki piękny majątek...

Carlyon pokręcił tylko głową i wyszedł z pokoju. Na dole w salonie zastał Elinor siedzącą przy kominku i swego brata Johna, który stał na środku pokoju i przyglądał się jej z nie skrywanym zdumieniem. Gdy usłyszał kroki brata, odwrócił się gwałtownie.

- Ned, na litość boską, co to wszystko znaczy? Kiedy podjechałem pod zajazd, ten dureń Hitchin poinformował mnie, że w salonie zastanę narzeczoną Cheviota, a teraz ta dama informuje mnie, że jest jego żoną.

- To prawda - odparł Carlyon. - Mój brat John, pani Cheviot - dokonał prezentacji. - Cieszę się, że tu przyjechałeś, John. Jesteś mi bardzo potrzebny.

- Ned! - zawołał wzburzony John. - Co ty, u diabła, wyprawiasz?

- To, co chciałem zrobić już dawno. Czy Nicky powiedział ci, co się zdarzyło?

- Tak, powiedział - potwierdził grobowym głosem John. - Słowo daję, dosyć szokujące wiadomości. Przypuszczam teraz, że nie poinformował mnie o wszystkim.

- Nie, bo niewiele wiedział. Udało mi się znaleźć damę gotową poślubić Cheviota i jestem jej bardzo zobowiązany. - Uśmiechnął się do Elinor i dodał: - Panno Rochdale... a raczej pani Cheviot, jest pani zapewne bardzo zmęczona i marzy pani o odpoczynku. To był wyczerpujący dzień.

- O, tak - zgodziła się Elinor. - Istotnie, dzień był nieco fatygujący.

- Powierzę panią teraz opiece brata. Zajmie się panią. Pojedziecie do naszego domu. John, w jaki sposób tu przyjechałeś?

- Konno.  
 - Świetnie. Zostawisz mi konia, a panią Cheviot zawieziesz moją kariolką. Powiedz pani Rugby, żeby przygotowała dla niej wygodny pokój i przypilnuj, żeby zjadła coś przed udaniem się na spoczynek.

- Tak, tak, naturalnie. A ty, Ned?

- Musze jeszcze tutaj zostać. Przyjadę później.

- Czy Eustace żyje?

- Tak. Potem ci wszystko opowiem. Zawieź teraz panią Cheviot do domu.

- Sądziłam, że zostanę w tym zajeździe na noc - odezwała się nieśmiało Elinor.

- Sytuacja nieco się zmieniła, a poza tym myślę, że w Hall będzie pani wygodniej. W towarzystwie mojego brata może się pani czuć bezpieczna, a gospodyni troskliwie się panią zajmie. John, bagaże pani Cheviot są w kariolce, więc możesz już ruszać.

- A co będzie ze mną? - zapytała bezradnie Elinor.

- Porozmawiamy o tym jutro - powiedział Carlyon.

Skinął bratu głową i wyszedł z pokoju. Pani Cheviot i John zostali sami.

- Sprowadzę kariolkę pod drzwi - powiedział po chwili John.

- Chyba nie powinnam jechać...

- Myślę, że bezwzględnie powinna pani jechać. Nie chce pani chyba zostać tutaj z tym potworem umierającym piętro wyżej... - Przerwał i rumieńce pokryły jego twarz. - Najmocniej przepraszam. Zupełnie zapomniałem...

- Nie musi mnie pan przepraszać. Pańskiego kuzyna poznałam dopiero przed godziną.

- Pani... pani Cheviot, czyżbym miał rozumieć, że pani znalazła się tutaj w rezultacie tego ogłoszenia, które mój brat...

- Och, nie, znalazłam się tu przez pomyłkę. Jestem guwernantką. Przyjechałam do pracy w innym domu i pomyłkowo wsiadłam do czekającego na stacji dyliżansów powozu pańskiego brata. Dłaczego jednak pozwoliłam się wplątać w małżeństwo z waszym straszonym kuzynem, nie potrafię powiedzieć. Myślę, że muszę być równie szalona, jak pański brat.

- To istotnie bardzo dziwne - zgodził się John. - Ale jeśli Carlyon uważał, że powinna pani wyjść za Cheviota, to może być pani pewna, że ta decyzja była słuszna. A jeśli chodzi o brata, proszę nie uważać go za szaleńca. Istotnie, nie wiem, jak panią przekonał, ale nie znam nikogo, kto dorównywałby mu rozsądkiem. Pójdę teraz i sprowadzę kariolkę.

Nim minęło parę minut, raz jeszcze wsiadła do kariolki. John troskliwie okrył ją pledem. Konie ruszyły równym kłusem.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to chętnie wysłuchałbym pani relacji o tym, jak do tego wszystkiego doszło - zaproponował w pewnym momencie John.

Opowiedziała mu pokrótce o zdarzeniach tego wieczoru i swoim w nich udziale. Słuchał z zainteresowaniem, a jego krótkie komentarze wskazywały, że jest człowiekiem o dużej wrażliwości. Wypowiadał się spokojnie, z namysłem, i Elinor pomyślała, że bardziej przypomina lorda Carlyona niż jego najmłodszy brat. Zresztą z wyglądu też był do niego podobny, tyle że o pół głowy niższy. Zachowywał się uprzejmie, maniery miał nienaganne. Uważała, że może mu zaufać, bo chociaż bezkrytycznie popierał działania starszego brata, to jednak wydawał się rozumieć całą delikatność jej sytuacji i podzielał jej opinię o tym, co się stało.

- Nie najlepiej to wszystko wygląda - powiedział. - Nicky niezłe narozrabiał... jak gdyby mój starszy brat nie miał dość kłopotów na głowie.

Odważyła się powiedzieć, że Nicky chyba nie mógł uniknąć tego, co się stało.

- Może i nie, ale to wszystko jest jednak rezultatem jego zachowania. Żeby straszyć niedźwiedziem profesorów uniwersytetu! Wyobrażam sobie, co tam się działo. A Ned powiedział mu pewno tyle tylko, że nie powinien tak postąpić.

- Wydaje mi się, że i tego nie powiedział.

- No, proszę! - oburzył się John. - Zawsze tak jest.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

- Myślę, że Nicholas jest bardzo wstrząśnięty tym, co się stało - odezwała się wreszcie Elinor.

- Mam nadzieję, że ma pani rację. Żeby narobić Nedowi takich kłopotów! To przechodzi ludzkie pojęcie. Chyba nigdy nie byłem na niego tak wściekły, jak dzisiaj.

Elinor nic nie odpowiedziała. Po dłuższej chwili John znów zaczął mówić poważnym tonem:

- Nie twierdę, że Nicky jest jakimś łobuzem, ale zachowuje się bezmyślnie i teraz widać, dokąd może go to zaprowadzić. Mam tylko nadzieję, że Carlyon jakoś wyciągnie go z kłopotów, a dla chłopca będzie to dobra nauczka.

- Tak - powiedziała uśmiechając się. - Pan Nicholas też bardzo liczy na swego brata.

- Właśnie. On i Harry zawsze byli tacy. Ciągłe wplątywali się w jakieś kłopoty, a potem biegli do Neda, żeby ich ratował. A znowu nasza siostra Georgiana... Nie powinienem mówić o tych sprawach. Pani wie, panno... pani Cheviot... Ned jest wspaniałym facetem i dlatego tak mnie irytuje, że jest w ten sposób wykorzystywany. Weźmy choćby tę kreaturę, Eustace'a Cheviota. Założę się, że mało kto wie, ile Ned zrobił dla niego, ile wykazał troskliwości i nie doczekał się ani słowa podziękowania. Co więcej, jestem przekonany, że Cheviot po prostu go nienawidzi.

- Zgadza się z panem. Kiedy go zobaczyłam, od razu dostrzegłam tyle wrogości w jego spojrzeniu, kiedy patrzył na pańskiego brata, że mnie to wprost przeraziło. Dlaczego tak było? To straszne.

- Są ludzie o tak pokrętnym charakterze, że nienawidzą każdego, kto ma jakieś szlachetne cechy. Do takich ludzi zalicza się nasz kuzyn. Przede wszystkim zazdrości bratu jego autorytetu. Gdy Carlyon ratował go raz za razem z kłopotów, w jakie wplątywał się w rezultacie swego postępowania, jego zazdrość przybierała na sile, a nienawiść rosła. To, że umrze, wszystkim nam wyjdzie na korzyść, szkoda tylko, że zginął z ręki Nicky'ego.

Milczenie, które zapadło po tych słowach, trwało do momentu, kiedy kariolka minęła dwuskrzydłową żelazną bramę.

- Zaraz będziemy na miejscu. Zapewne z przyjemnością rozgrzeje się pani przy kominku. Zrobiło się chłodno.

Wkrótce powozik zatrzymał się przed dużym, zbudowanym z kamienia dworem. John zaprowadził Elinor poprzez obszerny hol do przytulnego, pięknie umeblowanego salonu, oświetlonego mnóstwem świec. Z fotela zerwał się Nicholas Carlyon i podbiegł do brata.

- Widziałeś się z Nedem? - zapytał z przejęciem. ~ Co się tam dzieje? Czy Eustace żyje? Gdzie jest Ned?

- Wkrótce tu będzie. Na litość boską, Nicky, zachowuj się, jak należy. Natychmiast podaj krzesło pani Cheviot. Proszę zaczekać tutaj, madam, a ja każę gospodyni przygotować dla pani pokój.

John wyszedł z salonu, a Nicky, zarumieniony po ostrym skarceniu, zaprowadził Elinor do fotela ustawionego przy kominku.

- Najmocniej przepraszam - skłonił się uprzejmie - ale nic



nie rozumiem. John powiedział... ale pani przecież nie jest panią Cheviot!

- Wcale się nie dziwię, że jest pan zaskoczony - odparła.  
- Pański brat skłonił mnie do poślubienia waszego kuzyna, a więc jestem teraz panią Cheviot.

- Namówił panią? - zawołał Nicky. - Och, to wspaniałe! A tak się bałem, że wszystko popsuję. Mogłem się domyślić, że Ned nie da się wykiwać.

- Dla pana może to i wspaniałe - zauważyła cierpko Elinor - ale, zapewniam pana, nie dla mnie. Nie miałam wcale chęci poślubić waszego niesympatycznego kuzyna.

- Nic złego się nie stało - pocieszył ją Nicky. - On już pewno nie żyje.

- Chyba jednak coś się stało. Miałam być guwernantką w Five Mile Ash u pani Macclesfield i teraz nie wiem, co ze mną będzie.

- Och, mój brat wszystko załatwi - zapewnił ją. - Nie powinna się pani niczego obawiać. Ned zawsze wie, co trzeba zrobić. Poza tym praca guwernantki na pewno pani nie odpowiada, prawda? Nie przypomina pani żadnej z guwernantek moich siostr.

Nie czuła się na siłach spierać z nim w tej sprawie. Rozwiązała wstążki od kapelusza i z ulgą pozbyła się go. Jej delikatne kasztanowe włosy rozsypały się w nieładzie, ale zbyt była wyczerpana, by przejmować się swoim wyglądem. Siedziała nieruchomo, głowę podparła ręką i wpatrywała się w płonący na kominku ogień. Ocknęła się, gdy do pokoju wszedł John Carlyon z tacą w ręku. Postawił ją na stojącym obok jej fotela stoliku.

- Myślę, że kieliszek wina dobrze pani zrobi. Pani sypialnia będzie gotowa za chwilę. Proszę poczęstować się ciasteczkami.

Wypiła łyk wina, zjadła kruche ciasteczko i przysłuchiwała

się rozmowie braci, dopóki gospodyni nie zaprowadziła jej do sypialni. Elinor posłusznie spełniała wszystkie polecenia. Zastanawiała się tylko, co John Carlyon powiedział tej kobiecie, że tak troskliwie się nią zajęła. Tak pięknej sypialni jak ta, w której się znalazła, nie miała okazji zajmować od śmierci ojca. Służąca umieściła w jej łóżku ogrzewadło, na kominku płonął ogień, wyjęte z bagaży szczotki i grzebienie leżały na toaletce. Gospodyni osobiście sprawdziła, czy wszystko jest w porządku, powiedziała, że gdyby czegoś potrzebowała, to wystarczy skorzystać z dzwonka, od którego sznur zwisał obok, życzyła jej dobrej nocy i wyszła.

Pani Cheviot postanowiła nie myśleć o przyszłości, tylko cieszyć się obecnym luksusem. Nim minęło pół godziny, spała już głębokim snem.

## 5

Na dole, w salonie, pan John Carlyon surowym tonem oznajmił młodszemu bratu, że najlepiej zrobi, jeśli pójdzie spać.

- Nie masz tu nic do roboty, a Ned może wrócić dopiero rano. Zapewne nie wyjedzie stamtąd, dopóki Eustace żyje.
- O nie, będę czekał na jego powrót - zaprotestował Nicky.
- Na Boga, czy ty przypuszczasz, że mógłbym chociaż zmrzyć oko? Ale, John, powiedz mi, skąd się wzięła ta dama, którą zastałem z Nede w Highnoons? Długo łamałem sobie nad tym głowę. Wydaje mi się to bardzo dziwne.
- Najlepiej zapytaj Neda - odparł niechętnie John.
- Z pewnością tak zrobię i wiem, że mi wszystko powie - stwierdził dotknięty nieco Nicky.
- Prawdopodobnie.
- W każdym razie - ciągnął Nicky - moja sprawa nie wygląda tak źle, jak można by sądzić, prawda? Skoro Eustace poślubił tę damę...
- Nie wygląda źle? - zawołał John. - Ciekawe, co jeszcze mogłoby być gorsze! I to wszystko przez wybryki, których chłopak w twoim wieku powinien się wstydić.
- Och, to przecież nie było nic takiego - mruknął. - Kiedy Harry miał tyle lat co ja, to wiem dobrze, że on...

- Tak, tak, ja również wiem dobrze, że nigdy nie było większej różnicy pomiędzy tobą a Harry'm, i nie ma się z czego cieszyć. Ale w końcu Harry nie okazał się aż takim durniem, żeby wdawać się w bójkę z Eustace'em Cheviotem!

- Przecież mówiłem ci już, John, że hamowałam się, póki mogłem, ale w pewnym momencie stało się to już nie do zniesienia! Gdyby próbował tylko mnie obrazić, nie dałbym się sprowokować, ale zaczął takie okropne rzeczy mówić o Nedzie, że słuchanie tego okazało się ponad moje siły. Zamierzałem mu tylko solidnie przyłożyć.

John mruknął coś w odpowiedzi, ale że młodszo brat nadal próbował się usprawiedliwiać, przerwał mu i wygłosił dłuższy wykład o jego bezmyślności i innych złych cechach charakteru. Nicky z ponurą miną, w milczeniu wysłuchał tego przykrego kazania, a po jego zakończeniu wziął w rękę leżący na stoliku egzemplarz *Morning Post* i udawał, że zajął się lekturą. John usiadł przy biurku i przeglądał leżące na nim papiery.

Przez ponad godzinę bracia nie wznawiali rozmowy. Usłyszeli wreszcie odgłos ciężkich kroków w holu do salonu wszedł Carlyon. Nicky zerwał się z fotela.

- Ned, no i jak to się skończyło? - dopytywał się niecierpliwie. - Już myślałem, że nigdy nie przyjedziesz. Czy Eustace umarł?

- Tak, nie żyje. Powinieneś dawno być w łóżku, Nicky. John, czy dowiozłeś bezpiecznie pannę Rochdale'

- To ona tak się nazywa? Przed godziną poszła spać. Widzę, że zmuszony zostałeś do szybkiego i bezwzględного działania w tej sprawie.

- Istotnie. Nie miałem innego wyjścia. Sytuacja była krytyczna.

~ Ned, ty wiesz, jak bardzo jest mi przykro. Za nic na świecie nie chciałbym ci sprawić przykrości - powiedział Nicky.

- Zawsze mówisz to samo - wtrącił John - a potem wplątujesz się w następną awanturę. Tym razem doszło do tego, że będziesz miał wiele szczęścia, jeśli nie staniesz przed sądem oskarżony o morderstwo.

- Wiem. - Nicky smutno pokiwał głową. - Oczywiście, wiem o tym. I sąd może nie uwierzyć, że to był wypadek.

- Mój drogi Nicky, najprawdopodobniej cała sprawa skończy się na przesłuchaniu u koronera - stwierdził Carlyon.  
- Idź teraz do łóżka i nie zadrezczaj się ponurymi myślami.

Nicky westchnął, a John, który zauważył dopiero teraz, że młodszy brat jest wyjątkowo blady i wygląda na zmęczonego, dodał przybierając szorstki ton:

- Nie przejmuj się, Nicky. Nie pozwolimy wsadzić cię do więzienia.

Nicky uśmiechnął się z wdzięcznością i wyszedł.

- Niepoprawny... Czy przyznał ci się, dlaczego wyrzucili go z uniwersytetu? - zapytał John.

- Tak, chodziło o jakiegoś tresowanego niedźwiedzia - odpowiedział obojętnie Carlyon.

- I uważasz, że to wszystko wyjaśnia?

~ Moim zdaniem tak - przyznał Carlyon. - Skoro Nicky natknął się na tresowanego niedźwiedzia, to dalsze wydarzenia były już nieuniknione. Widzę, że czekałeś na mnie. Niepotrzebnie.

- Wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego - powiedział John.  
- Usiądź, podam ci kieliszek wina.

Carlyon usiadł na fotelu obok kominka i wyciągnął nogi przed siebie.

- Jestem zmęczony - przyznał. - Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiał asystować przy takim łożu śmierci. Chyba przejdziemy przez to wszystko bez kłopotów, jeśli lojalność Hitchina wytrzyma tę próbę.

John podał Carlyonowi kieliszek napełniony winem.

- Nie wątpię, że wybrniemy z tego, ale nie powinniśmy byli w ogóle znaleźć się w takiej sytuacji. Zawsze ci to mówię, Ned: zbyt łagodnie postępujesz z Nicky'em. Nie ma w nim ani odrobiny skruchy, jest zbyt rozpuszczony. Wplątuje się w kłopoty, a potem biegnie do ciebie, żebyś go ratował.

- Całe szczęście, że zwraca się do mnie - powiedział Carlyon.

- Oczywiście, że dobrze, ale dlaczego zachęcasz go, żeby kraść niedźwiedzie i żeby...

- Ależ, John, w jaki sposób mógłbym go zachęcać do czegoś takiego? - zaprotestował Carlyon.

- No dobrze. Nie mówię, że wprost, ale wiem doskonale, że nie skarciłeś go i nie powiedziałaś mu, jak bardzo źle postąpił.

- Nicky wie o tym bez mojego gadania.

- Powinieneś go solidnie zwymyślać.

- Przypuszczam, że ty już to zrobiłeś.

- On znacznie bardziej liczy się z tobą.

- Może byłoby inaczej, gdybyś rzadziej wygłaszał te swoje kazania.

John wzruszył ramionami i przez chwilę nic nie mówił. Kiedy znów się odezwał, poruszył zupełnie inny temat.

~ Kim jest ta kobieta, z którą ożeniłeś Cheviota? - zapytał.

- To córka Toma Rochdałe'a z Feldenhall.

- Tego człowieka? Dobry Boże! Biedactwo! Do tego doszło, że musi pracować jako guwernantka... Ale co się z nią stanie teraz?

- Nie wiem jeszcze, jak wyglądają sprawy majątkowe Cheviota, ale liczę na to, że coś z jego fortuny uda się uratować, a on wszystko jej zapisał.

- Zdażył sporządzić testament na jej korzyść? - zapytał z niedowierzaniem John. - Ned, to był jego pomysł czy twój?

- Oczywiście, mój.
- Hm... Rozumiem, że należy się *jej* jakaś rekompensata, i oczywiście, że nie powinno to ciebie obciążać, ale czy ten majątek nie powinien być przejść na jego rodzinę?
- Na przykład na starego Bedlingtona? - powiedział Carlyon.
- No właśnie. Bądź co bądź jest on jego stryjem.
- Nie chciałbym, żeby stary Bedlington zamieszkał na odległość rzutu kamieniem od mojego domu.
- Na Boga, nie! - zgodził się skwapliwie John. Uderzyła go ewidentna słuszność tej uwagi. - Tylko żeby nie zaczął się teraz awanturować.
- Nie sądzę. Nigdy chyba nie liczył na odziedziczenie tego majątku.
- Obawiam się jednak, że kiedy dotrze do niego wiadomość o tym, co się stało, będziesz miał z nim kłopoty - stwierdził złowieszczo John. - Oskarży cię o wszystko. Wydaje mi się, że on był jedynym człowiekiem, który żywił nieco sympatii do naszego kuzyna... Chociaż gdyby znał go tak dobrze jak my, miałyby zapewne inne o nim zdanie.
- Podejrzewam, że jego własny syn nie dostarcza mu zbyt wielu powodów do dumy ~ zauważył Carlyon ziewając.
- Niewątpliwie, wyciągnął od ojca mnóstwo pieniędzy, chociaż nie słyszałem, żeby zachowywał się tak niestosownie, jak Eustace. Tak czy inaczej, jeśli nie zmieni swojego postępowania, doprowadzi wkrótce Bedlingtona do ruiny. Podobno w ubiegłym tygodniu przegrał na wyścigach pięć tysięcy i założę się, że to nie wszystko. Współczułbym Bedlingtonowi, gdyby nie był takim starym głupcem. - John roześmiał się. - Na dodatek wplątał się w jakieś poważne kłopoty w Gwardii. - Carlyon uniósł brwi wyraźnie zaintrygowany. - Och, jakieś przecieki informacji. Dzięki Bogu,

to nie mój departament. Takie rzeczy się zdarzają. Agenci Bonapartego znają swoje rzemiosło.

- Czy to coś poważnego?
- Chyba tak, ale wszyscy milczą na ten temat jak zakłęci. Jakiś przeciek faktycznie był, ale czego można oczekiwać, jeśli w sprawach wagi państwowej macza palce taki głupiec jak Bedlington? Są ludzie, którzy nie potrafią trzymać języka za zębami. Nie sądzę, żeby celowo ujawniali tajemnice, ale potrafią być cholernie niedyskretni. To dlatego Wellington nikogo nie informował o swoich planach. Wiem jednak od Bathursta, że w tym wypadku chodzi o coś więcej niż niedyskrecję. Nie powtarzaj tego nikomu, Ned, ale podobno zniknęło jakieś ważne memorandum i wszyscy są mocno zaniepokojeni. Z tego, co się dowiedziałem, ma ono coś wspólnego z planami wiosennej kampanii. Były tylko dwa egzemplarze tego dokumentu. Nietrudno się domyślić, że Bonaparte wiele by dał, żeby dowiedzieć się, co planuje Wellington: czy zamierza maszerować na Madryt, czy uderzy w jakimś innym kierunku.

- Twoim zdaniem to memorandum zostało wykradzione?
- Tego nie twierdzę, ale słyszałem, że zniknęło. Jeśli wierzyć temu, co mówią o bałaganie panującym w sztabie Konnej Gwardii, mogę przypuszczać, że wetknęli ten dokument do niewłaściwej szuflady albo coś w tym rodzaju.
- Mówisz poważnie? - zapytał Carlyon wyraźnie rozbawiony.
- Jestem pewny, że Torrens powiedziała ci to samo. Wszyscy wiedzą, że w sztabie Gwardii Konnej regent ulokował wielu swoich ludzi, więc tak marnego kompletu urzędników nigdzie chyba nie znajdziesz. Każdy dba tylko o swoje interesy.
- Znow mówisz o Bedlingtonie?

~ O nim i o niektórych innych. Lord Bedlington - mruknął pogardliwie John. - Ciekawe jak on się tam znalazł?

- Błyskotliwa kariera wojskowa.

~ Też kariera! - prychnął John. - Adiutant regenta, a raczej stręczyciel regenta. Ach, dajmy już temu spokój. Jak myślisz, czy uda ci się wypłacać Nicky'ego z tych kłopotów?

- Tak, chociaż Eustace triumfowałby zza grobu, gdyby mi się nie powiodło.

- Co to był za cholerny typ! Przecież Nicky nigdy nie zrobił mu nic złego.

- No, dzisiaj wieczorem potraktował go dosyć ostro - powiedział Carlyon. - Ale Cheviot nie na nim chciał się odegrać, ale na mnie. Na szczęście Greenlaw natychmiast odesłał pielęgniarkę, gdy Eustace zaczął zbyt wiele mówić, więc z tej strony nic nam nie grozi.

- Och, był tam Greenlaw? Dużo dałbym, żeby wiedzieć, co on myśli o twoich dzisiejszych sztuczках.

- Nie wątpię w jego życzliwość. - Carlyon uśmiechnął się.

- Nie zapomniał przecież, jak pomagał mi zejść z wieży kościelnej ani o wyjmowaniu śrutu z twojej nogi, kiedy wykradliśmy myśliwską strzelbę ojca i naszpikowałem cię ołowiem... Przypominasz sobie? Niewiele brakowało, a skarciłby mnie wtedy tak ostro, jak ty skarciłeś dzisiaj Nicky'ego.

- Stary, zuchwały łobuz - roześmiał się John. - Szkoda, że tego nie zrobił. Ale, Ned, ten testament. Czy jest w porządku? Nie może zostać obalony?

- Myślę, że jest wyjątkowo mocny. Ja na pewno nie będę próbował go obalać.

- Ty nie, ale Bedlington jest najbliższym krewnym Eustace i może spróbować unieważnić testament. Skoro Eustace się ożenił...

- Chyba o czymś zapomniałeś. W swojej ostatniej woli

ciotka postawiła warunek, że jeśli Eustace nie wskaże spadkobiercy, posiadłość musi przejść na mnie. Unieważnienie testamentu nie przyniesie Bedlingtonom żadnych korzyści.

- Istotnie, tak jest. Czy pomyślałeś o wyznaczeniu wykonawcy testamentu?

- Wykonawcami będą Finsburg i ja.

- To był dobry pomysł, żeby wprowadzić do tego prawnika. Szkoda tylko, że ty musisz się tym zajmować.

- Mam nadzieję, że niezbyt długo - powiedział Carlyon. Odstawił kieliszek i wstał.

- Coś mi się wydaje, że będziesz teraz miał tę wdowę na karku.

- Ależ skąd! Jak tylko testament zostanie zatwierdzony, ona zapewne sprzeda tę posiadłość. Mam nadzieję, że to, co uzyska, wystarczająco zabezpieczy ją na przyszłość.

- Majątek został doprowadzony przez kuzyna do tak złego stanu, że mogą być kłopoty ze znalezieniem nabywcy - zauważył pesymistycznie John. - Założę się, że posiadłość tak jest obciążona długami, że ta biedna dziewczyna może znaleźć się w gorszej sytuacji materialnej, niż była do tej pory. Nie wiesz, czy ścigali go wierzyciele?

- Nie wiem, ale wydaje mi się to prawdopodobne. Oczywiście, długi muszą zostać spłacone.

- Chyba nie przez ciebie - powiedział ze złością John.

- Zobaczymy, jak to wygląda. Jak długo masz zamiar zostać z nami?

- Jutro muszę być w Londynie, ale w tej sytuacji szybko wrócę.

- Nie ma potrzeby.

- Nie wątpię, że bardzo dobrze poradzisz sobie beze mnie - powiedział John uśmiechając się kwaśno. - Tyle że ten nasz

młody łobuz musi stanąć przed koronerem i w takiej chwili nie powinienem się wycofywać.

- Jak chcesz. - Cariyon skinął głową. - Zgaś świece, jeśli idziesz już spać. Powiem służbie, że nie muszą dłużej czekać.

- Mam jeszcze do napisania list. Dobranoc, stary.

- Dobranoc.

Cariyon wziął świecznik stojący na jednym ze stolików i ruszył ku drzwiom. John usiadł znów przy biurku, ale ciągle patrzył na brata.

- Nie powinienem być zaskoczony zachowaniem Nicholasa - zauważył. - W końcu dotąd jeszcze mam na nogach blizny po tym śrucie.

Cariyon roześmiał się i wyszedł zamykając za sobą drzwi. John przez chwilę siedział nieruchomo, uśmiechając się niewyraźnie, a potem zajął się swoją korespondencją.

Późnym rankiem panią Cheviot obudziła pokojówka, która przyniosła jej filiżankę gorącej czekolady i informację, że śniadanie zostanie wkrótce podane w salonie na dole. Po chwili wróciła z mosiężnym dzbankiem wypełnionym gorącą wodą i po upewnieniu się, że madam nie potrzebuje pomocy przy porannej toalecie, znów wyszła.

Elinor siedziała na łóżku, delektowała się gorącą czekoladą i zastanawiała, jaka część wczorajszych niezwykłych wydarzeń okaże się wytworem fantazji. Jednakże jej obecność w tym wytwornym domu wskazywała na to, że przynajmniej niektóre z wydarzeń były realne. Nie potrafiła oprzeć się porównaniu swej obecnej sytuacji z tym, co prawdopodobnie czekało ją w domu pani Macclesfield, i nie byłaby chyba normalną kobietą, gdyby nie doceniła tej uderzającej różnicy.

Wstała wreszcie i wyjrzała przez okno. Roztaczał się z niego widok na zadbane ogród kwiatowy, a poza nim rozległy park. Lord Cariyon był niewątpliwie człowiekiem

zamożnym. Jego elegancka rezydencja ostro kontrastowała z zaniedbanym majątkiem kuzyna.

Ubrała się w jedną ze swych skromnych sukienek, na ramiona zarzuciła szal od Paisleya i zeszła na dół. U podnóża schodów, kiedy zastanawiała się dokąd pójść, podszedł do niej lokaj, ukłonił się uprzejmie i zaprowadził ją do przytulnego salonu, w którym czekał gospodarz w towarzystwie dwóch braci. Na kominku płonął ogień.

Cariyon natychmiast podszedł do niej i podał jej rękę.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że odpoczęła pani, madam.

- Znakomicie. Dziękuję. - Uśmiechnęła się i skłoniła dwóm pozostałym mężczyznom. - Obawiam się, że musieli panowie na mnie czekać.

- Nic podobnego. Zechce pani usiąść? Kawa zostanie zaraz podana.

Usiadła przy stole, nieco onieśmielona, ale zadowolona z obecności lokaja w salonie. Sprowadzało to rozmowę do zwykłych ogólników. Podczas gdy Cariyon wymieniał z Johnem uwagi na temat pogody, przyglądała mu się uważnie. Teraz, w świetle dziennym, okazał się całkiem przystojnym mężczyzną. Rysy miał regularne, ruchy swobodne, pod dobrze skrojoną marynarką widać było szerokie ramiona. Ubrany był ze spokojną elegancją i chociaż miał na sobie bryczesy i buty z cholewami, a nie obcisłe, sięgające kostek spodnie zgodne z miejską modą, nie przypominał strojem niechlujnego prowincjonalnego szlachcica. Jego brat John również ubrany był skromnie, natomiast koszula z wysokim kołnierzykiem i wyszukany fular, które miał na sobie Nicky, Elinor swym doświadczonego okiem oceniła jako przejaw dandyzmu. Te jego upodobania wkrótce stały się przedmiotem rozmowy, gdy przy pierwszej okazji młodzieniec powiedział:

- Nie wiem, jak należy ubierać się w okresie żałoby po kuzynie. Wydaje mi się...

- Uważam, że nie musisz nosić jakiegoś specjalnego stroju - przerwał mu John - ale ta kamizelka, którą masz na sobie, jest nie do przyjęcia.

- Muszę ci powiedzieć - bronił się Nicky - że takie właśnie kamizelki nosi się ostatnio w Oksfordzie.

- Możliwe, ale chciałbym z przykrością zauważyć, że nie jesteś już w Oksfordzie i paradowanie po okolicy zaraz po śmierci kuzyna w takiej pasiastej kamizelce byłoby wysoce nieestosowne.

- Ned, czy ty też tak uważasz? ~ zapytał Nicky licząc na pomoc Carlyona.

- Tak, to niewłaściwe, i to nie tylko teraz.

Nicky skapitulował, mruknął coś pod nosem i próbował się pocieszyć plasterkiem smakowicie wyglądającej pieczonej polędwicy. Carlyon dał znak lokajowi, by opuścił salon, a potem zwrócił się do Elinor:

- Musimy teraz, pani Cheviot, zastanowić się, co dalej robić.

- Wolałabym, żeby nie tytułował mnie, pan w ten sposób.

- Przykro mi, ale musi się pani przyzwyczaić, że tak będą się do pani wszyscy zwracać - odparł.

Elinor odłożyła trzymaną w dłoni kromkę chleba z masłem.

- Milordzie, czy pan naprawdę zaślubił mnie temu mężczyźnie? - zapytała.

- Ja na pewno nie. Nie mam takich uprawnień. Ślubu udzielił pastor z miejscowej parafii.

- To bez znaczenia. Wie pan dobrze, że to właśnie pan zorganizował tę ceremonię. Łudziłam się jeszcze nadzieją, że to wszystko okaże się snem, ale nie! O Boże, jak ja mogłam zrobić coś takiego!

- Wyświadczyła mi pani przysługę - powiedział uspokajająco.

- Wcale nie miałam takiego zamiaru. Pan mnie po prostu porwał.

- Porwał panią? - zawołał John. - Nie, nie, jestem pewny, że nie mógł zrobić czegoś takiego. Ned, chyba nie byłeś taki szalony?

- Oczywiście że nie. Przypadek sprowadził panią do Highnoons, a mnie tylko udało się w jakimś stopniu przekonać panią...

- To prawda, ale trudno oprzeć mi się wrażeniu, że wpadłam w zastawioną przez pana pułapkę. Stangret zapytał mnie tylko czy przybywam w związku z ogłoszeniem. Czy istotnie na tej drodze poszukiwał pan żony dla swego kuzyna?

- Tak, zamieściłem stosowny inserat w kolumnie ogłoszeń *Timesa*. Nieraz musiała pani spotkać się z czymś takim.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Istotnie, tak było - odezwał się John. - Prawdę mówiąc nie pochwalam takich metod. Zawsze się temu sprzeciwiałem. Bóg wie, jaka kobieta mogła w ten sposób trafić do Highnoons. Okazało się jednak, że wszystko skończyło się dobrze.

Spojrzała na niego. Jej oczy wydały mu się szczególnie piękne, kiedy płonęły w nich isierki oburzenia.

- Może dla pana obróciło się to na dobre - powiedziała.

- Ale w jakiej sytuacji ja się znalazłam? Obawiam się, że po tym, co się stało, moja reputacja doznała poważnego uszczerbku.

- Nie musi się pani obawiać - stwierdził Carlyon. - Poinformowałem, kogo tylko mogłem, że była pani od dawna potajemnie zaręczona z Cheviotem.

- Och, to przechodzi wszelkie granice! - wybuchnęła.

- Nie zawaham się powiedzieć panu, milordzie, że nigdy nie zaręczyłabym się z tak odrażającym mężczyzną jak pański kuzyn!

- Jest to w pełni uzasadnione - zgodził się.
- Niewiele brakowało, by Elinor zakrzuszyła się kawą.
- Uczucia pani Cheviot wydają się w pełni zrozumiałe. Nikt w to nie wątpi - powiedział John.
- Przecież Eustace nie żyje - wtrącił Nicky. - Nie rozumiem, dlaczego pani się przejmuje. Na Jowisza, jest pani teraz wdową.
- Ałe ja nie chcę być wdową! - zawołała Elinor.
- Obawiam się, że jest za późno, żeby to zmienić - zauważył spokojnie Carlyon.
- O, gdyby pani lepiej znała naszego kuzyna, z pewnością marzyłaby pani o tym, żeby zostać wdową - zapewnił ją Nicky.
- Uspokój się, Nicky - skarcił go Carlyon. - Naprawdę, rozumiem pani uczucia, ale nie warto rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Poza tym nie sądzę, żeby konsekwencje tego małżeństwa były aż tak przykre, jak się pani wydaje.
- Z całą pewnością zadbamy o to, żeby nie były przykre - powiedział John. - Ludziom to małżeństwo może wydać się nieco dziwne, ale fakt, że w całą sprawę zaangażowany jest mój brat, uchroni panią od plotek. Jeśli nasza rodzina panią zaakceptuje, nie przyjdzie nikomu do głowy, że kryje się za tym jakiś skandal. Rozumie pani.

Elinor westchnęła ciężko.

- Oczywiście, rozumiem, że nie jest to dramat. Dostałam to, na co zasłużyłam, a wiem, że postąpiłam źle. Nie powinnam jednak panom czynić wymówek. Przypuszczam, że jako wdowa mogę być równie dobrze guwernantką, jak osoba niezamężna.

- Niewątpliwie, ale nie wydaje mi się, żeby pani musiała nadal wykonywać ten niewdzięczny zawód - powiedział Carlyon.

- O, nie! Już panu mówiłam, że nie życzę sobie być na

pańskim utrzymaniu, milordzie, i przynajmniej w tej sprawie nie zmienię zdania.

- Nic takiego pani nie grozi. Mój kuzyn sporządził testament i cały swój majątek zapisał pani.

- Co takiego? - zawołała. - Och, na Boga, czy pan mówi poważnie?

- Całkiem poważnie.

- Ale ja nie mogę... To... to jest dla mnie... - jąkała się.

- Proszę sobie nie wyobrażać, że w ciągu tej nocy została pani bogatą kobietą - powiedział Carlyon. - Tak może to wyglądać, ale obawiam się, że sprawy przedstawiają się inaczej. Najprawdopodobniej okaże się, że odziedzyczyła pani Bóg wie jak wielkie długi.

Elinor bezskutecznie próbowała znaleźć słowa, którymi mogłaby wyrazić swoje uczucia.

- Eustace nigdy nie liczył się z pieniędzmi - wtrącił Nicky.

- Założę się, że ścigali go wierzyciele.

- No tak - powiedziała Elinor starając się zachować spokój.

- I ja mam się cieszyć, że odziedzyczyłam te długi?

- Nie, nie - zaprotestował John - one oczywiście nie będą spłacone z pani majątku. Na szczęście kuzyn nie mógł zaciągać kredytów pod zastaw ziemi... Nie znaczy to, że jeśli zdecyduje się pani sprzedać posiadłość, dużo pani za nią otrzyma, gdyż odkąd mój brat przestał nią zarządzać, popadła w ruinę.

- Cóż za przepiękna perspektywa - powiedziała Elinor z gorzką ironią. - Zostałam obdarzona zrujnowaną posiadłością, obciążoną długami, i owdowiałam nie będąc właściwie żoną! Coś takiego chyba jeszcze nikomu się nie zdarzyło.

- Och, to tylko teraz wydaje się pani takie straszne - odparł Carlyon. - Po uporządkowaniu wszystkich spraw, mam nadzieję, że zostanie pani całkiem przyzwoity majątek.

- Ja również mam taką nadzieję, milordzie, gdyż za-



czynatam się już obawiać, że dopiero będę musiała nań zapracować - odparła.

- Wreszcie mówi pani jak rozsądna kobieta - stwierdził Carlyon. - Czy gotowa jest pani postępować zgodnie z moimi zaleceniami?

Spojrzała na niego niepewnie.

~ A czy mogę w jakiś sposób pozbyć się tego spadku?

- Nie, nie ma żadnego sposobu.

- A gdybym na przykład zniknęła, co zresztą zrobiłabym z całą przyjemnością...

- Nie sądzę, żeby była pani aż tak bojaźliwa, by wycofać się w takim momencie.

- Co wobec tego powinnam zrobić? - powiedziała po chwili z rezygnacją w głosie.

- Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zamieszka pani w Highnoons.

- W Highnoons! O nie! Naprawdę, wolałabym nie... - zaprotestowała z wyrazem przerażenia w oczach.

- Dlaczego? - zapytał.

- Wydaje mi się, że zamieszkanie tam byłoby czymś niestosownym.

- Za niestosowne uważa pani zamieszkanie w domu męża?

- Jak pan może mówić coś takiego! Okoliczności w jakich...

- O okolicznościach powinniśmy wszyscy szybko zapomnieć. Natomiast niestosowne byłoby, gdyby pani dłużej przebywała pod moim dachem. Jestem kawalerem.

- Nie mam zamiaru przebywać pod pańskim dachem!

- Wobec tego nie ma o czym mówić. Oczywiście, może pani zamieszkać u jakichś swoich krewnych, ale w najbliższym czasie będzie tu wiele spraw do załatwienia. Muszę mieć możliwość łatwego kontaktowania się z panią, więc byłoby najlepiej, gdyby pozostała pani na miejscu.

- W zaistniałej sytuacji za nic na świecie nie chciałabym udawać się do swoich krewnych. - Elinor wzdygnęła się.

- W takim razie nie ma pani wyboru.

- Jakże ja mogę zamieszkać w takim miejscu? Cały dom pokryty jest kurzem i pajęczynami, najprawdopodobniej pełno tam szczurów i karaluchów. To, co zobaczyłam wczoraj, wystarczy mi, by mieć pewność, że dom jest straszliwie zaniedbany.

- Niewątpliwie. I to jest jeden z powodów, dla których chciałabym tam panią widzieć.

- Naprawdę, milordzie? - oburzyła się Elinor. - Czy nie wydaje się panu, że zabrzmiało to nieco dziwnie?

- A cóż w tym dziwnego? Jeśli mamy myśleć o przyszłości Highnoons, to trzeba ten dwór doprowadzić do porządku. Ja postaram się zrobić, co będę mógł z ziemią, ale nie jestem w stanie podjąć się porządkowania domu. Zajmując się tym wyświadczy mi pani wielką przysługę, a poza wszystkim tego rodzaju zajęcie pozwoli pani zapomnieć o kłopotach, które zresztą zrodziły się wyłącznie w pani głowie.

- Po prostu marzę o tym, żeby wyświadczyc panu przysługę - powiedziała drżącym głosem Elinor.

- Dziękuję bardzo - odpowiedział z niezmaconym spokojem.

Nicky roześmiał się, a potem zwrócił do Elinor:

- Najmocniej przepraszam, ale musi pani wiedzieć, że spieranie się z Nedom zupełnie nie ma sensu, bo on i tak będzie górą. Zawsze ma rację. Ale coś pani powiem: jeśli okaże się, że w Highnoons są szczury, przyjadę tam z moim psem i urządzimy wspólnie polowanie.

- Nicky, zachowuj się poważnie - skarcił go John. - Muszę pani jednak powiedzieć, madam, że jest wiele racji w tym, co mówi Carlyon. Tego dworu nie można tak zostawić, a nie wiem, kto mógłby się nim zająć, jeśli nie pani.

- Ale służba! - protestowała Elinor. - Co oni sobie pomysła, gdy nagle zacznę tam rządzić?

- O ile wiem, to Eustace ostatnio zatrudniał tylko Barrowa i jego żonę - powiedział Carlyon. - Teraz może pani przyjąć do pracy w domu kilka dziewcząt z wioski. Proszę się nie obawiać żadnych trudności. Barrow pracuje w Highnoons od wielu lat i zna wszystkie okoliczności, które doprowadziły do wczorajszej ceremonii. Był bardzo przywiązany do mojej ciotki i tylko dlatego pozostał w majątku kuzyna. Ani on, ani jego żona nie przysporzą pani kłopotów. Obawiam się tylko, że Barrow nie wyda się pani odpowiednim lokajem. Przez lata całe był stangretem i przeszedł do pracy w domu, kiedy nie pozostał w nim nikt z dawnej służby.

- Posłuchaj, Ned, myślę, że pani Cheviot powinna mieć jakąś godną szacunku kobietę, która dotrzymywałaby jej towarzystwa - wtrącił John.

- Masz rację. Spróbuję kogoś takiego znaleźć.

- Skoro już muszę mieć kogoś do towarzystwa w tym strasznym domu, to poproszę moją dawną guwernantkę, żeby zamieszkała ze mną ~ powiedziała Elinor.

- Świetny pomysł. Jeśli da mi pani jej adres, natychmiast wyślę do niej list - podchwycił propozycję Carlyon.

Elinor poczuła się całkowicie pokonana. Cichym głosem powiedziała, że sama napisze do panny Beccles.

- Nie sądzę, żeby pani czuła się tam samotna - zapewnił ją Nicky. - Będziemy panią często odwiedzać.

Podziękowała mu, a potem zwróciła się do Carlyona:

- A co zrobimy z panią Macclesfield? - zapytała.

- Może wyda się to pani niegrzeczne z naszej strony, ale skłonny jestem twierdzić, że najlepiej zrobimy, jeśli pozwolimy jej zapomnieć o pani i zrezygnujemy z wyjaśnień, w które i tak by nie uwierzyła.

Po chwili zastanowienia musiała się z nim zgodzić.

## 6

Wczesnym popołudniem uprzejmy gospodarz postanowił odwiedzić zrezygnowaną, ale i w znacznym stopniu pogodzoną z losem panią Cheviot do Highnoons. Wsiedli do eleganckiego powozu i jego lordowska mość zaczął zabawiać pasażerkę, wskazując jej bardziej interesujące elementy krajobrazu: łagodne wzgórza porośnięte lasem, rozległe łąki, które, jak ją zapewnił, wiosną pokryją się kobiercem kwiatów. Pani Cheviot odpowiadała z chłodną uprzejmością i raczej nie podtrzymywała rozmowy.

- Nie są to zbyt atrakcyjne okolice - powiedział Carlyon - ale w pobliżu Highnoons są pewne śliczne zakątki, które kiedyś pani pokażę.

- Tak?

- Z pewnością... gdy tylko przestanie się pani dąsać.

- Nie jestem wcale nadaśana - stwierdziła oschle - tyle że każdy, kto ma choć trochę wrażliwości, powinien mi współczuć z powodu sytuacji, w jakiej się znalazłam. Jak pan może oczekiwać, że bym była w doskonałym nastroju? Jest pan chyba całkiem pozbawiony wrażliwości, milordzie.

- Obawiam się, że ma pani rację - odparł poważnie. - Często zdarzało mi się słyszeć takie określenie i myślę, że jest w nim dużo prawdy.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Kto pana o to oskarżał? - zapytała.

- Moje siostry, kiedy w pewnych sytuacjach nie potrafiłem zrozumieć ich uczuć.

- Zaskoczył mnie pan. Wydawało mi się, że rodzeństwo jest do pana bardzo przywiązane.

- Nie wiem, czy nie odniosła pani wrażenia, że to przywiązanie jest rezultatem moich apodyktycznych skłonności.

Roześmiała się i powiedziała:

- Muszę się przyznać, milordzie, że zauważyłam u pana tę cechę i, delikatnie mówiąc, wydaje mi ona niezbyt sympatyczna. Jestem przekonana, że gdyby rozbolał mnie ząb i umierałabym z bólu, pan poinformowałby mnie chłodno, że jeszcze nikt z takiego powodu nie umarł.

- Niewątpliwie - zgodził się - tym bardziej, gdybym wiedział, że pani obawy są przesadne.

- Cóż za brak serca - mruknęła.

Powóz znalazł się wreszcie na wąskim, zaniedbanym podejździe prowadzącym do dworu Highnoons. Po jednej stronie drogi rosły gęste zarośla, po drugiej wysokie drzewa, których gałęzie dotykały niemal ich głów.

- Ta droga przywodzi mi na myśl moje ulubione powieści - zauważyła pani Cheviot.

- Większość tych krzewów trzeba wyciąć, a pozostałe poprzycinać - stwierdził Carlyon. - Widzę tutaj co najmniej trzy uschłe drzewa, które trzeba usunąć.

- Ależ, drogi panie, zepsuje pan cały urok tego miejsca. Mam nadzieję, że rośnie tu gdzieś zaklęty dąb, a pod jego gałęziami snują się upiory... Czyste szaleństwo.

- O, tak - zgodził się.

- Dom też jest pewnie nawiedzany przez duchy. Nie dziwię się, że opiekuje się nim tylko dwoje starych służących. Niewykłuczone, że po spędzeniu tutaj nocy będzie pan musiał odwiedzić mnie do zakładu w Bedlam.

- Wierzę w pani hart ducha, madam.

Powóz zatrzymał się przed wejściem. Carlyon pomógł Elinor wysiąść. Stała przez chwilę rozglądając się. Zarośnięty chwastami ogród nie sprawiał najlepszego wrażenia, natomiast dom oglądany w dziennym świetle wydał jej się piękny. Był to stary, co najmniej dwustuletni budynek o zaokrąglonych zwieńczeniach okien i wysokich kominach. Wznoszony zapewne w długim okresie czasu, przystosowany został do zmieniających się stylów architektonicznych. Znaczną część powierzchni ścian pokrywały gęste sploty pędów dzikiego wina. Elinor była przyjemnie zaskoczona wyglądem dworu.

- Wszystkie te pnącza trzeba będzie usunąć - stwierdził Carlyon, również przyglądając się frontowej ścianie domu.

- Nic podobnego - zaprotestowała Elinor. - Proszę tylko spojrzeć, jak pięknie obramowane są nimi okna. Dzięki temu w pokojach nawet w słoneczny dzień panuje miły półmrok, a poruszone wiatrem gałązki muskają szyby... jak... palce upiora. I pan chciałby je wyciąć? Nie jest pan romantyczny.

- Ani trochę. Chodźmy, przezięb się pani stojąc na tym zimnym wschodnim wietrze. Wejźmy do środka.

Stary Barrow otworzył im drzwi. Dla Elinor nie ulegało wątpliwości, że Carlyon był już tutaj po tym, jak poprzedniego wieczoru razem opuścili dwór. Barrow przyglądał się jej z zainteresowaniem, ale nie dostrzegła zaskoczenia na jego twarzy. Widać też było, że ktoś dołożył starań, żeby zaprowadzić jaki taki porządek w holu.

- Barrow, to jest twoja pani - powiedział Carlyon zdejmując kapelusze. - Pani Cheviot, Barrow i jego małżonka, którą zaraz pani pozna, będą troskliwie dbać o pani wygodę. Oprowadzę teraz panią po domu, jeśli nie jest pani zbyt zmęczona.

- Nie, nie jestem - odparła Elinor.

- Pani Barrow i ta młoda dziewczyna, którą wasza lordow-

ska mość przysłał z Hall, przygotowały już dla pani żółty pokój - powiedział służący. - Przypuszczają, że nie będzie pani chciała spać w pokoju zmarłego pana Cheviota, chociaż on nie umarł tutaj, więc...

- Wystarczy, Barrow - przerwał mu Carlyon, a potem zwrócił się do Elinor: - Bibliotekę pani już widziała. Jadalnia jest tutaj. - Otworzył drzwi do pokoju po lewej stronie holu. - Nie jest ona zbyt piękna... Wszystkie pokoje są tu niewielkie i wszędzie są niskie sufity. Pamiętam jednak czasy, kiedy te wnętrza wyglądały pięknie.

- O tak, na pewno pan pamięta - potwierdził Barrow i westchnął.

- Barrow, bądź tak dobry i poproś panią Barrow, żeby podała do biblioteki kawę dla pani Cheviot.

Po odesłaniu służącego Carlyon oprowadził Elinor po pozostałych pomieszczeniach. Dom wydał się jej dosyć dziwny. Składał się z mnóstwa małych pomieszczeń i długich korytarzy. Ściany wielu pokoi pokrywała sięgająca sufitu boazeria, meble były staromodne i najczęściej pokryte grubą warstwą kurzu.

- Większość tych pomieszczeń nie była używana od śmierci mojej ciotki - wyjaśnił Carlyon.

- Dlaczego, u licha, nie założono pokrowców na te meble?  
- zawołała wzburzona Elinor. - Dobry Boże, cóż za ciężkie zadanie nałożył pan na mnie, milordzie!

- Niewiele wiem o tych sprawach, ale przypuszczam, że będzie pani miała pełne ręce roboty. Dzięki temu zabraknie pani czasu na smutne rozmyślenia.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie i weszła do przygotowanej dla niej sypialni. Pokój był starannie sprzątnięty, a że okna wychodziły na południe, blade promienie wiosennego słońca przedzierały się przez oprawione w ołów szyby i sprawiały,

że pomieszczenie zdawało się przytulne. Elinor zdjęła kapelusz oraz pelerynę i rzuciła je na łóżko.

- Widzę, że pani Barrow wykazała wiele rozsądku wybierając dla mnie ten pokój - zauważyła. - A kim jest ta młoda dziewczyna, którą przysłał pan tutaj z Hall?

- Nie wiem, jak ma na imię, ale poleciła ją pani Rugby i mam nadzieję, że okaże się odpowiednią pokojówką. Oczywiście proszę zaangażować tylu służących, ilu uzna pani za stosowne, ale na razie usługiwać pani będzie ta dziewczyna.

Elinor wzruszona była jego dobrocią. Powiedziała tylko:

- Jest pan bardzo troskliwy, milordzie, ale jeśli chodzi o służbę, to skąd wezmę pieniądze na ich pensje?

- Służba będzie opłacana z dochodów tego majątku.

- O ile wiem, sir, majątek jest już dostatecznie obciążony długami...

- Tym nie powinna się pani martwić. Znajdą się środki na pokrycie niezbędnych wydatków.

- Ach, tak - powiedziała z powątpiewaniem.

Rozmowa została nagle przerwana.

- Trzeba umieścić nad drzwiami tarczę herbową w czarnym obramowaniu - odezwał się poważnym tonem Barrow.

Carlyon obejrzał się. W progu pokoju stał stary służący i patrzył na nich ponuro.

- Tarczę herbową - powtórzył.

- Bzdura - zniecierpliwził się Carlyon. - Nie widzę potrzeby robić czegoś takiego w domu położonym tak daleko na uboczu jak ten.

- Kiedy starsza pani umarła - upierał się Barrow - wywieśliśmy tarczę tak, jak należy.

- Więc i teraz proszę koniecznie umieścić ją nad drzwiami - powiedziała Elinor.

Barrow skinął głową z aprobatą.

- A kołatkę też przewiązać krepa? - zapytał.
  - Naturalnie.
  - Zrobimy wszystko, jak trzeba - powiedział Barrow i odszedł, żeby zająć się tymi ważnymi sprawami.
  - Potrafi pani szybko podejmować decyzje - zauważył Carlyon.
  - Mam tyle zdrowego rozsądku, milordzie, żeby nie obrażać uczuć tych ludzi.
  - Kuzyn nie utrzymywał towarzyskich stosunków z sąsiadami, więc wątpię, czy ktoś złoży pani wizytę.
  - Mam nadzieję, że pan się nie myli, sir - odparła.
- Zeszli na dół. W bibliotece na kominku płonął ogień, na stole stały filiżanki do kawy. Carlyon nie miał ochoty na kawę, więc Elinor usiadła przy stole i napełniła sobie filiżankę, a on podszedł do biurka i wyciągnął wypełnioną papierami szufladę. Rzucił na nie okiem i wsunął ją na miejsce.
- Muszę przyjechać tu jutro lub pojutrze z prawnikiem i zrobić z tym porządek. Najlepiej będzie, pani Cheviot, jeśli wszystkie dokumenty, jakie wpadną pani w rękę, odłoży pani dla mnie.
  - Z pewnością - odpowiedziała spokojnie. - Skoro jednak został pan wyznaczony na wykonawcę testamentu, a sądzę, że tak jest, to powinien pan zamknąć biurko.
  - Chyba powinienem - zgodził się - tylko nie widzę nigdzie klucza, a poza tym mam do pani zaufanie, więc zrezygnuję z tych formalności. Przypuszczam zresztą, że nie ma w tej szufladzie nic ważnego. - Podszedł do Elinor i wyciągnął rękę.
  - Muszę teraz panią pożegnać. Może pani być pewna, że list do panny Beccies zostanie dostarczony bez większej zwłoki. Liczę na to, że już za parę dni zamieszka tu z panią.
  - Dziękuję. Chyba nie zostawi pan mnie samej na długo
  - powiedziała podając mu rękę.
  - Ależ nie. Gdyby okazało się, że jestem pani potrzebny.

proszę wysłać kogoś do Hall. Przybędę natychmiast. Spodziewam się, co prawda, że mając parę pilnych spraw do załatwienia przez dzień czy dwa będę przebywał poza domem, ale wiadomości od pani natychmiast do mnie dotrą. Jutro rano odwiedzi panią Nicky, żeby dowiedzieć się, czy czegoś nie trzeba. Do widzenia. Proszę mi wierzyć, że chociaż nie należę do ludzi o dużej wrażliwości, to jednak w pełni zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem pani zobowiązany.

Odszedł, a Elinor została sama w nie najlepszym nastroju. Rozmyślała nad tym, jak dalej postępować i jaki będzie koniec tej niezwykłej przygody. Chwila spokojnej refleksji pomogła jej uspokoić wzburzony umysł. Zgodziła się z sugestią Carlyona, że najlepsze, co może zrobić, to zająć się uporządkowaniem domu. Postanowiła zacząć działać natychmiast. Pociągnęła za sznur dzwonka i zaraz uświadomiła sobie, że przecież on nie działa. W poszukiwaniu służących zmuszona była udać się do kuchni.

Kuchnia urządzona była tradycyjnie, ale z zadowoleniem stwierdziła, że panuje tu wzorowy porządek. Podłoga i stoły, dokładnie wyszorowane, lśniły czystością. Poza państwem Barrow zastała tam sympatycznie wyglądającą pokojówkę i stajennego, który nie tracąc czasu już się do niej umizgał. Pani Barrow była schludną, szczupłą kobietą. Zerwała się na widok pani Cheviot i uprzejmie dygnęła.

Elinor pomyślała, że postąpi rozsądnie, nie ukrywając niczego przed starymi służącymi, ale wkrótce okazało się, że oni doskonale orientują się w okolicznościach jej niezwykłego małżeństwa. Pani Barrow przedstawiła jej pokojówkę i stajennego, a potem odesłała ich do swoich zajęć i ze splecionymi na fartuszkę dłońmi czekała, co powie jej nowa pani.

Elinor z pewnymi oporami zauważyła, że na pewno są bardzo zaskoczeni tak nagłym i nieoczekiwanym pojawieniem się nowej pani.

- Och nie, madam. Jeśli jego lordowska mość uważa, że wszystko jest w porządku...

To bezgraniczne zaufanie do opinii Carlyona wydawało się Elinor dziwne, ale wszystko stało się jasne, kiedy pani Barrow wyjaśniła jej, że nim wyszła za męża, była pokojówką w Hall. Rzuciło się w oczy, że ma więcej ogłady niż małżonek i rzadziej niż on posługuje się lokalnym dialektem. Wyraziła gotowość ponownego oprowadzenia jej po domu, by zaznaczyć ją ze szczegółami, które z pewnością pominął lord Carlyon, i od razu zadecydować, które sprzęty należy wyczyścić i odnowić, a które wyrzucić.

- Dom jest straszliwie zaniedbany, madam. Nasza biedna pani przewraca się zapewne w grobie, ale co może zrobić jedna kobieta, taka jak ja, bez żadnej pomocy? A do tego mam na głowie kuchnię, chociaż nigdy taką pracą się nie zajmowałam. Tylko ze względu na naszą dawną panią ja i męża zostaliśmy z panem Eustace'em. Ech, to była święta kobieta... i taka dobra, taka miła... tego się wprost nie da opisać. Jedno tylko powiem... i zawsze to mówiliśmy... po rodzinie Cheviotów niczego dobrego nie można się spodziewać, a pan Eustace to cały Cheviot. Rodzina Wincantonów była całkiem inna, to znaczy nieboszczka pani i jej o dwa lata młodsza siostra, jej lordowska mość, matka lorda Carlyona. Stary pan Wincanton zostawił Highnoons naszej dawniej pani, ale tak wszystko urządził, żeby majątek nie przeszedł na Cheviotów.

~ O, starszy pan nigdy nie cenił Cheviotów - wtrącił Barrow. - Pan Cheviot był obcy, z Kentu, jak mi się zdaje.

- Cicho - skarciła go pani Barrow. - Ale to prawda, co mój mąż mówi. Nikt tu zbyt panu Cheviota nie lubił i zostaliśmy tu wyłącznie dla naszej pani.

W czasie długiej wędrówki po obszernym domu, podczas której przejrane zostały wszystkie szafy i komody, Elinor, nie

chcąc urazić starej służącej, cierpliwie wysłuchiwała jej opowieści, zresztą z pewnym zainteresowaniem. Dowiedziała się, jakie to hulaszczę życie prowadził Eustace, jak w czasie swych rzadkich wizyt w domu sprowadzał zwykle gromadę gości... i to nie tylko mężczyzn... których towarzystwo dla przyzwoitej kobiety byłoby nie do przyjęcia.

- I jak tu się dziwić, że spotkał go taki koniec? - powiedziała pani Barrow. - Że też musiało się to stać z ręki panicza Nicholasa! Nigdy nie byłam tak wstrząśnięta, madam. Przecież znam go od kołyski. Ale jego lordowska mość wszystko jakoś załatwi.

Nie ulegało wątpliwości, że lord Carlyon cieszy się w sąsiedztwie niezwykłym poważaniem. Był dobrym gospodarzem, tak samo jak jego ojciec, i, zdaniem pani Barrow, osobą, której życzenia były prawem, a wszelkie działania nie podlegały krytyce. Elinor z uśmiechem słuchała tych opinii. Pomyślała, że jest on człowiekiem, w którego charakterze musi być coś szlachetnego, skoro wzbudza taką sympatię i szacunek podwładnych.

Popołudnie minęło szybko, a przy tym owocnie. Obydwie kobiety omówiły plan dalszych działań, podjęte zostały pierwsze decyzje. Ustaliły, że już od jutra zaangażowana zostanie do pracy siostrzenica pani Barrow. a żona starego stajennego zajmie się szorowaniem podłóg i sprzętów. Zanim Elinor zasiadła do wczesnej kolacji, znalazły jeszcze chwilę czasu, by obejrzeć zaniedbany ogród. Ścieżki, które niegdyś były miejscem miłych spacerów, teraz okazały się trudne do przebycia z powodu zbyt rozrośniętych krzewów. Elinor, za aprobatą starej służącej, postanowiła przycięcie ich zlecić stajennemu.

Po obiedzie pani Cheviot udała się do biblioteki. Kazała przynieść świece i pudełko z przyborami do szycia oraz obrusy i ręczniki wymagające reperacji. Aż do momentu, kiedy podano wieczorną herbatę, Elinor siedziała zajęta pracą.

rozmyślając przy tym o najbliższej przyszłości i o wszystkim, co zdarzyło się od chwili jej przybycia do Sussex. Po herbacie nie wróciła już do przerwanej pracy, tylko zaczęła przeglądać ustawione na półkach książki w poszukiwaniu czegoś, co choć na pół godziny pomogłoby jej oderwać myśli od trudnych problemów. Żadnych nowości nie dostrzegła. Większość miejsca na półkach zajmowały zbiory kazań, książki historyczne, klasycy, ale w końcu znalazła parę książek, które niewątpliwie należały do ostatniej pani domu. Poza plikiem magazynów dla pań były to tomiki wierszy ulubionych poetów Elinor i parę powieści oprawionych w marmurkowe okładki. Znała je wszystkie i właśnie wahała się pomiędzy „Opowieściami z wyższych sfer” pani Edgeworth a mocno sfatygowanym egzemplarzem „Tadeusza z Warszawy”, kiedy zauważyła tytuł, który wydał jej się stosowny w obecnej sytuacji. Sięgnęła po „Poradnik dla wdów” i przez chwilę stojąc przerzucała strony. Niestety, w książce brakowało tylu kartek, że praktycznie nie nadawała się do czytania. Odłożyła ją i wzięła powieść zatytułowaną „Stary angielski baron”, wróciła na fotel, dorzuciła parę bierwion do ognia, by poczytać przez godzinkę, zanim uda się na spoczynek.

Dla Elinor, która w ostatnich latach niewiele miała czasu, by oddawać się tego rodzaju lekkiej lekturze, była to sytuacja prawdziwie komfortowa i ani ponury nastrój opowieści Clary Reeve, ani płacliwość bohaterki romansu nie mogły jej zniechęcić. Zapomniała o upływie czasu i na przemian rozbawiona albo zirytowana poczynaniami Orlanda i jego ukochanej pograżyła się w lekturze. Dopiero migotanie jednej ze świec przywróciło ją do rzeczywistości. Odruchowo spojrzała na stary zegar na półce nad kominkiem, ale jego wskazówki uporczywie pokazywały kwadrans po piątej. Świece skróciły się wyraźnie, pora musiała być późna. Elinor wstała z lekkim poczuciem winy, zapominając, że przecież nie ma

chlebodawczyni, która mogłaby mieć jej za złe, że nie oszczędza świec. Odłożyła książkę na półkę. Drgnęła, gdyż nagle usłyszała dźwięk przypominający skrzypienie schodów. Uświadomiła sobie, że od dłuższego czasu w domu panuje cisza, więc służba zapewne już dawno udała się na spoczynek. Przestraszona, znieruchomiła na chwilę, ale szybko opanowała się. Pomyślała, że stare schody potrafią trzeszczeć nawet wówczas, jeśli nikt po nich nie chodzi. Wzięła lichtarz z jedną świecą, przygotowany przez Barrowa do oświetlenia sypialni, przytknęła knot do płomienia, potem zgasiła świece w kandelabrze i podeszła do drzwi. Otworzyła je, wyszła do holu i tu doznała niemal szoku: stanęła twarzą w twarz z nieznanym mężczyzną, który kroczył w kierunku drzwi biblioteki.

Krzyknęła i na moment serce jej zamarło. W przeciwieństwie do bohaterki czytanej przed chwilą książki nie należała do osób o nadmiernej wrażliwości, przeciwnie, była wyjątkowo zrównoważoną młodą kobietą, toteż natychmiast zorientowała się, że nieznanomy jest co najmniej tak samo przestraszony jak ona.

W świetle oliwnej lampki, która stała na stole w holu, zobaczyła, że to młody dżentelmen ubrany w bryczesy, niebieski surdut i narzuconą na wierzch brązową pelerynę. Na głowie miał toczek do konnej jazdy, ale kiedy po paru sekundach opanował zaskoczenie, zdjął go i ukłonił się.

- Najmocniej... przepraszam - wyjąkał. - Ja... ja nie wiedziałem! Nie miałem pojęcia... Proszę mi wybaczyć!

Mówił z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. Elinor zauważyła, że ma ciemne włosy i czarne oczy. Sprawiał wrażenie mocno zmieszanego, ale jego manieri były nienaganne, a wygląd świadczył o wyszukanej elegancji. Elinor, zdając sobie sprawę z niezręczności sytuacji, zarumieniła się i powiedziała:

- Przypuszczam, że chciał się pan zobaczyć z kimś, kogo już tu nie ma. Nie rozumiem tylko, dlaczego służący zostawił

pana samego w holu. Nie słyszałam zresztą dzwonka i sądziłam, że Barrow poszedł już spać.

Mówiąc to spojrzała na wysoki szafkowy zegar stojący w holu i ze zdumieniem stwierdziła, że dochodzi północ. Mężczyzna wyraźnie zdawał sobie sprawę, że należą się jej jakieś wyjaśnienia. Po chwili wahania powiedział:

- Nie dzwoniłem do drzwi, madam, ze względu na zbyt późną porę. Jestem od tak dawna przyjacielem pana Cheviota, że zwykłem wchodzić do domu bez anonsowania. Wszedłem bocznym wejściem, nie chcąc budzić pana Barrowa. Ale nie wiedziałem... nie miałem pojęcia, że...

- Wszedł pan bocznym wejściem? - powtórzyła.

Przybysz był coraz bardziej zakłopotany.

- Jestem w tak dobrych stosunkach z panem Cheviotem, madam... zobaczyłem światło w bibliotece, więc odważyłem się... Gdybym wiedział ... Zatrzymałem się u przyjaciół w sąsiedztwie i miałem nadzieję, że spotkam tam pana Cheviota, ale on nie przyszedł, więc przypuszczałem, że może jest chory, a nie chciałem wyjechać nie spotykając się z nim... Krótko mówiąc, madam, dosiadłem konia i przyjechałem. O ile dobrze rozumiem, powiedziała pani, że go tu nie ma, prawda?

- Pan Cheviot miał ubiegłej nocy... przykry wypadek, sir, i z przykrością muszę pana poinformować, że nie żyje - powiedziała Elinor.

Mężczyzna wydawał się wstrząśnięty.

- Nie żyje? - powtórzył z niedowierzaniem.

Elinor skinęła głową. Trwające dłuższą chwilę milczenie przerwał nieznamy. Próbując opanować drżenie głosu zapytał:

- Jeśli można... Jak się to stało? Nie mogę wprost uwierzyć!

- Niestety, to prawda. Pan Cheviot wdał się w awanturę ubiegłej nocy i przez przypadek stracił życie.

Zauważyła błysk gniewu w jego czarnych oczach.

- Do diabła! Pewno był pijany... Głupiec!

Elinor nic na to nie powiedziała. Mężczyzna stał ze zmarszczonym czołem, dłoń zacisnął na szpicrucie. Po chwili znów się odezwał.

- Ubiegłej nocy, powiedziała pani. Jak sądzę w Londynie?

- Nie, sir. Tutaj, w Wisborough Green.

- A więc przyjechał wczoraj?

- Tak sądzę.

Rozejrzał się po holu, jak gdyby zastanawiał się, co powiedzieć. Wreszcie utkwił wzrok w twarzy Elinor.

- Proszę wybaczyć, zbyt jestem wstrząśnięty. A pani, madam? Niezbyt rozumiem?...

Przygotowana była na to pytanie, więc bez wahania odparła chłodno:

- Jestem pani Cheviot, sir.

Na jego twarzy znów dostrzegła bezgraniczne zdumienie. Patrząc na nią przez chwilę, a potem powtórzył tylko:

- Pani Cheviot?

- Tak.

- Ale... Chce pani powiedzieć, że jest żoną mojego przyjaciela?

- Wdową po nim, sir.

- Wielki Boże!

- Widzę, że jest pan zaskoczony, ale to prawda - stwierdziła. - Naturalnie, przyjaciele mojego męża są mile widziani w jego domu, ale rozumiem pan chyba, że o tej porze i w takich okolicznościach nie mogę okazać panu takiej gościnności, jaka... jaka...

Mężczyzna szybko opanował się.

- Ależ oczywiście. Zaraz panią pożegnám. Tylko... proszę mi wybaczyć, ale jest pani osobą młodą i teraz osamotnioną... To nieszczęście tak nagle na panią spadło... Jako bliski



przyjaciel Cheviota chciałem wyrazić gotowość udzielenia pani pomocy! Obawiam się, że w jego sprawach panuje straszliwy bałagan, gdyż wiem, że nie miał on zwyczaju... Krótko mówiąc, madam, jeśli mógłbym być pani pomocny, to czułbym się zaszczycony.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, sir, ale sprawami pana Cheviota zajął się jego kuzyn, lord Carlyon, i nie przypuszczam, żeby potrzebna mu była pomoc.

- Ach, w takim razie... To zmienia postać rzeczy. Można być pewnym, że lord Carlyon zrobi wszystko, co trzeba. Papiery, dokumenty mojego nieszczęsnego przyjaciela są zapewne nie uporządkowane jak zawsze... Musi pani wiedzieć, że cieszyłem się jego zaufaniem... ale skoro lord Carlyon weźmie sprawy w swoje ręce, to mogę być spokojny.

- Z całą pewnością - zgodziła się. - Jeśli w jakiś sposób powiązany był pan z panem Cheviotem interesami, to proszę zwrócić się do lorda Carlyona, on niewątpliwie zajmie się tym. W najbliższym czasie będzie zapewne bardzo zajęty w związku z nagłą śmiercią kuzyna, ale obiecał, że w ciągu najbliższych dni zjawi się tutaj w towarzystwie prawnika, żeby przejrzeć papiery pana Cheviota.

- Och, nie, nie, madam. Nie jestem związany z panem Cheviotem w jakikolwiek sposób, chciałem tylko w miarę możliwości służyć pani pomocą. Teraz, kiedy wiem, że sprawy są w dobrych rękach, niezwłocznie panią pożegnaj. Jeszcze raz gorąco przepraszam za wtargnięcie o takiej porze.

Uklonił się i ruszył ku drzwiom. Rygle były zasunięte i łańcuch założony. Młody człowiek sam otworzył sobie drzwi, jeszcze raz uklonił się, wyraził nadzieję, że chłodne nocne powietrze nie zaszkodzi Elinor, i wyszedł.

Z ulgą zamknęła za nim drzwi i założyła łańcuch, bo chociaż mężczyzna zachowywał się nienagannie, to towarzys-

two zupełnie obcego człowieka o tak późnej porze nie należało do przyjemnych.

Zamierzała już wejść na schody, by udać się swojej sypialni, gdy uświadomiła sobie, że intruz wszedł bocznym wejściem. Nie mogła spokojnie pójść spać bez upewnienia się, czy wszystkie drzwi zostały zamknięte. Cofnęła się więc i postanowiła sprawdzić, którądy nieznajomy mógł wejść.

Mimo skrupulatnych poszukiwań nie znalazła żadnych nie zabezpieczonych ryglami drzwi i to ją mocno zaniepokoiło. Wyglądało na to, że nocny gość mijał się z prawdą i do domu wszedł przez któreś nie domknięte okno. Wędrując ze świecą w dłoni z pokoju do pokoju, Elinor nie znalazła jednakże żadnego okna, które byłoby niestarannie zamknięte. Pogłębiło to jej niepokój. Musi przecież istnieć jakieś proste wyjaśnienie obecności tego człowieka w domu, pomyślała, ale żadne rozsądne wytłumaczenie nie przyszło jej do głowy. Z bijącym sercem udała się do swego pokoju. Gdyby ten młody dżentelmen był mniej uprzejmy i dystyngowany, z pewnością obudziłaby służbę, ale nie wydawało jej się możliwe, by dostał się do domu w jakichś niecznych zamiarach, no a poza wszystkim odjechał już dość dawno, nie miało więc sensu budzenie teraz Barrowa, by ruszył za nim w pogon. Tak czy inaczej, myśl o tym, że obcy człowiek może dostać się do domu, pomimo że wszystkie drzwi i okna są starannie zamknięte, była niepokojąca. Z ulgą zauważyła, że w zamku w drzwiach jej sypialni tkwi klucz. Bez wahania przekręciła go.

Przez pewnen czas leżała w łóżku, nasłuchując intensywnie, ale nic nie zakłócało nocnej ciszy. Zasnęła wreszcie i spała spokojnie aż do rana.

## 7

Zaraz następnego dnia rano Elinor nie tracąc czasu poinformowała pana i panią Barrow o tym, co zdarzyło się w nocy. Barrow gotów był przysiąc, że dokładnie zamknął wszystkie okna i drzwi, ale pani Barrow, z typowo kobiecą nieufnością, stwierdziła, że nigdy nie może ręczyć, że coś zostało zrobione, jeśli osobiście tego nie sprawdzi.

- Prawdą jest jednak - powiedziała Elinor - że zaraz po tej wizycie sprawdziłam drzwi. Wszystkie były zamknięte. Nie wyobrażam sobie, jak ten człowiek dostał się do domu. Może jest jeszcze jakieś wejście, o którym nie wiem?

- Musiał zakraść się przez okno - zapewnił ją Barrow.  
- Szkoda tyłko, że pani mnie nie obudziła. Już ja bym wysłał tego dżentelmena tam gdzie pieprz rośnie, i to bardzo szybko.

- Nie widziałam powodu, żeby kogokolwiek budzić. Dżentelmen nie sprawiał żadnych kłopotów, przeciwnie, zachowywał się grzecznie i był równie zaskoczony jak ja.

- Zastanawia mnie tylko, kto to mógł być - rozważał Barrow. - A może był to szanowny pan Francis Cheviot? On jest synem lorda Bedlingtona, stryja pana Eustace'a.

- Nie wiem. Postąpiłam nierozsądnie nie pytając go o nazwisko.

- Taki bardzo elegancki dżentelmen? - dopytywał się Barrow. - Miły i delikatny w obejściu?

- N... nie. A w każdym razie nie wiem. Na pewno ubrany był modnie, ale nie wyglądał na dandysa. Bardzo młody, czarne włosy... Och, mówił z cudzoziemskim akcentem.

- A, to on. To ten Francuz - powiedział lekceważąco Barrow. - Widziałem go tutaj parę razy, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wchodził przez okno.

- Francuz? Chyba tak. Teraz sobie uświadamiam, że istotnie mówił z francuskim akcentem. Kim on jest?

- Przyprowadził go tu kiedyś pan Francis... Tak mi się zdaje - zastanawiał się Barrow. - Nosi jakieś cudzoziemskie nazwisko, ale nie pamiętam dobrze jakie. Do Anglii przywieźli go w koszu z kapustą.

- Przywieźli go w koszu?

- Przestań, Barrow - skarciła go żona. - Jemu jak zwykle coś się pomieszało, madam.

- Tak mi powiedział pan Eustace - upierał się Barrow. - Ten Francuz był wtedy niemowlęciem i siedział schowany w tym koszu jak mysz pod miotłą. Daję słowo.

- To nie był kosz, tylko wóz z kapustą, madam, no i nie całą drogę do Anglii tak przebył. Działo się to w czasie tej ich strasznej rewolucji. Podobno uciekali stamtąd wszyscy przyzwoici i szlachetnie urodzeni ludzie. Żeby wydostać się z miasta, używali różnych dziwacznych sposobów.

- O, ci Francuzi to znają takie cudzoziemskie sztuczki - Barrow pokiwał głową. - Ja tam nie wierzę we wszystko, co o nich mówią, i zawsze uważałam, że dużo jest w tym przesady.

- Rozumiem, rodzina emigrantów - powiedziała Elinor.

- Powinnaś się była domyślić.

- Nie wiem, co to za rodzina, ale co go naszło, żeby

przyjść z wizytą do pana Eustace'a o takiej porze? - dziwił się Barrow. - Widziałem go parę razy, wiem, że to Francuz, tylko czemu nie wszedł jak chrześcijanin przez frontowe drzwi?

- Mówił, że zatrzymał się u przyjaciół, gdzieś w sąsiedztwie.

Barrow spojrział na nią z niedowierzaniem, potem podrapał się po brodzie.

- Nie odwiedził jego lordowskiej mości w Hall, to pewne. Nie zatrzymał się też w Priory, bo stary sir Matthew nienawidzi Francuzów. W Elm House też nie mógł być, bo takie przyzwoite damy, jak panna Lynton i panna Elizabeth, nie przyjęłyby go pod swój dach. Jeśli miał na myśli Hurst, to pan Frinton z żoną wyjechali na parę dni do Londynu.

- Prawdopodobnie przyjechał z Hiil - zasugerowała pani Barrow.

- Może i tak - zgodził się Barrow. - Bóg wie, co się tam dzieje...

Pan Barrow uznał widać, że wszystkie problemy zostały rozstrzygnięte, i wyszedł, żeby zająć się inwentaryzacją domowych sreber.

Elinor również zrezygnowała z dalszych dociekań i przystąpiła do omawiania z panią Barrow drobnych domowych spraw. Kiedy jednak została sama, jej myśli wciąż uporczywie wracały do nocnego zdarzenia. Ciągle nie mogła pozbyć się dręczącego ją niepokoju.

O jedenastej usłyszała stukot końskich kopyt na podjeździe. Wyrzała przez okno i zobaczyła, że w stronę domu galopuje na rasowym gniadoszu Nicholas Carlyon. Tuż za koniem biegł duży pies, mieszaniec angielskiego doga z chartem. Nicholas zobaczył ją w otwartym oknie, pomachał szpicrutą i zawołał:

- Jak się pani miewa? Ned prosił, żebym tu przyjechał i sprawdził, czy niczego pani nie brakuje.

- Bardzo jestem wdzięczna. Proszę odprowadzić konia do stajni. Zaraz zejdę na dół i wpuszczę pana.

Po chwili czekała na niego w progu domu.

- Dzień dobry. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, że wejść do domu razem z Kolosem? Jeśli pani sobie życzy zostawię go na zewnątrz, tylko obawiam się, że zaraz ucieknie do lasu, i to lasu należącego do sir Matthewa Kendala, a on tego nie znosi.

- Nie musi go pan zostawiać - odparła. - Wcale mi nie przeszkadza. Przyzwyczajona jestem do obecności psów w domu. Proszę go wziąć ze sobą.

Spojrzał na nią z wdzięcznością i przywołał psa. Barrow, który akurat przechodził przez hoł, spojrział z przyganą na swoją panią i zauważył, że jeśli pan Nicky będzie przyprowadzał tu psa, to nie ma sensu sprowadzać żony stajenngo do szorowania podłóg. Inteligentne psisko wyszczerzyło na niego zęby, więc stary służący szybko się oddalił mrucząc coś pod nosem.

- Mój brat wszedł do powozu i gdzieś odjechał, pani Cheviot - oznajmił Nicky wchodząc za Elinor do biblioteki.

- Och, zapomniałem, że pani nie lubi, jeśli ktoś panią tak nazywa. Może w tej sytuacji, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, będę zwracał się do pani: kuzynko Elinor? Jest pani przecież teraz naszą kuzynką, prawda?

- Sądzę że tak, przez małżeństwo - potwierdziła Elinor.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan się tak do mnie zwracał... kuzynie Nicholas.

- O nie, proszę nie używać imienia Nicholas. Nikt mnie tak nie nazywa... no, czasami John, kiedy wygłasza te swoje kazania. Ned nigdy tego nie robi. Widzę, że już wiele pani tutaj zmieniła! Świetnie.

Poprosiła go, żeby usiadł. Nicky odmówił poczęstunku, chciał tylko wiedzieć, w jaki sposób może jej pomóc.

- Musi pani wiedzieć, że mam teraz mnóstwo czasu - powiedział. - Ned uważa, że mógłbym się pani na coś przydać.

Nie sądziła, aby jego pomoc przy sortowaniu bielizny pościelowej mogła okazać się użyteczna, ale pomyślała, że może pomóc jej w zidentyfikowaniu nocnego gościa. Opisała więc spotkanie z nim. Wysłuchał z zainteresowaniem i na koniec powiedział, że kuzyn Eustace prowadził dość swobodny tryb życia, więc i jego przyjaciele nie są zapewne lepsi. Nazwisko Francuza niewiele go obchodziło, natomiast intrygujący był dla niego sposób, w jaki ten człowiek dostał się do domu.

- Coś się za tym kryje, kuzynko - powiedział. - W dobrych zamiarach nikt nie zakrada się do cudzego domu o północy. Myślę, że Eustace wpłątany był w jakąś brzydką aferę.

- Mam nadzieję, że pan się myli - westchnęła Elinor - bo jeśli nie, to mogę oczekiwać ponownych wizyt ludzi, którzy będą tu czegoś szukać.

- To prawda. Czy jest pani pewna, że wszystkie wejścia były zamknięte?

- Nie stwierdziłam, żeby któreś było otwarte. I to mnie najbardziej dziwi. Nie potrafię nad tym przejść do porządku dziennego.

- Proszę posłuchać, kuzynko Elinor. - Oczy młodzieńca błyszczały podnieceniem. - Wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że do tego domu prowadzi jakieś tajemne wejście, o którym nie wiemy.

Spojrzała na niego z wyraźnym niepokojem.

- Nie, błagam, niech mnie pan nie straszy.

- Tak, z pewnością jest takie wejście - upierał się.

- Podobno w tym dworze ukrywał się Karol II po Worcester. Ned twierdzi, że to tylko legenda, bo król nigdy nie przebywał

bliżej niż dziesięć mil od Highnoons, ale kto wie, jak było naprawdę.

- Kto wie? - powtórzyła Elinor jak echo.

Nicky zerwał się z krzesła i zaczął krażyć po pokoju opukując ściany.

- Gdzieś tutaj musi być ruchomy fragment boazerii, a za nim ukryte przejście prowadzące do ogrodu.

- Na pewno nie w tym pokoju - powiedziała stanowczo Elinor. - Przecież on nie wszedł tędy... a w ogóle proszę nie mówić takich rzeczy. Nie zmruję oka przez całą noc.

- Myślę, że nie powinna pani - zgodził się Nicky. - Musimy znaleźć to przejście. Do licha, ale mamy piękną zabawę!

Nie miała innego wyjścia, jak pozwolić mu przeszukać dom. Poszła z nim, trochę rozbawiona jego entuzjazmem, ale i trochę przestraszona, że istotnie Nicky może odkryć jakieś tajemne wejście. Kolos towarzyszył im pełen nadziei, że uda mu się upolować szczura, ale wkrótce zniechęcił się, ziewnął, położył się i zasnął. Nicky cierpliwie, ale bez rezultatów opukiwał boazerię we wszystkich pokojach na parterze licząc na to, że znajdzie pustą przestrzeń świadcząca o istnieniu ukrytych drzwi. Elinor uspokoiła się nieco, ale młodzieniec postanowił kontynuować poszukiwania na piętrze. Nie pomogło tłumaczenie, że to przecież nieprawdopodobne, by tajemne wejście znajdowało się w jednej z licznych sypialni. Nicky twierdził, że równie dobrze ukryte drzwi mogą się znajdować na przykład na poddaszu, w spiżarni do przechowywania serów, i że nawet kiedyś widział już coś takiego.

- Wielki Boże, tutaj jest na strychu pomieszczenie, które w przeszłości prawdopodobnie było taką spiżarnią! - zawołała mocno poruszona Elinor.

- Naprawdę? - ucieszył się Nicky. - Zaraz tam pójde.

Tym razem Elinor nie poszła z nim. Po dłuższym czasie

wrócił mocno rozczarowany. Nie znalazł nic godnego uwagi. Jego poczynania coraz bardziej przypominały Elinor zachowanie jej dawnych uczniów, toteż wkrótce zaczęła zwracać się do niego po imieniu, co Nicky zresztą przyjął z radością. Sugestię chłopca, że miejscem, gdzie można by ukryć tajemne wejście, jest spora szafa wbudowana w ścianę jej sypialni, skwitowała ostrą reprimendą, ale on był widać do tego przyzwyczajony, bo uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Wiem, że jestem niezdolny, ale jaką miałibyśmy świetną zabawę, kuzynko Elinor, gdyby okazało się to prawdą! Wyobraża sobie pani?

- Wyobrażam sobie. Uprzedzam cię, Nicky, że jeśli chcesz mnie przestraszyć, to tylko tracisz czas. Pamiętaj, że byłam guwernantką, a guwernantki rzadko ulegają romantycznym nastrojom, nie pozwalają sobie na omdlenia czy ataki hysterii.

- O, myli się pani! Moje siostry miały guwernantkę, która mdlała przy każdej okazji. Powiedzieliśmy jej, że dwór w Hall jest nawiedzany przez duchy. Którejś nocy Gussie... moja siostra Augusta, wie pani... okręciła się prześcieradłem, a Harry i ja podzwanialiśmy łańcuchami i robiliśmy straszny hałas. Nie wytrzymała z nami dłużej niż miesiąc.

- Dziwne, że aż tak długo - stwierdziła Elinor. - Miałam widać wyjątkowo dużo szczęścia, że nie zostałam guwernantką twoich siostr.

Roześmiał się, a potem powiedział:

- Och, pani nigdy nie zrobilibyśmy czegoś takiego, bo pani jest zupełnie inna niż te guwernantki. Czy mogę wejść do tego pokoju?

- Proszę bardzo - zgodziła się wielkodusznie - ale jeśli znajdziesz jakiś szkielet za boazerią, natychmiast mnie zawołaj. Będę w spiżarni na końcu korytarza.

Elinor zajęła się ustawianiem słoików na półkach, ale już po

chwili usłyszała, jak Nicky woła ją, wyraźnie czymś pod-eksytowany. Wyszła na korytarz i powiedziała spokojnie:

- Znalazłeś zapewne czaszkę. Jestem pewna, że bardzo się ucieszyłeś.

- Nie, nie, ale proszę tu przyjść, kuzynko Elinor! Naprawdę warto.

- No już dobrze, ale pamiętaj, że oczekuję czegoś niezwykłego. Nawet nie wiem, czy wystarczy mi czaszka.

Zaprowadził ją do niewielkiego kwadratowego pokoju sąsiadującego z jej sypialnią. Całe umeblowanie składało się z łóżka, rzeźbionego kufra i dwóch foteli. Ściany aż do sufitu wyłożone były boazerią.

- Żartuje sobie pani ze mnie, ale przestanie się pani śmiać po obejrzeniu tego, co odkryłem. Proszę tylko spojrzeć, kuzynko. Nic niezwykłego pani nie dostrzeżę, prawda?

- Istotnie - zgodziła się. - Ponieważ dość dokładnie obejrzałam ten dom, wiem, że tutaj, na prawo od kominka, jest ukryta w ścianie szafa...

- Tak - przerwał jej wcale nie zaskoczony. - A czy wie pani, co jest w tej szafie?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nicky, jeśli wstawiłeś tam coś straszego po to, żeby mnie przerazić, to...

~ Nie oszukuję pani, madam. Czy uważa pani, że mógłbym zrobić coś takiego?

- Tak mi się wydaje - powiedziała szczerze Elinor.

- Myli się pani. Proszę spojrzeć.

Podszedł do szafy i otworzył ją. Elinor zerknęła do wnętrza, ale szafa była pusta. Spojrzała pytająco na chłopca i zauważyła, że jego niewinne niebieskie oczy błyszczą podnieceniem.

- Na litość boską, natychmiast powiedz mi, co tam znalazłeś!

- Proszę spojrzeć - powtórzył.

Wcisnął się do ciasnej szafy, ukląkł i z wysiłkiem uniósł fragment dębowej podłogi. Deski były tak ze sobą połączone, że nawet po otwarciu szafy trudno było dostrzec, że podłoga nie tworzy jednolitej całości. Elinorze zdumieniem zobaczyła, że pod usuniętym fragmentem podłogi zieje wąski czarny otwór.

- Znacznie łatwiej można otworzyć to wejście od dołu - wyjaśnił Nicky i oparł trójkątną pokrywę o ścianę.

- Łatwiej otworzyć od dołu - powtórzyła drżącym głosem Elinor.

- Tak, już to sprawdziłem. Przypuszczam, że dawniej musiał tu być jakiś uchwyt, ułatwiający otwarcie kłapy od tej strony. Teraz została tylko niewielka szpara, taka, że z trudem mogłem w nią wcisnąć palce. Nie mogło tak być, jeśli przejście wykorzystywano częściej. Proszę tutaj spojrzeć, kuzynko Elinor, widzi pani? Są tu schodki prowadzące w dół. Przylegają one do tego potężnego komina.

- Wielki Boże! - szepnęła.

- Wiedziałem, że będzie pani zdumiona. Ciekawe, czy Ned zna to przejście.

- Jeśli okaże się, że pański... pański okropny brat wiedział o tym i zostawił mnie tu na łasce przypadkowych włóczęgów, którzy nocą mogą zakraść się do tego domu... Nie, to byłoby zbyt ohydne... Dokąd prowadzą te schodki?

- Jeszcze nie wiem. Najpierw chciałem pokazać pani to wejście, bo to przecież pani dom i postąpiłbym nieładnie zachowując całą przyjemność dla siebie.

- Tak myślisz? Jestem ci mocno zobowiązana. Ciekawe czy są tu w domu jakieś sole trzeźwiące?

- Znowu sobie pani ze mnie żartuje. Nie traćmy jednak czasu, Czy pozwoli pani, że pójdę pierwszy?

- W dół, tymi schodkami? - zawołała Elinor. - Czy ty sobie, potworze, wyobrażasz, że ja postawię na nich nogę?

- Nie chce pani? - Spojrzył na nią nieco zaskoczony.  
- Och, pewno obawia się pani, że są zakurzone. Istotnie, chyba tak, ale mnie to nie przeszkadza. Proszę zostać tutaj, a ja sprawdzę, dokąd one prowadzą.

Podeszła szybko do niego i złapała go za rękaw.

- Nicky, na litość boską, nie idź tam. Nie masz nawet świecy. Kto wie, co tam może być!

- Drobiazg. Trochę światła wpada przez ten otwór i to mi wystarczy. Schodki muszą oczywiście prowadzić do ogrodu. Ciekawe tylko, dlaczego nie zauważyliśmy żadnych drzwi w murze. Nie ma się czego bać, kuzynko Elinor.

- Nic nie wiadomo. Możesz zlecieć i złamać sobie nogę albo znaleźć coś... Och, wolałabym, żebyś tam nie schodził.

- Nie sądzę, żeby tam znalazł. - Uśmiechnął się do niej. - Jeśli jednak znajdę czaszkę, to natychmiast oddam ją pani.

- Nawet nie próbuj ~ wzdrygnęła się. - Jeśli już koniecznie chcesz zejść, to pozwól, że zawołam pana Barrowa, żeby poszedł z tobą.

- Barrow? O, nie, dziękuję. W ogóle nie zamierzam mówić mu o tym.

Elinor pełna niepokoju czekała na górze i tylko co chwila pytała, czy nic mu się nie stało. Zapewniał ją, że nic mu nie grozi i że jest dostatecznie jasno, by widzieć dalszą drogę. Usiadła wreszcie w fotelu, czekając na rezultat ekspedycji. Wydawało jej się, że minął wiek, zanim się pojawił, ale doczekała się wreszcie jego powrotu. Wszedł do pokoju otrzepując kurz z ubrania.

- To po prostu fantastyczne - poinformował ją. - Jest tak, jak przypuszczałem. Schodki biegną aż do parteru wzdłuż

komina. Wie pani, to jest ten komin na tyłach domu. Na dole znajdują się drzwi w murze, ale są tak zarośnięte dziką winoroślą, że trzeba o nich wiedzieć, żeby je znaleźć. Ciekawe, jak były zamaskowane w dawnych czasach.

- Obawiam się, że z zewnątrz można te drzwi bez trudu otworzyć.

- Och, bez najmniejszego trudu. Zamknięte są tylko na klamkę. Wystarczy odsunąć winorośl, nacisnąć klamkę i już jest się w środku. Kuzynko Elinor! Chyba nigdy nie widziałem czegoś tak fascynującego. Szkoda, że w Hall nie mamy takiego tajemnego przejścia.

- Bardzo ci współczuję - zauważyła z nutą ironii.

- To jest nie w porządku, żeby taki facet jak Eustace miał coś tak wspaniałego... Założę się, że nigdy z tego nie korzystał. Proszę tylko pomyśleć, co Harry i ja moglibyśmy robić, gdybyśmy mieli w Hall takie tajemne wejście.

- Nawet wolę o tym nie myśleć - powiedziała Elinor.  
- Ale bardzo ci współczuję, że w Hall nie zbudowano takich ukrytych schodów.

- O tak, szkoda - odparł z żalem - ale teraz nie ma już o czym mówić. Żałuję tylko, że wcześniej nie wiedziałem, że jest tu coś takiego. Och, gdyby Harry znał to wejście, kiedy byliśmy dziećmi, na pewno wymyśliłby niejedną piękną sztuczkę. On zawsze miał dobre pomysły. Ale mogliśmy robić kawały kuzynowi! Wie pani, Harry to jeden z moich braci. Jest teraz na Półwyspie Iberyjskim, a szkoda. Na pewno by go pani polubiła.

- Z całą pewnością - zgodziła się Elinor. - Z tego, co mówisz, wnioskuję, że to bardzo sympatyczny młodzieniec. Na razie jednak byłabym ci bardzo zobowiązana, gdybyś postarał się o młotek, parę mocnych gwoździ i zabezpieczył to ukryte wejście.

- Zabić je gwoździami? Kuzynko Elinor, czy nie rozumie pani, że ten człowiek, który złożył pani wizytę ubiegłej nocy, dostał się do domu właśnie tą drogą?

Elinor potrząsnęła głową.

- Tak, Nicky. Rozumiem to doskonale - powiedziała.  
- I właśnie dlatego, że nie mam najmniejszej ochoty, by powtórzył tę wizytę, proszę, żebyś dobrze zabezpieczył to wejście.

- Wcale nie jestem przekonany, że powinniśmy to zrobić - protestował Nicky. - Im więcej myślę o tej sprawie, tym bardziej podejrzewam, że kryje się za nią coś niezbyt pięknego.

- To prawda. Tak ukradkowa wizyta u każdego wzbudziła by podejrzania i właśnie dlatego wołałabym nie podtrzymywać tej znajomości.

- Dlaczego to zrobił, skoro nie wiedział, że Eustace nie żyje? - zastanawiał się Nicky, - A może wcale nie był przyjacielem kuzyna i chciał dostać się do domu bez jego wiedzy?

- Nie - odpowiedziała Elinor po chwili zastanowienia.  
- Musiał dostrzec światło wydobywające się spod drzwi biblioteki i myślał, że jest tam twój kuzyn. Nie wątpię, że zmierzał wprost do drzwi tego pokoju w chwili, kiedy je otworzyłam. Słyszał też z pewnością moje kroki. Gdyby nie chciał, żeby go ktoś zobaczył, mógł się ukryć, miał na to dostatecznie dużo czasu. Jestem przekonana, że zamierzał spotkać się z Eustace'em Cheviotem.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, co ich łączyło! - Oczy młodzieńca znów płonęły ekscytacją. - Ciekawe, co to mogło być? Można przypuszczać, że z ukrytego przejścia skorzystał dlatego, żeby służba nie wiedziała o jego wizycie. Proszę mi jeszcze raz powtórzyć to, co pani powiedział.

Elinor starała się spełnić jego prośbę najlepiej, jak tylko

mogła. Słuchał uważnie, zadał jej parę pytań o szczegóły, a potem pokręcił głową i powiedział:

- Bardzo to wszystko dziwne. Nie wiem, po co on tu przyszedł, ale nie wydaje mi się, żeby był tak niewinny, jak pani myśli. Gdyby tak istotnie było, nie utrzymywałby tak dobrych stosunków z moim kuzynem. Powiedział, że jest jego przyjacielem, prawda?

- Tak, i to bardzo bliskim. Nawet mówił o tym, że wie, jaki bałagan panuje w jego papierach, i zaproponował swoją pomoc przy ich porządkowaniu.

- Naprawdę zaproponował pomoc? - zapytał Nicky, intensywnie wpatrując się w Elinor. - Czemu miałyby pani korzystać z uprzejmości obcego człowieka, skoro Eustace miał wielu krewnych, do których zawsze mogłaby pani zwrócić się o pomoc w tej sprawie? Na Jowisza, kuzynko Elinor, tutaj chyba kryje się rozwiązanie zagadki! Pani nocny gość przyszedł po jakiś dokument, który miał otrzymać od mojego kuzyna. Nie dostał go i dlatego proponował pomoc w porządkowaniu papierów! Chodźmy zaraz na dół i sprawdźmy, co to może być.

- Nie, tego nie możemy zrobić - stwierdziła stanowczo Elinor. - Twój brat zostawił te papiery pod moją opieką i nikt nie może do nich zaglądać, dopóki lord Carlyon nie przejrzy ich razem z prawnikiem, wykonawcą testamentu twojego kuzyna. Poza tym to nie ma sensu. Co w tych papierach może być takiego ważnego?

- Nie wiem, ale gotów jestem przysiąc, że coś w nich jest. Może zresztą nie chodzi o żaden dokument? Może Eustace ukradł coś wartościowego? On miał do tego skłonności.

- To chyba niemożliwe - powiedziała Elinor. - Chcesz powiedzieć, że twój kuzyn był zwykłym złodziejem? To brzmi absurdalnie.

- A jednak ukradł kiedyś Harry'emu jego najlepszą wędkę - upierał się Nicky. - Harry złał go za to, a on wtedy poskarżył się ciotce. Trudno sobie wyobrazić bardziej tchórzliwego faceta.

- O, mój drogi, jest chyba różnica pomiędzy pożyczaniem sobie cudzego przedmiotu a...

- On tej wędki nie pożyczył, ale ukradł, i przysięgał, że nie wie gdzie jest! Harry jednak domyślił się, gdzie ją ukrył, i odzyskał swoją własność. Jeśli mi pani nie wierzy, to proszę zapytać Neda. Może nie powinienem o tym mówić, ale Eustace wyleciał z Eton za kradzież. Oficjalnie usunięto go bez podania powodów, ale tylko dlatego, że Ned to załatwił.

- Wielki Boże! Za kogo ja wysłałam za męża!

- O, to był niesamowity facet. Widzi więc pani...

- Nie chcę wiedzieć, jaki był niesamowity, i nie pozwolę ci grzebać w jego papierach - powiedziała stanowczo Elinor.

- Byłoby z mojej strony nieestosowne, gdybym wyraziła na to zgodę. Próbujesz w bardzo skomplikowany sposób wyjaśnić całkiem proste sprawy.

- Założę się, że nie ma pani racji - bronił się Nicky. ~ Oczywiście, jeśli uważa pani, że nie powinienem przeglądać papierów kuzyna, to nie upieram się. Myślę, że powinienem teraz wrócić do Hall i opowiedzieć Nedowi o naszych odkryciach. Mam nadzieję, że jest już w domu.

- O tak, tak będzie najlepiej - ucieszyła się Elinor. - Tylko chciałabym, żebyś przed odjazdem zabezpieczył to wejście.

- Nie, nie, nie możemy tego zrobić - zaprotestował. - Mam nadzieję, że ten facet wróci. Założę się, że wróci, i nie możemy go spłoszyć. Zgadza się pani ze mną, kuzynko Elinor?

- Absolutnie nie! - wykrzyknęła Elinor i wstała z fotela. - Jeśli przyjdzie, poczęstuję go herbatą. Żałuję, że nie pomyślałam o tym w czasie jego wizyty. Mam nadzieję, że



brak gościnności z mojej strony nie zniechęcił go do dalszych odwiedzin tego domu.

~ Och, była pani dla niego bardzo miła - powiedział Nicky. - Ale mówmy teraz poważnie, madam. Widzi pani, jeśli ja mam rację, a sądzę że tak, to on znów tu przyjdzie, żeby zabrać to, na czym tak bardzo mu zależy. Musimy czekać na niego i złapać go na gorącym uczynku. Jestem pewny, że Ned byłby tego samego zdania.

- O tak, w to gotowa jestem uwierzyć - zauważyła z ironicznym uśmiechem Elinor.

Nicky umieścił klapę na swoim miejscu i zamknął szafę.

- Na razie nie mamy tu nic do roboty - powiedział. - Zejdźmy teraz na dół, kuzynko. Nie powinna pani nic o tym mówić panu Barrow i jego żonie. Lepiej, żeby nikt nie wiedział o naszym odkryciu, a poza tym obawiam się, że mogliby przestraszyć się i uciec, zostawiając panią samą.

- Wobec tego rozumiesz chyba, z jakimi uczuciami przystaję na twoje propozycje. Tylko nie łudź się, że namówisz mnie na spędzenie nocy w tym domu, jeśli te upiorne drzwi nie zostaną zabezpieczone. Nic mnie do tego nie zmusi. Chociaż prawdę mówiąc, wcale nie spodziewam się wizyty tego człowieka.

- Skoro tak, to nie powinna pani mieć nic przeciwko temu, że zostawię to przejście otwarte - odparł rezolutnie.

- Może i nie powinnam, ale widzisz, kobiety zachowują się czasem całkiem nieobliczalnie. Uznasz mnie zapewne za istotę tak tchórzliwą, jak twój kuzyn, ale uwierz mi, nie mogę pogodzić się z myślą, że istnieje wejście do tego domu, z którego może skorzystać ktoś przybywający, jak sam powiedziałaś, w złych zamiarach. Nawet w dziennym świetle odczuwam niepokój, a nawet lęk.

W trakcie tej rozmowy zeszli do biblioteki i Elinor zasiadła w fotelu obok kominka.

- Och, w dzień nie ma się czego bać - uspokajał ją Nicky.  
- Ale coś pani proponuję. Na czas mojej nieobecności, kiedy pojadę do Hall, żeby porozmawiać z Nedem, zostawię tutaj Kolosa. On będzie pani pilnował. Poczuje się pani bezpiecznie, bo to jest groźny pies. Parę dni temu ugryzł w nogę kowala. On jest nadzwyczajny, mimo że jeszcze młody.

Spojrzała z powątpiewaniem na psa, który smacznie spał rozciągnięty na podłodze przy kominku.

- Dobrze, jeśli uważasz... ale on prawdopodobnie nie będzie chciał tu zostać bez ciebie.

- Zostanie. Ćwiczyłem go, nauczyłem różnych sztuczek. Kolos, do mnie! Chodź tu!

Pies obudził się, usiadł, postawił uszy i wpatrywał się w swojego pana. Nicky poklepał go po grzbiecie.

- Dobry pies - powiedział. - Zostań tu i pilnuj jej. Rozumiesz? Siad! W porządku. Pilnuj, Kolos! Pamiętaj!  
- Nicky wyprostował się i z dumą spojrzał na swego ulubieńca.  
- Widzi pani jak on mnie rozumie? Teraz pójdę. Proszę mnie nie odprowadzać do drzwi. I proszę się nie martwić, kuzynko. Postaram się szybko wrócić i sprowadzić Neda... Siad, Kolos! Pilnuj!

Nicky wyszedł z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Wierny Kolos podbiegł do nich, węszył, zaskowyczał nawet, skoczył łapami na klamkę, ale drzwi nie otworzyły się, więc zrezygowany wrócił do kominka, położył się i utkwiał wzrok w powierzoną jego opiece damę.

Elinor opadła na oparcie fotela. Odczuwała potrzebę spokojnego odpoczynku, by jakoś uporządkować myśli. Odkrycie tajemnego przejścia dodatkowo wytrąciło ją z równowagi. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że teorie Nicholasa są wytworem jego bujnej wyobraźni, ale w żaden sposób nie potrafiła znaleźć sensownego wyjaśnienia nocnej wizyty

Francuza. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który skorzystał z tajemnego przejścia po to, by dla żartu przestraszyć właściciela domu, nie wyglądał też na pospolitego włamywacza. Jakiś powód tych odwiedzin musiał jednak istnieć. Była skłonna przypuszczać, że zna go tylko on. To, że może wrócić, wydawało się jej mało prawdopodobne, jednak nie potrafiła myśleć o tajemnym wejściu bez przyspieszonego bicia serca.

Doszła do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli zaprzestanie bezowocnych rozważań i zajmie się sortowaniem pościeli. Podniosła się z fotela i właśnie zamierzała ruszyć ku drzwiom, gdy nagle zorientowała się, że inteligentny pies, leżący dotąd spokojnie u jej stóp, niewątpliwie opacznie zrozumiał dane mu polecenie. On również wstał, sierść zjeżyła mu się na grzbiecie, unosząc wargi zademonstrował komplet podziwu godnych zębów i warknął.

Elinor znieruchomiała i z rezerwą patrzyła na niego.

- Dobry pies - powiedziała głosem, który miał brzmieć uspokajająco. - Leżeć!

Kolos zaszczekał.

- Och, ty dumne stworzenie! Przecież twój pan nie kazał ci trzymać mnie tutaj przykutej do fotela - skarciła go Elinor. - Kładź się natychmiast!

Kolos znowu warknął w taki sposób, że zabrzmiało to jak poważne ostrzeżenie. Elinor usiadła. Dumny z osiągniętego sukcesu Kolos położył się, wysunął oźór i sapał z zadowoleniem.

## 8

W skazówki zegara w bibliotece ciągle wskazywały tę samą godzinę, Elinor nie potrafiła więc dokładnie ocenić, jak długo pozostaje pod opieką czujnego brytana. Wydawało jej się, że bardzo długo. Dopóki nie poruszała się, Kolos leżał spokojnie z głową ułożoną na łapach i półprzymkniętymi oczami, ale przy jej najmniejszym nawet ruchu unosił głowę i sierść jeżyła mu się na karku. Próbowwała obłaskawić go, przemawiając łagodnie, ale i to nie pomagało. Pudełko z przyborami do szycia i sterta przeznaczonych do naprawy obrusów leżały na stole poza jej zasięgiem, jedynie etażerka stała na tyle blisko, by nie drażniąc zbyt swego opiekuna mogła sięgnąć ręką po książkę, którą zauważyła na jednej z półek. Okazało się, że jest to egzemplarz „Informatora wyścigów konnych” i na najbliższe godziny dzieło to stało się jedyną rozrywką Elinor. Pogłębiła w ten sposób swoje wiadomości z dziedziny, którą nigdy nie interesowała się zbyt. Z umiarkowanym zainteresowaniem prześledziła sportowe kariery licznych koni o imionach od całkiem pospolitych, jak Błyskawica czy Grom, aż do zupełnie fantastycznych, jak Dogoń i Prześcignij czy Nie Bój Się Zwycięzcy. Po tej długotrwałej lekturze była w stanie odpowiedzieć na każde pytanie dotyczące rodowodu czy wyglądu championów torów wyścigowych ostatnich lat.

Niestety, nawet ta pasjonująca lektura znudziła ją po pewnym czasie. Wreszcie późnym popołudniem w pokoju zjawił się Barrow i gdyby to nie on, lecz Nicky wszedł do biblioteki, zapewne pasjonujący informator wylądowałby na jego głowie.

- Nie zjadła pani popołudniowego posiłku, który pani Barrow przygotowała w jadalni - powiedział z przyganą.  
- Była pewna, że zechce pani coś zjeść.

- I chętnie bym zjadła - odparła Elinor - ale to durne psisko pana Nicholasa nie pozwala mi się ruszyć z fotela. Niech go pan odwoła.

- Co też mu przyszło do głowy żeby tę wstrętną bestię zostawić tutaj? - zdziwił się Barrow, patrząc z niechęcią na Kolosa.

- On... on uważał, że... chciał, żeby mnie pilnował - wyjaśniła dosyć nieskładnie Elinor.

- Miał pani pilnować? - powiedział z niedowierzaniem Barrow. - Panicz Nicky znów coś wymyślił! A po co tu pani potrzebny taki strażnik?

- Nie jest mi potrzebny i chciałabym, żeby pan go zabrał.

Barrow spojrział niepewnie na psa, Kolos odwzajemnił jego spojrzenie.

- Ale, wie pani, madam, to nie jest łagodne zwierzę. Wolałbym, żeby odwołał go panicz Nicky.

- Niestety, panicz Nicky wyjechał.

Barrow był wyraźnie zakłopotany. Ponaglany spojrzeniem Elinor, poklepał się w udo i zawołał psa. Kolos warknął. Barrow taktycznie cofnął się do drzwi, na co Kolos wstał i zaczął czekać z gorliwością psa, który rozumiał, że jego groźby odnoszą skutek przekraczający oczekiwania.

- Niech pan go zwabi jakimś kawałkiem mięsa - powiedziała rozdrażniona na dobre więźniarka.

- O tak, zaraz to zrobię - zgodził się Barrow.

Po chwili wrócił z talerzem pełnym pieczonej baraniny przygotowanej na posiłek dla Elinor. Towarzyszyła mu pani Barrow, uzbrojona w miotłę osadzoną na długim kijku. Oznajmiła, że zaraz uwolni swoją panią od tej przebrzydłej bestii. Kolos, co zrozumiałe, natychmiast nabrał podejrzeń co do prawdziwego przeznaczenia miotły i rzucił się w stronę gospodyni, szczerząc i tak groźnie warcząc, że Elinor nie pozostało nic innego, jak tylko błagać swą wyzwolicielkę, by natychmiast się wycofała. Wtedy pan Barrow, trzymając nisko przy podłodze talerz z mięsem, cmoknął na Kolosa. Pies ruszył gwałtownie w jego stronę. Pan Barrow szybko postawił talerz na podłodze i cofnął się aż za próg. Kolos błyskawicznie przełknął posiłek, oblizał się i czekał na dokładkę.

- Pozostało jedno wyjście, madam - stwierdził Barrow.  
- Muszę go zastrzelić. Tylko to mogę zrobić.

- Na Boga, nie! - krzyknęła Elinor. - Za nic na świecie nie pozwolę na to. Co by powiedział panicz Nicky!

- Panicz Nicky! - wykrzyknęła ze złością pani Barrow.  
- Jak tylko go zobaczę, to on już usłyszy ode mnie, co o tym myślę. Żeby takie sztuczki wyprawiać z panią! Wszystko powiem jego lordowskiej mości. Niech wie, jaki to nieznośny chłopak!

- Chciał jak najlepiej - zaprotestowała Elinor. - Powiedział też, że wkrótce wróci. Jak pani sądzi, czy udałoby się pani przynieść dla mnie herbatę i kawałek chleba z masłem? A może udałoby się też przysunąć ten stół trochę bliżej i mogłabym zająć się reperacją obrusów?

Kolos początkowo nie zgadzał się na przemeblowanie pokoju, ale pani Barrow wpadła na pomysł, żeby przekupić go potężną kością szpikową, co przyjął z dużym zadowoleniem i zaczął ją obgryzać trzymając między łapami. Teraz tylko

łagodnie powarkiwiał, kiedy stół został przepchnięty na inne miejsce. Wydawał się tak zajęty jedzeniem, że Elinor spróbowała jeszcze raz wstać z fotela. Tym razem posunęła się zbyt daleko. Musiała usiąść ponownie, i to szybko. Wtedy Kolos powrócił do obgryzania kości. Zęby miał w znakomitym stanie. Kiedy pani Barrow ostrożnie postawiła tacę na stole, postanowił sprawdzić jej zawartość. Zostawił na chwilę kość, wstał i podszedł do stołu. Pani Barrow spróbowała go odpędzić, ale szybko zmusił ją do ucieczki, a potem wrócił do tacy, żeby sprawdzić, co jeszcze drogą szantażu może uzyskać. Elinor zaproponowała mu skórkę od chleba, ale wyraźnie poczuł się urażony i wrócił do swojej kości. Zajmował się nią jeszcze przez pewien czas, a potem to, co zostało, schował pod jedną z poduszek na kanapie.

- Jesteś wstrętnym zwierzakiem - skarciła go Elinor. - Mam nadzieję, że dostaniesz lanie od swojego pana.

Ziewnął w odpowiedzi, ułożył się znów przy kominku i zapadł w miłą drzemkę, nie zapominając przy tym o swych obowiązkach.

Nicky wrócił do Highnoons dopiero o piątej. Elinor chętnie wytargałaby go za uszy. Przy wejściu powitał go Barrow i niewątpliwie poinformował, jakie skutki przyniósł jego pomysł, bo kiedy wszedł do biblioteki, uśmiechał się pokornie i powiedział:

- Och, kuzynko Elinor, najmocniej przepraszam. Spędziła pani tutaj cały dzień? Nie powinienem się śmiać, ale to takie zabawne! - Nachylił się i poklepał Kolosa, który radośnie kręcił się koło niego. - Ty łobuzie, co ty tu wyprawiałeś? Tak, dobry pies, siadaj, siad!

- To nie jest dobry pies! To jest wyjątkowo zły pies! - powiedziała zirytowana Elinor. ~ Dobrze ci się śmiać i chwalić tego potwora, ale ja już tracę cierpliwość.

- Naprawdę jest mi bardzo przykro, ale Kolos nic tu nie zawinił - tłumaczył się skruszony Nicky. - Po prostu niezbyt dokładnie mnie zrozumiał, ale jak się starał pilnując pani! Nie mogę być z niego niezadowolony. Nie miałem dotąd pewności, czy potrafi pilnować czegokolwiek lub kogokolwiek. Musi pani przyznać, że to bardzo mądre stworzenie.

- Wcale nie przyznam - powiedziała zirytowana nadal Elinor wstając i przyglądając spódnicę. - On ma kompletnie pomieszane w głowie. Gdzie byłeś tak długo? Gdzie jest twój brat?

- Och, nie ma go. Po przyjeździe do domu lokaj poinformował mnie, że Ned udał się do Londynu. Wróci jutro. Ale proszę się nie martwić, zostanę tu z panią. A może bez jego udziału złapiemy tego cudzoziemca? To byłoby coś wspaniałego, prawda?

- Nicky, nie jestem w odpowiednim nastroju do słuchania tych nonsensów, ostrzegam cię - oznajmiła Elinor. - Skoro lord Carlyon wyjechał, to musisz koniecznie zabezpieczyć tajemne wejście.

~ O nie, mam znacznie lepszy pomysł! - zawołał z ożywieniem Nicky. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, spędzę dzisiejszą noc w tym pokoju na górze i jeśli ktoś wejdzie do domu ukrytymi schodami, złapię go.

Niezadowolona Elinor dała mu jasno do zrozumienia, co myśli o tym projekcie. Nicky nie wydawał się przekonany i postanowił złamać jej opór pochlebstwami i przymilaniem się. Po dwudziestu minutach przekonywania opór Elinor zaczął słabnąć, po części dlatego, że była kobietą o miękkim sercu, ale przede wszystkim znając młodzieńców w jego wieku wiedziała, że nawet jeśli użyte przezeń argumenty są słabe, to spór może się ciągnąć do późnych godzin nocnych.

Uległa w końcu, zdając sobie sprawę, że go nie przekona, a Nicky postąpi i tak zgodnie ze swoim pomysłem.

Młodzieniec obdarzył ją jednym ze swych czarujących uśmiechów i stwierdził, że od początku był przekonany, iż jest ona osobą niezwykle dzielną. Podziękowała mu za komplement i zapytała, jak zamierza usprawiedliwić przed służbą swoją obecność w tym domu.

- Och, przekonam ich bez trudu - odpowiedział. - Powiem im, że jest pani wyrażona z równowagi tym, co zdarzyło się ubiegłej nocy, i że moja obecność podtrzyma panią na duchu.

- Skoro masz zamiar czuć przy tych schodkach, to myślę, że powinieneś poinformować o wszystkim Barrowa i poprosić, żeby ci towarzyszył - zaproponowała.

Na to w żadnym wypadku Nicky nie chciał się zgodzić. Stwierdził, że sam potrafi sobie poradzić z każdym nocnym przybłędą. Nieco ironicznym tonem zapewniła go, że ma do niego zaufanie i głęboko wierzy, że zdolny jest w pojedynkę unieszkodliwić nawet wielu włóczęgów, na co on pokazał jej niewielki pistolet, który przezornie przywiózł ze sobą.

- Czy jest nabity? - zapytała, patrząc podejrzliwie na jego uzbrojenie.

- Nabity? Oczywiście że nabity - oburzył się. - Jakiż sens miałyby zabieranie nie naładowanej broni? Tyle że kurek nie jest odciągnięty, więc może się pani nie obawiać, że przypadkowo wypali.

- Ach, tak - powiedziała. - Czy to twój pistolet?

- No... nie - odparł lekko zmieszany. - Tak się złożyło, że to jeden z pistoletów Neda... Ale on nie będzie miał nic przeciwko temu, że pożyczyłem go sobie.

- Ach, tak - powtórzyła Elinor. - Przypuszczam, że umiesz się posługiwać bronią - dodała.

- Wielki Boże! Oczywiście! Chodziłem jeszcze w krótkich spodenkach, jak Ned uczył mnie strzelać.

- Naprawdę? Musiałeś być chyba cudownym dzieckiem! Wybacz, ale nie wiedziałam o tym.

- W każdym razie miałem wówczas nie więcej niż dwanaście lat. - Uśmiechnął się niepewnie. - Nie mówię, że jestem tak dobrym strzelcem, jak Ned czy Harry, ale niejednym raz trafiałem w dziesiątkę.

- Teraz już jestem całkiem spokojna. Chciałabym ci tylko powiedzieć, że lepiej byłoby, gdybyś nie strzelał do nikogo, no, chyba w ostateczności.

- Na pewno nie będę. Nie mogę, zwłaszcza teraz kiedy wisi nade mną tamta sprawa. Nie chciałabym przysporzyć Nedowi dodatkowych kłopotów, rozumie pani.

- Rozumiem. Trudno byłoby mu wyciągnąć cię z dwóch takich spraw. To przekraczałoby jego możliwości.

- Och, nie ma obawy. Poradziłyby sobie. ~ Nicky nie tracił pogody ducha. - Ale proszę się nie martwić. Mam zamiar po prostu zatrzymać tego faceta i dowiedzieć się, czego tu szuka. Coś pani powiem, kuzynko Elinor. Jeśli on rzeczywiście przyjdzie, to nie zdradzę od razu swej obecności. Będę go śledził, żeby zorientować się, dokąd idzie i co chce znaleźć. Tak chyba trzeba zrobić, prawda?

Zgodziła się, tylko taktycznie zataiła przed nim, że przekonana jest o bezcelowości tych przygotowań, gdyż nikt nie zakłóci zapewne jego nocnego czuwania. Gdyby przypuszczała, że Francuz wróci, niewątpliwie poinformowałaby o tym Barrowa, ale w tej sytuacji nie chciała psuć zabawy swemu młodemu opiekunowi.

Wiadomość, że Nicky będzie nocował w Highnoons, przyjęta została w kuchni z umiarkowanym zadowoleniem. Pani Barrow zauważyła ponuro, że zna na tyle dobrze

młodego panicza, by nie wątpić, że znów gotów jest popełnić jakieś głupstwo, a pan Barrow wyraził opinię, że jeśli Nicky będzie się kręcił po domu jak mucha, to nikt tu nie zazna spokoju.

- Powtarzam pani, madam, że panicz Nicky, mówiąc bez ogródek, to całkiem zwariowany chłopak.

Pani Barrow znów przypomniała mu, że powinien trzymać język za zębami, i wyjaśniła Elinor, że to, co przed chwilą powiedział małżonek, znaczy tyle tylko, że panicz Nicky jest jeszcze chłopcem i że nie można na nim zbyt wiele polegać.

- Ale to nie ma znaczenia - dodała. - W każdym razie będzie pani miała towarzystwo. Powinna go pani tylko zmusić, żeby tego swojego niezdolnego psa trzymał na uwięzi.

To ostatnie okazało się w końcu niepotrzebne. Nicky już wcześniej zdecydował, że Kolosa trzeba zaniknąć w psiarni, bo wypłoszyłby nocnego gościa, tak więc wierne psisko, nakarmione mięsem z pokruszonymi sucharami, odprowadzone zostało do psiarni. W pysku trzymał wyjętą spod poduszki obgryzioną kość, którą wspaniałomyślnie ofiarowała mu Elinor. Jego zachowanie w stosunku do niej wskazywało, że chociaż z konieczności musiał spełnić przykry obowiązek, to jednak nie żywi niechęci do swej ofiary. Nie mogła mu jednak całkiem wybaczyć, że zachował się w stosunku do niej jak wstrętny zwierz. Kolos skwitował tę obelgę położeniem uszu po sobie i przepraszająco pomerdał ogonem.

Pani Cheviot i Nicholas Carlyon zjedli razem smakowitą kolację: karczek cielęcy duszony z ryżem, cebulą i pieprzem, potem placek z jabłkami i sernik. Skłoniło to Nicholasa do zapewnienia pani Barrow, że z chęcią widziałaby ją jako kucharkę w Hall. Potem, gdy pan Barrow postawił na stole karafkę z porto, Elinor wycofała się do biblioteki, gdzie po chwili zjawił się jej gość z propozycją rozegrania partyjki

pikiety. Ponieważ oboje mieli puste kieszenie, grali o wysokie, ale symboliczne stawki. Zanim podano herbatę, wygrana Elinor sięgała kilku tysięcy funtów. Nicky elegancko zauważył, że bardzo by się cieszył, gdyby mógł wypłacić jej chociaż połowę tej sumy. Do herbaty zasiedli w idealnej zgodzie.

Nicholas zabawiał gospodynię opowieściami o swoich przygodach, co serdecznie ją ubawiło. W zamian opowiedziała mu o niektórych sportowych wyczynach swojego ojca. W ten sposób przyjemnie minęły im prawie dwie godziny. Przed udaniem się na spoczynek Elinor zapewniła Nicholasa, że zaraz każe dla niego przygotować łóżko w pokoju, w którym postanowił czekać na nocnego gościa. Niewiele brakowało, by po tej wypowiedzi cały jej budowany z trudem autorytet legł w gruzach, na szczęście wyraz zaskoczenia na jego twarzy przywrócił jej rozsądek. Szybko go przeprosiła i wyjaśniła, że po prostu propozycja ta padła, ot tak, bez zastanowienia. Długo i cierpliwie tłumaczył jej potem, że przecież widok mężczyzny śpiącego w pokoju zmusi intruza do natychmiastowej ucieczki. Wyznała, że już jako dziecku zdarzało jej się postępować bezmyślnie, i rozstali się w przyjaźni. Elinor jeszcze przez jakiś czas leżąc w łóżku uśmiechała się na myśl o entuzjazmie chłopca, a on w małym kwadratowym pokoiku wyciągnął się na nie posianym łóżku zdecydowany czuć aż do skutku.

Po pierwszej godzinie wydało mu się to znacznie trudniejsze, niż przypuszczał. Myśli jego uparcie wędrowały do wygodnej gościnnej sypialni, w której czekało go miękkie łóżko. Zdjął buty do konnej jazdy i schował je za fotelem, ale po chwili zaczął marznąć w nogi. Narzucił więc na niejedną z poduszek, rozgrzał się i powoli zaczął zapadać w sen.

Elinor nie wiedziała o tym, że Nicky nawet w połowie nie wierzył we własne argumenty, i tak naprawdę wcale nie był

przekonany, czy istotnie czeka go przygoda. Nie pozbył się całkiem nadziei, ale w miarę upływu czasu miał jej coraz mniej. Z tym większą przyjemnością, ale i z niedowierzaniem, znajdując się na granicy pomiędzy snem a czuwaniem, odebrał oczekiwany sygnał. Od strony szafy w ścianie dobiegł go jakiś dźwięk. Oprzytomniał natychmiast, uniósł się na łokciach i nasłuchiwał, nie całkiem dowierzając własnym uszom. Po chwili nie miał już wątpliwości: ktoś podnosił ukrytą w podłodze klapę.

Z bijącym mocno sercem Nicky złapał poduszkę okrywającą mu nogi, położył ją na miejscu, a potem zsunął się za łóżko. W dłoni ścisnął pistolet. Noc była bezksiężycowa. Przez odsłonięte okno wpadało mało światła, jednak na tyle dużo, by mógł odróżnić zarysy nielicznych mebli.

Zgrzytnęły drzwi od szafy i na ścianie pojawiła się smuga żółtawego światła. Człowiek, który wszedł potajemnym wejściem, miał ze sobą latarnię. Nicky poczuł, że zasycha mu w ustach, ale był szczerze zadowolony. Siedział skulony za łóżkiem i czekał na rozwój wypadków. Smuga światła poruszyła się, usłyszał odgłos kroków, potem ciche skrzypienie drzwi od pokoju. Pochylił się mocniej, by dojrzeć coś spod łóżka. Żółtawe światło padało teraz na próg, ale po chwili zniknęło. Tajemniczy gość wyszedł na korytarz. Nicky policzył do dwudziestu, zanim zdecydował się podnieść z podłogi. Został sam w ciemnym pokoju, drzwi były otwarte. Podeszedł do nich, po drodze odciągnął kurek pistoletu. Żółte światło widział teraz u szczytu schodów. Nieznajomy stał nieruchomo, nasłuchiwał, czy nie dobiegają z głębi domu jakieś dźwięki. Nicky widział jego sylwetkę. Oparł się o ścianę i czekał. Nocny gość, najwyraźniej przekonany, że wszyscy śpią, powoli ruszył schodami w dół. Nicky szedł za nim w bezpiecznej odległości. Na nogach miał skarpetki, więc po drewnianej podłodze

poruszał się niemal bezszelestnie. O niepokój przyprawiało go tylko głośnie bicie własnego serca. Schodząc po schodach mocno opierał się o balustradę. Bał się, że pod ciężarem jego ciała może zatrzęszczyć któryś ze stopni.

W holu na dole panowała całkowita ciemność, rozjaśniona tylko bladym światłem z latarni intruza. Gdy Nicky znalazł się u podnóża schodów, nieznajomy, który zbliżał się właśnie do drzwi biblioteki, zatrzymał się nagle, jak gdyby usłyszał jakiś hałas, i uniósł latarnię, by odkryć jego źródło. Nicky instynktownie cofnął się o krok i... potracił stojącą za nim zardzewiałą zbroję. Sterta żelastwa z potwornym hukiem runęła na podłogę, a on razem z nią. Na szczęście jego palec nie spoczywał na spuście pistoletu. W zdenerwowaniu rzucił jakieś przekleństwo i szybko podniósł się na nogi.

- Stój! Nie ruszaj się! Trzymam cię na muszce! - zawołał.

Odszukał go nagle strumień światła z latarni, zaraz potem zobaczył błysk i rozległ się huk. Mocne uderzenie w ramię znów rzuciło go na podłogę. Wiedział, że został trafiony. Zdołał jeszcze unieść się na łokciu i wypalił w stronę latarni. Pocisk roztrzaskał ją, ale nie dosięgnął właściciela. Zapanowała ciemność. Nicky usłyszał odgłos odciąganych rygli u drzwi.

- Barrow! Barrow! - zawołał głośno.

Strumień chłodnego powietrza, który odczuł na twarzy, uświadomił mu, że drzwi są otwarte. Zdobycz wymknęła się z pułapki!

Na piętrze, w żółtej sypialni, pani Cheviot właśnie zasypiała. Pierwszy wystrzał przywołał ją do przytomności. Nie wierzyła własnym uszom. Zanim zdążyła się podnieść, usłyszała drugi. Błyskawicznie zerwała się z łóżka i wsunęła nogi w pantofle. Drżącymi palcami rozjaśniła oliwną lampkę stojącą na stoliku przy łóżku. Wkładając po drodze szlafrok wybiegła z pokoju krzycząc:

- Nicky, gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?  
 - Jestem w holu - odpowiedział jej słaby głos. - Do wszystkich diabłów, chybiłem!

Zbiegła szybko ze schodów, trzymając lampę wysoko nad głową i zobaczyła go, jak niepewnie próbuje wstać z podłogi.

- Nicky! Na Boga, nie powiesz chyba, że on wrócił!

- Wrócił? Oczywiście że tak - odparł Nicky ostrożnie obmacując lewe ramię. - Nie dość na tym, byłbym go złapał, gdyby nie trzymała pani tej cholernej zbroi w najgłupszym miejscu, jakie można sobie wyobrazić... Och, przepraszam, ale nawet święty straciłby w tej sytuacji cierpliwość.

- Nicky! Jesteś ranny! - zawołała przerażona. - Och, gdybym przypuszczała, że coś takiego może się zdarzyć, to nigdy nie... Mój biedaku, oprzyj się na mnie. Czy on do ciebie strzelał? Usłyszałam dwa wystrzały. Chyba nigdy nie byłam tak zdenerwowana... Dobry Boże! Ty krwawisz! Pozwól, że cię posadzę na tym fotelu.

- Myślę, że mnie lekko zranił - powiedział Nicky. Pozwolił zaprowadzić się do fotela i usiadł na nim ciężko. - Nie trafiłem go, tylko strzaskalem mu latarnię. To byłby piękny strzał, gdybym w nią celował, ale miałem cholernego pecha, kuzynko. Ani nie wiem, kto to był, ani czego chciał. Wiem tylko, że zamierzał wejść do biblioteki, czego się zresztą spodziewałem.

- Nie przejmuj się - uspokoiła go, potem postawiła lampę na stoliku i podbiegła do drzwi wejściowych, żeby je zamknąć. - Mam nadzieję, że nie jesteś poważnie ranny. Co na to powie lord Carlyon? Czuję się taka winna!

Nicky uśmiechnął się lekko.

- Zapewne powie, że to do mnie podobne, żeby tak wszystko spartaczyć. Proszę się nie martwić. To tylko zadraśnięcie - dodał wskazując na swoje ramię.

W tym momencie pojawił się u szczytu schodów Barrow

z łojową świecą chwiejnie trzymaną w ręce i z wyrazem zdumienia na twarzy. Miał na sobie spodnie i nocną koszulę, ale zapomniał o swym niekonwencjonalnym ubiorze, gdy zobaczył Nicholasa siedzącego w fotelu i ściskającego dłońią lewe ramię. Zbiegł szybko ze schodów, mrużąc coś pod nosem. Zaraz za nim przybyła jego małżonka lamentując głośno. Razem z Elinor ściągnęły z chłopca marynarkę. Chociaż rana dość mocno krwawiła, pani Barrow po obejrzeniu jej stwierdziła, że nie ma powodów do rozpacz.

- Wierzę, że ma pani rację - powiedziała Elinor z westchnieniem ulgi. - Wydaje mi się, że pocisk trafił zbyt wysoko, by uszkodzić jakiś ważny punkt. Trzeba jednak natychmiast wezwać doktora.

- Och, bzdura, to nic poważnego - zaprotestował gwałtownie Nicky.

- Proszę się uspokoić, paniczu - powiedziała stanowczo pani Barrow. - Prawdopodobnie w pana ramieniu tkwi pocisk. Ale kto do pana strzelał? W ogóle co się tu dzieje? Barrow, nie stój tak, tylko szybko przynieś brandy z pokoju pana Eustace'a. O Boże, co to wszystko znaczy?

Elinor wzięła pozostawioną przez Barrowa świecę i pobiegła do biblioteki. Wróciła po chwili z jednym z przeznaczonych do reperacji obrusów i zaczęła drzeć go na pasy. Nicky pobladł bardzo i siedział z zamkniętymi oczami, ale ożywił się nieco, kiedy Barrow wlał mu do ust kieliszek brandy. Zakrzusił się, zakasłał i znowu powiedział, że to tylko zadraśnięcie. Elinor poprosiła Barrowa, żeby zaprowadził go do sypialni. Poszła za nimi, niosąc butelkę brandy i zrobione z obrusa bandaże. Zanim Nicky został ułożony na łóżku, pani Barrow przyniosła miszkę z wodą. Obmyły starannie krwawiącą ranę i obwiązały ramię tak mocno, jak tylko mogły. Pacjent uśmiechnął się do nich słodko i słabym głosem powiedział:



- I po co tyle zamieszania? Jutro rano będę zdrów jak ryba.  
- Dziś się przechwala, jutro użala - mruknął Barrow przykrywając go kołdrą. - Nie ma co, pojedę zaraz po doktora. Ale kto do pana strzelał, paniczku Nicky? Nie powie pan, że ten Francuz znowu wszedł do domu, bo pozamykałem wszystkie drzwi. Mogę przysiąc.

- Nie wiem, czy to był on, czy ktoś inny - powiedział Nicky, próbując unieść się na łokciach. - Nie chciałem o tym mówić, ale on wszedł ukrytym wejściem, schodkami obok komina na tyłach domu. To przejście odkryłem dzisiaj rano.

Pani Barrow jęknęła i upuściła zwinięty w rolkę pas płótna oddarty z obrusa.

- Do diabła, Marto! - zawołał Barrow. - Panicz Nicky chyba nas oszukuje. To stare wejście już przed laty zostało zamknięte!

- Ależ nie! - zawołał Nicky zirytowany tym, że Barrow znał tę drogę. - Wcale was nie oszukuję. Byłem w pokoju, do którego prowadzą schodki, i widziałem, jak ten facet wychodzi z szafy w ścianie.

Pani Barrow usiadła na najbliższym krześle i wyraziła przekonanie, że jej nerwy nie zniosą tego dłużej.

- Gdyby pan, paniczku Nicky, wziął mnie ze sobą, to nic by się nie stało - stwierdził Barrow. - Wolę teraz nie myśleć o tym, co jego lordowska mość powie na to wszystko. Że też pan wdając się w takie sprawy nigdy nie pomyśli, co z tego może wyniknąć! No, dobrze. Osiodłam teraz konia i sprowadzę pana Greenlaw, sir.

- Tylko co on chciał znaleźć w tym domu? - zastanawiała się Elinor.

- Trudno powiedzieć, czego taki Francuz szukał - odparł Barrow - ale daję głowę, że niczego dobrego.

## 9

**w godzinę później, słysząc stłumione głosy dobiegające z holu**, Elinor zorientowała się, że do Highnoons przybył doktor. Przez ten czas ubrała się, a pani Barrow zawołała pokojówkę i kazała jej napalić w kuchennym piecu i zagrzać wodę. Sama zajęła się Nicholasem. Zręcząc i pokrzykując na niego, pomogła mu się rozebrać i położyła go do łóżka. Nicky tak był wytracony z równowagi, a przy tym zbity z tropu sytuacją, która przypominała mu czasy dzieciństwa, że protestował bez większego przekonania i pozwolił zająć się sobą, sprawiając gospodyni mniej kłopotów, niż mogła oczekiwać.

Doktor na widok Elinor szeroko otworzył oczy, ale przywitał ją grzecznie i zajął się pacjentem.

Nicky uśmiechnął się do niego.

- Jakoś ciągle nie możemy się bez pana obejść, doktorze Greenlaw - zauważył.

- To prawda, panie Nicholas, ale wolałbym nie widzieć pana w takiej sytuacji - odparł doktor i zaczął odwijać bandaż. - W co pan się tym razem wplątał?

- Prawdę mówiąc, nie wiem dokładnie - wyznał Nicky. - Najgorsze, że chybiłem strzelając do tego faceta.

- Barrow coś bredził o jakimś Francuzie. Czy to było włamanie, sir?

- Tak, oczywiście - powiedział Nicky, rzucając przy tym ostrzegawcze spojrzenie Elinor. - Jak tam moje ramię? To tylko zadraśnięcie, prawda?

- Urodził się pan pod szczęśliwą gwiazdą, sir, jak to już nieraz mówiłem - stwierdził Greenlaw i otworzył pudełko z budzącymi grozę narzędziami.

- Tak, na przykład wtedy, gdy spadłem z dachu stajni i złamałem nogę - potwierdził Nicky, obserwując z niepokojem czynności doktora. - Co mi pan chce zrobić, morderco?

- Muszę wyjąć pocisk, panie Nicky, i obawiam się, że będzie to trochę bolesne. Proszę, jeśli łaska, przygotować sporo gorącej wody, madam.

- Już jest - powiedziała Elinor i podała doktorowi stojący przed kominkiem dzbanek. Miała nadzieję, że jej wygląd nie zdradza niepokoju, jaki zaczynała odczuwać.

I ona, i ranny nie najgorzej znieśli ciężką próbę. Elinor odwracała wzrok od zręcznych rąk doktora, a Nicky zacisnął mocno zęby. Doktor zabawiał ich przy tym lekką rozmową. Elinor z zadowoleniem stwierdziła, że jest sprawny i szybki. Pocisk nie utkwiał zbyt głęboko i błyskawicznie został usunięty, rana przemyta, zasypana sproszkowaną bazylią i starannie zabandażowana. Potem Greenlaw odmierzył do kieliszka porcję lekarstwa i zmusił pacjenta do przełknięcia go.

- Wszystko będzie dobrze, sir - powiedział okrywając chłopca kołdrą. - Krwi nie będę panu puszczał.

- O, nie! Na to bym się nie zgodził - stwierdził Nicky głosem cichym, ale zdecydowanym.

- Odłożymy to do jutra - mruknął Greenlaw.

Na koniec doktor dyskretnie wywołał Elinor na korytarz, przekazał jej parę poleceń, zapewnił ją, że teraz Nicky przez parę godzin powinien spokojnie spać, i obiecał wrócić w ciągu dnia. Nicky istotnie sprawiał wrażenie sennego, a nawet tak

złagodniał, że bez protestów zgodził się na zlikwidowanie ukrytego wejścia. Elinor wróciła do swojego pokoju i jeszcze raz położyła się do łóżka.

Długo nie mogła zasnąć. Nieoczekiwany powrót tajemniczego gościa, a tym bardziej jego desperackie zachowanie, poważnie ją zaniepokoiło. Nie ulegało już wątpliwości, że szukał czegoś w Highnoons, a wszystko wskazywało na to, że nie powstrzyma się przed niczym, by tylko osiągnąć cel, i zapewne zdecyduje się na kolejną wizytę. Nerwy miała napięte do ostatnich granic. Mysz przebiegająca przez pokój przeraziła ją tak, że o mało nie wyskoczyła z łóżka. Długo leżała z otwartymi oczami, nasłuchując najdrobniejszych hałasów dobiegających z głębi domu. Obudziła się z uczuciem zmęczenia i rozżalenia na Carlyona za to, że ulokował ją w Highnoons.

Nicky, którego zastała siedzącego w łóżku, zajął ze smakiem obfite śniadanie. Nie sprawiał wrażenia człowieka przejętego przeżyta przygodą. Pani Barrow sporządziła zgrabny temblak na jego lewą rękę. Sprawiał jej wyraźną przyjemność korzystając z niego bez oporów. On również rozmyślał o nocnych zdarzeniach. Przywitał Elinor miłą sugestią, że nocny gość był francuskim szpiegiem.

- Szpiegiem? - zawołała Elinor. - Och, nie mów mi takich rzeczy.

- Tak. Jednym z agentów Boneya\* - wyjaśnił. - John mówi, że jest ich mnóstwo i są dobrze zakonspirowani.

- A czego mógł chcieć francuski agent od twojego kuzyna?

- Nie wiem i, prawdę mówiąc, nie sądziłem, że Eustace należał do ludzi, którzy mogliby się komuś przydać w tej roli, ale wszystko wskazuje na to, że tak było. - Włożył do ust

\* Tak Anglicy nazywali Napoleona (przyp. red.)

spory kawałek pieczonej wołowiny i po chwili dodał: - Wygląda na to, że mimo wszystko nie znaleźliśmy dobrze tego faceta. Tak czy inaczej, wdepnęliśmy w całkiem poważną aferę.

Elinor nie miała wątpliwości, że Nicky z entuzjazmem patrzy w przyszłość.

- Nie chcę tego słuchać! Jeśli to prawda, to pomyśl tylko, co nas czeka w tym strasznym domu!

- Właśnie o tym myślę. - Nicky skinął głową i posmarował musztardą kolejną porcję mięsa. - Tak czy inaczej, zostaję tutaj.

- A ja nie! - stwierdziła stanowczo Elinor. - Nie bawią mnie takie przygody.

- Nie chciałyby pani złapać jednego z agentów Boneya? - zapytał z niedowierzaniem Nicky.

- Absolutnie nie. Nie wiedziałabym, co z nim zrobić. O, nie, już wiem. Kazałabym twojemu straszemu psu pilnować go.

- On by sobie z nim poradził - uśmiechnął się Nicky.

- Kuzynko Elinor, czy byłaby pani tak dobra i uwolniła go z tej klatki w psiarni? Prosiłem Barrowa, żeby to zrobił, ale odmówił. Jest wyjątkowo tchórzliwy.

- Pewnie mnie pogryzie, jak go wypuszczę.

- Nie wydaje mi się, żeby to zrobił - pocieszył ją Nicky.

- Tylko musi pani uważać, żeby nie uciekł. Wolałbym, żeby sir Matthew nie kazał go zastrzelić.

- No dobrze. Pójdę ~ zgodziła się Elinor i ruszyła uwolnić więźnia.

Kolos daleki był od myśli, żeby ją ugryźć. Powitał ją jak przyjaciółkę, z którą nie widział się od lat. Skakał na nią poszczekując radośnie, kilka razy z pełną prędkością obiegł stajenny dziedziniec, a na koniec przyniósł jej ciężką gałąź

w nadziei, że będzie mu ją rzucać. Nie podjęła propozycji wspólnej zabawy, którą zapewne trudno byłoby potem przerwać, i zawołała go, by towarzyszył jej w drodze do domu. Wziął w pysk gałąź i biegł koło niej. Gdyby temu nie zapobiegła, z pewnością zabrałby swoją zabawkę do holu. Ponieważ w żaden sposób nie mogła skłonić go, by wypuścił ją z pyska, złapała koniec gałęzi i próbowała mu ją odebrać. Kolos uradowany, że wreszcie zaczęła się jego ulubiona zabawa, z entuzjazmem rzucił się do walki: warczał w sposób mrozący krew w żyłach, a przy tym gwałtownie merdał ogonem. Elinor w walce z nim była bez szans, ale na szczęście zza rogu domu wyszedł stajenny. Pies zobaczył go, puścił gałąź i postanowił zmusić go do odwrotu. Elinor szybko rzuciła kij w gęste zarośla. Kolos niebawem wrócił z miną psa przekonanego o tym, że spisał się dobrze, postawił uszy i spojrzał na nią wyczekująco. Zgodził się w końcu wejść do domu, niewątpliwie zdęgowany tym, że jego towarzysza w taki piękny poranek woli przebywać w zamkniętym pomieszczeniu, zamiast bawić się z nim na dworze. Kiedy znalazł się w pokoju Nicholasa, jego radość nie miała granic. Wreszcie był razem ze swoim panem, którego nie widział od dziesięciu godzin. Popiskując radośnie wskoczył na łóżko i entuzjastycznie lizał go po twarzy. Kiedy wreszcie Nicky zmusił go zejścia z łóżka, ułożył się przy kominku i leżał spokojnie, dysząc.

- On musi się wybiegać - powiedział Nicky.

- Z całą pewnością - zgodziła się Elinor.

- Pomyślałem sobie, kuzynko, że gdyby wybierała się pani na spacer, mogłaby pani zabrać go ze sobą.

- Wiem, że to miał pan na myśli - odparła. - Wyobrażam sobie, jak wyglądałby taki spacer. Dziękuję bardzo.

- Ależ, kuzynko, to jest dobrze ułożony pies - zapewnił ją Nicky. - Już prawie odzwyczaiłem go od zagryzania kur-

czaków i płoszenia owiec, więc jeśli tylko nie spotka pani innego psa, nie będzie pani miała z nim żadnych kłopotów.

- On już sobie nieźle pobiegał ścigając stajennego. Poza tym nie wybieram się dzisiaj na spacer.

- Szkoda, ale myślę, że wkrótce sam będę mógł z nim wyjść.

- Dzisiaj nie wstaniesz z łóżka!

- Nie wstanę? Dobry Boże, oczywiście, że wstanę. Nic mi nie jest... no, poza tą dziurą w ramieniu.

Wymusiła na nim obietnicę, że zostanie w łóżku, przynajmniej do czasu wizyty doktora Greenlawa, i wyszła, żeby porozmawiać z panią Barrow. Opuściwszy po dłuższym czasie kuchnię zobaczyła powozik doktora stojący przed wejściem. Greenlaw był już w holu i zdejmował ciężki płaszcz. Poprosiła go, żeby kazał pacjentowi leżeć przynajmniej przez jeden dzień. Doktor odparł na to, że wątpi, by ktokolwiek zmusił chłopca do pozostania w łóżku, jeśli on uprze się, żeby wstać.

- Szkoda, że nie ma tu jego brata - westchnęła Elinor.

- O, tak. Pan Nicholas słucha tylko lorda Carlyona - zgodził się doktor.

- Czuję się w pełni odpowiedzialna za to, co się stało.

- Nie rozumiem dlaczego, madam - spojrział na nią zaskoczony.

Elinor uświadomiła sobie, że Nicky nie wtajemniczył doktora w szczegóły nocnej przygody, więc powiedziała szybko:

- Zgodziłam się, żeby został tu na noc.

- Och, madam, jeśli nie to, to coś innego przydarzyłoby się temu chłopcu. Na szczęście nie jest poważnie ranny.

Po obejrzeniu pacjenta doktor stwierdził, że rana goi się dobrze i że puls, chociaż lekko przyspieszony, też nie daje

powodów do obaw. Zapytał, co chory jadł na śniadanie, i powiedział, że dla pełnego bezpieczeństwa puści mu krew.

- O, nie. Tego pan nie robi - powiedział Nicky i podciągnął kołdrę pod brodę.

- To jest konieczne, drogi panie - stwierdził Greenlaw, jeszcze raz wyjmując z torby pudełko z instrumentami. - Nie możemy ryzykować gorączki.

- Nie mam gorączki i nie pozwolę się kaleczyć.

- Och, sir, wie pan dobrze, że nieraz to robiłem, i to z dobrym skutkiem.

Nicky absolutnie nie chciał się zgodzić i wyraził swój protest tak głośno, że Kolos usiadł i sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Do tej pory nie zwracał uwagi na doktora, którego znał od dawna, ale teraz wyczuł jego złe zamiary, więc pośpieszył swemu panu na ratunek. Warknął ostrzegawczo, wskoczył na łóżko, stanął okrakiem nad nogami swojego pana i groźnie patrzył na jego prześladowcę.

Nicky roześmiał się i pogłaskał Kolosa po karku.

- Dobry pies. Uratowałeś mnie.

- Proszę bardzo. Niech będzie - powiedział Greenlaw - ale jeśli wyskoczy panu w nocy wysoka gorączka, to proszę nie mieć do mnie pretensji.

Po tym epizodzie Elinor wcale nie była zaskoczona, gdy w godzinę później zobaczyła, jak Nicky nieco chwiejnym krokiem idzie schodami w dół. Miał na sobie szlafrok uszyty z materiału o tak zaskakujących wzorach i kolorach, że stanęła w miejscu jak zamurowana. Wyjaśnił jej, że kupił go w Oksfordzie i jest to ostatni krzyk mody.

- Niech pani sobie wyobrazi, że ten stary potwór chciał mi puścić krew - poskarżył się. - I po co? Straciłem jej już pewno całą kwartę i jestem słaby jak kot.

- To zrozumiałe, że jesteś słaby. Powinieneś leżeć w łóżku - powiedziała. - Przynajmniej połóż się teraz na kanapie w bibliotece. Jeśli nie będziesz leżał spokojnie, to zaraz wyślę cię na górę.

Skrzywił się, ale posłuchał i nawet pozwolił poprawić sobie temblak. Ponownie skrzywił się, kiedy Barrow przyniósł mu talerz kle i ku owsianego. Powiedział, że jeśli znajdzie się coś takiego w domu, to chętnie wypiłby kufel piwa i zjadł do tego porządną kanapkę. Spotkał się ze stanowczą odmową. Po dłuższych pertraktacjach przystał wreszcie na filiżankę bulionu z kurczęcia i szklanek słodkiego napoju z wina i kwaśnego mleka. Po tym lekkim posiłku znów położył się i rozpoczął dyskusję z Elinor na temat przyszłych poczyną, które w końcu muszą doprowadzić do unieszkodliwienia przeciwnika. Nie posunęli się w swych rozważaniach zbyt daleko, gdy ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Kolos podniósł się i warknął.

Nerwy Elinor znajdowały się w stanie takiego napięcia, że nie mogła opanować drżenia i uporczywej myśli, że pod drzwiami stoi ktoś, kto zjawił się tu w złych zamiarach. Nicky też widocznie ukrywał wewnętrzny niepokój, gdyż usiadł i z pochyloną lekko głową uważnie nasłuchiwał. Kolos ze zjezoną sierścią podszedł do drzwi, przytknął nos do szpary pod nimi i węszył. Usłyszeli kroki Barrowa, który jak zwykle powoli przemierzał hol, a potem jakieś stłumione głosy. Kolos zaczął nagle merdać ogonem i popiskiwać radośnie, nadal intensywnie węsząc.

- To Ned! - zawołał Nicky i twarz mu się rozjaśniła.

- Och, wreszcie! - zawołała Elinor, podbiegła do drzwi i otworzyła je.

Nawet nie przypuszczała, że tak się ucieszy na widok tego wysokiego mężczyzny ubranego w podróżny płaszcz.

- Dzięki Bogu, jest pan już - powiedziała z ulgą. Wtedy dopiero wzrok jej padł na stojącą obok Carlyona niewysoką starszą panią w staromodnym kapeluszu i pelerynie, narzuconej na prostą suknię i spencer. - Becky! - zawołała, podbiegła do niej i uściskała gorąco.

- Moje kochanie - powiedziała panna Beccles. - Moja droga pani Cheviot!

- Och, Becky, błagam cię, nie mów tak do mnie - poprosiła Elinor, a potem zwróciła się do Carlyona: - Nie przypuszczałam, że sprowadzi pan ją tak szybko! Jestem panu bardzo zobowiązana... Och, Boże, tak mi przykro, że czeka tu na pana taka niespodzianka... Nie wiem, co pan sobie pomyśli, kiedy dowie się wszystkiego, ale ja naprawdę nie przypuszczałam, że tak się stanie, kiedy pozwoliłam mu zostać... Chodźmy teraz do biblioteki.

Carlyon spojrział na nią unosząc brwi.

- Droga pani Cheviot, czyżby istotnie czekała na mnie jakaś niespodzianka? Czy coś jest nie w porządku?

- Wszystko - stwierdziła z rezygnacją.

Carlyon zachował zwykły spokój, chociaż sprawa! wrażenie lekko zaskoczonego. Nie pozwolił Kolosowi szarpać swoich rękawiczek i powiedział:

- Domyślam się, że Nicky jest tutaj, więc istotnie wszystko jest możliwe. O, tak! Kolos, uspokój się!

W tym momencie w drzwiach biblioteki pojawił się Nicky z ręką spoczywającą na temblaku.

- Mówię ci, Ned, cholernie się cieszę, że cię widzę! - zawołał. - Ale mieliśmy tu aferę!

Carlyon przyjrzał mu się z miną nie wskazującą ani na zaskoczenie, ani nawet konsternację.

- Powiedz, co ci się stało? - zapytał.

- Opowiem wszystko, tylko szybko zdejmij płaszcz i wejdz.

- Bardzo dobrze, ale przywitaj się najpierw z panną Beccles. Mój najmłodszy brat, mad a ni.

Panna Beccles dygnęła i odezwała się łagodnym głosem:

- Bardzo się cieszę, że pana poznałam, sir, ale wydaje mi się, że nie powinien pan tu stać w przeciagu, nie uważa pan? Proszę mi wybaczyć, ale nie wygląda pan na całkiem zdrowego.

- Oczywiście że nie powinien tutaj stać - stwierdziła Elinor. Uwaga Becky przywróciła jej poczucie rzeczywistości.

- Powinieneś leżeć w łóżku. Wróc chociaż na sofę, Nicky. Jaki ty jesteś uparty!

Carlyon wydawał się lekko rozbawiony.

- Bądź posłuszny, Nicky. Myślę że panna Beccles zjadłaby z chęcią talerz gorącej zupy, pani Cheviot. Zmarzła z pewnością w drodze.

- Och, nie! - szepnęła panna Beccles, patrząc na niego z wdzięcznością. - Byłam otulona pledem i jechałam takim eleganckim powozem, i tak pan o mnie dbał.

- Naturalnie, musisz zjeść talerz zupy i wypić kieliszek wina - powiedziała Elinor prowadząc ją do biblioteki. - Barrow, proszę o tym powiedzieć żonie. Został jeszcze na pewno ten bulion przygotowany dla panicza Nicholasa. Wejdz, Becky, moja droga.

- Na Jowisza, niech pani Barrow poda cały pozostały bulion i napój z wina, i mleka też - zgodził się wspaniałomyślnie Nicky.

Panna Beccles podeszła do sofy, poprawiła poduszki i uśmiechnęła się do niego.

- Zrobię panu później zupę chlebową, sir - powiedziała.

- Będzie panu smakować.

- Tak pani myśli? - zapytał z powątpiewaniem.

- Na pewno - odparła z absolutnym przekonaniem. Potem spojrzała na Elinor i dodała: - Kochanie, jeśli chcesz poroz-

mawiać z jego lordowską mością na osobności, to ja pójde na górę i zajmę się rozpakowaniem swoich rzeczy.

- Nie, nie, Becky, nie wychodź. Nie zamierzam spędzić następnej nocy w tym strasznym domu, ale skoro już tu jesteś, to powinnaś wiedzieć, co może się zdarzyć.

- Przeraza mnie pani, pani Cheviot - wtrącił Carlyon. - Czy chce pani powiedzieć, że zobaczyła pani upiora bez głowy?

- Tak - odparła zirytowana Elinor. - I liczę na to, że pan mógłby nam to wyjaśnić, sir.

- Niewykluczone, ale najpierw muszę się dowiedzieć, co tak bardzo panią wzburzyło. A co tobie się stało, Nicky?

- Zostałem postrzelony - odparł z dumą Nicky.

- Zostałeś postrzelony?

- Tak, ale pocisk utkwiał w ramieniu i Greenlaw szybko go wyciągnął.

- Kto, do licha, strzelał i dlaczego?

- No właśnie, Ned. Nie mamy pojęcia, kto to był. Tylko pomyśl, jaka bajeczna afera! Gdybym nie upadł wtedy w holu, nie doszłoby do tego i teraz znalibyśmy prawdę.

- Myślę, że powinieneś mi wyjaśnić wszystko od początku, jeśli mam cokolwiek z tego zrozumieć - stwierdził Carlyon.

- Zaczęło się od przygody, którą przeżyła kuzynka Elinor. Mnie przy tym nie było. Czy może pani o tym opowiedzieć, kuzynko?

- Bardzo panią o to proszę - zwrócił się Carlyon do Elinor, potem podszedł do kominka i stanął plecami do niego.

- W każdym razie cieszę się, że na tyle pogodziła się pani ze swoją sytuacją, by akceptować... rodzinne związki, które nas wiążą.

- Zaakceptowałabym każdy sposób zwracania się do mnie, byle nie nazywano mnie panią Cheviot - odparła uśmiechając się Elinor.

- Będę o tym pamiętał. A teraz proszę opowiedzieć, co się tu zdarzyło.

Odczuwając irracjonalny niepokój, że robi z igły widły, opisała pokrótce swoje spotkanie z młodym Francuzem. Carlyon słuchał uważnie. Panna Beccles bezszelestnie zdjęła kapelusz i pelerynę i usiadła na krześle z dłońmi splecionymi na kolanach.

- Mówi pani, że był młody, czarnowłosy i mówił z lekkim cudzoziemskim akcentem?

Potwierdziła i dodała, że był szczupły, średniego wzrostu i miał bokobrody.

Carlyon otworzył tabakierkę i zażył porcję tabaki.

- Wobec tego musiał to być młody De Castres - powiedział po chwili zastanowienia.

- Co takiego? Louis De Castres? - zawołał Nicky. - Ależ, Ned, on jest całkiem w porządku! Bywa w przyzwoitych domach!

- To prawda. Pani Cheviot spotkała go nawet tutaj.

- Daj spokój, Ned! To nie jest ten typ człowieka, który może włamać się do cudzego domu ciemną nocą. Przecież to, co opowiedział kuzynce Elinor, to stek kłamstw. Zresztą nie wiesz jeszcze wszystkiego.

- Istotnie, mogę się mylić - przyznał Carlyon. - Wiem tylko, że widziałem go raz czy dwa w towarzystwie Cheviota.

- Wielki Boże! Nigdy bym nie przypuścił, że on może przyjaźnić się z takim facetem jak Eustace - powiedział Nicky w najwyższym stopniu zdumiony. - Wiem, że jest dobrym znajomym Francisza Cheviota, ale to wszystko. Nie przepadam za Francisem, ale jest on w każdym razie człowiekiem z towarzystwa, zawsze elegancki, modny...

Drzwi otworzyły się i wszedł Barrow z tacą. Postawił ją na stole obok panny Beccles.

- Barrow - zwrócił się do niego Carlyon. - Czy znasz może nazwisko Francuza, który odwiedzał pana Cheviota?

- Słyszałem jego nazwisko, milordzie, ale nawet nie próbowałem zapamiętać - przyznał Barrow, - Nie lubię Francuzów.

- Może De Castres?

- Chyba tak. Wiem, że było jakieś takie zagraniczne, milordzie.

- Och, Ned, posłuchaj, co się dalej zdarzyło - nie wytrzymał Nicky.

Carlyon skinieniem głowy odprawił Barrowa. Panna Beccles przysunęła sobie krzesło do stołu i powiedziała półgłosem:

- Mój Boże, jakie to wszystko niezwykłe. Jem, w dodatku piję taki znakomity bulion i do tego słucham tak ekscytujących opowieści!

- Wolałabym więcej nie przeżywać takich ekscytujących zdarzeń - zauważyła Elinor.

- Rozumiem cię, moja kochana, ale oczekuję, że jego lordowska mość będzie wiedział, co trzeba zrobić. Jestem pewna, że możesz być całkiem spokojna.

Elinor doszła do wniosku, że jej dawna guwernantka zbyt łatwo uległa urokowi jego lordowskiej mości. Nie powiedziała nic, tylko spojrzała na nią z wyrzutem.

- Ale, Ned, posłuchaj, co było dalej - niecierpliwił się Nicky. - Kiedy wczoraj, tak jak mi kazałeś, przyjechałem tutaj, kuzynka Elinor opowiedziała mi wszystko i oczywiście przypomniałem sobie, że Karol II ukrywał się w tym domu, więc prawdopodobnie musi tu być jakieś tajemne wejście...

- Znalazłeś je?

Twarz Elinor pokryła się rumieńcem. Utkwiła wzrok w twarzy Carlyona i zapytała:

- Milordzie, proszę powiedzieć mi prawdę. Czy pan wie-

dział o tych ukrytych schodkach, kiedy przywiózł mnie pan tutaj?

- Oczywiście że wiedziałem, ale byłem przekonany, że od lat są niedostępne - odparł.

- O, nie! Tego już za wiele. Dlaczego mi pan o tyra nie powiedział?

~ Obawiałem się, że to tylko pogłębi pani niechęć do tego domu - wyjaśnił.

Elinor z trudem opanowała się.

- Jak panu mogło przyjść" coś takiego do głowy? - powiedziała ironicznie. - Tylko tego mi brakowało, żeby czuć się tu bezpiecznie.

- Istotnie, ma pani powody, żeby złościć się na mnie. Bardzo panią przepraszam - powiedział uśmiechając się. - Widać z tego, że to wejście, wbrew moim przypuszczeniom, było otwarte.

- Naturalnie, że było otwarte. Każdy, kto chciał, mógł o dowolnej porze wejść do domu.

- To istotnie jest niedopuszczalne - powiedział zupełnie nieporuszony. - Jeśli ukryte wejście nie zostało dotąd dobrze zabezpieczone, to zaraz każę to zrobić.

- Pan mnie zadziwia, milordzie. Nie spodziewałam się takiej troskliwości! Powiem tylko, że gdybym nie dała się przekonać pana bratu, te drzwi zostałyby zabite gwoździami już wczoraj, a on nie leżałby teraz z ręką na temblaku... Nicky, nie ruszaj się tak gwałtownie! Doktor Greenlaw powiedział, że masz spokojnie leżeć. Pamiętaj!

- Och, to nie ma znaczenia, kuzynko. Ned, jestem przekonany, że i ty nie kazałbyś mi ich zamknąć. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej nabierałem przekonania, że ten facet... De Castres, jeśli to rzeczywiście był on... przyszedł tu w jakimś podejrzanym celu. Powiedziałem kuzynce Elinor, że musimy

dowiedzieć się, czego on tu szuka, i postanowiłem zacząć się w tym małym pokoju, do którego prowadzi tajemne wejście, na wypadek, gdyby wrócił... Prawdę mówiąc, nie bardzo wierzyłem, że tak się stanie.

- A ja wcale w to nie wierzyłam - wtrąciła Elinor.

- Zapewniam pana, milordzie, że gdybym miała nawet cień podejrzenia, że do tego dojdzie, nigdy nie pozwoliłabym mu nocować w tym pokoju. Rozumiem, że może pan być na mnie zły.

- Droga pani, jakże mógłbym się na panią złościć?

- Ned, wiem, że wszystko poszło źle, ale chyba zrobiłem dobrze, zostawiając to wejście otwarte, prawda? - zapytał Nicky.

- Tak, postąpiłeś słusznie. Rozumiem, że ten nocny gość wrócił.

- Wrócił. Skradałem się za nim schodami w dół do holu. Coś takiego nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło! I pomyśleć, że spotkała mnie taka przygoda... I to wszystko dlatego, że zawiesili mnie w Oksfordzie. Nie przypuszczałem, że może mi to wyjść na dobre.

- Znakomity przykład działania Opatrzności - zauważył Carlyon. - Jak doszło do tego, że zostałeś postrzelony?

- Och, miałem cholernego pecha! Ten facet szedł w stronę biblioteki, ja stałem u podnóża schodów, kiedy nagle zatrzymał się i obejrzał. Cofnąłem się szybko, żeby mnie nie zobaczył, i wpadłem na tę przeklętą broję, którą kuzynka Elinor musiała ustawić przy schodach.

- Ja jej nie ustawiłam - zaprotestowała Elinor. - Stała tam wcześniej.

- Nie wiem, jak było, ale mogła ją pani przestawić w lepsze miejsce. To zresztą nie ma znaczenia, tyle że to żelastwo wszystko popsuło. Miałem w ręku twój pistolet, Ned, ten



inkrustowany masą perłową. Zawołałem, żeby się nie ruszał, bo mam go na muszce, ale ten facet strzelił, zanim zorientowałem się, kim on jest. Upadłem, ale natychmiast do niego wypaliłem. Stłukłem latarnię, którą trzymał w ręce, a jego chyba nawet nie raniłem, bo uciekł przez frontowe drzwi, zanim ktokolwiek przyszedł mi z pomocą. Najgorsze jest to, że nadal nie wiem, czego szukał, i boję się, że teraz, kiedy już wie, że gra jest poważna, nie przyjdzie tu więcej.

- Istotnie, szkoda, że odkrył twoją obecność - zgodził się Carlyon. - Nie ma co jednak ubolewać nad tym, czego nie można naprawić. Sprawa jest jednak bardzo interesująca.

- O tak, nawet wielce zabawna - wtrąciła ironicznie Elinor. Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

- Nad czym rozmyślasz, Ned? - niecierpliwł się Nicky.

- Żałuję, że John wyjechał do Londynu - nieoczekiwanie powiedział Carlyon. - Ale to nic. Wróci pojutrze.

- John? - zdumiał się Nicky. - Może wyjaśnisz, co by nam dała jego obecność?

- Przed wyjazdem powiedział mi coś, co, jak sędzę, może mieć związek z tymi niezwykłymi zdarzeniami.

Twarz Nicholasa ożywiła się.

- Och, Ned, czy ty myślisz... a więc możliwe jest... Dziś rano mówiłem kuzynce Elinor o swoich podejrzeniach, że mógł to być agent Boneya, ale jak powiedziałeś, że to De Castres, pomyślałem, że to niemożliwe!

- Może to wydawać się nieprawdopodobne, ale nie byłyby to pierwszy przypadek, kiedy potomek emigrantów wiąże się z bonapartystami.

- To prawda, że trudno w coś takiego uwierzyć, ale młodzi ludzie są często tacy bezmyślni - zauważyła panna Beccles.

- Należy tylko współczuć ich biednym rodzicom.

- Niemożliwe! - powiedziała Elinor. - Poznałam w prze-

szłości parę takich rodzin i jestem przekonana, że sama myśl o czymś podobnym byłaby dla nich nie do zniesienia.

- Nie wątpię, że dla starszych członków tych rodzin jest to nie do pomyślenia, madam, ale nie ulega wątpliwości, że błyskotliwa kariera Napoleona i polityka, jaką prowadzi, może być pociągająca dla ludzi młodych, dla których wiązanie się z Anglikami czy garstką zwolenników Bourbonów nie stwarza żadnych atrakcyjnych perspektyw. Są to oczywiście tylko przypuszczenia i chyba posunęłam się w nich zbyt daleko.

- W porządku, Ned - powiedział Nicky, który ze ściągniętymi brwiami wysłuchał uwag brata. - Ale coś takiego mógłby mieć Eustace do powiedzenia francuskim szpiegom? Zawsze uważałem, że brakuje mu zdrowego rozsądku.

- Wyjątkowo nieodpowiedzialny agent, można by powiedzieć - zgodził się Carlyon. - Ale widzisz... zastanawiałem się nieraz, skąd on bierze pieniądze na swoje kosztowne rozrywki. Może tu właśnie znajdziemy odpowiedź?

- Agent bonapartystów! - wykrzyknęła Elinor. - Wydawało mi się, że już wiem wszystko, co najgorsze, o swoim mężu, ale widzę, że się myliłam.

- Przypuszczam, że był raczej pośrednikiem - zauważył Carlyon.

- Niewiele to lepsze.

- Przeciwnie, zdecydowanie gorsze.

- Och, jaki pan jest okropny! - zawołała Elinor, całkiem już tracąc cierpliwość.

- Cicho, kochanie - skarciła ją delikatnie panna Beccles. - Wiesz, że dama nigdy nie powinna zachowywać się niegrzecznie. Jego lordowska mość jest zapewne wstrząśnięty słysząc, z jaką gwałtownością się wyrażasz.

- Bardzo bym chciała chociaż raz nim wstrząsnąć - powiedziała z goryczą Elinor.

- Nie rozumiem dlaczego - Nicky stanął w obronie brata.  
- Poza tym Ned wcale nie jest okropny, kuzynko!

- Dżentelmen, mój drogi Nicky, nigdy nie sprzeciwia się damie - powiedział Carlyon tonem surowego sędziego.

Panna Beccles skwapliwie przytaknęła. Wdowa spojrzała mściwie na jego lordowską mość, ale zachowała milczenie.

Carlyon zerknął na nią z rozbawieniem, a potem pograżył się w rozmyślaniach. Nicky po chwili zaczął wiercić się niecierpliwie na sofie, a wreszcie wybuchnął:

- Czy uważasz, że powinniśmy zlikwidować to tajemne wejście? Ja myślę, że...

- Ależ tak - powiedział obojętnie Carlyon. - Nie sądzę, żeby ten człowiek po raz trzeci próbował wejść do domu tą samą drogą.

- No dobrze, Ned, ale co wobec tego mamy zrobić? Przecież nie możemy tak tego zostawić!

- Oczywiście że nie. Sprawa wydaje się dla nich ważna i pilna. Przypuszczam, że próbują dostać się tutaj jakoś inaczej. Czas pokaże, do jakich uciekną się sposobów. Musimy czekać.

- A ja nie mam zamiaru - powiedziała stanowczo Elinor.  
- Nie zamierzam spędzić w tym domu następnej nocy. Proszę przyjąć to do wiadomości.

- Och, kuzynko Elinor, nie jest pani przecież aż tak łękliwa! - zawołał z niedowierzaniem Nicky. - Poza tym czego może się pani obawiać mając przy sobie mnie, pannę Beccles, no i Kolosa.

- Nicky, jak możesz proponować mi jako obrońcę tego straszego psa! Zaczynam wątpić w twoją rycerskość - oburzyła się Elinor. - Co więcej, nie jestem tak bez serca, by mojej drogiej Becky proponować pozostanie w takim miejscu. Zapewniam cię, że ona nie jest do czegoś takiego przyzwyczajona.

- To prawda, kochanie - westchnęła panna Beccles.  
- W młodości marzyłam o wielkich przygodach, ale nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło, więc w końcu przestałam o tym myśleć. No i proszę, a teraz spotyka mnie coś tak fascynującego i to dzięki uprzejmości milorda, który mnie tu przywiózł.

- Becky, tak na ciebie liczyłam! - jęknęła Elinor. - Chyba nie chcesz pozostać w tym strasznym domu?

- Och, moja droga pani Cheviot, mnie ten dom wydaje się taki wygodny. Zwłaszcza teraz, kiedy milord zdecydowany jest zamknąć to tajemne wejście, które, muszę przyznać, trochę mnie niepokoiło, nie widzę powodów, dla których nie miałabym tu zostać. Poza tym jestem pewna, że jeśli ten miły piesek zostanie z nami, będziemy czuć się całkiem bezpiecznie.

Inteligentne zwierzę, które już wcześniej usiadło, gdy Nicky wymienił jego imię, teraz nadstawiło uszy i zamerdało radośnie ogonem.

- Gdybyś wiedziała, jak paskudnie zachował się ten miły piesek - oznajmiła Elinor - to nie odważyłabyś się zostać z nim sama w pokoju. - Zwróciła się do Carlyona i dodała:  
- Nicky kazał Kolosowi pilnować mnie, a ten potwór nie pozwolił mi wstać z fotela prawie przez cały dzień!

- O, to był mój błąd. - Nicky próbował bronić swego ulubieńca. - Kolos niedokładnie zrozumiał polecenie, ale trwał na posterunku jak prawdziwy buldog.

- Tak! Zjadł też cały półmisek mięsa i kość, której resztki schował później pod poduszkę na kanapie!

- Biedne zwierzątko - wzruszyła się panna Beccles.

Kolos bezbłędnie wyczuł dobre intencje, wstał, podszedł do niej i wsunął swój zimny, wilgotny nos pod jej dłonie z niewinną miną psa, który zawsze życzliwie odnosi się do kotów, wszelkich domowych zwierząt i nawet przypadkowych gości. Panna Beccles pogłaskała go po głowie i czule do niego przemawiała.

Elinor podniosła wzrok na Carlyona.

- Milordzie, czy oczekuje pan, że zostanę tutaj? - zapytała wprost.

- Tak, pani Cheviot, oczekuję - odparł.

- Ależ ja mogę zostać zamordowana we własnym łóżku!

- Myślę, że to mało prawdopodobne.

EHnor zduśiła w sobie ostrą odpowiedź.

- Wobec tego, co pan mi każe robić? - zapytała na wpół ironicznie.

- Uważam, że byłoby dobrze, gdyby zainteresowała się pani przygotowaniem strojów stosownych na okres żałoby - powiedział, przyglądając się jej uważnie. - Dotychczas zajęta pani była innymi sprawami, ale najwyższy czas o tym pomyśleć. Przyślę powóz, który będzie pani miała do swojej dyspozycji, gdyby zechciała pani wybrać się do Chichester. Jest tam niezły sklep z materiałami i na pewno uda się pani znaleźć w nim coś właściwego.

- A kto będzie w tym czasie przyjmował tu francuskich agentów? ~ zapytała kpiąco.

- Och, ja się tym zajmę - uśmiechnął się Nicky.

- Mój drogi Nicky, zamierzam zabrać cię do domu. Podejrzewam, że pani Cheviot ma już dość twego towarzystwa.

- Ależ, Ned, nie! - zawołał Nicky. - Nie możesz mnie zabrać z Highnoons. Tyle się tu może zdarzyć!

- Nic się prawdopodobnie nie wydarzy.

- Nie wiem, na jakiej podstawie pan tak twierdzi - powiedziała Elinor. - Człowiek, który dwukrotnie włamał się do domu, a do tego strzela w kierunku każdego, kto mógłby odkryć jego obecność...

- Jestem skłonny przypuszczać, że była to pomyłka.

- Ładna pomyłka - zauważył Nicky dotykając swego ramienia.

- Zaskoczyłeś go, mój chłopcze, a on wypalił bez zastanowienia. Z pewnością nie życzył sobie takiego finału: Zresztą wszystkie jego poczynania wskazują, że nie był to fachowiec. Wnioskuje z tego, że ktoś musi stać za panem De Castres'em... jeśli oczywiście to był on.

- Ktoś bardziej przebiegły - powiedziała Elinor.

- Niewątpliwie.

- Ktoś, kto następnym razem zechce rozprawić się ze mną.

- Być może. - Carlyon uśmiechnął się.

- A pan w tej sytuacji radzi mi pojechać do Chichester i nabyć żałobny strój, którego zresztą nie zamierzam nosić!

- Mam nadzieję, że przemyśli pani ten problem. Zawsze trzeba liczyć się z otoczeniem. Widzę, że już wiele tu pani zrobiła, ale czeka panią jeszcze dużo pracy w tym domu, zanim stanie się bardziej przytulny, i to zajmie pani trochę czasu. Jestem przekonany, że nie ma teraz żadnych powodów do obaw. Przemocą ci ludzie nic nie osiągną, więc zapewne spróbują uciec się do innych środków. Musimy przygotować się na jakieś bardziej subtelne działania.

- Czy wobec tego nie uważasz, Ned, że powinienem tutaj zostać? - nalegał Nicky. - Kuzynka Elinor będzie czuła się bezpieczniej, jeśli zostanę, prawda, kuzynko?

- Oczywiście, nie ma mowy, żeby pan go zabrał, póki jest taki osłabiony - powiedziała Elinor. - Nie można narażać go na chłód. Powinien leżeć w łóżku. Zapewniam pana, że razem z panną Beccles potrafimy się nim troskliwie zająć.

- Nie wątpię i jestem paniom bardzo zobowiązany. Czy może przejrzeliście zawartość biurka, żeby znaleźć klucz do tej tajemnicy?

- Chciałem to zrobić - powiedział Nicky - jednakże kuzynka Elinor nie pozwoliła mi.

- Bardzo słusznie. Jutro ma przybyć do Sussex pan

Finsbury i zaraz tu z nim przyjadę. Na wszelki wypadek sprawdzę jeszcze dziś, czy nie ma tu jakichś niebezpiecznych dokumentów.

Podszedł do biurka, usiadł przy nim, wyciągnął górną szufladę i wyjął z niej stertę papierów. Posortował je starannie. W pozostałych szufladach panował podobny bałagan. Nicky wyraził przekonanie, że musi tam być jakaś skrytka, ale podejrzenie okazało się bezpodstawne. Wreszcie Carlyon odłożył papiery na miejsce i powiedział spokojnie:

- Nie ma tu nic poza rachunkami i weksłami,

- Wielki Boże! - zawołała Elinor. - Wobec tego mogę się spodziewać, że teraz zaczną mnie nękać liczni wierzyciele! I pomyśleć, że gdybym pana nie spotkała, milordzie, mogłabym teraz spokojnie mieszkać w domu pani Macclesfield.

- To prawda, ale, o ile pamiętam, ta kobieta wydała się pani nieco arogancka, a jeśli chodzi o dzieci, to przypuszczała pani, że są wyjątkowo rozpuszczone.

- Och, moja kochana, nie wyrażałaś się przecie z entuzjazmem o charakterze pani Macclesfield ~ przypomniała jej panna Beccles. - Opowiedziałam jego lordowskiej mości, jak zawsze dzielnie znosiłaś wszelkie przeciwności. Tak się cieszę, że znalazłaś się w takich dobrych rękach.

- Dobre ręce?! - oburzyła się Elinor. - Becky, czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? Jeśli masz na myśli lorda Carlyona, to podejrzewam, że nie. Nic złego mu nie zrobiłam, a tylko zauważ, jak on mnie urządził! Zmusił mnie do poślubienia człowieka, który był uosobieniem wszelkich możliwych występków, ulokował mnie w tym domu, gdzie zniszczone meble pokryte są kurzem i pajęczyną, gdzie myszy biegają po mojej sypialni, a francuscy agenci wchodzą i wychodzą, kiedy tylko chcą, przy tym strzelają do każdego, kto im się nawinie. Teraz jeszcze niefrasobliwie informuje mnie, że mój były mąż

zostawił po sobie masę długów, które, w co nie wątpię, będę musiała spłacać, a kiedy pytam go, co mam zrobić, radzi mi tylko, żebym kupiła sobie żałobne stroje.

Panna Beccles uśmiechnęła się do jego lordowskiej mości.

- Kochana Elinor zawsze była nieco zbyt gwałtowna - powiedziała. - Taka pełna werwy. Wierzę, że jego lordowska mość weźmie to pod uwagę.

- Że jest gwałtowna, to nie ulega wątpliwości - odparł. - Natomiast nie wydaje mi się, by była pełna werwy. Przeciwnie, odnoszę wrażenie, że zbyt pesymistycznie ocenia swoją sytuację. Jestem przekonany, pani Cheviot, że nie ma pani powodów, by z takim lękiem patrzeć w przyszłość.

- Och, ona wcale nie jest taka lękliwa, jak ci się wydaje, Ned - powiedział Nicky.

Pani Cheviot, ciągle jeszcze wzburzona, wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Carlyon podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Proszę się uspokoić - powiedział łagodnie. - Nie zostawiałbym pani tutaj, gdybym spodziewał się, że coś pani grozi. Ucieczka stąd byłaby bezsensowna. Jest pani kobietą rozsądną i wrażliwą, pani obecność może nam być pomocna. Jestem przekonany, że dostrzeże pani, jakim szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła się pani w tym domu.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności! - powtórzyła piorunując go wzrokiem. - Milordzie, od razu, gdy pana poznałam, podejrzewałam, że coś z pana rozumem jest nie w porządku. Teraz jestem tego pewna.

## 10

Skrupulatne poszukiwania w sypialni Cheviota również nie przyniosły rezultatów. Nie znaleziono nic poza paroma pogniecionymi rachunkami upchniętymi w kieszeniach jego licznych surdutów. Nasuwał się więc wniosek, że jeśli Eustace był w posiadaniu jakiegoś dokumentu przeznaczonego dla Francuza, to ukrył go w miejscu, w którym nikt nie spodziewa się go znaleźć. Nawet Nicky był nieco zniechęcony perspektywą przetrząsania domu wypełnionego mnóstwem szaf, kufrów, komód, stołów z szufladami i kredensów.

- A kiedy przejrzymy już wszystkie szuflady, okaże się, że te papiery wepchnięte zostały w któryś komin albo pod obicie krzesła - zauważył pesymistycznie. - Nie wiem, co w tej sytuacji robić.

- Może Eustace Cheviot miał ten dokument przy sobie? - zapytała Elinor, która wbrew sobie zaczęła interesować się tą sprawą.

Carlyon potrząsnął głową.

- Obejrzałem wszystko, co miał w kieszeniach - powiedział.

- Zastanawiam się, czy nie ukrył go pomiędzy kartkami którejs książki - zauważyła panna Beccles. - To jest bardzo dobry schowek, a zauważyłam, że w bibliotece na dole jest

mnóstwo książek. Jeśli pan chce, milordzie, to możemy jutro z panią Cheviot zdjąć je z półek i przy okazji odkurzyć.

- Świetny pomysł - zgodził się Carlyon. - Jestem pani bardzo wdzięczny, madam.

- Ja znacznie mniej - powiedziała Elinor. - Tam jest grubo ponad tysiąc tomów.

Nicky, który poczuł się zmęczony, przysiadł na krawędzi łóżka i jęknął:

- O Boże, tyle jest miejsc, które jeszcze powinniśmy przeszukać!

- Czy nie uważa pan, sir, że gdyby przyniesiono ogrzewadło i rozpalono ogień na kominku w pana sypialni, mógłby się pan położyć do łóżka? - zaproponowała panna Beccles z właściwą sobie troskliwością.

Nicky oczywiście odrzucił ten projekt i stwierdził, że nie położy się przed kolacją, ale kiedy uzyskał zapewnienie, że nie będzie już dręczony kleikiem owsianym, tylko dostanie pożywne i smaczne kanapki, zaczął przychylić się do tej propozycji i w końcu zgodził się wejść pod kołdrę. Carlyon udał się na dół, żeby dopilnować zabezpieczenia tajemnego wejścia, a Elinor postanowiła pomóc panie Beccles urządzić się w sypialni sąsiadującej z jej pokojem. Panna Beccles klasnęła w dłonie, gdy zobaczyła, że ogień płonie już na kominku.

- To wprost niewiarygodne, kochanie - zawołała uśmiechając się z wdzięcznością. - Takie wygody dla mnie! Od momentu kiedy zjawił się lord Carlyon, żyję w ciągłym podnieceniu. Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy Polly... pamiętasz Polly, to taka miła dziewczyna... przyszła, żeby mi powiedzieć, że jego lordowska mość chce się ze mną widzieć. A ja akurat ubrana byłam w tę oliwkowozieloną sukienkę, bo musisz wiedzieć, zajęłam się akurat polerowaniem mebli i nie

spodziewałam się żadnych gości, zwłaszcza takiego dostojnego gościa! Na szczęście miałam tyle przytomności umysłu, żeby zdjąć fartuch i wcisnąć go pod poduszkę. Wyobraź sobie, taki elegancki dżentelmen w moim skromnym pokoiku! Tak byłam przejęta, że ledwie starczyło mi sił, by dygnać. Ale to jest najprawdziwszy dżentelmen! Przywitał się, jakby nic nie zauważył.

- Maniery lorda Carlyona na pewno są nienagane, ale...

- Och, kochanie, już na pierwszy rzut oka domyśliłam się, że to człowiek z najwyższych sfer. A tu wokół na stole, stary dywan i ta moja wygnieciona sukienka! A o tym, czego ode mnie chce, wiedziałam tyle co Polly, ale szybko mi wyjaśnił, po co przyjechał. Wyobrażasz sobie moje zdumienie! Nabrał chyba przekonania, że jestem niespełna rozumu, bo poprosiłam go, żeby raz jeszcze wszystko powtórzył, zanim mu uwierzyłam!

- Nie wątpię! Byłaś chyba nieźle przestraszona, kiedy usłyszałaś, w jaką straszną aferę zostałam wplątana.

- To prawda. Zrobiło to na mnie takie wrażenie, że musiałam usiąść na najbliższym krześle. Powoli jednak wszystko zrozumiałam. A potem powiedział, że chce, abym już następnego dnia pojechała do Sussex, by ci tutaj towarzyszyć. Zostawił mnie z takim zamętem w głowie, że nie wiedziałam, co robić.

- Biedna Becky, zostałaś haniebnie wykorzystana - powiedziała ciepło Elinor. - Za żadne skarby nie zmusiałabym cię do takiego pośpiechu. Mogłam się zresztą domyślić, jak to będzie. To jest okropny człowiek i uważa, że jego wygoda jest najważniejsza.

- Och nie, kochanie, naprawdę nie wiem, jak możesz mówić takie rzeczy. Wyobraź sobie, że wziął mnie do swojego powozu, siedział całą drogę obok, zupełnie jakbym była osobą

z jego sfery. A przecież musisz wiedzieć, droga Elinor, jak rzadko można spotkać się z takim traktowaniem, kiedy jest się tylko guwernantką.

- Tak, doskonale wiem, ale...

- Zachowywał się nadzwyczajnie. Ze zdenerwowania byłam w pół przytomna. Musiał sobie przy tym pomyśleć, że jestem niesłychanie roztargniona, bo, wyobraź sobie, zapomniałam zabrać swojego koszyczka do robótek. Jeszcze teraz się wstydzę, że mu o tym powiedziałam. A on nie dał po sobie poznać, że jest zirytowany, i natychmiast kazał stangretowi zawrócić. No, a ten kieliszek ratafii i te ciasteczka w zajeździe po drodze!

- Zgadzam się, że potrafi być troskliwy w takich sprawach, ale...

- A jaki to umysł, kochanie! Nie oczekiwałam, że zada sobie trud, żeby ze mną w drodze rozmawiać, a on tyle ciekawych rzeczy mi opowiedział. Możesz mi wierzyć, doznałam wielkiej ulgi, kiedy przekonałam się, że jesteś pod opieką człowieka, którego mogę darzyć pełnym szacunkiem!

- Becky, chciałabym, żebyś zrozumiała, że nie jestem pod opieką lorda Carlyona. Sama nie wiem, jak to się stało, że pozwoliłam się wplątać w taką zagmatwaną sytuację, ale teraz, kiedy słyszę, jak ty, osoba, którą zawsze uważałam za wzór rozsądku i przyzwoitości, twierdzisz, że spotkało mnie wielkie szczęście, to po prostu tracę cierpliwość. Przecież to jest szokujące, Becky!

- Może i tak, kochanie, podzielałam w pewnym stopniu twoje uczucia, ale z tego, co widzę, postąpiłaś słusznie pozwalając jego lordowskiej mości kierować swoimi krokami.

- Postąpiłam słusznie pozwalając wydać się za męża po to, żeby po kilku godzinach zostać wdową? Jak możesz mówić takie rzeczy?

- Istotnie, jeśli tak na to patrzeć, to wszystko wydaje się nieco niezwykle - przyznała panna Beccles. - Ale, widzisz, nigdy nie mogłam znieść myśli, że będziesz zmuszona prowadzić takie życie jak ja. I wiesz, moja droga Elinor... jeśli nadal mogę cię tak nazywać, choć wiem, że nie powinnam... Z tego, co jego lordowska mość był uprzejmy mi powiedzieć, wnioskuję, że śmierć tego młodego człowieka była łaskawym zrządzeniem Opatrzności. Nie chciałabym o nim mówić nic złego, ale sądzę, że nie byłby dobrym mężem. Niekiedy człowiek musi przyznać, że nawet najbardziej tragiczne zdarzenie może wyjść mu na dobre.

Elinor doszła do wniosku, że dobroduszną guwernantką nie zrozumie w tym przypadku *jej* uczuć, więc zostawiła ją samą i zeszła na dół, żeby sprawdzić, co Carlyon zamierza zrobić.

Zastała go w holu. Wkładał płaszcz i szykował się do odjazdu. Gdy ją zobaczył, podszedł i powiedział:

- Tajemne wejście zostało starannie zabezpieczone, madam, więc nie powinna się już pani niczego obawiać. Proszę pamiętać, że te nasze teorie to nic innego, jak tylko przypuszczenia. Byłoby źle, gdybyśmy z tego, co się tu zdarzyło, wyciągali zbyt daleko idące wnioski bez dowodu, że nasze podejrzenia są uzasadnione. Odwiedzę panią jutro rano z pełnomocnikiem mojego kuzyna. Aha, nabyłem dla pani obrączkę ślubną, która będzie lepiej dopasowana do pani palca niż mój sygnet.

Wzięła od niego obrączkę i zwróciła sygnet. Rozmiar ocenił z całkiem niezłą dokładnością. Wsunęła obrączkę na palec i zapytała:

- Milordzie, jak długo zamierza mnie tu pan przetrzymać?

- Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć pani na to pytanie, dopóki nie zorientuję się, jak stoją sprawy majątkowe mojego kuzyna.

- Jeśli jutro zastanie pan w łóżkach nasze zwłoki, to przypuszczam, że nie będzie pan zbyt poruszony - powiedziała z ironicznym uśmiechem.

- Wręcz przeciwnie, gdyby tak się stało, byłbym do pewnego stopnia zaskoczony.

Roześmiała się.

- Jest pan człowiekiem bez serca. Czy ma pan dla mnie jakieś polecenia, sir?

- Moją radę przyjęła pani tak niechętnie, że nie mam odwagi jej powtórzyć, pani Cheviot.

- Och, wiem, chciałby pan, żebym ubrała się w krepę! Nie jestem aż taką hipokrytką.

- Nie wiem, jaki strój jest dla pani najbardziej odpowiedni, ale muszę panią uprzedzić, że na pogrzeb najprawdopodobniej przyjedzie stryj mojego kuzyna, lord Bedlington, i zapewne spotka się tu z panią. Zbyt barwny ubiór dałby mu zapewne powód do niemiłych uwag.

- Pan ma zawsze gotową rozsądną odpowiedź... i to mi się najbardziej w panu nie podoba. Proszę mi tylko poradzić, co mam powiedzieć lordowi Bedlingtonowi.

- Postaram się sam poinformować go o tym, co najważniejsze. Oczywiście, powinien być przekonany, że już dawno zaręczyła się pani z moim kuzynem. Jeśli chodzi o wydarzenia ubiegłej nocy, Nicky przekonał doktora Greenlaw, że postrzelił go zwykły włamywacz. Państwo Barrow wiedzą, że należy trzymać się tej wersji. Nie wolno nam tylko powiedzieć ani zrobić niczego, co zdradziłoby nasze podejrzenia.

- To prawda. Uznałby pan za niewybaczone, gdybyśmy wypłoszyli jakiegoś szpiega!

- Istotnie. Chyba pani rozumie, że byłoby to niewłaściwe - zgodził się i wyciągnął do niej rękę. - Teraz muszę panią pożegnać. Jeśli się pani czegoś obawia, to radziłbym wypuścić

na noc psa. Będzie biegał koło domu i na pewno zacznie ujadać, gdyby pojawił się ktoś obcy.

- Czasami trudno przewidzieć, jak szybko mogą odmienić się nasze uczucia - zauważyła patrząc na Kolosa, który leżał wyciągnięty na dywanie przed kominkiem. - Jeszcze wczoraj nie sądziłam, że nabiorę sympatii do tego straszego zwierza, a w dodatku będę mu wdzięczna.

Roześmiała się, uściskała jej dłoń i odszedł. Kolos wstał, otrząsnął się, pomełdał ogonem i patrzył na nią wyczekująco.

- Jeśli myślisz o obiedzie - powiedziała poważnie Elinor - to chodź ze mną i bądź miły dla pani Barrow.

Pobiegł za nią długim korytarzem prowadzącym do kuchni. Zachowywał się nadzwyczaj grzecznie, ale dopiero usilne prośby Elinor skłoniły panią Barrow do ofiarowania mu miski pełnej skrawków mięsa. Gospodyni twierdziła, że pies nie jest głodny, bo wcześniej zdołał wykraść udziec barani przeznaczony na obiad dla Elinor. Mądre psisko wysłuchiwało wymówek z miną tak niewinną, że po prostu nikt nie dałby wiary tym oskarżeniom. Apetyt, z jakim pochłonał podaną mu porcję, zdawał się świadczyć o tym, że były to zwykłe oszczerstwa.

Wieczór minął spokojnie. Panna Beccles, która nie tracąc czasu nawiązała przyjazne kontakty z panią Barrow, przyrzadziła dla rannego obiecaną zupełną chlebową. Stwierdził, że jest doskonała. Potem Elinor przegrała w pikietę całą okazałą sumę wygraną poprzedniego dnia, a Kolos nieoczekiwanie zyskał sobie sympatię pani Barrow łapiąc w spiżarni dorodnego szczura, gdzie zresztą zakradł się po to, by wzmocnić swe siły przed nocnym czuwaniem. Panią Barrow zachwyciło to tak bardzo, że dała mu ogromną kość od szynki. Natychmiast ukrył ją pod łóżkiem Elinor. Oczywiście przypomniał sobie o niej w środku nocy i gwałtownie domagał się, żeby wpuścić

go do sypialni. Było to na szczęście jedyne zdarzenie, które zakłóciło nocny odpoczynek pani Cheviot.

Rano obudziła się w znacznie lepszym nastroju. Nicky czuł się lepiej, a obecność panny Beccles tak podniosła ją na duchu, że nawet wiadomość o tym, iż na dziedzińcu czeka powóz, przysłany przez jego lordowską mość, by zawieźć ją do Chichester, przyjęła z radością. Obydwie panie zasiadły w wygodnym wehikule, a potem spędziły przyjemnie czas robiąc zakupy. Wróciły po południu z taką ilością pakunków, że Nicky zastanawiał się, dlaczego nie wynajął furgonu.

Elinor nie tracąc czasu pobiegła do swego pokoju, by przymierzyć popielatą satynową suknię ozdobioną czarnymi wstążkami i piękny czarny koronkowy szal. Podziwiała akurat zgrabny koronkowy czepeczek wiązany pod brodą, kiedy usłyszała głośne szczekanie Kolosa. Po chwili do jej drzwi zapukał Nicky i powiedział, żeby się pośpieszyła i zeszła do holu, bo pod wejście podjechał powóz.

- Przyjechał stary Bedlington, kuzynko. Zobaczyłem go przez okno. Boże! Co on powie, jak panią tu zastanie? Szkoda, że nie ma już Neda. Ale by się ubawił!

Podbiegła do drzwi i otworzyła je.

- Och, Nicky, co ja mam mu powiedzieć? Gdzie jest twój brat?

- Wrócił do Hall razem z tym prawnikiem. Zabrali wszystkie papiery i mnóstwo czasu stracili, chcąc się zorientować, do czego pasują klucze, które miał przy sobie Eustace. Założę się, że większość z nich pasuje do szaf na Cork Street... On tam miał apartament, wie pani. Och, Ned upoważnił mnie, żebym w jego imieniu przeprosił panią, ponieważ zapomniał przekazać, że zwolnił tamtejszego lokaja, bo nie był to człowiek, na którym można by polegać. Na Jowisza, kuzynko Elinor, takiej pięknej sukni nigdy jeszcze nie widziałem. To ostatni krzyk mody!



- Nicky, zejdź ze mną na dół - poprosiła. - Zupełnie nie wiem, co mam powiedzieć naszemu gościowi.

- Ach, dużo bym dał, żeby zobaczyć jego minę, ale Ned zabronił mi pokazywać się lordowi Bedlingtonowi ze względu na okoliczności śmierci kuzyna.

- Wielki Boże! Istotnie, zapomniałam o tym. Mogę tylko liczyć na Becky. Czy czepek dobrze leży?

Zapewnił ją, że tak, i Elinor ruszyła na dół, pocieszając się jedynie tym, że ma na sobie ładną suknię. Pobladała trochę ze strachu, ale to tylko poprawiło jej wizerunek wdowy.

Barrow wprowadził już gościa do salonu, panna Beccles ustawiła fotele obok kominka, na którym płonął ogień. Elinor weszła w samą porę, by usłyszeć, jak zapewniała gościa, że pani Cheviot zaraz zejdzie.

- O, właśnie jest - powiedziała na widok Elinor. - Droga pani Cheviot, lord Bedlington przybył złożyć pani kondolencje.

Elinor dygnęła, podziwiając przy tym tupet swojej przyjaciółki.

- Pani Cheviot - wykrztusił Bedlington. - Słowo daję... nie wiem, co powiedzieć. Taki jestem zakłopotany.

Otarł twarz chusteczką, a Elinor zyskała chwilę czasu, żeby mu się przyjrzeć. Był to tęgi dzentelmen około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, o okrągłej twarzy, w której zwracały uwagę małe, wytrzeszczone oczy. Miał na sobie obcisłe spodnie, koszulę z wysokim kołnierzykiem, który praktycznie uniemożliwiał mu poruszanie głową, a kiedy się ukłonił, lekkie trzeszczenie zdradziło, że wydatny brzuszek podtrzymywany jest gorsetem. Żółte obramowania i złote guziki u surduta świadczyły o jego urzędowej randze.

- Droga pani... ta szokująca wiadomość... mój biedny bratanek! Tak byłem wstrząśnięty, że doktor musiał mi upuścić chyba z pół kwarty krwi.

- Bardzo mądre posunięcie, milordzie - odezwała się panna Beccles. - Jestem głęboko przekonana, że daje to znakomite rezultaty.

- Nic tak dobrze mi nie robi - zapewnił ją. - Mój bliski przyjaciel, jego królewska wysokość, księżę regent, jest zagorzałym zwolennikiem tego zabiegu. Sam nie wiem, ile mu już kwart krwi upuścili... Ale to nie ma nic do rzeczy. Mój biedny bratanek! Nikt go tak nie cenił jak ja!

Elinor uznała za stosowne opuścić wzrok. Jego lordowska mość znów otarł chusteczką oczy.

- Odszedł tak młodo! - westchnął. - Zawsze miałem do niego słabość, bo musi pani wiedzieć, że był bardzo podobny do mojego brata, więc tym bardziej jego śmierć mną wstrząsnęła. Ale niezbyt dobrze rozumiem... krótko mówiąc, madam, nie miałem pojęcia, że jest żonaty! Nie mogłem uwierzyć, ale widzę... To takie dziwne.

- Ślub z panem Cheviot, sir - powiedziała Elinor nieco drżącym głosem - wzięłam, kiedy leżał już na łożu śmierci. Nasze zaręczyny utrzymywane były w tajemnicy... Wiedział o nich tylko lord Carlyon!

- Ach, wiedział o tym Carlyon! - Lord Bedlington był wyraźnie zaskoczony. - Zadziwia mnie pani. Nie przypuszczałem... ale o ślubie chyba nie mógł wiedzieć?

- Jest pan w błędzie - odparła znacznie już pewniej. ~ To małżeństwo zawdzięczam właśnie lordowi Carlyonowi.

- Niemożliwe! - zawołał. - Przecież to niweczy wszystkie jego plany, jeśli ten biedny chłopak zdażył sporządzić testament. Obawiam się jednak, że nie starczyło mu na to czasu.

- Wręcz przeciwnie, milordzie. Pan Cheviot sporządził testament. Na moją korzyść.

- Coś podobnego! Cóż za zaskakująca wiadomość! Dziwny człowiek ten Carlyon. Nigdy go nie rozumiałem. Och, gdyby

moja bratowa inaczej ułożyła te sprawy, to może nie musiałbym tu przybyć w tak smutnych okolicznościach.

- Jestem przekonana, że lorda Carlyona nie można winić za przedwczesną śmierć mojego męża, sir - oznajmiła stanowczo Elinor.

- Och, nie powiedziałem tego, ale zawsze twierdziłem, że traktował tego chłopca zbyt surowo. Jak doszło do tej tragedii? Widziałem bratanka w mieście parę dni temu w dobrym zdrowiu. Czyżby był to jakiś wypadek?

- Tak. To znaczy... Proszę wybaczyć, ale rozmowa na ten temat jest dla mnie zbyt bolesna... Jestem pewna, że lepiej niż ja poinformuje pana o tym lord Carlyon.

- Och, nie wątpię - powiedział lord Bedlington i współczująco uściśnął dłoń Elinor. - Istotnie, to musi być dla pani bolesne. Potajemne zaręczyny! Nietrudno zgadnąć, dlaczego tak było. Ale przecież biedny Eustace chociaż mnie mógł powiedzieć! Zawsze byłem jego przyjacielem. I powiada pani, że przy zawarciu tego małżeństwa pomógł pani Carlyon? Jestem pełen zdumienia i nawet nie udaję, że wszystko rozumiem. Ale moja droga, proszę powiedzieć, kto pani pomaga, doradza we wszystkich sprawach, które teraz trzeba załatwiać? Będę z panią szczerą, obawiam się, że sprawy majątkowe mego bratanka są bardzo zagmatwane. Jestem rad, że udało mi się znaleźć trochę czasu, by złożyć pani wizytę. Może będę mógł uwolnić panią od tych przykrych obowiązków i wszystko uporządkować? Zapewniam panią, że nie ma w tym nic niewłaściwego, bo musi pani wiedzieć, że byłem bardzo przywiązany do mego drogiego Eustace'a, pomimo jego młodzieńczych wybryków. Nie przeczę, że nie zawsze zachowywał się, jak należy... ale nie mówmy źle o zmarłym.

- Jest pan bardzo uprzejmy, sir - powiedziała Elinor - ale, jak mi wiadomo, lord Carlyon jest wykonawcą testamentu

mego męża i wszystkie sprawy wzięł w swoje ręce. Ja tu nie mam nic do powiedzenia.

Lord Bedlington sprawiał wrażenie człowieka głęboko urażonego. Zacerwienił się i zawołał:

- Bez mojej wiedzy? - oburzył się. - Mam nadzieję, że nie przeceniam swoich uprawnień, ale jako najbliższy krewny Eustace'a mogłem oczekiwać, że Carlyon porozumie się ze mną przed przyjęciem tego obowiązku... Ale tak było zawsze. Jest on człowiekiem o zbyt przytępionej wrażliwości, by przyszło mu do głowy, że mogą się tu znajdować jakieś rodzinne pamiątki, które pragnąłbym zachować dla siebie. On troszczy się tylko o interes rodziny Wincantonów, ale przecież mój brat był ojcem Eustace'a, niezależnie od tego, co o nim myśli ktokolwiek z Wincantonów czy Carlyonów. Przykro mi nawet pomyśleć, że Carlyon zajmie się papierami, dokumentami, które nie powinny interesować nikogo poza krewnymi mego brata. Choćby moje listy do niego! Chciałbym, żeby zostały mi zwrócone albo zniszczone.

Elinor mogła tylko ponownie zaproponować, by zwrócił się w tej sprawie do lorda Carlyona. Powiedział, że tego się spodziewał, i siedział z wydętymi wargami i z takim wyrazem urażonej godności, iż Elinor poczuła się w obowiązku przeprosić go za to niedopatrzenie, chociaż powstałe nie z jej winy. Kiedy lord Bedlington dowiedział się, że Carlyon zabrał z Highnoons wszystkie papiery Cheviota, mruknął coś na temat bezprawnego dysponowania cudzą własnością, co Elinor zdecydowała się zignorować. Panna Beccles uprzejmie zaproponowała mały poczęstunek. Po chwili podano wino i ciasteczka. Lord siedział przy kominku i milczał. Wydawał się urażony tym, że wdowa nie życzy sobie wsparcia i pomocy, co wyraźnie raniło jego wysokie mniemanie o sobie. Elinor starała się być uprzejma w stosunku do niego i wkrótce

zauważyła, że i on odnosi się do niej coraz życzliwiej. Zapytał, czy mógłby zatrzymać się w Highnoons, kiedy przyjedzie na pogrzeb, co postawiło ją w przykłej sytuacji. Starła się zniechęcić go do tego, ale tak, by go nie urazić. Lord Bedlington niewątpliwie poruszony był śmiercią bratanka, wdychał ciężko, smutno potrząsał głową. Elinor niecierpliwie oczekiwała końca wizyty. Wstał wreszcie i powiedział, że pojedzie teraz do Hall i zażąda od Carlyona wyjaśnienia całej sprawy. Powiedział Elinor, że chociaż jest bardzo zajęty kwestiami państwowymi, w uroczystościach pogrzebowych weźmie udział, jeszcze raz uścisnął jej dłoń i oznajmił, że korzystając z przywileju bliskiego krewnego spędzi wtedy jedną lub dwie noce w Highnoons. Elinor w tej sytuacji zapewniła go, że będzie tu mile widziany. Podziękował, wsiadł do swego powozu i odjechał.

- Nudny stary głupiec - powiedział Nicky. - Jak pani sobie z nim poradziła, kuzynko? Co mówił? Myślałem, że zostanie już tutaj na zawsze, i zastanawiałem się, czy nie wypuścić Kolosa, żeby go wypłoszył. Doszedłem jednak do wniosku, że byłaby pani z tego niezadowolona, więc zatrzymałem go u siebie. Daję słowo, że chętnie ugryzłby starego, tłustego Bedlingtona, prawda, Kolos?

Kolos entuzjastycznie zamerdał ogonem, zapewne w nadziei, że jeszcze nadarzy się taka okazja.

## 11

W papierach Cheviota nie znalazło się nic, co mogłoby na dłużej przykuć uwagę wykonawców testamentu. Szybko uzgodnili, że pierwszym krokiem ku uporządkowaniu spraw majątkowych powinno być zrealizowanie sporej liczby jego zobowiązań. To zadanie wziął w swoje ręce prawnik. Westchnął i wyraził przekonanie, że jest to zapewne drobna część długów zmarłego, a o innych dowiedzą się później. Uważnie, ale z dezaprobatą przeczytał testament Cheviota i chociaż coś tam pomrukiwał i smutno potrząsał głową, to musiał na koniec stwierdzić, że dokument sporządzony jest na tyle poprawnie, by zachować ważność.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie - powiedział poważnie - ale gdybym został wezwany do mojego byłego klienta, jego testament miałby nieco inną formę. Mimo to wydaje mi się, że jest ważny, i natychmiast wystąpię do sądu o poświadczenie jego autentyczności.

Potem przewiązał tasiemką papiery, które postanowił ze sobą zabrać, wymówił się od pozostania na noc w Hall, co uprzejmie proponował mu gospodarz, twierdząc, że ma już wynajęty pokój w Wisborough Green. Zapewnił Carlyona, że następnego ranka nie zapomni zjawić się u koronera, by uczestniczyć w przesłuchaniach mających ustalić przyczyny

zgonu jego klienta. Potem uklonił się i wyszedł.

Nie minęło dziesięć minut, gdy drzwi do gabinetu Carlyona otworzyły się znów i do pokoju wszedł jego brat John, rozcierając zmarznięte dłonie i narzekając na paskudną pogodę.

- Drogi bracie! - zawołał Carlyon. - Spodziewałem się ciebie dopiero jutro.

- Udało mi się przekonać Sidmoutha, żeby zwolnił mnie wcześniej. Akurat był w dobrym humorze, no i jestem - powiedział John i podszedł do kominka, żeby się ogrzać.

- Ogromnie się cieszę widząc cię tutaj. Przyjechałeś dylizansem?

- Nie, konno, i dlatego tak zmarzłem. Jak idą sprawy? Gdzie Nicky?

- W Highnoons. Ma dziurę w ramieniu - odparł Carlyon i podszedł do stołu, na którym lokaj postawił karafkę i kieliszki.

- Napijesz się wina, John?

- Co ma Nicky? - John odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

- Jest ranny, ale to nic poważnego - powiedział Carlyon napełniając kieliszki.

- Wielki Boże, Ned, czy ten chłopak chociaż przez dwa dni nie mógłby się powstrzymać od przysparzania nam kłopotów?

- Widocznie nie, ale w tym przypadku nic nie zawinił. Siadaj, to opowiem ci wszystko. Myślę, że cię to zainteresuje.

John usiadł w fotelu przy kominku i zauważył nieco zgryźliwym tonem:

- Nie musisz mi mówić, że twoim zdaniem Nicky jest niewinny. W co on się znowu wplątał?

Kiedy wysłuchał pełnej relacji Carlyona o wydarzeniach w Highnoons, pozbył się sceptycyzmu i ze ściągniętymi brwiami intensywnie wpatrywał się w brata.

- Na Boga! - szepnął. - Ale... - przerwał i zamyślił się głęboko. - Na Boga! - powtórzył, a potem wstał i nalał sobie następny kieliszek wina. Zanim wrócił na fotel, przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się. Wreszcie znów usiadł i powiedział z nutą niedowierzania w głosie: - Eustace Cheviot? Kto byłby na tyle nierozsądny, żeby zatrudnić takiego pijanice? Nie mogę w to uwierzyć.

- To istotnie wydaje się nieprawdopodobne - zgodził się Carlyon. Przetarł dokładnie binokle i sprawdził rezultat.

- Muszę jednak przyznać, że on zawsze wykazywał skłonności do różnych afer. Mimo wszystko tego rodzaju podejrzenie nigdy nie zrodziłoby się w mojej głowie, gdyby nie to, że ubiegłego wieczoru dowiedziałem się od ciebie o tych przeciekach informacji. Byłbym rad, gdyby okazało się, że moje podejrzenia są bezpodstawne. - Spojrzał pytająco na Johna. - A jeśli nie? Czy znasz dobrze Louisa De Castres'a?

- Nie, ale raczej nie należy on do ludzi, których można by podejrzewać. Trudno jednak zaprzeczyć, że czasami potomkowie najlepszych rodzin... Trzeba to sprawdzić, Ned.

Carlyon skinął głową. John zaczął bez powodu poszturchiwać pogrzebaczem płonące na kominku bierwiona.

- Do diabła! Żałuję... Nie, to byłoby bezsensowne. Jeśli jest w tym choć trochę prawdy, Ned, to można się spodziewać całkiem poważnego skandalu. Wolałbym, żebyśmy się trzymali z dala od tego. Nie znalazłeś nic w papierach kuzyna?

- Zupełnie nic.

- Czy Nicky wie, kto do niego strzelał?

- Nie, ale fakt, że człowiek ten wszedł do domu potajemnym wejściem, dowodzi, że nie był to zwykły złodziej. Poza tym włamywacz z pewnością nie byłby skłonny szukać czegoś w bibliotece i dobrze znał wnętrze domu. Wszedł i bez wahania skierował się prosto do biblioteki.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał John nadal grzebiąc w palenisku.

- Czekać na dalsze zdarzenia.

- Czy myślisz, że wchodzi tu w grę memorandum, o którym ci mówiłem? - zapytał otwarcie. - Jeśli tak, to musimy je odnaleźć.

- Z pewnością. Uważam tylko, że jest równie ważne, żeby dowiedzieć się, kto je zaferował Louisowi De Castres'owi.

- Na Boga, tak! Nie mogę się jednak całkiem z tobą zgodzić. Ludzie Boneya daliby wiele, żeby mieć kopię tego dokumentu, ale już sam fakt, że został wykradzony, świadczy o tym, iż zamierzenia Wellingtona są im prawdopodobnie znane.

- To prawda, sprawy zaszły już dość daleko. Czy twoim zdaniem możliwe jest jeszcze, by Wellington zmienił swoje plany?

- Skąd mogę wiedzieć? - John spojrzął na niego. - Nie, przypuszczam, że nie. Całe zaopatrzenie... - przerwał i zamyślił się. - Daj spokój, Ned. Nie wierzę, żeby to było możliwe! Skoro jest zbyt późno, by zmienić wydane już rozkazy, to głupotą byłoby informowanie, że memorandum wpadło w ręce jego przeciwników. Agenci Boneya dobrze znają swoją robotę.

- Wyobrażam sobie. Można mieć jednak innego rodzaju wątpliwości. Załóżmy, że De Castres podejrzewa oszustwo ze strony Eustace'a i chce na własne oczy zobaczyć memorandum. Wyobraź sobie, jakie fatalne miałyby to dla Francuzów skutki, gdyby Eustace celowo przekazał fałszywe informacje. Pomyśl, jakim byłoby ryzykiem zgrupowanie wojska na kierunku prawdopodobnego uderzenia wroga bez niepodważalnych dowodów, że atak nastąpi właśnie tutaj.

- Przypuszczasz, że De Castres chciał zdobyć memorandum albo po to, żeby zabrać ten dokument, albo sporządzić wiarygodną kopię?

- Sądzę, że tak. Sam mi powiedziałeś, że najprawdopodobniej dokument znajduje się w jakiejś innej szufladzie, wśród innych dokumentów. Może ci, co wykradli memorandum, w ten sposób chcą go zwrócić, żeby uniknąć podejrzeń?

- Och, żartowałem. To jest ściśle tajny dokument, nie mógł się przez przypadek znaleźć gdzie indziej.

- Co nie znaczy, że nie można go w ten sposób zwrócić.

- Niewykluczone, ale z całą pewnością takiej możliwości nie miał Eustace Cheviot. Ned, na litość boską, zastanów się! Znałeś naszego kuzyna lepiej niż ktokolwiek. On się do tego nie nadawał!

Carlyon wstał i napełnił sobie kieliszek.

- Nigdy nie twierdziłem, że Eustace był tu kimś więcej niż tylko pośrednikiem. Jeśli moje podejrzania są słuszne, musiał stać za nim ktoś znacznie ważniejszy. Ktoś, kto sam nie chce zdradzić swojego związku z tą sprawą i dlatego posługuje się kimś trzecim jako narzędziem.

- Nie wydaje mi się to możliwe - powiedział John. - Och, Ned, nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty. Mówisz albo robisz rzeczy urągające zdrowemu rozsądkowi, a potem tak potrafisz to wszystko przedstawić, że wydają się czymś najzupełniej normalnym. Nie podoba mi się takie postępowanie i znam cię na tyle dobrze, że nie dam się w to wciągnąć.

- Cóż ja takiego powiedziałem lub zrobiłem, żeby zasłużyć sobie na taką opinię? - zapytał spokojnie Carlyon.

- O, mógłbym ci podać całe mnóstwo przykładów - odparł John. - Wystarczy jeden. Czy nie jest czymś oburzającym, że zmusiłeś tę nieszczęsną kobietę do poślubienia Eustace'a? I nie tłumacz mi, że nic rozsądniejszego nie mogłeś zrobić, bo jeszcze wbrew sobie ci uwierzę.

- Dobrze, nie będę cię przekonywał - roześmiał się Carlyon.

- Zresztą nie przypuszczam, żebyś tak łatwo zmienił zdanie.

- Wracając do sprawy. Jeśli Eustace istotnie sprzedawał informacje Francuzowi, to trop prowadzi do gabinetu Bedlingtona! - powiedział John. - Wiem, że Eustace często odwiedzał stryja w sztabie Konnej Gwardii i z pewnością potrafił wykorzystać okazję, żeby się czegoś dowiedzieć. Eustace wcale nie był taki głupi, wykazywał często wiele sprytu. Na pewno to zauważyłeś. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że Bedlington z czymś się wygadał, a Eustace to wykorzystał. Trudno powiedzieć, jak naprawdę było, ale żeby próbować wplątać w to kogoś naprawdę ważnego... choćby Bathursta... to już za wiele.

- Wcale nie miałem na myśli Bathursta - powiedział spokojnie Carlyon.

- O, to już jest coś! - zauważył ironicznie John. - Może wobec tego przyznasz, że to wszystko jest wytworem twojej wyobraźni i to, czego szukał De Castres, nie ma nic wspólnego ze sprawami państwowej wagi.

~ Mam nadzieję, że masz rację. Wiesz, że nie chciałbym wplątać naszej rodziny w tego rodzaju skandale.

W tym momencie do pokoju wszedł lokaj.

- Proszę o wybaczenie - powiedział kłaniając się - ale przybył lord Bedlington i chciałby natychmiast rozmawiać z waszą lordowską mością. Poprosiłem go do szkarłatnego salonu.

John zakrztusił się winem i rozkasłał. Carlyon odczekał chwilę i polecił lokajowi:

- Poinformuj naszego gościa, że zaraz przyjdę, no i podaj wino. Poproś też panią Rugby, żeby przygotowała błękitny apartament, gdyż nie wątpię, że jego lordowską mość zechce spędzić tu noc.

Lokaj uklonił się i wyszedł. Carlyon spojrzał na brata.

- No i co teraz powiesz? - zapytał.

- Do licha, Ned - odezwał się John pokaszując jeszcze.  
- To może jest zbieg okoliczności, że pojawił się akurat w tym momencie, ale ty z pewnością spodziewałeś się jego wizyty.

- Spodziewałem się, ale nie wcześniej, niż otrzyma mój list zawiadamiający go o śmierci Eustace'a.

- Przeczytał zapewne nekrolog, który zamieściłeś w *Gazette*.

- Nie mógł tego zrobić. Nekrolog ukaże się dopiero jutro - odparł Carlyon.

John zerwał się z fotela.

- Ned, ty uważasz, że Bedlington... Myślisz, że De Castres mu powiedział... To niemożliwe.

- Nie to miałem na myśli - odparł Carlyon. - Zastanawiam się nad kimś, kto jest bliskim przyjacielem pana De Castres'a.

- Francis Cheviot! Ten wymuskany fircyk!

- No właśnie. To się samo nasuwa. Jest synem Bedlingtona... no i mamy Bedlingtona w Sussex o dzień wcześniej, niż się spodziewałem.

- Tak, ale to facet, który troszczy się wyłącznie o to, czy jego fular jest dobrze zawiązany i czy tabaka ma odpowiedni zapach...

- O, mój drogi, kilkakrotnie miałem okazję przekonać się, że Francis Cheviot jest bardzo inteligentny. Nie radziłbym nie doceniać go jako przeciwnika. Wiem, że jest człowiekiem bezwzględny, gdy wchodzi w grę jego interesy.

- Trudno mi w to uwierzyć. Ty oczywiście znasz go lepiej. Nie znoszę tego fircyka.

- Ja też - zgodził się Carlyon. - Czy to nie ty mówiłeś mi, że on ostatnio sporo przegrał w karty?

- Tak. Istotnie, grywa piekielnie wysoko, ale trzeba być sprawiedliwym nawet w stosunku do Francisza Cheviota. Jest

ci chyba wiadomo, że po matce odziedziczył pokąźną fortunę. To oczywiście nic nie znaczy... ale nie bawmy się w zgadywanki.

- Chodźmy wobec tego przywitać naszego gościa.

W szkarłatnym salonie lokaj podawał akurat karafki i kieliški, a lord Bedlington stał przed kominkiem. Na widok gospodarza ruszył w jego stronę i zawołał:

- Carlyon, cóż to za straszna historia? Chociaż brakuje mi czasu, natychmiast tu przyjechałem. Nigdy nie byłem tak wstrząśnięty! Dziwię się tylko, że nie zawiadomił mnie pan natychmiast o tym, co się stało ... Och, dzień dobry, John.

- Chciałem osobiście przekazać tę informację, ale, niestety, nie zastałem pana w domu - powiedział Carlyon ściskając mu dłoń. ~ Napisałem więc list, który zapewne otrzyma pan jutro. Od kogo dowiedział się pan o śmierci bratanka?

Bedlington przez dłuższą chwilę przyglądał się Carlyonowi, a potem powiedział ze złością:

- O, takie wiadomości szybko się rozchodzą.

- To prawda, ale jak do pana dotarły?

- Lokaj mojego zmarłego bratanka powiedział o tym komuś z mojej służby. Teraz wie już o tym całe miasto. Jak to się stało? Jakiemu wypadkowi uległ Eustace? Mówią o jakiejś awanturze w zajeździe. Przyjechałem, żeby od pana dowiedzieć się całej prawdy.

- Postąpił pan słusznie, ale przypuszczam, że równie bolesne będzie dla mnie relacjonowanie tej sprawy, jak i dla pana słuchanie mojej relacji. Eustace zginął z ręki mojego brata Nicholas'a!

- Carlyon! - zawołał Bedlington, cofnął się o krok i złapał dla odzyskania równowagi poręcz krzesła. - Mój Boże, aż do tego doszło?

- To znaczy do czego? ~ zapytał wyzywająco John.

Jego lordowska mość mruknął coś niewyraźnie, że nigdy by w to nie uwierzył, i ukrył twarz w chusteczce.

- W co by pan nie uwierzył? ~ domagał się wyjaśnień John uciekając się do nieco przyciężkiej taktyki.

- Proszę cię, uspokój się, John - powiedział Carlyon, a potem zwrócił się do gościa: - Proszę usiąść, sir. Chyba nie muszę mówić, że był to wypadek. Niewiele brakowało, a ofiarą stałby się Nicky, tyle że wtedy można by mówić o morderstwie dokonanym przez Eustace'a.

- Och, wy zawsze niesprawiedliwie ocenialiście tego biednego chłopca, a teraz zapewne stara się pan chronić swego brata!

- Ma pan prawo tak uważać, ale na szczęście nie ja byłem świadkiem tego, co się stało. Krótko mówiąc, lordzie Bedlington, Eustace upił się jak zwykle i sprowokował Nicholas'a do bójki. Kiedy oberwał potężny cios, porwał ze stołu nóż i próbował go zabić. W czasie szamotaniny, kiedy Nicky chciał mu wyrwać to straszne narzędzie z ręki, Eustace potknął się i upadł nieszczęśliwie wprost na nóż. Po paru godzinach już nie żył. Bardzo mi przykro, że do tego doszło, ale nie mogę za to winić mojego brata.

- Ani nikogo innego - wtrącił John.

Bedlington, który wydawał się całkiem oszołomiony, ukrył twarz w chusteczce i jęknął. Carlyon napełnił mu kieliszek winem.

- Proszę bardzo, sir. Rozumiem pana rozpaczą, ale żeby być z panem zupełnie szczerzy, nie mogę nie zauważyć, że ten straszny wypadek nastąpił w samą porę, żeby uchronić obydwie nasze rodziny przed wplątaniem przez Eustace'a w bardzo poważny skandal.

Bedlington ukazał twarz zza chusteczki i drżącym głosem zawołał:

- O czym pan mówi? Te parę wybryków... takie młodzieńcze, ekstrawaganckie zachowanie chłopca, który znalazł się pod opieką człowieka... Nic więcej nie powiem. Sam pan wie, w jakim stopniu jest pan odpowiedzialny za jego postępowanie.

- Na Boga! Tego już za wiele! - wybuchnął John.

- Więc tym bardziej nie powinieneś już nic dodawać - uspokoił go Carlyon, a potem zwrócił się do Bedlingtona:  
- Czy nie podejrzewa pan, że te wybryki mogły nabrać takiego charakteru, że nawet pan nie mógłby mu ich wybaczyć? Bedlington zaczerwienił się.

- To poważne oszczerstwo. Nigdy nie lubił pan tego biednego chłopca, a w ogóle to nie chcę tego słuchać. Nie wiem, co pan ma na myśli, ale syn mojego brata... nie, nie, dajmy temu spokój.

Carlyon czekał w milczeniu, podczas gdy gość opróżniał kieliszek. Łyk wina uspokoił go nieco i pozwolił odzyskać równowagę. John ponownie napełnił mu kieliszek.

- Chciałbym wiedzieć, jak doszło do małżeństwa z tą młodą damą, którą zastałem w Highnoons? Tak, byłem tam już. Chyba rozumiecie moje zaskoczenie. Kim ona jest? Jak to w ogóle było możliwe? Nie rozumiem, dlaczego Eustace nie wtajemniczył mnie w swoje plany.

- Ona jest córką pana Rochdale'a z Feldenhall - odparł krótko Carlyon.

- Co takiego? - Lord Bedlington jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. - Tego, który zastrzelił się i zostawił rodzinę bez środków do życia?

Carlyon skinął głową.

- Tak, teraz rozumiem, dlaczego Eustace nic mi nie powiedział. Nie spodobałby mi się ten związek i zrobiłbym wszystko, żeby mu zapobiec. Zdumiewające! I to pan doprowadził do ślubu? Sam nie wiem, co powiedzieć. Wdowa mówiła mi, że zapisał jej wszystko.

Carlyon znów potwierdził skinieniem głowy.

- No, no! - Bedlington uniósł brwi. - Jest pan dziwnym człowiekiem, Carlyon. Nie potrafię pana zrozumieć.

- Gdyby pan wreszcie uwierzył, że nigdy nie chciałem odziedziczyć Highnoons, wcale nie wydawałbym się panu taki tajemniczy.

- Muszę przyznać, Carlyon, że w tej sprawie pomyliłem się - powiedział Bedlington wzdychając. - Ta tragedia tak mną jednak wstrząsnęła, że sam nie bardzo wiem, co mówię.

- To rozumiałe - zgodził się Carlyon. ~ Przypuszczam, że chętnie zostałby pan teraz sam. Zaprowadzę pana do przygotowanego już dla pana pokoju. Kolacja będzie podana za godzinę.

- Jest pan bardzo miły. Z pewnością przyda mi się chwila spokojnej refleksji. - Bedlington wstał i podreptał za gospodarzem.

John został w salonie, niecierpliwie oczekując powrotu brata. Minęło trochę czasu, zanim Carlyon pojawił się w pokoju i powiedział:

- Naprawdę, John, jesteś równie nierozsądny, jak Nicky. Czy musisz tak gwałtownie stawać w mojej obronie?

- Och, nie przejmuj się - powiedział John. - Nigdy nie mogłem znieść tych jego oskarżeń. Co o nim myślisz?

- Nic takiego.

- Na Boga! Nie wierzę w to, co mi wcześniej powiedziałaś, ale widzę, że ten facet jest cholernie zdenerwowany, zwłaszcza po tym, jak dałeś mu do zrozumienia, że coś podejrzewasz.

- Chciałem zobaczyć, jakie to wywrze na nim wrażenie, ale nie osiągnąłem zbyt wiele.

- Myślę, że był przestraszony.

- Chyba tak. Mam nadzieję, że nic w ten sposób nie popsuję. Jeśli sam niczego nie podejrzewa, to moje słowa są



bez znaczenia. Natomiast jeśli, jak przypuszczam, coś wie, to zapewne uzna, że Eustace popełnił jakiś błąd, i zechce wziąć sprawy w swoje ręce. co mnie tylko ucieszy.

- Czy wierzysz, że dowiedział się o śmierci swojego bratanka od jego lokaja?

- To jest możliwe. - Carlyon wzruszył ramionami. - Chociaż nie przypuszczam, żeby tak było.

John był wyraźnie zawiedziony.

- Co on ci powiedział tam, na górze? Nie było cię dość długo.

- Zanudzał mnie wspomnieniami o wuju Lionelu. Mogę tylko dodać, że różnią się one mocno od moich. Chciałby odzyskać listy, które pisał do niego, ale ja dotychczas nie natrafiłem na żadną korespondencję pomiędzy nimi.

- Ależ, Ned, on chciał się dowiedzieć czy nie znalazłeś tego przekłętą memorandum w papierach Eustace'a - stwierdził John.

- Mój drogi, Bedlington może być starym głupcem, ale nie pracowałby w sztabie, jeśli nie potrafiłby nad sobą panować. Gdybym nie dał wyrazu swoim podejrzewaniom, z jego pytań mógłbym się zorientować, że czymś się niepokoi. Zdecydowałem się jednak dać mu do zrozumienia, że coś podejrzewam, ale w jego pytaniach nie było nic, co by wskazywało na coś więcej, niż naturalne zainteresowanie stryja stanem spraw majątkowych bratanka.

- Byłeś z nim szczerzy? - zdziwił się John.

- Tak, poinformowałem go, że w papierach nie znalazłem wiele poza rachunkami, weksłami i prywatnymi listami, które proponuję spalić - odparł Carlyon.

John roześmiał się.

- Jesteś wprost niesamowity. Nie powiedziałaś mu chyba o przygodzie Nicholasa z ostatniej nocy?

- Przeciwnie, wspomniałem, że pani Cheviot jest wzburzona, bo do domu włamał się złodziej.

- Co on na to?

- Wyraził nadzieję, że nic cennego nie zginęło.

- Co dalej, co dalej?

- Powiedziałem, że, o ile wiem, istotnie nie skradziono niczego - odparł Carlyon.

- Ciekawe, co on teraz robi.

- Poinformował mnie, że jutro rano musi wracać do Londynu, ale przyjedzie na pogrzeb. Wtedy zamierza przeno-cować w Highnoons.

- Wielki Boże, Ned! Zaczynam podejrzewać, że masz rację!

- Tak właśnie sędzę - odparł Carlyon. - Ale nie wykluczam, że mogę się mylić.

## 12

**w czasie obiadu lord Bedlington nie był już tak bardzo** rozdrażniony. Co prawda od czasu do czasu ciężko wzdychał, ale żałoba nie wpłynęła na jego apetyt. Nie pominął żadnego dania, a nadziewaną kaczką podsmażoną, a potem duszoną w maśle tak był poruszony, że kazał przekazać kucharce wyrazy uznania i gratulował Cariyonowi, że zatrudnia taki skarb. Po zjedzeniu zupy, ragóut i smażonego karpia po portugalsku, steku w sosie ostrygowym, a na koniec ciasta z owocami na tyle pogodził się ze śmiercią bratanka, że był w stanie opowiedzieć kilka najświeższych anegdot, a nawet przy portwajnie wyznał Cariyonowi, że nie zgadza się ze swym starym przyjacielem Brummellem, który twierdzi, że jest to wino dla gorzej urodzonych. Wypił parę kieliszków, ale zawiódł nadzieje Johna, który liczył na to, że wino rozwiąże mu język. Istotnie, gdyby lord Bedlington miał słabą głowę, nie byłby przez długie lata przyjacielem regenta. Mógł być podchmielony, mógł opowiadać pewne niedyskretne historie, ale zawsze wiedział, co mówi.

Kiedy wreszcie udało się oderwać go od karafki, Carlyon zabrał gościa do biblioteki. Przedtem zdecydowanie odprawił Johna, przypominając mu, że ma do napisania pilny list. John skrzywił się, ale bez słowa poszedł do jednego z salonów.

Po wygłoszeniu paru pochlebnych zdań na temat brandy

i wygodnego fotela lord Bedlington najwyraźniej przypomniał sobie, w jakim celu przyjechał do Sussex. Zapewnił Carlyona, że zawsze przekonany był o jego dobrych intencjach wobec bratanka i nawet przyznał, że jedyny syn jego brata miał pewne wady, które najpewniej wynikały z tego, że obracał się w nie najlepszym towarzystwie. Wreszcie, zniżając głos, zapytał Carlyona, czy ma jakieś istotne powody, by obawiać się, że młodzieniec wplątał się w jakieś gorsze kłopoty niż można by oczekiwać.

- Zastanawiałem się czasem, skąd brał pieniądze niezbędne do prowadzenia tak ekstrawaganckiego trybu życia - powiedział Carlyon.

- Tak! - zgodził się skwapliwie Bedlington. - Też się nad tym zastanawiałem. Mam jednak nadzieję, że nie kryje się za tym nic naprawdę złego. Żałuję tylko, że ten biedny chłopiec nie ufał mi tak, jakbym sobie tego życzył.

- W stosunku do mnie też nie był szczery.

- To prawda. Nie chciałem psuć miłego nastroju dzisiejszego wieczoru, wytykając panu błędy, ale nie mogę powstrzymać się, by nie zauważyć, że, być może, gdyby traktował go pan z nieco większą sympatią ...

- Drogi panie, pan traktował go wyjątkowo dobrze, a też nie zyskał pan jego zaufania.

- Niestety, tak. Czasem nawet zastanawiam się, czy nie rozpuściłem go zbyt, pozostawiając mu tyle swobody. Pan wie, że póki żył jego ojciec, bratanek czuł się w moim domu jak we własnym, wiedział, że zawsze będzie w nim mile widziany. Traktowałem go jak własnego syna, ale teraz nie wiem, czy było to słuszne. Obawiam się, czy nieświadomie nie stworzyłem sytuacji, w której ulec mógł jakimś pokusom.

- Doprawdy? Nie rozumiem, w jaki sposób - zdziwił się Carlyon.

- Och, jeśli o to chodzi... Rozumie pan, w mojej sytuacji.

jako adiutant regenta... To chyba wszystko wyjaśnia. Jestem pewien, że nie znam połowy ludzi, którzy kręcą się w moim domu, skąd więc mogę wiedzieć, kogo Eustace tam spotykał? Młodym ludziom nie zawsze można ufać, a że, co tu mówić, nie miał on zbyt mocnego charakteru, więc mógł dać się wciągnąć w niewłaściwe towarzystwo.

Bedlington przez jakiś czas kontynuował ten temat, ale ponieważ gospodarz uprzejmie milczał, popadł w końcu w zamyślenie. Po dłuższej chwili zaczął wypytywać Carlyona o przygotowania do pogrzebu. Życzył sobie takiego ustalenia daty ceremonii, by mógł w niej uczestniczyć. Kiedy usłyszał, że wyprowadzenie zwłok nastąpi z kaplicy, w której leży Eustace, a nie z Highnoons, sprawiał wrażenie wstrząśniętego i uznał to za niewłaściwe. Życzył sobie, żeby poinformować go o treści zawiadomień, które niewątpliwie zostały rozesłane, liczbie zamówionych powozów, nie mówiąc już o karawaniarzach i pióropuszcach. Carlyon przerwał mu wreszcie i powiedział, że w sytuacji kiedy Eustace miał tak fatalną opinię w sąsiedztwie, a w dodatku stracił życie w pijackiej burdzie, dla wszystkich będzie lepiej, jeśli pochówek nastąpi bez zbytej ostentacji.

- Ja wezmę udział w pogrzebie - stwierdził Bedlington.  
 - Zamierzam przy tej okazji zatrzymać się w Highnoons i pomówić z tym nieszczęsnym stworzeniem. Jestem przekonany, że potrzebne jej jest wsparcie osoby starszej i życzliwej. Naprawdę nie wiem, co z nią będzie, bo trudno oczekiwać, żeby to, co zostawił Eustace, zapewniło jej życie w dostatku. Ten upiorny dwór bliski ruiny! Doprowadzenie go do porządku pochłonie fortunę, nie mówiąc o kłopotach z utrzymaniem domu. A ona nie ma nikogo, kto by jej doradził, udzielił wsparcia.

- Pani Cheviot nie mieszka tam sama, ma do towarzystwa swoją byłą guwernantkę.

- Tak, tak, poznałem ją. Taka drobna, starsza kobieta. Nie wiem, jakie ma pan plany, Carlyon, ale poradzę wdowie, żeby sprzedała majątek, o ile znajdzie się ktoś, kto zechce kupić taki zrujnowany, stary dwór.

- Nie wątpię, że tak zrobi, ale dopóki testament nie zostanie poświadczony, nie ma o czym mówić.

- Naturalnie, to rozumiałe. Nie można jej tak jednak zostawić. Tyle ma wydatków, choćby opłacenie czworga czy pięciorga służby. Czuję się zobowiązany coś dla niej... wdowy po moim bratanku... zrobić. Do tego ta sytuacja w jej rodzinie... Jak pan wie, jej ojciec stracił życie w takich okolicznościach... Mam dobry pomysł! Zabiorę ją ze sobą do Londynu i tam zaczeka, aż wyjaśnią się sprawy majątkowe. Służbę można zwolnić, a dom zamknąć. Co pan na to?

- Uważam, że dom nie powinien zostać bez dozoru - zauważył Carlyon, nie wdając się w dalsze rozważania.

Lord Bedlington udał się wkrótce na spoczynek, a Carlyon odszukał Johna, który ziewając siedział w salonie przed dogasającym kominkiem.

- Już myślałem, że nigdy nie przestanę cię nudzić - powiedział John. - Czemu nie pozwoliłeś mi dotrzymać wam towarzystwa?

- Jesteś dla niego zbyt surowy. Patrząc na twoją groźną minę nie może mówić swobodnie. Mnie też jest trudno.

- Tobie? - roześmiał się John. - No dobrze, czy wobec tego powiedział coś, co miałoby dla nas znaczenie?

- Na pewno jest zaniepokojony. Powiedział, że nieświadomie mógł narazić Eustace'a na pokusy, i nie wyklucza, że wplątał się on w coś gorszego, niż można by sądzić.

- Naraził go na pokusy? W jaki sposób?

- Bratanek mógł w jego domu wpaść w nieodpowiednie towarzystwo. Uważa, że ze względu na swoją funkcję adiutanta

regenta zmuszony jest przyjmować ludzi, których niezbyt dobrze zna - wyjaśnił Carlyon uśmiechając się przy tym.

- Daję słowo, interesujące spostrzeżenie, przy tym zadziwiająco szczere.

- Idę spać - powiedział Carlyon. - Wieczór spędzony w towarzystwie Bedlingtona był wyjątkowo męczący. Współczuję pani Cheviot. On jest śmiertelnie nudny.

- Czy nadał zamierza się jej narzucać?

- Tak, chce ją zabrać do swego domu na Brook Street. Highnoons ma zostać zamknięte, a służba zwolniona.

- Ha! Wtedy będzie mógł swobodnie przeszukać cały dom - powiedział John uśmiechając się. - Bardzo to uprzejme z jego strony. - Wyszli razem do holu zabierając świece. - Kiedy będzie pogrzeb? Uważasz, że powinienem wziąć w nim udział?

- Jak chcesz. Ja w każdym razie muszę. Termin został przesunięty o dwa dni, bo jakieś ważne sprawy zatrzymują Bedlingtona w mieście.

- Niech to licha! - jęknął John. - Na pewno chciałbyś, żeby było już po wszystkim i Eustace leżał spokojnie pod ziemią.

- O tak, chciałbym to mieć za sobą. Mam nadzieję, że jakoś przebrnę przez to wszystko.

- Na ile cię znam, poradzisz sobie, choć są to piekielnie skomplikowane sprawy. Do tego jeszcze masz wdowę na głowie. Dobrze ci tak, stary!

- Bzdura - mruknął Carlyon.

Rano Bedlington pojawił się ubrany do podróży. Na nieco złośliwe pytanie Johna, czy zamierza uczestniczyć w przesłuchaniu, które ma się odbyć w zajeździe Wisborough Green lord z oburzeniem wzruszył ramionami. Trudno powiedzieć, czym bardziej był wstrząśnięty: czy tym, że rozprawa ma dotyczyć członka rodziny, czy tym, że przyjechał do Sussex nieodpowiednio ubrany. Raczej tym drugim, bo zaczął zaraz

rozważać, czy jego krawiec Schultz zdaży mu na pogrzeb przygotować stosowny strój. Ten problem stał się głównym tematem rozmów przy śniadaniu i z pewnością przyspieszył jego odjazd. O dziesiątej powóz lorda Bedlingtona ruszył w stronę gościńca. W chwilę później Carlyon w towarzystwie brata udał się do Highnoons.

Po przybyciu na miejsce stwierdzili, że Nicky prawie całkowicie powrócił do zdrowia, ale był w nie najlepszym nastroju przed czekającą go rozprawą. Uśmiechnął się do Johna i zapewnił, że cieszy się z jego obecności.

- To oczywiście, że uznałem za stosowne przyjechać - stwierdził poważnie John. - Jeśli to, co masz na szyi, to jest temblak, włóż weń rękę i staraj się nią nie wymachiwać.

- Och, rana już mi nie dokucza! Noszę temblak tylko po to, żeby zrobić przyjemność pannie Becky - odparł Nicky, który zdażył się już zaprzyjaźnić z panną Becckles.

- Możliwe, ale chodzi o to, żebyś zrobił dobre wrażenie na przysięgłych. Znam dobrze tych ławników z Sussex.

- Przecież nie zostałem ranny w bójce z Eustace'em!

- Jeśli nie będą cię pytać, nic nie musisz mówić, a gdyby zapytali, powiesz, że zranił cię włamywacz, którego chciałeś ująć. Tak czy inaczej wyjdzie nam to na dobre - zauważył nieco cynicznie. Potem ucisnął dłoń Elinor i uklonił się pannie Becckles.

Carlyon zadał Elinor parę pytań, na które udzieliła mu wyczerpujących odpowiedzi, na próżno oczekując z jego strony komentarza na temat swojej popielatej sukni z czarnymi wstążkami i koronkami. Wreszcie nie wytrzymała i powiedziała:

- Zauważył pan chyba, że przywdziałam na wpeł żałobny strój. Przypuszczałam, że zostanie to życzliwie skomentowane.

- Wygląda pani uroczco, madam - odparł.

- O nie, nie. Nie prosiłam o komplementy, tylko pochwałę uległości.

Zauważyła wyraz rozbawienia w jego oczach, ale odpowiedział poważnie:

- Zapomniała pani, że mam trzy siostry. Nauczyły mnie unikać tego rodzaju uwag. Uznałyby je za wyjątkowo nietaktowne.

Roześmiała się.

- Mimo wszystko czuję się zawiedziona, że nie zostałam pochwalona za posłuszeństwo - powiedziała. - Odwiedził mnie wczoraj lord Bedlington. Pograżony był w czarnej rozpacz. Przypuszczam, że widział się z panem, i z pewnością wie pan już, że zamierza w dniu pogrzebu zatrzymać się w Highnoons.

- Tak i zdaję sobie sprawę, że jest to godne ubolewania. Proszę mi wierzyć, namawiając panią do zamieszkania tutaj, nie przypuszczałem, że narażam panią na takie przykrości.

- Och, tylko to może zakłócić idealny spokój, jaki dotąd panował w Highnoons - zauważyła ironicznie.

Uśmiechnął się, ale powiedział tylko:

- Mam nadzieję, że tej nocy nic nie zakłóciło pani odpoczynku.

- Nie, tylko ukochany pies pańskiego brata tak gwałtownie dobijał się do moich drzwi, że musiałam wstać z łóżka i wpuścić go do pokoju.

- Widocznie nabrał do pani sympatii, madam - odparł uprzejmie.

- Nabrał sympatii do gości, którą wcześniej ukrył pod moim łóżkiem - wyjaśniła Elinor.

- O, to znacznie gorzej - roześmiał się. - Ale proszę się nie martwić. Uwolnię panią i od niego, i od mojego nieznośnego brata.

- O, nie! - zaprotestowała gwałtownie. - Nie może pan tego zrobić, sir. To wspaniały pies, daje mi poczucie bez-

pieczeństwa. Proszę sobie wyobrazić, dzisiaj nie pozwolił piekarczowi zbliżyć się do domu.

- O co chodzi, Ned? - Nicky włączył się do rozmowy. - Nie zmusisz mnie do powrotu do domu! Jestem w trakcie poszukiwań tego dokumentu. Poza tym nie można zostawić kuzynki Elinor bez Kolosa, a wiesz, że on ucieknie za mną, jak wyjadę.

Elinor i panna Becckles gorąco poparły jego protest i w końcu stanęło na tym, że po przesłuchaniu Nicky wróci do Highnoons. Uradowany chłopak poinformował braci, że odkrył wspaniały strych wypełniony starymi gratami i że będzie miał świetną zabawę, grzebiąc w znajdujących się tam starociach.

- Nie masz pojęcia, Ned, jakie tam są skarby. Znalazłem już stary pistolet. Założę się, że tak stary, jak królowa Anna, i kilka zardzewiałych rapierów. Bóg wie, co tam jeszcze może być!

- Nadzwyczajne! - mruknął John. - Uważasz zapewne, że to najlepsze miejsce, w którym można ukryć dokument państwowej wagi.

- A czemu by nie? W końcu nie wiadomo, gdzie on jest - upierał się Nicky. - Ale posłuchaj, John! Czy pamiętasz ten pierwszorzędny latawiec, wiesz, ten, co to Eustace nigdy nie pozwalał, żeby go Harry puszczał? Znalazłem go tam pod stertą jakichś śmieci i od razu poznałem.

- No, nie! - powiedział z niedowierzaniem John. - Wątpię, czy go pamiętasz. To już tyle lat.

- Ależ pamiętam! Miał czerwone pasy, jak mógłbym zapomnieć!

- Tak, to prawda. I długi ogon, który Harry urwał, kiedy Eustace nie pozwolił mu puścić latawca. Słowo daję!

Wyglądało na to, że szperanie w starych, na wpół zapomnianych zabawkach bardziej ich interesuje niż przesłuchanie, ale Carlyon surowo przywołał braci do porządku i wkrótce, bez entuzjazmu, podążyli za nim do powozu. Panna Becckles

złagodziła nieco jego ostrą reprimendę sugerując, że latawcem będą mogli pobawić się później.

- Na Jowisza, John! Spróbujemy go puścić! - zawołał Nicky.

- Nonsens - mruknął John. - Też, zabawa z latawcem! Zresztą na pewno do niczego się nie nadaje.

Powóz odjechał, a obie damy wróciły do przerwanej zajęcia: zdejmowania z półek książek, przetrząsania ich, odkurzania okładek i ponownego układania na miejscu. Praca była wyczerpująca, kłęby kurzu unosiły się w powietrzu. Wszystko wskazywało na to, że Eustace Cheviot nie poświęcał zbyt wiele czasu lekturze. Rodzaj przedmiotów znalezionych między kartkami wskazywał, że umieściła je tam kobieca ręka. Były pośród nich liczne zasuszone kwiaty, spis garderoby oddanej do prania, a nawet przepis na rosół z węgorza, którym zainteresowała się panna Beccles sądząc, że mógłby urozmaicić wzmacniającą dietę rekonwalescenta. Tajemnic państwowych nie znalazły i chociaż panna Beccles czerpała satysfakcję z faktu, że na półkach nie będzie kurzu i pajęczyn, Elinor uważała jednak, że marnują czas.

Zasiadły akurat do posiłku, na który podano im zimne mięsa, owoce i herbatę, gdy na dziedzińcu znów wjechał powóz Carlyona i wysiedli z niego trzej bracia.

Elinor wybiegła do holu, by jak najprędzej dowiedzieć się o wynik dochodzenia. Przywitał je Nicky radosnym okrzykiem:

- Nie zakuli mnie w kajdany, kuzynko Elinor! Koroner był świetny! Nawet nie przypuszczałem, że okaże się to takie proste. Mówiąc prawdę, nie bardzo wiedziałem, jak zeznawać, ale w każdym razie byłem wyjątkowo uprzejmy. Zresztą szybko się zorientowałem, że wszystko idzie tak, jak trzeba. Hitchin zeznawał twardo i zdecydowanie. Koroner orzekł, że to był wypadek i wtedy, proszę sobie wyobrazić, kuzynko,

ludzie, którzy wypełniali salę, przyjęli ten wyrok owacją. Rozumie pani, z jaką radością wskoczyłem do powozu, żeby wrócić do domu.

- Och, jakże się cieszę! - zawołała Elinor. - Oczywiście to musiało tak się skończyć, ale zawsze pozostaje odrobina niepokoju...

Wyciągnęła rękę do Carlyona. Uścisnął ją i powiedział:

- Dziękuję pani. Na szczęście mamy to już za sobą. Wszystko odbyło się bez najmniejszego kłopotu. Sądząc po reakcji publiczności, przysięgli znaleźliby się w niezłych opałach, gdyby wydali inny werdykt. Musiałem szybko zabrać Nicholasa, bo mieszkańcy okolicznych wiosek próbowali chociaż uścisnąć mu dłoń, jak gdyby był publicznym dobroczyńcą.

- Tak, byłoby to co najmniej krepujące - powiedział John. - Cheviot zrobił chyba wszystko, żeby zyskać sobie tak złą opinię w okolicy.

Elinor zaprowadziła ich do jadalni i namówiła, żeby coś zjedli.

- Ech, znowu wlewać w siebie tę herbatę? Nie, ja dziękuję - zaprotestował Nicky.

- To może nie jest stosowna pora na herbatę - powiedziała panna Beccles - ale czy może być coś bardziej przyjemnego?

Na szczęście, akurat w tym momencie pod dom podjechała bryczka dostawcy i po chwili w jadalni zjawił się Barrow z dużym dzbanem piwa i trzema kufkami. Panowie w tej sytuacji zdecydowali się zjeść obiad, w czasie którego szczegółowo zrelacjonowali rozprawę i poinformowali damy o przygotowaniach do pogrzebu. Wszyscy trzej zdecydowali się spędzić popołudnie w Highnoons na poszukiwaniach tajnego dokumentu.

Carlyon pracował niespiesznie i melodycznie. Pomagał mu John. Starszy brat zajął się przetrząsaniem stojącej w bibliotece starej komody, a John mocno podniszczonego kufra, do

którego, jak się okazało, pasował jeden z kluczy Eustacea. Pełno tam było papierów, starych ksiąg rachunkowych i listów, przy których sortowaniu pomogła mu Elinor. Nie minęło pół godziny, gdy do pokoju zajrzał Nicky.

- Spójrz, John, czy to nie jest właśnie ten? - zapytał.

- Tak, to ten - odparł John patrząc na kolorowy, chociaż nieco wyblakły latawiec.

- Może poszedłbyś ze mną? Sprawdźmy, czy będzie jeszcze latał.

- Puszczanie latawca w moim wieku? Nie, nie, daj spokój. Widzisz zresztą, że jestem zajęty.

- Och, taka nudna robota - mruknął Nicky i zniknął.

John znów zajął się pracą, ale kiedy po paru minutach spojrział w okno, zobaczył młodszego brata w ogrodzie.

- Można by pomyśleć, że to jeszcze dzieciak. Beznadziejny przypadek ... - mruknął po chwili.

Ani Carlyon, ani Elinor nic na to nie powiedzieli. John nadal wyglądał przez okno. Po pewnym czasie zawołał:

- W ten sposób nic z tego nie będzie! Dlaczego on nie pójdzie na łąkę? Tu, w ogrodzie, nie ma odpowiedniego wiatru.

- Znalazłam księgę rachunkową sprzed dwudziestu lat - odezwała się Elinor. - Mogę ją odłożyć do spalenia?

- Tak, oczywiście - odpowiedział John, nie patrząc na nią.  
- Co on robi! Zapłacze mu się w żywopłot. Ned, ten chłopak ma przecież świeżą ranę na ręce! Wyjdę do niego.

Szybko opuścił pokój, a po pięciu minutach Elinor ujrzała go w ogrodzie, gdzie zawzięcie dyskutował z bratem. Potem obaj ruszyli w stronę łąki. Obok nich biegł Kolos. Zobaczyła ich dopiero o zmroku, kiedy Carlyon polecił sprowadzić powóz. Obaj mieli zmierzwione włosy, rumieńce na twarzach, ale z satysfakcją stwierdzili, że latawiec jest znakomity. Wyrazili oburzenie z powodu egoizmu zmarłego kuzyna,

który przed laty odmówił im udziału w zabawie, a John, raczej bez przekonania, zauważył, że wtedy mogli prawdziwie cieszyć się taką dziecinną zabawką. Wyraził potem zdziwienie, że jest już tak późno, i przeprosił za porzucenie obowiązków.

- Obawiałem się, że Nicky może nadwreżyć sobie rękę - wyjaśnił. - Poza tym nie wierzę, że znajdziemy coś ważnego w tych śmieciach, które powinny zostać już wiele lat temu spalone.

- Chyba muszę się z tobą zgodzić - powiedział Carlyon, patrząc z niesmakiem na leżącą na podłodze stertę papierów.

- Tak czy inaczej trzeba te porządki zrobić, niezależnie od tego, czy znajdziemy tu coś wartościowego, czy nie. Pani Cheviot, proszę się jednak nie przemęczać. Przyjadę tu znowu jutro, więc nie ma potrzeby, żeby pani teraz sama przeglądała kolejne szuflady czy szafy.

Wkrótce obaj odjechali. John powiedział, że chociaż nazajutrz musi być w Londynie, to postara się przyjechać na pogrzeb. W chwilę po ich wyjeździe do pokoju wpadł zdyszany i straszliwie zabłocony Kolos. Panna Beccles szybko przyniosła ścierkę i skrupulatnie wytarła mu łapy, czyniąc przy tym delikatne wymówki. Kolos cierpliwie wysłuchał wszystkiego z miną psa poddanego najcięższym torturom, ale po zakończonej operacji trzykrotnie okrążył pokój z pełną prędkością, skłębził wszystkie dywany, a potem wskoczył na sofę dysząc ciężko.

Noc minęła spokojnie. Rano do Highnoons przyjechał Carlyon. Nicky zaprowadził go na strych i zajęli się porządkowaniem staroci. Selekcja starych przedmiotów byłaby zapewne bardziej drastyczna, gdyby nie zjawiła się panna Beccles z talerzem ciasteczek, gdyż uważała, że mężczyźni zawsze potrzebują czegoś na wzmocnienie. Z leżącej na podłodze sterty rzeczy przeznaczonych do wyrzucenia uratowała kilka staromodnych sukni z brokatu, które, jak z wy-

rzutem zapewniła Carlyona, można wykorzystać, poduszkę do szpilek i glinianą miskę właśnie taką, jaka potrzebna jest pani Barrow, pudełko z igłami, nieco zardzewiałymi, ale zdatnymi do użytku, i grubą księgę zawierającą porady domowe, takie jak sposób usuwania plam z obrusa przez posypywanie ich solą zmieszaną z piołunem i niezawodną metodę tępienia świerszczy za pomocą szkockiej tabaki.

Elinor tymczasem w towarzystwie Kolosa zeszła do ogrodu, by udzielić wskazówek stajennemu pełniącemu funkcję ogrodnika i namówić go do oczyszczenia podjazdu z trawy i chwastów. W pewnym momencie zauważyła bryczkę zbliżającą się od strony bramy. Zaprzęg zatrzymał się przed wejściem do domu i wysiadł z niego tęgi mężczyzna wyglądający na handlarza. Elinor podeszła do niego w samą porę, by powstrzymać Kolosa, który próbował ugryźć go w łydkę. Wzburzony takim przyjęciem przybysz, nie wdając się w żadne grzeczności, podał jej okazałych rozmiarów szczegółowy rachunek i głośno domagał się natychmiastowego uregulowania należności. Kiedy dowiedział się, że jego niesolidny klient nie żyje, oznajmił, że wcale się temu nie dziwi, co nie zmienia faktu, że dług, tak czy inaczej, musi zostać zapłacony. Niegrzecznie potraktowana pani Cheviot poradziła mu, żeby z takimi pretensjami zgłosił się do wykonawcy testamentu, a kiedy mężczyzna nadal nalegał i głośno domagał się choćby zaliczki, jako że jest człowiekiem ubogim i w swoich interesach ponosi tylko straty, dała mu do zrozumienia, że nie jest w stanie dłużej upilnować tego złego psa. Gość szybko wskoczył do bryczki, a pani Cheviot poszła na strych, żeby nie bez odrobiny satysfakcji poinformować Carlyona, że zgodnie z jego przewidywaniami dłużnicy czekają na nią już u progu domu.

- Przypuszczam, że jest to pierwsze z całego szeregu takich zdarzeń - powiedział Carlyon. - Stosowne ogłoszenie

ukaże się w gazetach, ale obawiam się, że wiele osób je przeoczy.

- Cóż za urocza perspektywa! Widzę, że muszę przyzwyczaić się do tego rodzaju napaści.

- Nie rozumiem, dlaczego ma pani reagować na każdy dzwonek u drzwi - odparł Carlyon. - Barrow potrafi sobie poradzić z każdym intruzem.

- Wracałam akurat z ogrodu, więc podeszłam i zapytałam, czego chce - powiedziała Elinor.

- Postąpiła pani nierozsądnie. Następnym razem będzie pani wiedziała, co robić.

Elinor miała zamiar głośno wyrazić oburzenie, ale na szczęście odwróciła jej uwagę panna Beccles, roztaczając przed nią całą wspaniałość sukni, które uratowała.

- Och, pamiętam mamę w takich właśnie sukniach! - zawołała Elinor. - Tutaj powinna być jeszcze taka obręcz, prawda, Becky? Do tego wysoko zaczesane włosy, ozdobione wstążką, piórami czy czymś takim... A ile trzeba było mieć siły, żeby nosić taki strój! Zobacz, jakie to ciężkie! Dobrze, że je uratowałaś. Brokat jest nam akurat bardzo potrzebny na poduszki do salonu. - Rozejrzała się po strychu. Ze zdumieniem patrzyła na bogaty zbiór kobiecych strojów, mebli i przeróżnych śmieci. - Dobry Boże, czy wszystko, co wymagało nitki z igłą lub gwoźdźcia, wyrzucano do tej graciarni?

- Tak! - Panna Beccles smutno pokiwała głową. - Obawiam się, że brakowało tu dobrego gospodarza. O, tutaj jest fotel, w którym wystarczy tylko zmienić fragment obicia, ale jego lordowska mość przeznaczył go do spalenia. A spójrz na ten rożen. Jestem pewna, że nadaje się do naprawy, gdyby tylko pozwolił mi zabrać go do kuchni.

- Możesz zabrać rożen do kuchni, droga Becky - powiedziała wyniośle Elinor. - Możesz, co tylko chcesz, uratować od ognia.



- Och nie, moja droga, jeśli jego lordowska mość uważa, że należy te rzeczy wyrzucić, to moim zdaniem...

- To jest mój dom - stwierdziła z naciskiem Elinor - i następnym razem poinformuj jego lordowska mość, że nie ma nic do powiedzenia w tych sprawach.

- Elinor, kochanie, ty czasem ulegasz chwilowym nastrojom i pozwalasz sobie mówić to, czego naprawdę nie powinnaś!

- „Poinformować jego lordowska mość”... to brzmi zbyt sucho - wtrącił Carlyon. - Zawsze powinna pani dodać coś miłego, przekazując mi tego rodzaju uwagi.

Elinor rzuciła mu miażdżące spojrzenie i postanowiła się wycofać. Ku jej zaskoczeniu Carlyon wyszedł za nią.

- Ta niemiła wizyta wierzyciela przypomniła mi o czymś, co już wcześniej powinienem pani powiedzieć, pani Cheviot. Możemy na chwilę wejść do salonu?

- Ciekawe, jaką jeszcze straszną niespodziankę chowa pan w zanadru? - zapytała z niepokojem.

- Och, przysięgam, nic takiego. Wydaje mi się tylko, że byłoby właściwe, gdybym jako wykonawca testamentu kuzyna wręczył pani pewną sumę na niezbędne, no i nieoczekiwane wydatki.

- Och nie, proszę tego nie robić. To jest zupełnie niepotrzebne.

- Nie może pani przecież wydawać własnych pieniędzy.

- A na co miałabym wydawać pieniądze?

- W każdej chwili może zjawić się domokrażca, a pani zechce kupić kawałek perkalu albo miotłę, czy coś w tym rodzaju - powiedział uśmiechając się.

- Jeśli nawet zechcę, to będzie to wyłącznie moja sprawa. Wolałabym, żeby nie dawał mi pan żadnych pieniędzy.

- Pani skrupuły wydają mi się przesadne, madam, ale skoro ma już pani tę piękną cechę, to wręczę pewną sumę pannie Beccles.

Niewiele brakowało, by ze złości tupnęła nogą.

- Nie życzę sobie, żeby traktował pan mnie jak panienkę w wieku szkolnym, milordzie - powiedziała i domyślając się, co może na to usłyszeć, dodała szybko: - I proszę mi nie mówić, że właśnie tak się zachowuję, bo to nieprawda.

- Z pewnością. Wiem, że jest pani poważną kobietą, tylko nieco nadmiernie lubi pani postępować według własnej woli.

- Właśnie panu mogłabym to zarzucić, milordzie.

- To prawda, muszę się z panią zgodzić, że mam apodyktyczne usposobienie. Musi pani jednak przyznać, że moje postępowanie jest na ogół bardziej rozsądne niż pani.

- Dziwię się, że jeszcze panuję nad sobą! Jak może pan mówić coś takiego! To jest po prostu oburzające. Kiedy pomyślę, w jakiej postawił mnie pan sytuacji... I teraz jeszcze zachowuje się pan tak, jak gdyby nie zrobił pan nic, co wykracza poza przyjęte zasady, a przeciwnie, działał w możliwie najlepszy sposób...

- Przecież dobrze pani wie, że w tej dziwnej sytuacji, w której się pani znalazła, istotnie nie mogłem wybrać lepszej drogi postępowania.

Pani Cheviot usiadła w fotelu i zasłoniła ręką oczy. Carlyon przyglądał się jej z dyskretnie skrywanym rozbawieniem.

- Nadal wolałaby pani pracować jako guwernantka u pani Macclesfield, madam? - zapytał.

- Jakże mogłabym żałować, że nie jestem u niej, sir - odparła Elinor. - W jej domu musi być śmiertelnie nudno! Założę się, że nigdy nie zjawił się tam ani francuski agent, ani żaden wierzyciel.

- Jestem pewien, że jej dom jest wyjątkowo szacowny. Byłbym zaskoczony, gdybym dowiedział się, że małżonek tej damy popełnił kiedykolwiek coś tak nagannego, jak choćby nielegalne nabycie baryłki brandy. - Przerwał i po chwili

powiedział: - Przyszła mi w związku z tym do głowy pewna myśl. W tym domu też może znaleźć się taka beczułka. Można podejrzewać, że Eustace zaopatrywał się w trunki u przemytników. Gdyby natrafiła pani na coś takiego w domu albo poza domem, proszę nic nikomu nie mówić, tylko szybko mnie zawiadomić.

- Tego mi tylko brakowało! - zawołała Elinor. - Zmuszona jeszcze będę do kontaktów z bandą przemytników. Może w tej sytuacji istotnie dobrze pan zrobi, zostawiając mi trochę pieniędzy, bo oni na pewno zażądają natychmiastowej zapłaty. Chociaż ostatnie dwa dni w Highnoons przebiegały dosyć spokojnie, to wcale nie wykluczam, że zjawi się tu jakaś gromada desperatów, którzy ani przez chwilę nie zawahają się, jeśli uznają za stosowne zamordować mnie.

- Och, nie sądzę, żeby panią zamordowali - powiedział z pogodnym uśmiechem. - Zresztą postaram się przekazać informacje odpowiednim ludziom, żeby wszystkie zamówione przez kuzyna dostawy dostarczyli do Hall.

- Nie wątpię, że jest pan sędzią pokoju - stwierdziła pani Cheviot.

- Owszem.

- Na pana miejscu wstydziałabym się przyznawać do tego - zauważyła.

- Droga pani, nie ma nic uwłaczającego w tym, że jest się sędzią pokoju ~ odparł z niezmaconym spokojem.

Pani Cheviot na próżno poszukiwała odpowiednich słów. Nie powiedziała nic, tylko spojrzała na niego ze złością.

## 13

Dzień poprzedzający pogrzeb minął spokojnie, wypełniony tymi samymi zajęciami co poprzedni. Urosła tylko sterta śmieci przeznaczonych do spalenia. Panna Beccles była zachwycona, gdyż jej wyłącznej opiece powierzona została spiżarnia i ogromna szafa z bielizną. Elinor zaczęła powoli nabierać przekonania, że z czasem ten dom stanie się całkiem przyjemny. Nicky zaraz rano zabrał Kolosa i udał się z nim do sąsiadującej z majątkiem farmy, żeby zająć się polowaniem na szczury. Działalność ta przyniosłaby zapewne imponujące rezultaty, gdyby nie to, że Kolos powziął przekonanie, iż najpierw powinien uwolnić świat od zapchlonego teriera, który miał mu pomóc w tępieniu gryzoni w ogromnej stodole.

Wczesnym popołudniem, wracając do domu ścieżką prowadzącą przez pobliski las, Nicky zobaczył elegancki powóz zaprzężony w czwórkę koni, który akurat zatrzymał się przed wejściem do Highnoons. Przystanął zaskoczony. Z powozu wyskoczył wysoki mężczyzna, niewątpliwie służący, z niewielką walizeczką w ręce, postawił ją na progu domu, a potem odwrócił się, żeby pomóc wysiąść swojemu panu.

Na podjeździe stanął szczupły, elegancki mężczyzna i cierpliwie czekał, aż lokaj wygładzi fałdy jego peleryny i chusteczką przetrze cholewy modnych wysokich butów. Na głowie

miał nieco ekstrawagancko przechylony na bok, wysoki kapelus z szerokim, podgiętym rondem, spod którego wysypywały się gęste kasztanowate loki. W ręce trzymał spacerową hebanową laskę oraz popielatą rękawiczkę zdjętą z drugiej dłoni. W okrągłej twarzy, o lekko zadartym nosie i niemal kobieco zarysowanych ustach i podbródku, zwracały uwagę szeroko rozstawione, niebieskie oczy, patrzące w nieokreślonym kierunku z wyrazem głębokiego znudzenia.

- Do wszystkich diabłów! - powiedział Nicky rozpoznawszy gościa.

Kolos, który stał obok z zadartym ogonem i nastroszonymi uszami, uznał te słowa za wystarczającą zachętę, by z głośnym szczekaniem mszyć jak strzała z zamiarem wypełnienia oczywistego w tej sytuacji obowiązku.

Elegancki mężczyzna, gdy usłyszał ujadanie i zobaczył dużego psa nadbiegającego przez zaniedbany trawnik, prawą ręką chwycił wykonaną z kości słoniowej główkę laski, przekreślił ją szybko i wyciągnął cienki, groźnie wyglądający sztylet ukryty w jej hebanowej części.

- Do nogi, Kolos! - wrzasnął przerażony Nicky widząc, co grozi jego ulubieńcowi.

Kolos zatrzymał się, opuścił ogon i uszy, potem przywarł do ziemi zaskoczony tym nagłym poleceniem.

Nicky podbiegł do niego. Oczy mu błyszczały, policzki miał zaczerwienione.

Gość nadal trzymał w ręku obnażony sztylet, ale uniósł wzrok i spojrzał na chłopca.

- Ja nie... lubię... psów - powiedział uśmiechając się, chociaż wyraz napięcia nie zniknął całkiem z jego twarzy, a oddech miał nieco przyspieszony.

- Na Boga, Cheviot, gdybyś zranił mojego psa, to chyba sam tym sztylitem poderznąłbym ci gardło! - zawołał Nicky.

- Cóż to, Nicky, czyżbyś postanowił usunąć ze świata wszystkich Cheviotów?

Nicky zbladł i mimo woli zacisnął pięści. Francis Cheviot roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

- Dobrze, już dobrze - powiedział uspokajająco. - Ja tylko, drogi chłopcze, żartowałem. Jestem przekonany, że nie zrobiłbyś mi krzywdy.

- Nie bądź taki pewny! Spróbuj tylko zrobić coś złego mojemu psu! - mruknął wojowniczo Nicky.

- Nie, nie, Nicholas. Wybacz, ale co do tego nie mam wątpliwości - zaprotestował Francis tonem pełnym słodyczy. - Powiedz mi, drogi chłopcze, czy nie uważasz, że jest to trochę dziwne, że zastałem cię tutaj? W zaistniałej sytuacji... och, nawet by mi przez myśl nie przeszło, żeby cię o coś oskarżać... ale w takich okolicznościach, czy nie wydaje ci się... Nie, widzę, że nie. A w końcu kimże ja jestem, żeby grać rolę arbitra? To nie powinno mnie obchodzić.

- Mieszkam tutaj - krótko poinformował go Nicky.

- Ach, tak? To dodaje pikanterii całej sprawie... Crawley, mam nadzieję, że już zadzwoniłeś do drzwi, bo wiesz, że jeśli dłużej będę tu stał na chłodzie, to przeziębę się, a to może skończyć się zapaleniem płuc. Nie rozumiem, dlaczego tak bezmyślnie wyciągnąłeś mnie z powozu, zanim drzwi zostały otwarte. O, wreszcie jest ten niezdarny sługa. No, Barrow, weź ode mnie kapelus... chociaż nie, lepiej niech to robi Crawley. Ale jeśli tak, to kto pomoże mi zdjąć pelerynę? Och, jakie to wszystko skomplikowane. Mam pomysł! Odłóż mój kapelus, Crawley. Nie wiem co bym bez ciebie zrobił. A teraz pelerynę, tylko ostrożnie! A gdzie lusterko? Crawley, chyba nie byłeś tak nierozsądny, żeby zapakować wszystkie moje ręczne lusterka? Widzę, że nie... Trochę wyżej, jeśli

łaska, i podaj mi grzebień. Doskonale. Tak, może być. Barrow, proszę mnie zaanonsować swojej pani.

- Dobrze, dobrze - powiedział Barrow nie ruszając się z miejsca. - Nie wiem, co pana tu sprowadza, sir, ale na pewno nikt pana nie oczekuje.

- Skoro już powiadomiłeś mnie o tym, to proszę mnie wreszcie zaanonsować, Barrow - odparł grzecznie Francis. - A ty, drogi Nicky, bądź tak dobry i nie wpuszczaj tego psa do domu. Lękam się psów, a wiem, że nie chcesz mi sprawić przykrości. Taka głęboka antypatia, rozumiesz mnie. Czy to nie dziwne? Mówią, że sympatia do psów leży w charakterze Anglika, a ja przecież jestem prawdziwym Anglikiem. Co innego koty! W kotach jest coś zachwycającego, zgadzasz się ze mną? Och, oczywiście, że nie. Barrow, czy ja jeszcze długo mam stać w tym przeciagu, bo jeśli tak, to będę musiał znów włożyć pelerynę.

Barrow, dając upust swym uczuciom, mruknął coś pod nosem, ale podszedł do drzwi salonu, otworzył je i oznajmił ponurym głosem:

- Szanowny Francis Cheviot, madam!

Elinor z wyrazem zaskoczenia na twarzy wstała od sekretarzyka, przy którym akurat siedziała.

- Szanowny?...

- Tak, Francis Cheviot - potwierdził Nicky - ale nie wiem, czego on tu chce.

Francis drobnymi krokami szybko podszedł do niej z wyciągniętą ręką i przymilnym uśmiechem.

- Droga pani Cheviot, jak się pani miewa? Ach, co za niestosowne pytanie! Jakże może się pani czuć w tak smutnych okolicznościach? Proszę pozwolić złożyć sobie najszczerze kondolencje.

Elinor z wyrazem zakłopotania dygnęła prawie niezauważalnie i podała mu rękę. Ucisnął ją i złożył ceremonialny ukłon.

- Dzień dobry panu. Proszę wybaczyć, ale nie oczekiwałam...

- Nie oczekiwała mnie pani? - zawołał głosem wyrażającym głębokie zdumienie. - Droga pani Cheviot... A może wolno mi zwracać się do pani kuzynko...? Droga kuzynko, któż mógł dać pani taki niemiły i z gruntu fałszywy obraz mojej osoby? Jestem pewien, że nie Nicholas! On ma nieco prowincjonalne maniery, których, jak sędzę, szybko się pozbędzie, ale pod tą pozorną szorstkością skrywa się prawdziwie złote serce. Nie, nie, jego nie mogę o to obwiniać. Nie mogła pani chyba przypuszczać, że nie wezmę udziału w pogrzebie mojego zmarłego kuzyna. Nigdy nie zaniedbuję tego rodzaju obowiązków. Jestem tylko ogromnie zaskoczony widząc tu Nicholasa! To nie znaczy, że nie cieszę się z tego spotkania, jestem nim zachwycony, ale sam nie wiem, jak powinienem się do niego odnosić. Rozumie pani, jestem w żałobie, a on... och, cóż to za delikatny problem.

- Wolałbym, żebyś przestał już pleść banialuki - powiedział Nicky. - Kuzyn Eustace nigdy tak naprawdę cię nie obchodził.

- Jesteś niesprawiedliwy, Nicholas, to do ciebie niepodobne. Nieszczęsny Eustace! Miał istotnie godny ubolewania charakter! Czasem zachowywał się wyjątkowo niestosownie! Zawsze bardzo z tego powodu cierpiałem, ale nie mówmy źle o zmarłym. Śmierć każdego czyni godnym szacunku! Ach, droga pani Cheviot, powinienem wyjaśnić, że przybyłem tu w podwójnej roli; tak, równocześnie reprezentuję siebie i stryja zmarłego. Mam nadzieję, że potrafię z godnością sprostać tym zadaniom.

- Lord Bedlington... Czy on nie przyjedzie na pogrzeb? - wyjąkała Elinor oszołomiona elokwencją gościa.

- Niestety! Przekazuje serdeczne pozdrowienia, kuzynko... i wyrazy ubolewania... Zobowiązał mnie do przeproszenia pani. Choroba!

- Tak? - zdziwił się Nicky.

- Zostawiłem go poważnie cierpiącego, w łóżku! Odezwął się jego stary wróg, gościec, jak wiesz, drogi chłopcze. Te ciężkie przeżycia z ostatnich dni... a może i podróż w czasie tych dotkliwych chłódów, któż to może wiedzieć? Doznał poważnego ataku i nie może opuścić domu. Tak więc jestem tutaj w podwójnej roli. I mam nadzieję, że moja obecność nie będzie źle widziana.

- Ależ nie! - powiedziała Elinor. - Jak mógł pan przypuszczać... Proszę usiąść, sir. Zatrzyma się pan... to znaczy, zamierza pan...

- Jest pani samą dobrocią, kuzynko. Ojciec istotnie uspokajał mnie, że będę dobrze przyjęty w Highnoons. Tytko błagam, proszę nie robić sobie kłopotów. Zapewniam panią, że będzie mi wygodnie w dowolnym pokoju, w którym mnie pani ulokuje, byleby tylko kominek nie dymił... Takie zachowałem wspomnienie z ostatniej wizyty w tym domu. Mój lekarz ostrzega mnie zwłaszcza przed przebywaniem w chłodnych pokojach, gdyż, wie pani, nie mam zbyt mocnego zdrowia.

Elinor przez uprzejmość wstrzymała się od udzielenia jedynej odpowiedzi, która cisnęła się jej na usta, więc nie powiedziała nic, ale wyręczył ją Nicky, który nie odczuwał aż takich skrupułów:

- Nie musisz tutaj nocować, Cheviot! W zajeździe Wisborough Green mają mnóstwo przyzwoitych pokoi - poinformował go.

- Och, nie odważę się podjąć takiego ryzyka - odparł zupełnie nie wzruszony Francis. - Widzisz, nie wziętem ze sobą pościeli, a z zasady nie zatrzymuję się bez niej w żadnym zajeździe. Nigdy nie można być pewnym, czy łóżka zostały wystarczająco dobrze przewietrzane. Oczywiście, nie chcę nawet myśleć, że mógłbym sprawić kłopot pani Cheviot.

Elinor czuła się w tej sytuacji zobowiązana zapewnić gościa, że zaraz każe przygotować dla niego pokój. Po-dziękował i powiedział, że czułby się szczęśliwy, gdyby mógł zająć żółty pokój.

- Nie, tam nie będziesz spał - stwierdził Nicky. - To jest sypialnia pani Cheviot.

- Ach, nigdy bym nie śmiał proponować, by zwolniła go dla mnie! - zawołał Francis. - Błagam panią, proszę nawet o tym nie myśleć! Proszę umieścić mnie w pokoju mojego zmarłego kuzyna. Jest wprawdzie nieco ponury, ale to nie ma żadnego znaczenia.

Elinor zauważyła, że Nicky znacząco patrzy na nią, i zaru-mieniła się. Podniosła się z krzesła i powiedziała, że musi wyjść, by wydać polecenia pani Barrow. Nicky wstał również i wyszedł za nią do holu pod pretekstem, że powinien zająć się Kolosem. Starannie zamknął za sobą drzwi od salonu.

- Pod żadnym pozorem nie możemy zostawić go samego, kuzynko Elinor - szepnął. - Na Jowisza, Ned miał rację! Nie ma wątpliwości: on przyjechał do Highnoons, żeby odnaleźć ten dokument. Musimy być czujni! Czy widziała pani kiedyś takiego cudaka?

- Och, Nicky, on mi się tak nie podoba! A przy tym przeraża mnie. Najlepiej namów go, żeby przeniósł się do Hall.

- Przeraża panią? Facet, który na pewno mdleje ze strachu na widok myszy przebiegającej przez pokój? Ned z pewnością chciałby, żeby Francis został tutaj. Proszę tylko pomyśleć, kuzynko, jeśli on wie, gdzie Eustace ukrył dokument, to nas tam zaprowadzi. Nie wykluczyłbym, że kryjówka znajduje się w pokoju Eustace'a, musi więc pani tak to zorganizować, żeby tam nie spał. Myślę, że byłoby to zbyt ryzykowne. Ten pokój trzeba zamknąć, a przygotować dla niego sypialnię obok mojej. Na pewno usłyszysz, gdyby w nocy próbował

jakichś sztuczek. Czy pani wie, jak byłoby wspaniale, gdybym przyłapał go na gorącym uczynku, i to jeszcze zanim Ned dowie się o jego obecności tutaj?

- Nicky, ja się coraz bardziej niepokoję. Koniecznie wyslij kogoś, żeby zawiadomił twojego brata o przyjeździe tego człowieka. To nie znaczy - dodała z goryczą w głosie - że lord Carlyon podtrzyma mnie na duchu. Najprawdopodobniej zachowa się bezdusznie i powie, że cieszy go jego obecność w Highnoons.

- Wcale bym się temu nie dziwił. Najgorsze, że muszę być uprzejmy w stosunku do tego typu. Czy pani wie, że byłby zabił Kolosa sztyletem, gdybym w porę nie interweniował? Facet, który bardziej lubi koty niż psy! Koty! - powtórzył z najwyższym oburzeniem.

- On sam przypomina kota. Wolałabym, żeby się tu nie zjawił... albo żeby mnie tu nie było.

- Co tam! Zanosi się na świetną zabawę - mruknął Nicky i wrócił do salonu.

Gość nie przeszukiwał pokoju, tylko spokojnie siedział przy kominku z nogą założoną na nogę. Uśmiechnął się słodko do Nicholasa i ręką wskazał srebrne sprzączki przy swoich butach.

- Spójrz! ~ powiedział. - Nie twierdzą, że to mój pomysł, ale bardzo mi się spodobał. Srebrne sprzączki, a nie złote, dyskretnie wskazują na żałobę. Na pogrzeb włożę oczywiście czarne spodnie. Długo się wahałem, zanim kazałem podać Crawleyowi te popielate, które mam na sobie. Obawiałem się, że może to zostać źle odebrane, ale w końcu moje pokrewieństwo ze zmarłym nie jest na tyle bliskie, by taki strój mógł razić, nie sądzisz? Zresztą żałobny nastrój podkreśla czarny fular. Och, czy nie uważasz, że to zestawienie może przypominać wojskowy mundur?

- Nie - odparł Nicky. - Absolutnie nie.

- Jak to miło z twojej strony, drogi chłopcze. Doprawdy, rozwiązałeś moje wątpliwości. A teraz powiedz mi, czy będę musiał oglądać twarz kuzyna, czy też mogę mieć nadzieję, że trumna została już zamknięta?

- Oczywiście że jest zabita gwoździami.

- Bardzo się cieszę. Jego śmierć jest dla mnie wyjątkowo bolesna i chociaż skłonny jestem nie zaniedbać niczego... czy on... czy on jest w tym domu?

- Nie. Zwłoki leżą w kaplicy.

- Znow dzięki tobie doznałem ulgi. Naturalnie, mam ze sobą sole trzeźwiące i Crawley potrafi mnie ocucić, ale muszę się przyznać, że byłoby dla mnie bardzo przykre spać w domu, w którym znajduje się trumna. Moje nerwy są w stanie wyjątkowego napięcia i kto wie, czy nie dostałbym spazmów. Ale teraz widzę, że nie mam się czego obawiać, chyba że przeziębieniem się w podróży... Przypuszczam, że ceremonia nie będzie trwała zbyt długo?

- Carlyon postarał się, żeby była możliwie skromna - odparł Nicky.

- Trudno się dziwić - mruknął Francis. Zauważył, że Nicky zaczerwienił się, więc szybko dodał: - Nie chciałem być złośliwy, Nicholas. Ja to dobrze rozumiem. Niestety, biedny Eustace nie cieszył się sympatią sąsiadów. Mam jednak nadzieję, że zamówiono choć kilka powozów, bo, jak wiem, miał on paru przyjaciół i przypuszczam, że swoją obecnością zechcą uświetnić tę smutną ceremonię. Choćby Louis De Castres. Zawiadomiłem go osobiście o tym tragicznym zdarzeniu i nie wątpię, że zobaczymy go tutaj jutro.

Nicky, zdumiony bezczelnością Francisca, patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami.

- Chyba znasz Louisa? - zapytał nieco zaskoczony gość.  
- Uroczy człowiek! Jeden z moich najlepszych przyjaciół.

- Tak, tak - odparł Nicky. - Miałem przyjemność spotkać go kiedyś.

Gdy do pokoju weszła Elinor z panną Beccies, Nicky skorzystał z okazji, żeby oddalić się i nieco ochłonać. Posiłki w Highnoons podawano wcześniej, więc wkrótce wszyscy wyszli, by przebrać się do kolacji. Francis oddał się w ręce swojego lokaja, panna Beccies poszła do jadalni, żeby sprawdzić, czy dobrze nakryto do stołu, by potem nie wstydzić się przed tak eleganckim dżentelmenem, a Elinor postanowiła odszukać Nicholasa i zmusić go do wysłania stajennego do Hall z wiadomością dla Carlyona.

Nicky obstawał przy swoim. Twierdził, że obecność Carlyona wcale nie jest potrzebna, bo sami potrafią sobie poradzić z takim facetem jak Francis. Elinor wróciła więc do swojego pokoju mocno na niego rozżalona.

Do kolacji zasiedli w strojach stosownych do sytuacji, tak dobrze spełniających wymagania etykiety, że nawet najbardziej surowy krytyk nie mógłby mieć zastrzeżeń. Tylko panna Beccies, której nie obowiązywała żałoba, włożyła swoją najlepszą suknię w kolorze lawendowym. Francis ubrał się w czarny surdut i satynowe spodnie zapięte pod kolanami, które bardziej stosowne byłyby na przyjęciu w dworskich apartamentach niż w wiejskiej rezydencji. Elinor miała na sobie czarną jedwabną suknię, a Nicky, żeby nie być gorszym od Francisca, wystroił się podobnie jak on, chociaż z żalem musiał przyznać, że jego ubranie nie wyróżnia się równie modnym krojem.

Francis w uprzejmościach przechodził wprost samego siebie, ale panna Beccies nie dała się zwieść i nie pozwoliła się wciągnąć do rozmowy. Elinor odczuwała ciągle jakiś trudny do określenia niepokój, natomiast wysiłki Nicholasa, by powściągnąć swą niechęć do gościa, zdawały się jeszcze

bardziej ją podkreślać. Elinor zastanawiała się, jak przebrną przez czekający ich długi wieczór. Po kolacji panna Beccies wyszła z nią do salonu i wyznała, że wcale nie podoba jej się to, co mówi pan Cheviot, i nawet podejrzewa, że nie jest to dobry człowiek.

- On jest straszny! - wybuchnęła Elinor.

- Tak, kochanie. Skoro ty tak uważasz, to nie będę miała skrupułów, żeby ci powiedzieć, że to, co mówił o tym człowieku... jakoś tak dziwnie się nazywał... Romeo Coates... było niezbyt przyzwoite i jestem pewna, że twoja droga mama nie życzyłaby sobie, żebyś słuchała takich historyjek.

- Po co tu przyjechał? Boję się go!

- Moja droga pani Cheviot! Och, kochanie, musisz koniecznie dobrze zamknąć drzwi swojej sypialni! Albo nie. Ja będę spać na kozetce w twoim pokoju.

- Ależ, Becky! Naprawdę nie ma potrzeby. - Elinor mimo woli roześmiała się. - Jestem pewna, że on nie czyha na moją cnotę. Jednak po spędzeniu paru godzin w jego towarzystwie nie wątpię, że podejrzenia lorda Carlyona są uzasadnione. To człowiek zdolny do wszystkiego! Nie możemy go nawet na chwilę spuszczać z oka. Żeby tylko ten okropny chłopak zgodził się wysłać kogoś do Hall. Poza tym jak my przebrniemy przez ten wieczór? Chyba nigdy nie byłam w takim kłopotcie.

- Posłuchaj, kochanie. Jeśli uznasz za stosowne, to spróbuję namówić go, żeby zagrał ze mną w warcaby - zaproponowała panna Beccies.

Na szczęście nie musiała realizować tego planu. W chwilę potem jak panowie zjawili się w salonie, z holu dobiegły jakieś hałasy i niebawem w otwartych drzwiach pojawili się Carlyon, jego brat John oraz młoda dama w towarzystwie dżentelmena, oboje ubrani zgodnie z wymogami ostatniej mody.

Dama była znacznie młodsza od Elinor i wyjątkowo piękna.

Miała długie złociste loki i żywe niebieskie oczy. Nicky radośnie zawołał: - Georgy! - a Carlyon powiedział spokojnie:

- Moja siostra, lady Flint.

Elinor, która już wcześniej domyśliła się, kim ona jest, szybko wstała, splonęła rumieńcem, dygnęła i wyciągnęła rękę do młodej damy, która uściśnęła ją ciepło.

- Pani Cheviot! Moja nowa kuzynka! - zawołała miłym, radosnym głosem. - Zmusiłam Carlyona, żeby mnie tu przywiózł, gdyż tak bardzo chciałam panią poznać. Och, jest pani po prostu bohaterką! To jest Flint, mój mąż... Och, Nicky!

Uwolniła dłoń Elinor, podbiegła do brata i zarzuciła mu rękę na szyję. Potem przywitała się z Francisem i panną Beccles. Cały czas przy tym szczebiocząc, wyjaśniła, że jest w podróży do Hampshire, gdzie zamierza spędzić parę tygodni u teściowej, ale po drodze postanowiła na własne oczy sprawdzić to, o czym opowiedział jej John. Namówiła więc męża, by nadłożyć trochę drogi i odwiedzić Highnoons. Lord Flint, znacznie od niej starszy, poważnie wyglądający mężczyzna, przysłuchiwał się słowom żony, cały czas patrząc na nią z zachwytem.

Carlyon skorzystał z okazji i wyjaśnił w tym czasie Elinor, że siostra, gdy tylko dowiedziała się o jej małżeństwie, zapragnęła ją poznać. W związku z tym zjedli wcześniej kolację i postanowili przyjechać do Highnoons na herbatę.

- Nie chciałem ich przywozić na kolację, bo sprawiłbym pani zbyt wiele kłopotu - powiedział. - Mam nadzieję, że nasza obecność nie będzie dla pani uciążliwa.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała półgłosem. - Przez cały wieczór namawiałam Nicholasa, żeby wysłał kogoś do pana z informacją o przyjeździe tego dżentelmena.

- Tak, ta wizyta jest istotnie interesująca - powiedział Carlyon, patrząc na Francisca rozmawiającego akurat z Flintem.

- Wiedziałam, że tak obojętnie pan to potraktuje.

- Co z Bedlingtonem?

- Chory. Atak gościca.

Widać było, że Carlyon nad czymś się zastanawia, ale nie powiedział.

- Na litość boską, milordzie, co ja mam zrobić?

- Porozmawiamy o tym w bardziej stosownym momencie.

- A tymczasem on nocą splądruje cały dom w poszukiwaniu... pan wie czego.

- Myślę, że nie. Czy jest tutaj pies Nicholasa? Pozwólcie mu swobodnie krążyć po domu.

Na dalszą rozmowę nie wystarczyło czasu. Lady Flint podbiegła do nich, zdecydowana zacieśnić znajomość z nową kuzynką. Szybko okazało się, że John nie powiedział jej wszystkiego o dziwnych zdarzeniach, które miały miejsce w tym domu. Zainteresowanie młodej lady koncentrowało się głównie na małżeństwie Elinor. Zaciągnęła ją na sofę, usiadła obok niej i zaczęła się dłuższa rozmowa, przerywana od czasu do czasu pojedynczymi uwagami, rzucanymi przez młodą damę pod adresem któregoś z braci albo Francisca. Po chwili pod jakimś pretekstem zabrała Elinor do jej sypialni, żeby na osobności dowiedzieć się czegoś więcej.

- Carlyon obawiał się, że może pani być zakłopotana, jeśli złożymy wizytę tak bez uprzedzenia, ale chyba nie ma pani do nas pretensji, prawda? Och, kiedy przeczytałam ogłoszenie w *Morning Post*, to mało nie zemdlałam. Zaraz wysłałam liścik do Johna na Mount Street i nawet zmusiłam Flinta, by poszedł do jego biura w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, tak bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej! Proszę mi wybaczyć... może jestem zbyt wścibska? Chyba tak... ale proszę powiedzieć, jak do tego doszło?

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Lord Carlyon namówił



mnie do tego kroku, ale ciągle obawiam się, że nie byłam wtedy w pełni władz umysłowych - odparła Elinor z pewnym wahaniem.

- Kochany Carlyon, ale mu będę dokuczać! A co to za historia z włamywaczem? Zupełnie jak w powieści. Przypuszczam, że Nicky jest szczęśliwy, że został postrzelony! Gdyby mi Flint pozwolił, chętnie zostałabym tu na dłużej. Chyba nigdy w życiu nie byłam tak przejęta! Niestety, nie mogę, Wie pani, jestem w poważnym stanie, a mój kochany mąż jest taki przesadny, chociaż przysięgam, nigdy nie czułam się tak dobrze jak teraz. Mimo to muszę wyjechać na wieś i założyć się, że to Carlyon namówił na to Flinta. Czy on się pani podoba?

- Ależ tak - powiedziała Elinor. - Lord Flint zrobił na mnie...

- Och, nie! Nie Flint! Carlyon.

Elinor poczuła, że się rumieni.

- Z pewnością - powiedziała chłodno. - Jego manieri, sposób bycia są tak nienaganne, że wszystkim muszą się podobać.

Lady Flint skrzywiła się i uniosła brwi.

- Och, takie banały! Czy kłóci się pani z nim? Czy Carlyon panią irytuje?

- Jeśli chce pani znać prawdę, to jest on najbardziej wstrętnym, zarozumiałym, nieuprzejmym, odpychającym człowiekiem, jakiego znałam.

Elinor znalazła się nagle w objęciach siostry Carlyona.

- Kapitalne! Ileż razy ja mu to samo mówiłam! Widzę z tego, że potraficie się świetnie porozumieć! Bardzo się cieszę, że panią poznałam. Tak ślicznie wygląda pani w tej czarnej sukni, że sama chciałabym być wdową... Chyba jest pani zaszokowana tym, co mówię, bo musi pani przecież

wiedzieć, że uwielbiam Flinta. Czy Francis Cheviot zatrzyma się w Highnoons na dłużej? Byłam zaskoczona widząc go tutaj.

- Mam nadzieję, że tylko na jedną noc. Jest to nieco kłopotliwe, ale przybył w zastępstwie swojego ojca na... pogrzeb.

- Ach, nie spodobał się pani. - Lady Flint uniosła delikatnie brwi. - To całkiem miły człowiek. Spotyka się go wszędzie. Zawsze zapraszam go na swoje przyjęcia, wszyscy tak robią. Jest taki zabawny i taki dystygowany. Pan Brunner twierdzi, że jest wytworem swojego krawca. Słyszała pani kiedyś coś równie nieuprzejmego? W towarzystwie jest bardzo sympatyczny i zawsze wie, jakie kolory do siebie pasują i jak należy urządzić nowy salonik.

Elinor powiedziała coś nie zobowiązującego, lady Flint nadal w podobny sposób szczebiotała, aż wreszcie pozwoliła odprowadzić się na dół. Był już najwyższy czas, bo goście zaczęli szykować się do odjazdu. Po dokończeniu herbaty i czułych pożegnaniach przywołano powóz. Elinor nie miała okazji porozmawiać na osobności z Carlyonem. W holu rzuciła mu tylko wymowne spojrzenie, ale on odpowiedział jedynie uśmiechem. Musiała odgrywać rolę gościnniej pani domu i zachować pogodny wyraz twarzy. Kiedy ścisnął jej rękę na pożegnanie, zdołała mu szepnąć:

- Jak pan może zostawiać mnie z tym człowiekiem!

- Całe zaufanie pokładałam w Kolosie.

Nie dał jej czasu na odpowiedź, tylko ruszył ze swoim szwagrem do wyjścia i po chwili siedział już w powozie.

- Mój drogi bracie, ona jest czarująca - usłyszał zza pleców głos swojej siostry.

- Wyjątkowo dobrze wychowana młoda kobieta - powiedział Flint.

- To panna Rochdale z Feldenhall.

- Bardzo dziwne. Nawet nie próbuję tego zrozumieć.
- Drogi mężu, byłoby bardzo nudno na tym świecie, gdyby wszystko było zrozumiałe - wtrąciła jego małżonka. - Ale, ty Ned, nic mi nie powiedziałeś, że ona jest piękna. Tyle ma wdzięku i przy tym jaka jest dystygowana... znacznie bardziej niż ja.
- Co niewiele znaczy.
- Prawda. To nie jest w moim stylu i nigdy nie było. Tutaj dzieje się coś tajemniczego, a ty mi nic o tym nie powiedziałeś. Nieładnie.
- Te tajemnice istnieją tylko w twojej głowie.
- Nieprawda. Niestety, John też nic mi nie mówi.
- John zawsze był milczący.
- Phi! Nie jestem taka głupia, żeby mnie zbyć w ten sposób. Coś już odkryłam, ale nie wszystko. Szkoda, że muszę jechać do Hampshire.
- Carlyon skorzystał z okazji, żeby zmienić temat rozmowy. Aż do przyjazdu do Hall rozważane były szczegóły pobytu lady Flint u teściowej. Dopiero kiedy dwaj bracia po rozstaniu z siostrą i jej małżonkiem znaleźli się sami w salonie, John wrócił do spraw związanych z Highnoons.
- Na Boga, Ned, miałeś rację! - powiedział. - I co teraz?
- Powinniśmy byli spodziewać się, że zastaniemy go tam.
- Ale co Francis zrobił ze starym Bedlingtonem? W jaki sposób przekonał go, by wyjechał z Londynu? No i jakie ma zamiary?
- Przypuszczam, że chce znaleźć memorandum.
- Słowo daję, jesteś cholernie opanowany.
- Widzisz, ciągle nie wiemy wszystkiego, poza tym że sprawa jest dla niego ważna i pilna. Mogę tylko mieć nadzieję, że zdradzi się w jakiś sposób. Cśś. Nie rozmawiajmy o tym przy Georgy.

- Do salonu weszła lady Flint i zmierzała w ich stronę.
- Zaraz idę spać. Jacy wy jesteście okropni! Nie chcecie mi zdradzić tej tajemnicy - powiedziała.
- Nie ma żadnych tajemnic - stwierdził John. - Gdzie jest Flint? Chciałbym z nim zamienić parę słów.
- Patrzyła na niego przez chwilę, a potem zwróciła się do starszego brata.
- Och, Ned!
- Co takiego?
- Gussie i Eliza oszaleją, jak im to powiem, ale nie wiem, czy powinnam. Myślę jednak, że jesteś zgubiony.
- Nonsens! O czym ty mówisz?
- Zarzuciła mu ramiona na szyję, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.
- Jesteś najlepszym i najbardziej nieznośnym bratem. Nie chcę ci dokuczać... ani trochę, ale myślę, że przy tym jesteś wyjątkowo przebiegły.

## 14

JNie zapowiedziani goście odjechali. Po powrocie do salonu Elinor z zadowoleniem stwierdziła, że Francis Cheviot zamierza udać się na spoczynek. Dopytywał się tylko, czy wszystkie okna i drzwi zostały dobrze zabezpieczone przed wtargnięciem jakiegoś intruza, informacja o włamaniach wywarła widać na nim silne wrażenie. Stwierdził, że przez całą noc nie zmruży nawet oka, jeśli nie będzie miał całkowitej pewności, że nikt nie proszony nie wejdzie do domu. Zastanawiał się, czy nie uzbroić swojego lokaja i nie kazać mu czuwać w nocy z nabitym pistoletem w ręku.

- Tylko że on jest taki głupi! Gdyby nie to, że nikt tak jak Crawley nie potrafi wyczyścić do połysku moich butów, to już dawno pozbyłbym się tego niedołęgi. Po prostu nie wiem, co zrobić. Z pewnością wszyscy czulibyśmy się lepiej wiedząc, że ktoś czuwa, ale co będzie, jeśli przestraszy go jakiś cień lub szelest i obudzi nas strzałami? Wiem, że moje nerwy nie wytrzymałyby tego, a przekonany jestem, że i dla pani, droga kuzynko, byłby to wstrząs trudny do zniesienia.

- Nie ma powodu, żeby ten nieszczęsny człowiek czuwał przez całą noc - powiedziała spokojnie Elinor. - Kolos jest wyjątkowo czujnym psem, a my pozwalamy mu nocą biegać

po domu. Wystarczy najmniejszy hałas, żeby zaalarmował wszystkich.

- O tak, to prawda - potwierdził Nicky z szelmowskim uśmiechem. - Ubiegłej nocy, kiedy tylko panna Beccley uchyliła drzwi od swego pokoju, Kolos zaczął tak szczekać, że obudził nawet starego Barrowa.

- Coś takiego! - zdziwił się Francis. - Chyba postąpię rozsądnie, jeśli poproszę pannę Beccles, żeby tej nocy nie otwierała drzwi. Jeśli zostanę wyrwany z pierwszego snu, mam kłopoty z ponownym zaśnięciem i do rana leżę nie śpiąc, co bardzo źle wpływa na moje zdrowie.

Panna Beccles zapewniła go, że w nocy będzie spokojna, i całe towarzystwo wyszło do holu, gdzie czekały na nich ustawione na stoliku świece przeznaczone do sypialni. Kolos leżał na wycieraczce przy drzwiach wejściowych. Francis podniósł binokle do oczu przyjrzał mu się, westchnął i powiedział:

- Wyjątkowo brzydki pies.

- Ty się akurat na tym znasz - mruknął Nicky, który nie mógł się pogodzić z krytyką swego ulubieńca.

Instynktowna antypatia do Francisa, a może ton jego głosu sprawiły, że Kolos warknął groźnie. Nie był pewien, jak jego pan to przyjmie, ale kiedy nie został skarcony, wstał i zaczął całkiem agresywnie szczekać.

Francis cofnął się niepewnie.

- Nicky, bądź tak dobry i przytrzymaj go - powiedział. - Widocznie muszę mieć bardzo zły charakter. Psy podobno potrafią to wyczuć, prawda? Mam jednak nadzieję, że to jeden z tych przesądów, które są równie fałszywe, jak powierchowne.

- Nie przejmuj się. Przy mnie cię nie ugryzie - powiedział pogodnie Nicky.

- Wobec tego bardzo cię proszę, odprowadź mnie na górę.

Po chwili Nicky powierzył Francisowi troskliwej opiece lokaja i wrócił, by zamienić kilka słów z Elinor. Zapewnił ją, że będzie spał czujnie, i wyraził nadzieję, że Francis wyjdzie jednak na korytarz, a wtedy Kolos go ugryzie. Po wygłoszeniu tego pobożnego życzenia poszedł do swojego pokoju i natychmiast zapadł w głęboki sen, z którego, zdaniem Elinor, wyrwać go mógł tylko kataklizm.

Jednakże panna Beccles, uważająca Kolosa za wyjątkowo łagodne stworzenie, nie czuła się uspokojona. Ledwie ucichły kroki lokaja, który udał się do skrzydła domu przeznaczonego dla służby, gdy weszła do sypialni Elinor z informacją, że Francis z całą pewnością nie opuści tej nocy swego pokoju.

- Skąd ta pewność? - Elinor usiadła na łóżku i rozsunęła zasłony.

- Wpadłam na świetny pomysł - szepnęła z przejęciem drobna guwernantka. - Sznur do suszenia bielizny przywiązałam do klamki od jego drzwi, a drugi koniec do klamki drzwi pana Nicholas'a.

- Becky! - zawołała Elinor. - Co ty wyprawiasz! Wystarczy, że pilnuje go Kolos! Tylko pomyśl, co się stanie, jeśli pan Cheviot dowie się o tym. Nie będę mogła spojrzeć mu w oczy!

- Kochany piesek - powiedziała panna Beccles drapiąc za uchem Kolosa, który wślizgnął się za nią do sypialni Elinor i teraz siedział obok, czule się w nią wpatrując. ~ Nie jesteś wcale złym psem, prawda, mój drogi?

Kolos przybrał minę sentymentalnego spaniela i zarnerdał ogonem.

- Becky, co sobie pomyśli służba, kiedy to rano zobaczą!

- Istotnie, mogłoby to wydać się im dziwne, ale ja zawsze budzę się najwcześniej i zanim ktokolwiek wstanie, odwiążę ten sznur. Proszę się nie dąsać, droga pani Cheviot. Chciałam

tylko, żebyś wiedziała, że możesz spać spokojnie, bo zadbałam o bezpieczeństwo wszystkich. Kolos, dobry piesku, chodź!

Panna Beccles wyszła. Elinor długo jeszcze wierciła się na łóżku, próbując obmyślić jakiegokolwiek wyjaśnienie tego, co zrobiła stara guwernantka, gdyby gość dowiedział się o tym i słusznie poczuł się urażony. Błyskotliwy pomysł panny Beccles istotnie wywołał wiele zamieszania, ale nieoczekiwanie spowodował je Nicky. Przypadek zrządził, że w środku nocy obudził go jakiś hałas, na który w tych niezwykłych okolicznościach zareagował zbyt gwałtownie. Wyskoczył z łóżka, podszedł do drzwi i próbował je ostrożnie uchylić. Sznur trzymał mocno i Nicky naturalnie nabrał podejrzania, że sprawcą jego uwięzienia jest Francis Cheviot. Natychmiast zaczął wzywać pomocy. Jako pierwszy z odsieczą pośpieszył mu Kolos. Błyskawicznie wbiegł na górę, a kiedy przekonał się, że od ukochanego pana oddzielają go drzwi, zaczął je szturmować z bezprzykładną furią.

Panna Beccles w pośpiechu narzuciła na nocną koszulę szal, wybiegła z pokoju, złapała Kolosa za obrożę i błagała Nicholas'a, żeby się uspokoił. Niestety, ani on, ani Kolos nie posłuchali jej prośb i zanim drżącymi palcami zdołała rozplatać zaciśnięte na sznurze węzły, na korytarzu pojawiła się nie tylko Elinor, ale i Barrow, którego obudziły przekleństwa Nicholas'a i szczekanie psa.

Kiedy wreszcie Nicky dowiedział się, kto i dlaczego uwięził go w pokoju, wybuchnął śmiechem tak głośnym, że niewątpliwie obudziłby każdego, jeśli jeszcze ktokolwiek w tym domu spał po wcześniejszych hałasach.

Elinor z przerażeniem oczekiwała pojawienia się gościa, ale z jego sypialni nie dobiegał najśłabszy nawet szelest.

- Bardzo jestem ciekawy, kto to wpadł na taki głupi pomysł - powiedział Barrow patrząc na sznur od bielizny. - Ciekawe, co pan Francis pomyśli, jeśli dowie się o tym.

- Barrow, proszę nikomu nie mówić o tym, co pan tu zobaczył - powiedziała nerwowo Elinor. - Panna Beccles chciała... to znaczy, och, oczywiście, to nie miało najmniejszego sensu. Na litość boską, chodźmy stąd wreszcie!

Barrow nadal stał z wyrazem zdumienia na twarzy, więc Nicky zdecydował się odprowadzić starego lokaja do skrzydła dla służby i po drodze udzielić mu paru jeszcze wyjaśnień, po których służący uspokoił się i powiedział:

- Och, pani Cheviot nie miała chyba powodu, żeby podejrzewać pana Francisa o takie rzeczy.

- Co mu pan powiedział? - zapytała Elinor, gdy Nicky wrócił po odprowadzeniu lokaja.

- Nie mogę tego powtórzyć - uśmiechnął się do niej. - Byłaby pani na mnie zła.

- Jesteś nieznośny! Proszę mi natychmiast powiedzieć!

- Nie, bo musiałyby się pani zarumienić.

- Och! - tupnęła noga. - Co za straszny chłopak!

- Naprawdę, nic innego nie przyszło mi do głowy.

- No, dobrze już. Trudno - stwierdziła. Potem wskazała drzwi sypialni Francisa i dodała półgłosem: - Niemożliwe, żeby się nie obudził. Dlaczego nie wyszedł albo chociaż przez drzwi nie zapytał, co się dzieje?

- Prawdopodobnie schował się pod łóżkiem - zauważył złośliwie Nicky.

- Jutro trzeba będzie wytłumaczyć się z tych nocnych hałasów.

- Opowiem mu jakąś bajeczkę - obiecał Nicky.

Pomimo tych zapewnień Elinor nie pozbyła się niepokoju i następnego ranka zjawiła się na śniadaniu pełna najgorszych przeczuć. Nie zastała jednak w jadalni nieproszonego gościa, a Barrow z najgłębszą dezaprobatą wyjaśnił, że Crawley zaniósł śniadanie swojemu panu do sypialni. Wyjaśnił przy

tym, że pan Cheviot nigdy nie wychodzi ze swojego pokoju przed południem.

- Coś podobnego! - zawołał Nicky. - Świetnie, aie dzisiaj będzie musiał wyjść, bo przecież pogrzeb jest o dwunastej!

Nie tracąc czasu, zaraz po zjedzeniu obfitego jak zwykle, śniadania udał się na górę, żeby porozumieć się z Francisem. Pan Cheviot, który siedział przy toalecie ubrany w egzotyczny szlafrok, informację o godzinie pogrzebu przyjął z niewzruszonym spokojem. Lokaj nadal polerował mu paznokcie, a on odwrócił tylko głowę w stronę Nicholasa.

- Tak, drogi chłopcze, wiem o tym. Widzisz, jak wcześniej wstałem. Staram się, jak mogę, ale doprawdy sam nie wiem, czy zdążę ubrać się na czas. Jest już dziesiąta, a o jedenastej muszę być gotowy. Crawley, powinniśmy wziąć pod uwagę, że jeśli los nie sprzyśnigie się przeciwko nam, a mam nadzieję, że w tej sytuacji będzie łaskawy, to godzinę zajmie mi dobranie i zawiązanie fułara. Żeby się nie spóźnić, już chyba powinienem się tym zająć.

Nicky spojrział na leżącą na stole stertę czarnych fułarów.

- Wielki Boże, czyżbyś zamierzał zostać tu na miesiąc? - zawołał.

- Uważasz, że nie powinienem? - zapytał Francis nie przerywając przeglądania fułarów. - Chyba masz rację. A jeśli chodzi o tę stertę, to musisz wiedzieć, że często dopiero po kilkunastu próbach uda mi się zawiązać poprawny węzeł. Wykazałbym brak szacunku dla mego zmarłego kuzyna, gdybym na pogrzebie zjawił się w wygniecionym, źle zawiązanym fułarze. Zostaw mnie teraz samego, drogi chłopcze. Nie mogę się rozpraszać w tak decydującym momencie mojej toalety. Zanim pójdziesz, powiedz mi tylko, dlaczego dzisiejszej nocy zostałem tak brutalnie obudzony?

- Och, więc nie spałeś w czasie tego zamieszania? - zdziwił się Nicky.

- Mój drogi Nicholasie, ani nie jestem głuchy, ani nie mam tak mocnego snu. Hałas były takie, jak gdyby pułk wojska atakował dom.

- Dziwię się tylko, że nie wyszedłeś z pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Francis spojrzął na niego z wyrazem najgłębszego zdumienia.

- Wyjść z pokoju, zanim zostałem ogolony? - zawołał.

- Drogi chłopcze, ty chyba oszalałeś!

- Och, dobrze - mruknął zniecierpliwony Nicky. - A te hałasy to w końcu nic takiego. Nie mogłem otworzyć drzwi od pokoju, wiesz, zamek się zaciął. W tym domu wszystko jest w okropnym stanie. Musiałem wezwać na pomoc Barrowa, bo bałem się, że jeśli będę szarpał za klamkę, to mogę ją urwać.

- Mój Boże - powiedział Francis. - Podziwu godne opanowanie! A zawsze byłeś taki gwałtowny, drogi chłopcze.

Nicky wyszedł i udał się na poszukiwanie Elinor, żeby poinformować ją, jak załatwił sprawę Francisa.

- Jak myślisz, czy on próbował otworzyć swoje drzwi? - zapytała.

- Na Boga, nie wiem! Wcale bym się jednak nie dziwił, gdyby tak było. W życiu nie widziałem tak obłudnego faceta. A łąać potrafi jak mało kto. Muszę opowiedzieć Johnowi o fularach, które ze sobą przywiózł. On nie znosi takich elegantów.

Widocznie fulary nie były tego dnia zbyt odporne, bo punktualnie o jedenastej u szczytu schodów pojawił się Francis ubrany w żałobną czerń. Tylko kamizelkę miał w kolorze ciemnopopielatym. Za nim kroczył Crawley, niosąc obszytą futrem pelerynę, rękawiczki, kapelusze i hebanową laskę.

Powóz czekał już przed wejściem. Ustalono, że Nicky pojedzie razem z Francisem do Wisborough Green, gdzie czekać miały na nich zamówione na pogrzeb powozy.

Francis z właściwą mu galanterią podziękował gospodyni i zapewnił ją, że poza tak drobnymi przykrościami, jak harcowanie myszy za boazerią, skłonności Kolosa do drapania się na korytarzu akurat pod jego drzwiami, pianie o świcie chyba setki kogutów, no i kłopoty Nicholasa z zaciętym zamkiem u drzwi, noc przebiegła wyjątkowo spokojnie. Na koniec stwierdził, że jedyne, co zakłóca mu spokój, to obawa, że wiatr może zmienić kierunek na północno-zachodni. Gdyby tak się stało, absolutnie nie mógłby opuścić Highnoons dzisiejszego dnia, gdyż w takich warunkach rozpoczęcie podróży późnym popołudniem bez pewności, że do Londynu dotrze przed nocą, byłoby nierozważne. Elinor oczywiście musiała powiedzieć to, co nakazywała jej grzeczność, ale zrobiła to z ciężkim sercem i zaraz, jak tylko Francis został ulokowany w powozie w towarzystwie zniecierpliwionego już Nicholasa, poszła zapytać ogrodnika, co sądzi o perspektywie zmiany pogody. Niestety, potwierdził on prognozę Francisa i dodał, że wieje wyjątkowo chłodny i coraz silniejszy wiatr. Elinor wróciła do domu, by przekazać pani Barrow stosowne ostrzeżenie, ale stara służąca tak była zachwycona, że ma do pomocy dwie dziewczyny ze wsi, nie licząc żony ogrodnika, na której mogła już od rana wyładować wszystkie swoje złe humory, że tylko zapytała, czy ma podać na obiad pieczonego bażanta czy kurczaki z rożna z grzybami.

Nic nie zakłóciło ceremonii pogrzebowej. Francis samotnie zasiadł w pierwszym powozie orszaku, Carlyon z dwoma braćmi zajął miejsce w następnym. Udział w pogrzebie paru znajomych z sąsiedztwa, którzy zresztą przybyli wyłącznie z szacunku do Carlyona, dodał splendoru smutnemu obrzędowi.

Orszak zamykało parę osób niższego stanu, wśród których najważniejszą osobą był doktor.

W Hall przygotowano lekki posiłek, w którym udział wzięła większość dobrze urodzonych gości. Carlyon zauważył, że chociaż nie pokazał się Louis De Castres, to z Londynu na zaproszenie Francisa przybyli dwaj młodzi dżentelmeni ubrani równie pięknie jak on. Ich wizyta trwała krótko, pośpieszny odjazd wytłumaczyli koniecznością powrotu do miasta. Miejscowi dżentelmeni też wkrótce poszli za ich przykładem, rozumiejąc zapewne niezręczność sytuacji, a przy tym zażenowani zachowaniem pana Cheviota, który wydawał się pogrążony w ciężkiej rozpacz. Jako ostatni z sąsiadów odjechał sir Matthew Kendal. Żegnając się uścisnął dłoń Carlyona i zauważył przy tym, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. Szybko zorientował się, że uczucia, które podyktowały mu te słowa, powinien był wyrazić oględniej i żeby ukryć zakłopotanie, zwrócił się do Nicholasa z surowym ostrzeżeniem, że jeśli nie będzie trzymał swojego cholernego psa z dala od jego lasów, to zastrzeli kundla i powiesi na drzewie jako ostrzeżenie dla innych podobnych włóczęgów. Zanim odszedł, roześmiał się i szturchnął młodego przyjaciela palcem w żebra. Po jego odejściu John znalazł wreszcie stosowny moment, by dać ujście swojej irytacji, która nie opuszczała go od dłuższego czasu. Zmierzył Francisa niechętnym wzrokiem i powiedział tonem, który dodatkowo podkreślał jego zły nastrój:

- Nie przypuszczałem, że darzyłeś naszego kuzyna tak gorącymi uczuciami. Wierzę, że twoja rozpacz jest szczerą, ale teraz, kiedy zostaliśmy już sami, mógłbyś wyrażać swój ból nieco mniej demonstracyjnie.

Nicky, który akurat podnosił do ust kieliszek madery, zachichotał, na co Francis rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie, westchnął ciężko i przyłożył chusteczkę do oczu.

John ze złością zacisnął wargi. Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Nie, Cheviot, tego już za wiele.

Francis potrząsnął głową.

- Ach, wy nic nie rozumiecie - szepnął nie odrywając chusteczki od oczu. - Dotarła do mnie prawdziwie tragiczna wiadomość. Te niemęskie łzy cisną mi się do oczu, wstyd mi przyznać, nie z powodu śmierci naszego nieszczęsnego młodego krewnego, ale z powodu utraty kogoś znacznie mi uczuciowo bliższego. Wybaczcie mi! Tyle wysiłku kosztowało mnie uczestniczenie w tym przyjęciu... Nie, przyjęcie to nie jest właściwe słowo. Powinienem raczej powiedzieć w stypie, chociaż jakże często tego rodzaju spotkanie odbywa się w atmosferze niemal rozbawienia. John, mój drogi, przeżyłem prawdziwy szok, który mnie całkiem załamał.

John i Nicky patrzyli na niego z niedowierzaniem. Wreszcie Nicky wyjąkał odstawiając kieliszek:

- Dlaczego... Co takiego?

- Dostrzeegliście zapewne nieobecność Louisa na pogrzebie - powiedział Francis odsuwając chusteczkę od twarzy.

- Młodego De Castres'a? - zapytał zniecierpliwiony John.

- Zauważyliśmy, no i co z tego?

- Nie żyje! - odparł krótko Francis i znów przycisnął chusteczkę do oczu.

- Co takiego? - zawołał Nicky. - Ale...

John uciszył brata łapiąc go mocno za łokieć.

- Och, jakie to smutne - powiedział. - To musiał być jakiś tragiczny wypadek, przecież przedwczoraj widziałem go w Londynie.

- Zginął ugodzony śmiertelnie sztyletem - wyjąkał Francis.

- Jego zwłoki znaleziono w zaroślach przy Lincoln's Inn

Fields! Och, to był jeden z moich najbliższych przyjaciół. Jestem do głębi wstrząśnięty.

- Dobry Boże! - szepnął John.

- Skąd się o tym dowiedziałeś? - padło pytanie zadane spokojnym głosem. To Carlyon wrócił po odprowadzeniu sir Matthewa do wyjścia i zatrzymał się w progu salonu słysząc słowa Francisca.

- Przeczytałem w *Morning Post*. Godfrey Bałcombe był na tyle uprzejmy, by przywieźć mi gazetę z tą smutną wiadomością. Nie wiedział, biedaczysko, jaki cios zada mi w ten sposób. On nie znał bliżej Louisa... Wybaczcie mi! Mój biedny Louis! Taki bliski przyjaciel!

Carlyon zamknął drzwi i podszedł bliżej.

- Rozumiem twoją rozpacz - powiedział. - Wiem, że od dawna byliście zaprzyjaźnieni. Czy ta wiadomość jest na pewno prawdziwa?

- Ach, próbujesz mnie pocieszyć, ale ja nie mam wątpliwości. „Pan L... De C, potomek szacownej rodziny emigrantów”. Niestety, to z pewnością mój biedny Louis. Wszystko przez ten jego fatalny zwyczaj chodzenia piechotą. Mógł przecież wziąć dorożkę albo wynająć chłopca z latarnią do oświetlania drogi. Tyle razy go ostrzegałem. Mówiłem mu, jakie to niebezpieczne, ale nie słuchał mnie i oto spotkał go tragiczny koniec. Tuż przed wyjazdem wysłałem do niego list z prośbą, by towarzyszył mi na pogrzebie kuzyna. Nie wiem nawet, czy go otrzymał.

- Istotnie, wstrząsająca historia. Mówiłeś, że został zamordowany przy Lincoln's Inn Fields, prawda? O jakiej porze się to stało?

- W gazecie nie piszą nic na ten temat - Francis potrząsnął głową. - Oczywiście, nocą, ale obawiam się, że nigdy nie dowiemy się, kto to zrobił i o której godzinie. Co mogło

skłonić Louisa do przebywania w takim miejscu o tak późnej porze? Obrabowany z sakiewki i kosztowności leżał w kałuży krwi. Straszne!

Francis wzdrygnął się. Widać było, że jest prawdziwie wstrząśnięty. Carlyon polecił Nicholasowi podać mu kieliszek brandy.

- Przypuszczasz, że był to napad rabunkowy?

Francis skinął głową i wziął podany mu kieliszek.

- Taki banalny motyw! Zamordować dla paru marnych świecidełek i, gotów jestem przysiąc, nie więcej niż pięciu, dziesięciu gwinei, bo przecież nie był on zamożny. Powinno to być ostrzeżeniem dla każdego z nas. I pomyśleć, że... och, trudno mi zebrać myśli. Dla człowieka o takiej wrażliwości jak moja jest coś szczególnie odrażającego w rozlewie krwi, a prawdę mówiąc w każdej formie przemocy. Nawet w szkole nie dałem się skusić do zabawy w boks, bo widok krwawiącego nosa przyprawiał mnie o mdłości. Tak, zapewne uważacie mnie za niedorajdę, ale coż mogę zrobić? Tak już jest, że człowiek nie potrafi zmienić swojej natury. Wypiję jeszcze kropelkę twojej wspaniałej brandy, Carlyon, a potem, wybaczcie, ale pożegnam was. Trochę odpoczynku i... tak, może szklanka ziółek uspokajających. Crawley przygotowuje dla mnie stosowną miksturę. Jestem pewien, że pani Cheviot uszanuje moje pragnienie samotności, dopóki nie ochłoneę na tyle, by panować nad swymi uczuciami. Drogi Nicholasie, byłbym ci zobowiązany, gdybyś, jeśli pojedziesz ze mną, powstrzymał się od rozmowy w czasie drogi.

- Nie, nie, ja pojedę trochę później.

- Twoja delikatność mnie zadziwia, drogi chłopcze. Jestem ci wdzięczny.

Francis opróżnił drugi kieliszek brandy i wstał.

- Dzięki Bogu, zabrałem ze sobą czarną kamizelkę - po-



wiedział. - Ta popielata była wystarczająca dla Eustace'a, ale teraz zupełnie nie współgra z moim nastrojem. Mój biedny Louis!

Ani John, ani Nicky nie potrafili znaleźć właściwych słów, by skomentować tę deklarację, tylko Carlyon zachował spokój i potrafił kontynuować rozmowę z Francisem, dopóki lokaj nie poinformował, że powóz pana Cheviota czeka już przy wejściu. Kiedy Carlyon wrócił po odprowadzeniu gościa, zastał Johna przeglądającego egzemplarz *Morning Post* pozostawiony przez Francisa.

- O, jest tutaj - powiedział John i zaczął głośno czytać: *Prawdziwie smutne zdarzenie miało miejsce wczoraj przy Lincoln's Inn Fields: pan B... urzędnik zatrudniony w pewnym znanym biurze adwokackim wczoraj rano natrafił tam na zwłoki okrutnie zamordowanego młodego mężczyzny. Jak się dowiadujemy, ofiarą mordercy padł pan L... De C..., potomek jednej z szacownych rodzin francuskich emigrantów, których ciągle wielu mieszka w naszej stolicy. Nie ulega wątpliwości, że brutalne morderstwo miało motyw rabunkowy, jako że kieszenie ofiary zostały opróżnione, zniknął też zegarek z łańcuszkiem, szpilka od fulara i spinki od mankietów. Nie od rzeczy będzie jeśli jeszcze raz w naszej gazecie zwrócimy uwagę na panoszenie się złodziei na ulicach miasta i zażądamy w imieniu jego mieszkańców lepszej ochrony przed brutalnością bandytów, niż zapewniają nam patrole dziecienniałyh staruszków, które czuwają na naszych ulicach...* i tak dalej i tak dalej - dokończył zniecierpliwionym tonem John. - Mój Boże, Ned! Cóż za piekielne zdarzenia rozgrywają się wokół nas! Może to istotnie napad rabunkowy?

- Czy nic więcej nie piszą o tym w *Post* - zapytał Carlyon.

- Tytko tyle, poza narzekaniami na nieudolność strażników i policjantów.

- Nicky, idź i dowiedz się, czy przyszły londyńskie gazety. Może w *Timesie* albo w *Adventizerze* będzie coś więcej.

Nicky wyszedł z salonu. John odłożył *Morning Post* i powiedział grobowym głosem:

- Ned, to jest paskudna sprawa. Wcale się nie dziwię, że Cheviot tak się przejął. Nie ulega wątpliwości, że był on w zмовie z De Castres'em i tymi, którzy za nim stoją. Jeśli nie znajdzie tego, czego z takim zacięciem poszukują, to kto wie, co i jego może czekać.

- Czy uważasz, że De Castres został zamordowany przez francuskich agentów?

- Nie wiem, ale wydaje mi się, że to najbardziej prawdopodobne rozwiązanie zagadki, chociaż gotów jestem przysiąc, że nigdy nie poznamy całej prawdy. Jeśli De Castres obiecał swoim mocodawcom dostarczyć to memorandum albo jego odpis... Mógł już za to wziąć pieniądze albo agenci zaczęli podejrzewać, że De Castres próbuje ich oszukać, chce wziąć wynagrodzenie i wykpić się byle czym. On zresztą był, jestem o tym przekonany, tylko pionkiem w tej grze, zwerbowanym zapewne za pomocą szantażu. Prawdopodobnie ktoś coś o nim wiedział. Nie wyglądał na szpiega bardziej niż inni młodzi Francuzi mieszkający w tym kraju.

- To prawda - powiedział Nicky, który tymczasem wrócił do salonu. ~ A może został zabity przez kogoś z naszych ludzi? To znaczy przez naszych agentów?

- Nie można tego wykluczyć - powiedział z wahaniem John. - Oczywiście, byłoby to wysoce niewłaściwe i wolałbym przyjąć, że... chociaż ludzie zaangażowani w taką pracę pozbawieni są na ogół skrupułów ... Znalazłeś coś w *Timesie*, Ned?

~ Nic więcej poza tym, co przeczytałeś w *Post* - odparł Carlyon podając mu gazetę.

- W *Advertiszerze* nie mogę nic znaleźć - irytował się Nicky, pośpiesznie przeglądając kolumnę za kolumną. - Dajcie spokój, co oni drukują! O, tu jest coś o plantacjach szlacheńskich odmian agrestu. Ciekawe, kogo to interesuje! *W piątek na targu w Smithfield rzeźnik wystawił na sprzedaż swoją żonę...* Boże! *Dziwne zdarzenie w Rotherhithe: Młody wieloryb pojawił się przy ujściu rzeki.* Na Jowisza, szkoda, że nie mieszkam w Rotherhithe! *Uroczysty obiad wydany przez lorda majora w Ratuszu....* Tutaj jest coś, ale tylko krótka wzmianka: *Wczoraj rano przy Lincoln's Inn Fields znaleziono zwłoki młodego mężczyzny. Ustalono, że ofiarą morderstwa padł francuski emigrant, dobrze znany w eleganckim towarzystwie.* Ale historia! Och, Ned, za żadne skarby nie chciałbym się teraz odsunąć od tego, co się tu dzieje. Zaraz jadę do Highnoons, bo Cheviot zapewne czeka tylko na okazję, żeby wykraść ten dokument.

- Tak - powiedział Carlyon z wahaniem. - Tak.

- Co ci znowu przyszło do głowy? - zapytał John przeglądając mu się uważnie.

Carlyon nie odpowiedział. Zastanawia! się jeszcze przez chwilę, a potem nagle oznajmił:

- Jadę do Londynu. Nicky, każ podstawić pod wejście lekki powozik, najszybciej, jak tylko można.

- Jedziesz do Londynu? - zdziwił się John. - Po co, u diabła?

- Żeby spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. Postaram się szybko wrócić. Ty, John, zostań tutaj i pilnuj Nicholasa, żeby nie narobił jakichś głupstw. Nicky, zrozum mnie, możesz jechać do Highnoons i śledzić Cheviota, ale powinieneś zachowywać się tak, żeby nie uznał cię za przeszkodę, którą musi usunąć ze swojej drogi. Absolutnie nie wolno ci narażać się na niebezpieczeństwo.

- Boże! Ned! Ja miałbym się bać takiego faceta jak Francis Cheviot?

- Francis Cheviot jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem - stwierdził krótko Carlyon i wyszedł.

- Na jakiej on, u licha, podstawie mówi coś takiego? - zapytał Nicky patrząc na Johna. - Taki tchórzliwy...

- Nie wiem, ale coś w tym rodzaju usłyszałem już od niego wczoraj. Oczywiście, jeśli Francis podjął się dostarczenia tego dokumentu Francuzom i wie, że jego partner stracił życie, to może zacząć zachowywać się niebezpiecznie jak szczur zapędzony do rogu. Pamiętaj, Nicky, zachowuj się tak, jak kazał ci Ned. Ja też trochę później przyjadę do Highnoons i nawet zamierzam spędzić tam noc, oczywiście potajemnie. Nie przypuszczam, żeby Francis podjął poszukiwania dokumentu w ciągu dnia, nie będzie chciał ryzykować, że ktoś go przy tym zastanie.

- W nocy Francis nie ruszy się ze swojego pokoju. Boi się Kolosa - roześmiał się Nicky. - Nocą Kolos biega swobodnie po domu.

- Uważaj, żebyś rano nie znalazł swego ulubieńca otrutego! - zauważył ponuro John.

## 15

Elinor i panna Beccles całe przedpołudnie spędziły spokojnie, zajęte pracami domowymi. Panna Beccles z satysfakcją stwierdziła, że już wkrótce Highnoons przypominać będzie najlepsze wiejskie rezydencje. Wszystko wskazywało na to, że stara guwernantka przewiduje dłuższy pobyt w tym domu, więc Elinor poczuła się w obozwiązku przypomnieć jej, że zdecydowana jest, gdy tylko będzie to możliwe, sprzedać natychmiast posiadłość.

- Nie jestem przekonana, czy to najlepsze rozwiązanie - powiedziała wzdychając panna Beccles. ~ Tak dobrze mogłoby nam tu być.

Elinor zapewniła ją, że niezależne od tego, gdzie zamieszka, zawsze znajdzie się tam miejsce dla drogiej Becky, ale w Highnoons pozostawać nie zamierza. Panna Beccles odparła, że przecież jego lordowska mość najlepiej wie, co ona powinna zrobić. Elinor nie mogła się powstrzymać, by nie wygłosić kilku uwag na temat tyrańskich skłonności jego lordowskiej mości i kompletnego braku zrozumienia dla skrupułów przyzwoitej kobiety. Panna Beccles szczerze wyznała, że podobają jej się tacy władczy mężczyźni. Tego było już dla Elinor zbyt wiele. Mruknęła coś niezbyt uprzejmie i wyszła z pokoju.

Naiwnością byłoby oczekiwać, że panna Beccles zrozumie uczucia Elinor. Zresztą, jak się wydawało, nikt z jej otoczenia

w codziennych kontaktach nie dostrzegał niezwykłości sytuacji, w jakiej się znalazła, a i ona pozwoliła się porwać nurtowi wydarzeń popychającemu ją ku przyszłości spowitej mgłą domysłów. Nie wiedziała, co ją czeka. Nie spodziewała się, by ze zrujnowanej fortuny Cheviota udało się uratować więcej niż jakąś drobną sumę wystarczającą na skromne utrzymanie. Nigdy nie marzyła o tym, by dobrobyt zapewnić sobie poprzez małżeństwo, chciała środki do życia zdobyć własną pracą. Jako kobieta szczerza musiała jednak sama przed sobą przyznać, że po tej krótkiej przerwie w dotychczasowej monotonnej egzystencji trudno by jej było powrócić do dawnych zajęć. Jeszcze przed tygodniem szczytem marzeń dla niej był niewielki domek w przyzwoitej dzielnicy Londynu, gdzie mogłaby zamieszkać razem z Becky. Z takich czy innych powodów projekt ten przestał być dla niej atrakcyjny.

Zamieszczone przez Carlyona w londyńskich gazetach zawiadomienie o jej ślubie dało już pewne rezultaty. Do Highnoons dotarły, przez urząd pocztowy w Billinghamurst, listy od dwóch kuzynek i niezbyt sympatycznego wuja. Wuj wyraźnie dał do zrozumienia, że czuje się urażony utrzymaniem w tajemnicy jej matrymonialnych planów, a dalej na dwóch stronach listu tłumaczył, że zawsze bardzo zależało mu na tym, by zamieszkała w jego domu, i nie miał żadnego wpływu na to, że opuściła to gościnne schronienie. Widocznie nie natrafił na zawiadomienie o śmierci Eustace'a Cheviota, gdyż na koniec wyraził nadzieję, że Elinor nie będzie żałować związku z człowiekiem nie cieszącym się najlepszą opinią.

Natomiast kuzynki przyjęły małżeństwo Elinor z zachwytem, chociaż najwyraźniej dręczyła je ciekawość, co kryje się za krótkim ogłoszeniem zamieszczonym w *Timesie*. Obydwie zapewniły ją o swych gorących uczuciach i wyraziły gotowość przyjazdu do Highnoons, by służyć jej pomocą w urządzeniu się w nowym

otoczeniu. Elinor nie tracąc czasu odpisała im grzecznie, ale chłodno, że nie zamierza skorzystać z tej uprzejmej oferty.

Francis Cheviot, ku zaskoczeniu Elinor, wrócił z pogrzebem tak zdruzgotany, że Crawley musiał przy wchodzeniu na schody podtrzymywać go swym mocnym ramieniem. Prawdziwe przerażenie ogarnęło ją dopiero wówczas, gdy Francis łamiącym się głosem wyjaśnił przyczyny swej rozpacz. Podobnie jak Carlyon nie dowierzała, że młody Louis padł ofiarą złodzieja. Zaczęły przejawiać aktywność jakieś straszne, złowrogie siły i trudno było przypuszczać, że ze śmiercią tego człowieka ich działalność ustanie. Nie wiedziała, kto jest mordercą: francuski czy angielski agent, ale nie wątpiła, że ta śmierć wiąże się z dokumentem, którego De Castres i Francis Cheviot, a być może i inni, poszukiwali i nadal poszukują w Highnoons. W pierwszym odruchu gotowa była pozwolić rozebrać cały dom, cegła po cegle, byle tylko pozbyć się tego, co tu podstępnie ukryto, ale szybko powróciła jej trzeźwość umysłu i musiała zgodzić się, że jako lojalna Angielka powinna zrobić wszystko, co możliwe, żeby udaremnić wysiłki wrogów kraju, nie licząc się z ich bezwzględnością. Żałowała tylko, że to jej właśnie przypadł zaszczyt spełnienia tego obowiązku.

Patrząc na pobladłą twarz Francisa nie wątpiła w szczerść jego rozpacz, chociaż nigdy nie posądziłaby go o taką wrażliwość. Drżenie jego głosu i sposób w jaki zwracał się do swego lokaja wskazywały na to, że znajduje się w staniu silnego napięcia nerwowego. Poruszał się niespokojnie, nie tak elegancko jak poprzednio, jego uśmiech wydawał się wymuszony. Elinor byłaby może skłonna okazać mu współczucie, gdyby nie obawa, że strach przed bezwzględnością człowieka, któremu on i De Castres służyli, może popchnąć go do jakichś desperackich działań, w które i ona może zostać wciągnięta. Niecierpliwie oczekiwała przybycia Carlyona, żeby podzielić się z nim swymi obawami, i kiedy Francis

udał się do sypialni, by po wypiciu uspokajających ziółek położyć się do łóżka w zaciemnionym pokoju, stanęła przy oknie, z którego widać było podjazd. Carlyon co prawda traktował z oburzającą wprost obojętnością jej problemy, ale była pewna, że doznałaby nieopisanego ulgi, gdyby zobaczyła go wchodzącego do domu i usłyszała jego spokojny głos.

To jednak nie Carlyon pojawił się na drodze prowadzącej do bramy, ale Nicky, który wbrew życzeniom Johna zmienił żałobny strój na nieco bardziej swobodny. Miał na sobie niebieski surdut z dużymi srebrnymi guzikami i żółte spodnie. Dosiadał pełnokrwistego młodego kasztanka, który z niechęcią przyjął entuzjastyczne powitanie, jakie zgotował swojemu panu Kolos. Uspokojenie konia zajęło młodzieńcowi kilka minut, zauważył wreszcie Elinor, pomachał jej ręką i zawołał:

- Odprowadzę tylko Rufusa do stajni. Ładny koń, prawda? Trochę nerwowy. On się oczywiście nie boi Kolosa, tylko jest o niego zazdrosny.

Skinęła głową i uśmiechnęła się. Pomimo zdenerwowania potrafiła zrozumieć, że można być dumnym z takiego rasowego wierzchowca.

Po dwudziestu minutach Nicky wbiegł do domu, położył toczek i szpicrutę na stoliku w holu i zapytał półgłosem:

- Gdzie jest Cheviot?

- W swojej sypialni. Leży w łóżku, a Crawley rozciera mu stopy. Och, Nicky...

- Cśś! Chodźmy do biblioteki, kuzynko. Tutaj nie możemy rozmawiać, bo ktoś mógłby nas podsłuchać.

- No dobrze - zgodziła się i posłusznie ruszyła w stronę biblioteki. - On naprawdę leży w łóżku w stanie kompletnego rozstroju nerwowego. To nie ulega wątpliwości.

- O tak, wiem o tym! - Nicky zamknął dokładnie drzwi, potem podszedł do kominka i dorzucił do ognia parę bierwion.

- Czy Francis powiedział pani, że Louis De Castres został zamordowany?

- Tak i kiedy zaczęłam rozważać, jakie skutki może pociągnąć za sobą to tragiczne wydarzenie, sama się przeraziłam. Gdzie twój brat? Miałam nadzieję, że przyjedzie tu razem z tobą.

- Nie, nie, dzisiaj nie zobaczy się pani z nim - odparł Nicky. - Pojechał do Londynu. Bardzo się śpieszył. Na pierwszy odcinek drogi wziął powóz zaprzężony w swoje najlepsze konie. Bardzo szybkie gniadosze. Pięknie chodzą!

- Pojechał do Londynu? - powtórzyła.

- Tak. Powiedział, że wróci tak szybko, jak tylko będzie mógł, ale ...

- Czy on wie, że ten Francuz nie żyje? - przerwała mu.

- Oczywiście że wie. To właśnie w związku z tym pojechał do miasta, chociaż nie powiedział nam, co zamierza tam robić. John jest teraz w Hall i jeśli tylko pani zechce, może spędzić tę noc tutaj, w tajemnicy przed Francisem. I, na Jowisza, kuzynko Elinor, muszę pilnować, żeby Kolos jadł tylko to, co ja mu daję. John uważa, że Francis może go otruć. Ćwiczyłem Kolosa, żeby nie przyjmował żadnego jedzenia od obcych, więc właściwie nie ma się czego obawiać.

Elinor powstrzymała się od poinformowania go, że jego pupil traktuje kość albo kawałek mięsa jako znakomity sposób nawiązania przyjaznych stosunków z każdym nieznanym, i powiedziała:

- Twój brat wiedział o tym zabójstwie i mimo to wyjechał do miasta, nie próbując wcześniej skontaktować się ze mną?

- Och, on wiedział, że ja tu będę i poinformuję panią o jego wyjeździe. Kuzynko, to wszystko jest takie fascynujące! Nie wiadomo, co jeszcze może się zdarzyć.

- To prawda i właśnie dlatego chciałam porozmawiać z jego lordowską mością.

- On przecież leż nic nie wie. Może nie powinienem o tym mówić, ale Ned uważa, że Francis jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Powiedział, żebym był ostrożny i miał na wszystko, co się tu dzieje, oko.

- Tak powiedział? - Elinor aż zarumieniła się ze złości. - A więc jestem mu ogromnie zobowiązana. Czy, jego zdaniem, ja też powinnam być ostrożna, czy to nie ma żadnego znaczenia?

- Kuzynko Elinor, wystarczy, że ja i Kolos zachowamy czujność - zapewnił ją Nicky z ujmującym uśmiechem.

- Mam ogromną ochotę spakować swoje rzeczy i natychmiast opuścić ten dom.

- Nie może pani tego zrobić!

- Istotnie, nie mogę, ale zachowanie twojego brata uważam za nikczemne. Kiedy go spotkam, w co zresztą wątpię, bo prawdopodobnie rano znajdzie mnie z gardłem poderżniętym od ucha do ucha, będę mu miała wiele do powiedzenia. Och, kiedy sobie pomyślę, w jakiej strasznej sytuacji znalazłam się w rezultacie jego szalonych pomysłów, które on ma czelność nazywać rozsądnymi... jestem bliska ataku hysterii.

Nicky roześmiał się.

- O, dostanie pani spazmów jak jedna z guwernantek mojej siostry! Nie, nie w tym momencie. To nie jest odpowiednia pora na żarty, kuzynko!

- Żarty?

- Och, kuzynko Elinor, porozmawiajmy poważnie. Czy kiedyś, gdy była pani młoda... to znaczy w wieku szkolnym... przyszło pani do głowy, że któregoś dnia będzie pani musiała zmierzyć się z francuskim szpiegiem?

- Nie, Nicky. na pewno nie. Tego, co przydarzyło mi się w ubiegłym tygodniu, nigdy się nie spodziewałam, nawet wtedy, kiedy byłam uczennicą... i bardzo żałuję, że nadal nią nie jestem.

- Rozumiem, że to było niespodziewane. Skąd mogła pani

wiedzieć, co się zdarzy? Teraz jednak najważniejsze jest, żeby przewidzieć, co zrobi Francis.

- Już od paru godzin zastanawiam się nad tym.

- On jest takim tchórzem, wie pani, że nie sądzę, aby zdecydował się na jakieś gwałtowne działanie. A szkoda, bardzo żałuję.

- O, tak, domyślałam się tego.

- Jeśli Ned miał rację i Francis jest naprawdę niebezpieczny... Chociaż nie wierzę, żeby facet, który bardziej ceni koty niż psy i nie robi kroku nie mając przy sobie soli trzeźwiających, mógł być groźny. Jeśli jednak tak jest, to przypuszczam, że ucieknie się do piekielnie chytrych sposobów, o których zapewne nie mamy pojęcia.

- Najprawdopodobniej masz rację i to, co od ciebie usłyszałam, utwierdza mnie w przekonaniu, że powinnam jeszcze dzisiaj spakować się i pojechać do pani Macclesfield.

- Do pani Macclesfield? Och, do tej kobiety, u której miała pani pracować. Całe szczęście, że Ned nakłonił panią do pozostania tutaj. Ominęłyby panią tyle atrakcji!

Po sześciu latach zajmowania się osobami niedojrzałymi Elinor zdawała sobie sprawę, że w żaden sposób nie zmusi Nicholasa do przyjęcia całkowicie mu obcego punktu widzenia, poniechała więc dalszych prób przekonywania go. Zgodziła się, że byłoby jej bardzo przykro, gdyby straciła okazję przeżycia całego tygodnia w nieustającym napięciu. Nicky przyjął to oświadczenie z zadowoleniem i ciepło zauważył, że zawsze uważał ją za osobę godną zaufania. Potem zrobił wszystko, co w jego mocy, by pozbawić ją resztek hartu ducha, przekazując jej, nieco ubarwioną, hipotezę Johna na temat zamordowania Louisa De Castres'a.

- John jest zdania, że nie mógł tego zrobić żaden z naszych agentów - powiedział, energicznie przemierzając pokój z miną młodego dżentelmena gotowego dokonać wielkich czynów.

- Nie wie, oczywiście, kto jest mordercą, ale przypuszcza, że Louis został zamordowany przez swoich mocodawców, tych, którzy go zatrudniali i opłacali.

- I zabili go dlatego, że nie wywiązał się ze swego zadania?

- Och, nie. John sądzi, że mogli go podejrzewać o nieuczciwą grę. Rozumie pani, on uważa, że Louis był tylko pionkiem, gdyż inaczej nasi agenci musieliby coś o nim wiedzieć... a oni wiedzą więcej, niż pani przypuszcza. Chodzi o to, że prawdopodobnie jest ktoś, kto stoi za tym wszystkim. Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że to człowiek będący całkowicie poza podejrzeniami. To dopiero będzie zabawa, jak on sam zacznie działać!

- Ależ oczywiście, tym bardziej że jest on zapewne człowiekiem o bezwzględnym charakterze. Takim, który nie cofnie się przed niczym.

- No właśnie! Zwłaszcza jeśli uważa, że ten dokument jest w naszym posiadaniu.

Elinor byłaby zapewne przerażona, gdyby nie przyszedł jej z pomocą zdrowy rozsądek. Zauważyła, że gdyby dokument znalazł się w ich rękach, to natychmiast przekazaliby go dalej, a nie przetrzymywali w domu.

Po chwili zastanowienia Nicky z niechęcią musiał przyznać jej rację, ale znów odzyskał dobry nastrój i powiedział:

- Musi pani przyznać, że sprawa jest wyjątkowo zagnatowana. Jedyne człowiek, który wiedział, gdzie jest dokument, nie żyje. W domu zamieszkała teraz pani i można go przeszukiwać tylko ukradkiem. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że oni partaczą tę robotę. Jedyne, co mogą zrobić, to podstępem umieścić kogoś w Highnoons. Na Jowisza! Oczywiście że tak! Ktoś taki jak na przykład służący mógłby bez trudu przeszukać dom.

Elinor natychmiast pomyślała o dwóch dziewczynach zaan-

gazowanych przez panią Barrow, stolarzu wezwanym do naprawy uszkodzonych drzwi, a nawet o chłopcu pomagającym ogrodnikowi.

- Na Boga! - zawołała podnosząc się z fotela. - Nie masz chyba na myśli tego mężczyzny, który pracował tu przez całą przedpołudnie... ani tych dziewczyn... ani...

- Nie, obawiam się, że nie - powiedział z żalem Nicky.  
- Mówi pani o tym stolarzu, prawda? Byłoby to trafne spostrzeżenie, ale znam go od dziecka. A jeśli chodzi o dziewczyny, to jedna z nich jest bratanicą pani Barrow, a druga pochodzi z najbliższej wioski, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Oczywiście, masz rację. - Elinor usiadła ponownie w fotelu. - Ciekawe, skąd mi się wziął taki głupi pomysł. To wszystko przez ciebie, ty okropny chłopaku. Nie wiem, dlaczego opowiadasz mi takie straszne historie. A teraz posłuchaj, co mnie przyszło do głowy: nie obawiam się wizyty żadnego groźnego agenta, bo nie ma podstaw, by przypuszczać, że człowiek, który zatrudniał De Castres\*a wiedział, że twój kuzyn pełnił rolę pośrednika.

- Dlaczego?

- Ponieważ gdyby ten straszny typ wiedział, od kogo De Castres otrzymuje informacje, sam by się z nim skontaktował. Dlaczego rząd francuski miałby opłacać dwie osoby, jeśli wystarczyłoby opłacać jedną? Jestem pewna, że tego by nie zrobili.

Nicky zamyślił się, a po chwili powiedział:

- Istotnie, tak mogło być. Teraz rozumiem, dlaczego Francis zmuszony jest działać w tej sprawie osobiście, na co zapewne nie miał nigdy ochoty. Muszę przyznać, że cała zabawa może okazać się śmiertelnie nudna, jeśli będziemy mieć do czynienia tylko z Francisem.

Przez dłuższy jeszcze czas Nicky krążył po pokoju snując coraz to nowe teorie, toteż przybycie Johna Elinor przyjęła

z ogromną ulgą. John po uściśnięciu dłoni gospodyni, bezceremonialnie zaproponował Nicholasowi, by wybrał się na orzeźwiający spacer.

- Nie mam ochoty na żaden spacer! - zawołał obrażony Nicky.

- Wobec tego siadaj spokojnie i nie denerwuj pani Cheviot. Co się dzieje z pani gościem, madam?

- Leży w łóżku.

- No tak! - uśmiechnął się. - 'Ned może mówić, co chce, ale doprawdy trudno mi uwierzyć, że powinniśmy bać się Francis Cheviota. Mam nadzieję, że nie przejęła się pani zbyt tym, co powiedział Nicky?

- Coś takiego! - spojrzała na niego z niechęcią. - Nie przypuszczałam, że aż tak bardzo jest pan podobny do swojego starszego brata.

- Do Neda? Ależ nie, jestem pewny, że nie - odparł śmiejąc się.

- Myli się pan. Podobieństwo jest wyjątkowo wyraźne. Mówi pan to samo co on, że niby dlaczego miałabym się denerwować takim drobiazgiem jak morderstwo.

- Droga pani Cheviot, proszę mi wierzyć, że nic pani nie grozi, niemniej jednak wierzę, że może pani czuć się niepewnie pod jednym dachem z Francisem, zwłaszcza kiedy najprawdopodobniej będzie się starał znaleźć to memorandum.

- Przecież ja tutaj będę ~ zauważył Nicky.

- O, tak. I znowu wpadniesz w ciemności na jakąś zbroję. Proszę mi powiedzieć, madam, czy nie uważa pani, że powinienem tu przenocować? Oczywiście, Barrow mógłby czuwać przez całą noc, ale lepiej, żeby służba nie wiedziała nic o naszych podejrzeniach.

Elinor podziękowała, ale po chwili zastanowienia odmówiła, twierdząc, że ma zaufanie do Nicholasa i Kolosa, który nabrał

takiej niechęci do Francisa, że na jego widok natychmiast zaczyna szczekać, i z pewnością postawiłby cały dom na nogi, gdyby spróbował on wyjść z pokoju. Kolos otworzył oczy i nie wstając zamerdał ogonem.

- Wiem, co zrobię! - powiedział Nicky. - Jak tylko Francis pójdzie spać, przywiążę Kolosa u dołu schodów. Tutaj nie będzie mu mógł podać zatrutego mięsa, bo nim podejdziesz do szczytu schodów, Kolos szczekaniem obudzi wszystkich.

- Przypuszczam, madam, że jest pani na tyle rozsądna, by zbyt poważnie nie traktować naszych podejrzeń, które zresztą mogą okazać się całkiem bezpodstawne - powiedział John. - Istotnie, gdy próbuję trzeźwo ocenić te zdarzenia, to gotów jestem uwierzyć, że wszyscy, być może, ulegamy złudzeniom.

Bezduśną uwagę Johna Nicky potraktował jak prowokację i bracia zaczęli się gorąco spierać, kiedy jednak na parę minut przed kolacją Francis opuścił sypialnię i szedł do jadalni, jego wygląd i zachowanie zdawały się potwierdzać trafność opinii Johna.

Ubrany był na czarno, a jego twarz wyrażała tak bezgraniczną rozpacz, że trudno byłoby posądzić go o obłudę. Jego umysł zdawał się całkowicie pochłonięty dwoma nieszczęściami: śmiercią przyjaciela i zaobserwowanymi u siebie pierwszymi objawami przeziębienia. Trudno byłoby ocenić, który z tych problemów bardziej go przejmuje. Kiedy jego umysł zaprzętał Louis De Castres, popadał w milczenie przerywane tylko ciężkimi westchnieniami, wyrwany jednak z zamyślenia zaczynał mówić o swych dolegliwościach, które, miał nadzieję, nie skończą się dyfterytem. Zjadł kawałek bażanta w sosie migdałowym, a potem dał się jeszcze namówić na spróbowanie sera. Nicky, którego ambicją było sprowokowanie Francisa do jakiejś wypowiedzi zdradzającej jego zamiary, opowiedział o tajemnym wejściu do domu. Rezultat

prowokacji okazał się mizerny. Francis błagał tylko panią Cheviot, by kazała wejście zabezpieczyć przed dostępem niepożądanych gości. Nie na wiele też zdała się wzmianka o papierach Eustace'a Cheviota. Francis stwierdził, że panuje w nich zapewne straszny bałagan i wyraził nadzieję, że jego pomoc przy ich porządkowaniu nie będzie potrzebna.

- Nigdy nie miałem głowy do interesów, drogi chłopcze. Twój godny szacunek brat z pewnością poradzi sobie z tym wszystkim. Jakże się cieszę, że to on, a nie ja zostałem wyznaczony na wykonawcę testamentu.

Kiedy całe towarzystwo zebrało się po kolacji w salonie, Francis natychmiast stwierdził, że panuje tu straszny przeciąg i poprosił Nicholasa, by w odpowiednim miejscu ustawił parawan. Ponieważ nie na wiele się to zdało, kazał zawołać Crawleya i gorąco przeprosił Elinor za to, że nie dotrzyma jej dłużej towarzystwa.

- Rozumie pani, gdybym się jeszcze bardziej przeziębiał, mógłbym zostać unieruchomiony w Highnoons na cały miesiąc - wyjaśnił. - Myśl o tym, że naraziłbym panią na takie kłopoty, jest dla mnie nie do zniesienia.

Elinor miała nadzieję, że wyraz jej twarzy nie zdradził, jak bardzo się z nim zgadza. Panna Beccles zaproponowała jakieś leki. Po chwili zjawił się Crawley, narzucił Francisowi pelerynę na ramiona i zapewnił go, że zaraz przygotuje ciepłą wodę do moczenia nóg, a przed pójściem do łóżka poda mu gorące, świeżo zaparzone ziółka. Wkrótce obaj wyszli, a Nicky zawołał:

- Cóż to za nędzny facet! I kogoś takiego mamy się bać!

Nawet panna Beccles zrezygnowała z łączenia sznurem klamki jego drzwi z klamką od drzwi Nicholasa. Kolos został przywiązany do poręczy u dołu schodów, gdzie miał spędzić noc na specjalnie rozłożonym dywaniku. W tej części plan się nie powiódł. Kochające wolność zwierzę poczuło się tak



pokrzywdzone, że Nicky, nie mogąc znieść jego rozpaczliwych lamentów, uwolnił go w końcu.

W domu zapanował spokój. Ciszę przerwało dopiero porbrzekiwanie kuchennych naczyń, co oznaczało, że budzi się dzień i służba przystąpiła znów do pracy.

Ledwie Elinor zjadła śniadanie, gdy zjawił się Crawley z ponurym wyrazem twarzy i poinformował ją grobowym głosem, że jego pan czuje się źle i prosi o wezwanie lekarza. Elinor obiecała natychmiast wysłać kogoś po doktora Greenlawa i wyraziła nadzieję, że pan Cheviot będzie w stanie przełknąć chociaż jakieś lekkie śniadanie.

- Dziękuję, madam. Mogę mu podać tylko rzadki kleik - odparł Crawley. - Pozwoliłem sobie poprosić kucharkę, żeby przygotowała kleik z mąki ararutowej.

- Bulion z baraniny z ziółkami to najlepszy środek wzmacniający - zaproponowała panna Beccles.

Lokaj potrząsnął głową.

- Dziękuję pani, ale żołądek mojego pana nie toleruje baraniny. Na szczęście byłem na tyle przezorny, że zabrałem cały sójł wzmacniającej galaretki wieprzowej doktora Radcliffa i spróbuję namówić mojego pana, żeby od czasu do czasu zjadł chociaż łyżeczkę tego specyfiku.

Kucharka potwierdziła to, co powiedział lokaj, a pani Barrow wygłosiła w obecności Elinor dłuższą tyradę na temat hipochondrii młodego dżentelmena.

- Nie pamiętam, żeby pan Francis kiedykolwiek przyjechał tutaj i nie był chory - zauważył Barrow. - Za któryms razem skreślił sobie nogę w kostce, a zachowywał się tak, jak gdyby miał połamane wszystkie kości. Założę się, że zostanie tutaj co najmniej przez tydzień, i będziemy go mieli wszyscy powyżej uszu.

Nicky bardzo się zdenerwował, kiedy Elinor powtórzyła mu tę rozmowę.

- Na Jowisza, kuzynko, przejrzałem jego grę. On chce tu zostać jak najdłużej, bo wie, że z czasem nasza czujność osłabnie. Ale to mu się nie uda! Sam pojedę po Greenlawa... Rufusowi potrzebny jest dobry galop. Może uda mi się namówić doktora, żeby wygnał Francisa z łóżka? A może nawet wyprawi go do Londynu?

- Spróbuj, ale wątpię, czy jest to możliwe.

- Tak pani myśli? A co pani powie na epidemię ospy w wiosce?

Elinor roześmiała się i stwierdziła, że wątpi, by powszechnie szanowany lekarz dał się namówić na tego rodzaju sztuczkę.

- Ależ tak - zapewnił ją Nicky. - Stary Greenlaw zawsze robi to, czego ja chcę. Mogę tylko mieć kłopot z odszukaniem go, ale jakoś dowiem się, w którym kierunku pojechał. Wszyscy tu znają jego powozik.

Nicky poszedł do stajni, Kolos oczywiście ruszył za nim, ale zaraz został skarcony przez swojego pana, zawrócony i zamknięty w domu. Przez dłuższy czas energicznie atakował drzwi, szczekaniem i piszczeniem wyrażając swoje oburzenie, aż wreszcie ulitowała się nad nim panna Beccles i przyniosła mu potężną kość. Kolos chwilowo uspokoił się, skonsumował prezent, potem kręcił się po domu, aż w końcu udało mu się znaleźć uchylone okno, z którego skorzystał, żeby wybrać się na samodzielną wyprawę. Tę ucieczkę zauważyła Elinor. Wybiegła z domu i próbowała go przywołać, ale pozostała głucha na jej apele. Perspektywa porannej wycieczki zbyt była atrakcyjna i nie mógł zmarnować tak wspaniałej okazji.

Elinor pogodziła się z porażką i poszła do kuchni na dłuższą rozmowę z tamtejszym personelem. Kiedy wreszcie uwolniła się od pani Barrow, wróciła do biblioteki z zamiarem napisania do cioci Sophii, która, o czym dowiedziała się z listu jednej z kuzynek, zamierzała wysłać do Sussex swego

męża, by na miejscu poznał prawdę o potajnym małżeństwie swej nieszczęsnej bratanicy. W trakcie tego zajęcia przyszła panna Beccles z obszernym spisem bielizny, jaka znajdowała się w domu. Inwentarz sporządzony został kaligraficznym pismem i opatrzony licznymi uwagami na temat wszystkich dziur, cer i łat. Elinor podziękowała i obiecała uważnie wszystko przeczytać, gdyż była to formalność, której spełnienia bezwzględnie domagała się guwernantka. Panna Beccles przed odejściem zapewniła Elinor, że wkrótce dostarczy jej spis wszystkich zapasów, jakie znalazła w spiżarni. Elinor dokończyła pisanie listu, złożyła arkusz, zapieczętowała i odłożyła na biurko. Pozostało tylko poprosić Carlyona o wysłanie go razem z jego korespondencją. Zgodnie z życzeniem panny Beccles przejrzała spis bielizny, opatrzyła go swymi inicjałami i starannie poskładała arkusze. Wydawało jej się, że Nicky powinien już wrócić. Zerknęła na stojący na półce nad kominkiem zegar tylko po to, żeby z irytacją, po raz chyba pięćdziesiąty, stwierdzić, że nie chodzi. Wstała, trzymając ciągle w dłoni kartki inwentarza, i podeszła do kominka, żeby wreszcie przekonać się, czy zegar jest zepsuty, jak wszyscy uważali, czy po prostu trzeba go wreszcie nakręcić. Do mechanizmu dostać się można było tylko od tyłu, położyła więc trzymane w ręku kartki na półce, podniosła ciężki zegar i odwróciła tarczą do ściany. Drzwiczki obudowy były zamknięte i w żaden sposób nie dawały się otworzyć. Elinor musiała więc porzucić swój zamiar i ustawiła zegar w pierwotnej pozycji. Potem wzięła odłożone papiery, przesunęła jeszcze odrobinę zegar, który, jak jej się wydawało, nie stał na właściwym miejscu, i w tym momencie usłyszała zza pleców jakiś cichy dźwięk, jak gdyby trzeszczenie desek podłogi. Opuściła ręce i właśnie miała się odwrócić, gdy otrzymała mocny cios w głowę. Nieprzytomna osunęła się na podłogę.

## 16

Nicky wszedł do domu bocznym wejściem, zostawił w przedpokoju toczek i szpicrutę, a potem szybkim krokiem udał się do głównego holu. U szczytu schodów zobaczył pannę Beccles.

- Gdzie kuzynka Elinor? - zawołał. - Miałem mnóstwo kłopotów z odszukaniem doktora, ale proszę się nie martwić. Już jedzie... Co tam się dzieje?

To ostatnie pytanie skierowane było do Francisca, który ukazał się w drzwiach biblioteki, głośno krzycząc:

- Barrow! Panno Beccles! Crawley! Nicholas! Czy nikt mnie nie słyszy? Chodźcie tutaj natychmiast! O Boże, co za nieszczęście!

Nicholas błyskawicznie pobiegł w jego stronę i stanął jak wryty na widok pani domu leżącej na dywaniku obok kominka. Francis tymczasem ukląkł obok niej i skrapiał jej twarz wodą z wazonika. Zobaczył jeszcze kwiatki rozrzucone po podłodze i szeroko otwarte okno, którego skrzydło kołysało się na zawiasach.

- Ty łajdaku! Co jej zrobiłeś? - zagrmiał Nicky i rzucił się ku niemu.

- Nie trać czasu na pytania - oburzył się Francis. - Zawołaj natychmiast pannę Beccles. Sole trzeźwiące! Gdzie jest

Crawley? On będzie wiedział, co zrobić, żeby odzyskała przytomność. O Boże! Co jej się stało? Moje nerwy!

Tymczasem w bibliotece zjawiła się panna Beccles i z okrzykiem grozy podbiegła do leżącej.

- Elinor, kochanie! Pani Cheviot! Och, co jej się stało? Dlaczego zemdląła? Coś trzeba zrobić! Palone pióra! Nicky, pobiegnij do kuchni i przynieś garść piór z bażanta.

- Tak, tak, i zawołaj tego mojego durnia - dodał Francis.  
- Nigdy nie ma go wtedy, gdy jest potrzebny. Niech przyniesie zaraz sole trzeźwiące i nalewkę na rogu jelenim. Ona jest przerażająco blada! Och, chyba nigdy nie przeżyłem takiego szoku. Nie wiadomo, jak długo ona tu leży. Całe szczęście, że jej suknia nie zajęła się od jakiejś iskry z kominka. Pośpiesz się, drogi chłopcze.

- Co ty jej zrobiłeś? - zapytał zapalczywie Nicky.

- Drogi Nicholasie, cóż mogłem zrobić? Nie miałem czasu na nic więcej, jak wziąć wazon i skropić jej twarz wodą, ale to nie dało żadnego rezultatu. Wezwij Crawleya, on zawsze wie, co robić w przypadku nagłej choroby.

Nicky jeszcze przez chwilę stał niezdecydowany, ale kiedy panna Beccles kazała mu się pośpieszyć, pobiegł do kuchni. Zanim sprowadził do biblioteki panią i pana Barrow, zdołał nieco ochłonać i nawet po zastanowieniu skłonny był przyznać, że to chyba niemożliwe, by Francis zaatakował Elinor. W każdym razie nie widział żadnego logicznego wytłumaczenia takiego postępowania. Zaczął przypuszczać, że może to zwykłe omdlenie. Elinor ciągle nie odzyskiwała przytomności, ale panna Beccles stwierdziła, że puls ma mocny i miarowy. Francis zrezygnował z pomagania w ratowaniu Elinor, usiadł w fotelu i sprawiał wrażenie, jak gdyby sam potrzebował pomocy w stopniu nie mniejszym niż gospodyni. W każdym razie tak ocenił sytuację jego lokaj, bo kiedy wpadł do

biblioteki wezwany przez Nicholasa, w pierwszej kolejności sole trzeźwiące podsunął pod nos swemu panu.

- Podaj je pani Cheviot - powiedział omdlewającym głosem Francis. ~ Nie jestem aż takim egoistą, zresztą mam nadzieję, że jeśli przez parę minut posiedzę sobie i nieco ochłoneę, to jednak nie dostanę spazmów.

Podmuch wiatru wpadającego przez otwarte okno sprawił, że pokój wypełnił się nagle dymem z kominka.

- Dobrze zrobiłeś otwierając okno - powiedział Nicky - ale ten dym może jej bardziej zaszkodzić niż brak świeżego powietrza.

- Czy ty przypuszczasz, że byłem tak nierozsądny, by otwierać okno? - zawołał Francis. - Dobry Boże! Nie zauważyłem nawet, że jest otwarte! Zamknij je natychmiast, drogi chłopcze. Chyba nie chcesz, żebym umarł na zapalenie płuc.

Nicky ruszył ku oknu i nagle zaskoczony spojrzał na niego.

- Nie otwierałeś okna? Kto wobec tego mógł to zrobić? Przecież nie siedziała w przeciagu!

Woń palonych piór mieszała się z zapachem dymu z kominka i wypełniła pokój. Panna Beccles uniosła głowę i powiedziała:

- Nie, nie, ona na pewno nie otworzyła okna przy takiej pogodzie jak dzisiaj. Zresztą zairzałam tu pół godziny temu i okno było zamknięte. Może ktoś tu wszedł i potem uciekł tą drogą?

- To niemożliwe, przecież Kolos jest w domu - zaprotestował Nicky.

- Och, ten nieposłuszny pies uciekł i gdzieś pobiegł. Coś takiego! Nigdy nie zostawiłabym jej samej, gdybym przypuszczała... żeby w biały dzień!

- Chce pani powiedzieć - odezwał się drżącym głosem

Francis - że ktoś mógł tak bez pozwolenia, bez żadnych przeszkód wejść do domu?

- Każdy mógł to zrobić, bo boczne wejście było otwarte - stwierdził krótko Nicky. - Sam z niego skorzystałem. Tylko że ktoś się odważył... - przerwał, gdyż dobiegł ich dźwięk dzwonka.

- To u drzwi wejściowych - powiedział Barrow. Podał karafkę z brandy swojej żonie i wyszedł do holu.

- Crawley! - odezwał się znów Francis. - Jeśli panna Beccles nie korzysta już z moich soli trzeźwiących, to podaj je mnie. Dziękuję... i trochę brandy... Tak, wystarczy. A teraz idź i zamknij wszystkie drzwi wejściowe do domu. Nie rozumiem, jak można być tak nieroztropnym. Kto wie, czy jacyś złoczyńcy nie krążą po okolicy, tylko czekając okazji, żeby obrabować dom. A może Cyganie rozbili tu gdzieś obozowisko? Panicznie boję się Cyganów. Sam nie wiem, co może się zdarzyć, jeśli ktoś spróbuje się włamać jeszcze raz, już teraz jestem bliski spazmów. Dobrze byłoby, drogi Nicky, żebyś przeszukał okolicę. Nie uspokoję się, dopóki nie będę miał pewności, że nikt nie ukrywa się w tych strasznych zaroślach wokół domu, a przeczuwam, że jest to możliwe.

- Ach, odzyskuje przytomność! - zawołała panna Beccles, rozcierając bezwładne dłonie Elinor. - Kochanie, to ja! To ja!

Z holu dobiegł ich nagle odgłos szybkich, energicznych kroków i po chwili do biblioteki wszedł Carlyon, ubrany w podróżny płaszcz. Nie zdążył nawet zdjąć rękawic.

- Co tu się stało? Dlaczego ona zemdlała? - zapytał zdejmując rękawice.

- Nie wiemy - odparła panna Beccles. - Pan Cheviot znalazł ją leżącą tutaj i zawołał nas. Ale już przychodzi do siebie. O, zaczyna się poruszać i powoli wracają jej kolory. Elinor, kochanie!

~ Ned, zauważyłem, że to okno było otwarte i poduszka leży na podłodze, jak gdyby ktoś ją stracił z fotela stojącego przy oknie. Spójrz tutaj! Teraz widzę, że zasłona jest częściowo zerwana!

Carlyon zerknął w stronę okna, ale szybko podszedł do kominka, przykleknął nad Elinor, ostrożnie wziął ją na ręce i zaniósł na sofę. Mruknęła coś niewyraźnie.

- Proszę nic nie mówić, pani Cheviot. Zaraz poczuje się pani lepiej - powiedział. - Panno Beccles, proszę nieco wyżej ułożyć tę poduszkę. Dziękuję. Nicky postaraj się o trochę brandy.

- Jest tutaj, jeśli Francis nie wypił wszystkiego - odparł Nicky.

- Więc napełnij dla niej kieliszek.

Carlyon ułożył Elinor na sofie, ale nadal podtrzymywał ją pod ramiona jedną ręką. Nicky podał mu kieliszek.

- Proszę spróbować wypić chociaż jeden łyk, madam. Zaraz poczuje się pani lepiej - powiedział Carlyon podsuwając jej kieliszek do ust.

Elinor zamrugała oczami, ale po chwili nieco przytomniej spojrzała na niego.

- Moja głowa! Och, moja głowa!

Zmusił ją do wypicia odrobiny brandy. Zakrzusiła się, ale zaczęła przychodzić do siebie. Drżącą dłonią złapała go za rękę.

- Ktoś uderzył mnie w głowę - szepnęła. - Och, jak się cieszę, że pan przyjechał. Proszę mnie nie zostawiać samej.

- Nie, na pewno pani nie zostawię - odpowiedział. - Teraz proszę spokojnie leżeć. Nic już pani nie grozi.

Ułożył jej głowę na poduszce. Jęknęła cicho.

- Na Boga! Ktoś istotnie uderzył ją w głowę - zawołał Nicky. - Kuzynko Elinor, kto to był?

Leżała z zamkniętymi oczami, z dłonią przyciśniętą do czoła.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Usłyszałam jakiś hałas, potem poczułam uderzenie. Nic więcej nie wiem.

- Na litość boską! - odezwał się drżącym głosem Francis.  
- Może ktoś wreszcie sprawdzi, czy nikt nie ukrywa się w zaroślach. Jak możesz być tak nierozważny, Nicholas! Pamiętaj, że nie wszyscy mają tak mocne nerwy jak ty. Jeśli sam nie pójdziesz, to każę Crawleyowi przeszukać ogród, tylko powiedz mu, żeby wziął ze sobą sztylet, bo nie chciałbym, żeby zranił go jakiś bandyta. Nie mogę znieść myśli, że ktoś obcy tu się kręci i jeśli wy go nie unieszkodliwicie, to sam będę musiał to zrobić.

- Dobrze, pójde się rozejrzeć, ale zapewniam cię, że nikogo tu nie ma. - Nicky zgodził się niechętnie. - Jeśli nawet ktoś był, to już dawno uciekł.

- Idź i sprawdź - polecił Carlyon. Potem skinął na panią Barrow, która przyniosła miskę i ręcznik. - Dziękuję pani, to wszystko. - Zaczekał, aż opuści pokój, i pochylił się nad Elinor. - W którym miejscu panią boli?

Elinor odwróciła głowę i ostrożnie powiodła po niej dłonią. Gdy dotknęła miejsca tuż nad karkiem, skrzywiła się z bólu i otworzyła oczy.

- O tutaj, czuję, że już rośnie mi guz.

- Uniosę panią odrobinę i przyłożymy kompres - powiedział, wsuwając ramię pod jej plecy.

Pozwoliła się unieść, ale znów zaczęła tracić przytomność. Oparła czoło o jego ramię, panna Beccies zwilżyła ręcznik i zamierzała przyłożyć go do głowy Elinor, ale Carlyon wziął go i sam ostrożnie ułożył na stłuczonym miejscu. Elinor westchnęła z ulgą i szepnęła:

- Dziękuję. Jest pan bardzo dobry.

- Gdyby ktoś zawołał znów Crawleya, to kazałbym mu przygotować szklanek nalewki na rogu jelenia z wodą - powiedział Francis. - Dwie szklanki, bo myślę, że i mnie to lekarstwo jest potrzebne. Ciągłe jeszcze drżą mi ręce i czuję się bardzo źle. Szok, który przeżyłem, był dla mnie zbyt mocny. Gdyby nie to, że mogę jeszcze okazać się pomocny dla pani Cheviot, najchętniej udałbym się do swojego pokoju. Nie wiem zresztą, czy wysłoby mi to na dobre. Okna są tak nieszczelne, panuje tam straszliwy przeciąg...

- Proszę wypić jeszcze odrobinę brandy, pani Cheviot - powiedział Carlyon, ignorując zupełnie wypowiedź Francis.

- Och, chyba nie - zaprotestowała.

- Jestem przekonany, że dobrze to pani zrobi - zapewnił ją i podał jej kieliszek.

Niepewnie uniosła rękę, wzięła kieliszek, wypita niewielki łyk i powiedziała cicho:

- Chyba mam pękniętą czaszkę.

- Z całą pewnością nie - odparł Carlyon. - Jest pani oszołomiona i wierzę, że boli panią głowa, ale to tylko zwykłe stłuczenie.

- Można by przypuszczać, że jest pan człowiekiem całkowicie pozbawionym serca.

- Zapewne można, ale wie pani przecież, że jestem całkowicie pozbawiony wrażliwości. Widzę jednak, że już poczuła się pani lepiej. Świadczy o tym to, co pani mówi.

- Gdybym nie czuła takiego zamętu w głowie, to usłyszałyby pan jeszcze więcej. Zachował się pan w stosunku do mnie po prostu okropnie.

- Później powie mi pani, co ja takiego zrobiłem.

- Ostrzegałam pana, że znajdzie mnie pan zamordowaną we własnym łóżku.

- To prawda, ale przecież nie znalazłem pani w aż tak

złym stanie. Wydaje mi się zresztą nieprawdopodobne, żeby coś takiego mogło nastąpić.

- Ciesz się, Carlyon, że jesteś o tym przeświadczony - odezwał się Francis wstając z fotela - ale ja nie podzielam twojego optymizmu. Jeśli weźmie się pod uwagę, że, o ile wiem, już po raz drugi jakiś włóczęga włamuje się do tego domu i dopuszcza się brutalnych czynów, to twój spokój wydaje mi się raczej nieuzasadniony. Słowo daję, że zazdrościć ci niefrasobliwego usposobienia. - Podszedł do stołu i napełnił sobie kieliszek.

- O, widzę, że znów próbujesz wzmocnić swoje nadwątlone zdrowie - powiedział Nicky, który w tym momencie wszedł do pokoju. - Możesz być spokojny. W ogrodzie nie ma nikogo, a Kolos ciągle jeszcze nie wrócił. Jak pani się czuje, kuzynko Elinor? Czy już lepiej?

- O tak, dziękuję. Znacznie lepiej. Milordzie, nie widzę potrzeby, żeby pan ciągle przytrzymywał ten kompres. Mogę to zrobić sama.

- Kochanie, pozwól, że jeszcze raz zwilżę ręcznik, a potem przygotuję bandaż, żeby nie trzeba było go przytrzymywać - powiedziała panna Beccles, która cały czas niespokojnie kręciła się obok sofy.

- Kuzynko Elinor, czy w czasie tego napadu okno w bibliotece było otwarte? - zapytał Nicky.

- Och, nie. To znaczy nic o tym nie wiem, ale musiałabym zauważyć, gdyby tak było, bo wiatr wieje akurat z tej strony. Dlaczego pytasz? Czy jak mnie znaleźliście, było otwarte?

- Tak, na całą szerokość. Również zasłona została naderwana.

Elinor poruszyła się i niespokojnie spojrzała w stronę okna.

- Coś takiego? Czyżby ktoś uciekł oknem? Ale jak on tu wszedł? Nie słyszałam nic poza, jak mi się zdawało, cichym

skrzypieniem podłogi. Becky, czy zamknęłaś drzwi wychodząc z pokoju? Musiałabym przecież usłyszeć, jak ktoś je otwiera.

- Och, nie, kochanie - powiedziała panna Beccles i ułożyła świeżo zwilżony kompres na głowie Elinor. - Nie mogłaś nic słyszeć, bo wczoraj nasmarowałam zawiasy mydłem. Skrzyphiały przerażająco, pamiętasz, a na skrzypienie drzwi nie ma nic lepszego niż mydło.

- Czy ktoś pomyślał o tym, żeby sprawdzić, czy nie zginęło z domu coś cennego? - zapytał Francis. - Nie chciałbym się zbytnio wtrącać, ale wydaje mi się... Och, jeśli uważacie, że to nie ma znaczenia, to proszę nie brać pod uwagę tego, co mówię.

Ta ostatnia prośba nie była potrzebna, bo i tak nikt nie zwracał na niego uwagi. Nicky zastanawiał się nad czymś głęboko, panna Beccles zajęła się przygotowaniem bandażu, Elinor leżała spokojnie z zamkniętymi oczami, a Carlyon stał obok sofy i jakoś dziwnie na nią patrzył. Milczenie przerwał Nicky.

- Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać - powiedział nagle.

- O, mnie to nie dziwi - mruknęła Elinor.

- Miałem na myśli, kuzynko, dlaczego ten ktoś uderzył panią w głowę. Co pani robiła?

- Nic takiego. Napisałam list, który tam leży, i zamierzałam poprosić lorda Carlyona, żeby go wysłał.

- Na pewno to zrobię, ale proszę się teraz niczym nie przejmować, pani Cheviot.

- Nie mogę się w tym dopatrzeć żadnego sensu - upierał się Nicky. Jego wzrok padł na złożone arkusze spisu inwentarza ciągle leżące na dywaniku obok kominka. Schylił się i podniósł je. - Co to jest? *Sześć kompletów pościeli z monogramami. W dobrym stanie. Cztery komplety lekko uszkodzone...*

- To spis bielizny pościelowej, który przyniosła mi Becky.

Chyba miałam go w ręku, ale nie pamiętam dokładnie. Podeszłam do kominka, żeby spróbować nakręcić stojący na półce zegar, ale okazało się, że drzwiczki z tyłu są zamknięte. Potem chyba... tak, jestem pewna, że wzięłam znów te kartki, żeby je schować, i wtedy otrzymałam cios.

Nicky chciał coś powiedzieć, ale napotkał surowe spojrzenie Carlyona, więc tylko przygryzł wargi i zacerwienił się po uszy. Na szczęście kłopotliwe milczenie nie trwało zbyt długo, gdyż do biblioteki zajrzał Barrow i swoim zwyczajem bezceremonialnie obwieścił, że właśnie nadjeżdża powozik doktora.

Carlyon, wyraźnie zaskoczony, unióśł brwi i powiedział:

- Przybywa w samą porę. Poproś go tu, Barrow.
- Dlaczego... Tak, oczywiście, tak - odezwał się Francis.

- Cieszę się, że mogę ustąpić pierwszeństwa pani Cheviot, ale musisz wiedzieć, Carlyon, że doktor został wezwany do mnie. Po pogrzebie nieszczęsnego kuzyna rozbolało mnie gardło. Obawiałem się, że tak właśnie się to skończy, bo przecież wiał przenikliwy wiatr, a w dodatku przemokły mi nogi, kiedy staliśmy nad grobem. W nocy prawie nie zmrugałem oka, bo już zaczęła mi dokuczać ta moja bolesna newralgia, a wiesz, jaka to przykra dolegliwość. Nie wspomnę już o tragicznej wiadomości o śmierci Louisa, no i na koniec ten nagły wstrząs, którego teraz doznaliśmy. Jednakże nie chciałbym, żebyście pomyśleli, że jestem egoistą, i oczywiście ten zacny doktor... obawiam się, że nieco staroświecki, ale zapewne na tyle biegły w swojej sztuce, że potrafi przyrządzić jakiś lek uśmierzający ból... naturalnie najpierw powinien zająć się panią Cheviot.

Zanim Francis dokończył swój, dowodzący ogromnego poświęcenia, monolog, doktor wszedł do pokoju i ukłonił się Carlyonowi. Francis z wysiłkiem wskazał ręką leżącą na sofie Elinor i powiedział:

- Niech pan będzie uprzejmy, sir, zająć się panią Cheviot, zanim przyjdzie pan do mojego pokoju. Pożegnaj panią teraz, madam, w nadziei, że wkrótce odzyska pani siły. Ach, Barrow, przyslij natychmiast Crawleya. Musi mi pomóc wejść na schody. Nie rozumiem, dlaczego nie ma go tutaj. To już jest nie do zniesienia!

Doktor .popatrzy! na niego z wyrazem nie skrywanego zdumienia, a potem pytająco\* spojrzął na Nicholasa.

- Och, to właśnie jest ten facet, którego musi pan wypłoszyć do domu - powiedział Nicky, gdy Francis wyszedł z biblioteki.

- Zjawił się pan akurat we właściwym momencie - odezwał się spokojnie Carlyon. - Pani Cheviot upadła i mocno uderzyła się w głowę. Proszę robić wszystko, co tylko jest możliwe, by poczuła się lepiej. Zostawię teraz panią na pewien czas, madam.

Elinor otworzyła oczy.

- Milordzie, jeśli opuści pan ten dom, zanim uda mi się porozmawiać z panem, będzie to najbardziej niegodny czyn, o jakim kiedykolwiek słyszałam albo nawet pomyślałam... nawet w odniesieniu do pana - stwierdziła.

- Nie miałem takiego zamiaru. Wróć, jak tylko doktor Greenlaw panią zbada. Chodź, Nicky.

Nicky pozwolił wyprowadzić się z pokoju. Chłopak po prostu płonął z niecierpliwości, tak chciał coś powiedzieć. Zaciągnął brata do salonu, starannie zamknął drzwi i wybuchnął:

- Ned! Teraz wszystko rozumiem. Miałeś rację.

- W czym miałem rację?

- Mówiąc, że Francis jest niebezpieczny. Wszystko jasne. Początkowo nie rozumiałem, dlaczego miałyby zrobić coś takiego, ale jak znalazłem ten spis inwentarza, to już nie miałem złudzeń. Boże! Całe szczęście, że mnie powstrzymałeś,

bo byłbym wyjawiał swoje podejrzenia. Tak byłem zaskoczony, że nie panowałem nad sobą. Myślę, że nie powiedziałem zbyt wiele...

- Nie, nie... Mów dalej, Nicky.

- Jestem tak pewny jak tego, że stoję tutaj, że to Francis ogłuszył kuzynkę Elinor. Nie wiem, jak taki słabowity facet mógł sobie z tym poradzić, ale...

- Przypuszczam, że posłużył się przyciskiem do papierów, który leżał na biurku.

- Więc ty wiesz?

- Nie, ale nie widzę innego przedmiotu, który mógł znaleźć się w zasięgu jego ręki, kiedy wszedł do biblioteki.

- Dobry Boże! Już to zauważyłeś? Muszę przyznać, że nie przyszło mi to do głowy, ale tak chyba musiało być. Posłuchaj, Ned, ty jeszcze nie wiesz wszystkiego.

- A więc słucham. Domyślam się, oczywiście, że wysłał cię po doktora, żeby pozbyć się ciebie z domu.

- Tak, z pewnością o to mu chodziło, chociaż to ja sam zaproponowałem, że pojedę. Gdybym wysłał stajennego, to znalazłby inny sposób, żeby się mnie pozbyć. Powiem ci tylko, że sprawiał wrażenie, jak gdyby nie mógł wstać z łóżka, kazał pani Barrow przygotować sobie kleik z mąki ararutowej, bo twierdził, że tylko coś takiego jest w stanie przełknąć. A potem, jak tylko odjechałem, a Kolos uciekł... z tym to miał szczęście, chociaż prawdopodobnie przypuszczał, że wezmę psa ze sobą... W każdym razie pozbył się i jego, i mnie. Na pewno sądził, że kobiety, jak zwykle o tej porze, zajęte są sprawami domowymi... Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co one zawsze mają do roboty... a więc Francis zszedł na dół licząc, że nikogo nie zastanie. Cichutko wszedł do biblioteki i co zobaczył?

- Panią Cheviot z dokumentami w ręce, takimi jak te, których szukał.

- Właśnie! Przypuszczał zapewne, że właśnie je znalazła w jakiejś szufladzie czy skrytce w biurku. Za wszelką cenę musiał jej te papiery odebrać, więc uderzył ją w głowę. Na Jowisza, wiele bym dał, żeby widzieć go, kiedy stwierdził, że to spis podartej pościeli i ręczników! Właśnie w tym momencie musiałem wejść do holu i zawołałem kuzynkę Elinor. Zapewne domyślał się, że zaraz wejść do biblioteki, nie miał więc czasu uciec. Otworzył okno, oberwał zasłonę, żeby wszyscy pomyśleli, że ktoś wyskoczył do ogrodu. Potem rozrzucił kwiatki wokół kuzynki Elinor i...

- Tak zrobił? Wydaje mi się to nieco przedwcześnie - zauważył Carlyon.

- Co? Ach, rozumiem - roześmiał się Nicky. - Nie, chodziło mu o wodę z wazonu, którą spryskiwał jej twarz. Chciał, żebyśmy pomyśleli, że stara się ją ocucić. Mnie od razu wydawało się to podejrzane. Mam nadzieję, że nie jestem tak tępy, żeby dać się nabrać. Ale pomyśl tylko, co by to było, gdyby te papiery okazały się tym właśnie dokumentem, a ja nie wróciłbym w porę do domu?

- Francis szybko położyłby się do łóżka - powiedział Carlyon.

- Mógłby to zrobić - zgodził się Nicky. - I już byśmy nigdy nie odzyskali tego memorandum. No właśnie... Tak czy inaczej Francis jest w nie lepszej sytuacji niż na początku. Co on teraz robi?

~ To jest pytanie.

- Ned, czy ty masz jakiś pomysł? - zapytał podejrzliwie Nicky.

- Mam wiele pomysłów.

- Nie żartuj sobie ze mnie. To zbyt poważna sprawa!



- Zgadzam się. Właśnie Greenlaw wyszedł z biblioteki. Bądź tak dobry i zaprowadź go do pokoju Francisa - poprosił Carlyon i ruszył ku drzwiom.

- Ned, jeśli mi nie powiesz, będzie to wyjątkowo podłe z twojej strony. Ty zawsze wiesz wszystko!

- Tak, Nicky, ale tobie wydaje się, że wiem wszystko, wyłącznie dlatego, że nigdy nie mówię ci nic, jeśli nie jestem całkowicie pewny - odpowiedział Carlyon patrząc na niego z uśmiechem. - Wyobraź sobie, jakim ciosem byłoby dla mnie, gdybyś stwierdził, że mogę się mylić, tak jak każdy. Pozwól mi milczeć, dopóki nie nabiorę pewności. A teraz muszę wrócić do pani Cheviot.

## 17

Pani Cheviot na tyle już odzyskała siły, że była w stanie siedzieć. Głowę miała fachowo owiniętą bandażem i z niesmakiem popijała jakąś nieapetycznie wyglądającą miksturę. Na widok Carlyona zdołała się uśmiechnąć, ale nadal twarz miała pobladłą i najwyraźniej nie ochłoneła jeszcze całkiem po przeżytym szoku. Wszystko wskazywało jednakże na to, że całkowicie odzyskała sprawność umysłu, bo ledwie jego lordowska mość zdołał zamknąć drzwi, odezwała się beznamietnym tonem:

- Przypominam sobie pańskie zapewnienia, że w rezultacie mojego małżeństwa nie spotka mnie nic przykrego. Proszę powiedzieć milordzie, jakie zdarzenie uznałby pan za przykre?

- Naprawdę mówiłem coś takiego? - roześmiał się.

- Usłyszałam jeszcze od pana wiele innych nieprawdziwych zapewnień. O ile pamiętam, twierdził pan, że uniknęłam straszego losu, jaki czekał mnie w domu pani Macclesfield, a resztę życia spędzę w spokoju i dobrobycie. Jakie to miało być piękne!

- Zastanawiam się, dlaczego ciągle wraca pani myślą do domu pani Macclesfield.

- Och, przecież każdy lubi pomarzyć o tym, co utracił.

- Kochanie - włączyła się do rozmowy zaniepokojona

panna Beccles. - Czy nie powinnaś pójść na górę i położyć się do łóżka, tak jak radził doktor Greenlaw? Wiem, że boli cię głowa, ale po tym lekarstwie, które ci dał, na pewno szybko zaśniesz.

- Tak, droga Becky, pójdę, ale nie ma lekarstwa, które uspiłoby mnie w sytuacji, kiedy mam okazję porozmawiać z jego lordowską mością. Bądź tak dobra i poproś Mary, żeby włożyła gorącą cegłę do mojego łóżka. Niedługo przyjdę.

Panna Beccles przez chwilę niezdecydowanie kręciła się po pokoju, ale Carlyon zapewnił ją, że za parę minut wyśle panią Cheviot na górę. Guwernantka postawiła wreszcie sole trzeźwiące w zasięgu ręki Elinor, przypomniała jej, że powinna do końca wypić lekarstwo, i wyszła z biblioteki. Carlyon podszedł do kominka.

- Muszę przyznać, że istotnie spotkała tu panią pewna przykrość, i obawiam się, że słusznie ma pani o to do mnie żal - powiedział.

- Skąd coś takiego przyszło panu do głowy? - Elinor udawała bezgraniczne zdziwienie. - Przecież wczoraj całkiem spokojnie wyjechał pan do Londynu.

- Więc to o to chodzi, prawda? Mój wyjazd był bardzo potrzebny, ale proszę docenić fakt, że wróciłem do pani najszybciej, jak tylko mogłem.

- Ależ doceniam! Jestem przekonana, że musiał pan pojechać, żeby przymierzyć nową parę butów.

- Nie, ale i tak, gdybym podał prawdziwy powód wyjazdu, uznałaby go pani za nie wystarczający. Jest pani bardzo na mnie rozżalona za to, że wyjechałem?

- Rozżalona? Ależ nie! Przecież wykazał pan wiele troski, informując mnie przez Nicholasa, że pan Francis Cheviot jest niebezpiecznym człowiekiem! Powinnam być panu wdzięczna za to ostrzeżenie. Ten guz wielkości gęsiego jaja mam na głowie wyłącznie z mojej winy.

- Jaka szkoda, że Nicky nie nauczył się jeszcze trzymania języka za zębami - zauważył Carlyon. - Nie przewiduję, żeby Cheviot mógł być dla pani niebezpieczny.

Pani Cheviot wypita ostatni łyk lekarstwa.

- Oczywiście, ja to sobie wszystko wymyśliłam - powiedziała. - Nikt mnie nie uderzył w głowę.

Carlyon roześmiał się.

- Zbyt poważnie traktuje pani to zdarzenie. Rozumiem, że przestraszyła się pani, ale w końcu nic takiego się nie stało, no i mało prawdopodobne, żeby ponownie spotkała panią taką przykrość.

- No nie! Pan jest wprost nieznośny! Nic się nie stało! Przykrość! Ciekawe, jakim słowem określiłby pan popełnione na mnie morderstwo?

- Nie rozmawiamy teraz o morderstwie, madam - odparł lakonicznie.

- Kto wie, czy nie będzie pan musiał o tym rozmawiać, jeśli znów zostawi mnie pan w tym strasznym domu.

- Nonsens! Jeśli to Francis Cheviot panią uderzył, a sądzę, że tak, to jestem pewien, że nie będzie musiał ponownie uciekać się do takich metod.

- Ogromna to dla mnie pociecha. Tylko dlaczego wcześniej czuł się zmuszony zastosować takie środki?

Carlyon milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Trzymała pani w ręku papiery, a to mogły być akurat te, których szukał.

Spojrzała na niego i przycisnęła dłoń do skroni.

- Wynika z tego, że teraz nie wolno mi wziąć do ręki żadnych papierów, bo mogę zostać zaatakowana. Milordzie, to absurdalne! On musiał mnie widzieć co najmniej kilka razy z różnymi papierami w ręku.

- Tak, możliwe, ale...

- Ale co? - ponagliła go, gdyż Carlyon odwrócił się i zajął poprawianiem bierwion na palenisku.

- Być może w zaskoczeniu wyciągnął fałszywe wnioski z tego, co zobaczył. Jakakolwiek jest odpowiedź, to daję słowo, że nic już pani nie grozi... - Przerwał, a ona spojrzała na niego niepewnie. Po chwili rozchmurzył się i powiedział: - Istotnie, moja biedna dziecino, przeżyła pani w Highnoons wiele przykrych chwil i naprawdę czuję się jak ostatni łotr, trzymając panią tutaj. Czy mogę teraz zabrać panią razem z panną Beccles do Hall?

Twarz Elinor pokryła się rumieńcem, miała ochotę rozpłakać się, ale szybko opanowała się i powiedziała:

- I co, zostawię tego potwora, żeby swobodnie splądrował cały dom? O, nie! Nie jestem aż tak tchórzliwa. Jeśli już mam zostać męczennicą w tej sprawie, a na to się zanosi, to spodziewam się, że wystawi mi pan piękny grobowiec!

- Może pani na mnie polegać. - Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. - Wobec tego ustalone. Zostaje pani tutaj.

- Ustalone! - Nieśmiało podała mu rękę. - Tylko jak długo jeszcze mam znosić tę kreaturę?

- Nie zdziwię się, jeśli pozbędzie się go pani szybciej, niż można by się tego spodziewać. Błagam panią, proszę już nie myśleć o nim.

- Tylko czy on zechce wyjechać bez tego, po co tu przybył? - zapytała przyglądając mu się uważnie.

- Mam nadzieję, że będzie zmuszony tak postąpić.

- Spróbuje pan skłonić go do tego?

- Być może. Zrobię, co będę mógł. Już zbyt długo naprzykrza się pani - powiedział Carlyon.

Zgodziła się z nim, ale po chwili zastanowienia dodała:

- Jeśli nawet wyjedzie, to obawiam się, że czekać mnie będą następne przerażające niespodzianki.

- Przysięgam na honor, że żadne.

- Bardzo pięknie, milordzie, ale już wielokrotnie stwierdziłam, że ja inaczej rozumiem słowo „przerażające”, a inaczej pan. Ciekawe, czy kiedykolwiek udało się komuś wprawić pana w zakłopotanie?

- O, bardzo często.

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Proszę mi wybaczyć moją zuchwałość, ale po tym co pan powiedział, dochodzę do wniosku, że musi pan prowadzić dość niespokojne życie w swoim domu w Hall. Wszystkie szokujące zdarzenia z ostatniego tygodnia, takie jak śmierć kuzyna z ręki brata czy odkrycie, że został on wpłątany w niebezpieczną szpiegowską aferę, traktuje pan jak coś zwyczajnego. Nic nie jest w stanie zakłócić pańskiego spokoju. Zazdroszczę panu.

- O, tak. - Pokiwał głową. - Moje siostry i brat Harry zawsze dostarczali mi tylu niespodzianek, że już nic nie może mnie zaskoczyć.

Roześmiała się i trochę niepewnie spróbowała podnieść się z sofy. Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę drzwi. W holu zrezygnowała z jego pomocy.

- Czuję się już całkiem dobrze - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie wybiera się pan znów do Londynu?

- Nie, przez jakiś czas będę w Sussex. Gdybym był pani potrzebny, proszę wysłać kogoś do Hall. Jeszcze raz zapewniam panią, że nie musi się pani niczego obawiać.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, u szczytu schodów pojawił się doktor Greenlaw, ruszyła więc w górę, przytrzymując się poręczy.

- Proszę się nie gniewać, doktorze, ale naprawdę idę już do swojego pokoju - powiedziała, gdy podszedł do niej.

- Wypiłam całą tę ohydłą miksturę.

- Bardzo się cieszę, madam. Zapewniam, że ona dobrze pani robi. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to jutro wpadnę, żeby sprawdzić, jak się pani czuje.

Podziękowała mu, doktor przepuścił ją, a potem zszedł do holu, gdzie czekał na niego Carlyon.

- Proszę wybaczyć staremu człowiekowi, który zna pana od kołyski - powiedział. - Nie wiem, co przydarzyło się pani Cheviot, ale wydaje mi się, że coś złego dzieje się w tym domu.

- Oczywiście, wybaczam panu, ale jeśli miała to być reprimenda pod moim adresem, zapewniam pana, że nie ja nabiłem guza na głowie pani Cheviot.

Doktor roześmiał się.

- To świetnie, milordzie. Pan wie, że potrafię trzymać język za zębami.

- Jak pan znajduje panią Cheviot?

- Och, całkiem nieźle, chociaż cios był tak silny, że ją ogłuszył ... To znaczy upadła i mocno uderzyła się w głowę, można powiedzieć, milordzie.

- A pana drugi pacjent?

- Poza wyraźnym rozstrojem nerwowym nic u niego nie stwierdziłem. Kazałem mu zażyć parę kropel laudanum, a jeśli chodzi o gardło, to nie widzę żadnych niepokojących objawów.

- Doktor spojrzał uważnie na Carlyona i dodał: - Panic Nicky namawiał mnie, żebym wypłoszył go z domu jakąś bajeczką o ospie panującej w pobliskiej wsi. Proszę mu jednak powiedzieć, milordzie, że po tym, co zaszło w Highnoons, pan Cheviot nabrał takiej niechęci do tego miejsca, że nie sądzę, by zamierzał zostać tutaj dłużej. Jeśli już mowa o Nicholasie, to chciałem powiedzieć, że kiedy mnie już odnalazł, namówiłem go, by pokazał mi swoją ranę, i stwierdziłem, że goi się, jak należy.

- Dziękuję bardzo. On zawsze szybko wraca do zdrowia.

- Całe szczęście - zauważył Greenlaw z sardonicznym uśmiechem. - Dowiedziałem się od niego, że lord i lady Flint spędzili noc w Hall. Mam nadzieję, że jej lordowska mość cieszy się dobrym zdrowiem?

Jeszcze parę minut Carlyon musiał udzielać informacji o wszystkich członkach swej rodziny, potem doktor włożył płaszcz i odjechał. Carlyon wrócił do biblioteki.

Piętnaście minut później zastał go tam Nicky. Chłopiec przyszedł zaszepiony i oznajmił, że nawołując i gwizdząc przeszkukał całe okoliczne lasy bez rezultatu. Kolos prawdopodobnie musiał uciec aż na teren posiadłości sir Matthewa.

- Wobec tego nie trać czasu i wybierz się na dalsze poszukiwania - poradził mu Carlyon.

- Tak, wiem, że muszę to zrobić. Obawiam się, że mógł wpaść w jakieś sidła albo zastrzelili go ci cholerni gajowi. Sir Matthew przysięgał, że każe do niego strzelać, jeśli będzie mu płoszył ptactwo, a...

- Och, sir Matthew nie posunie się do tego, ale musisz Kolosa szybko odszukać, jeśli nie chcesz jeszcze bardziej narazić się sąsiadowi.

- Na tym mi nie zależy, byle tylko Kolos nie znalazł się w opałach. Wiesz, że kiedyś tak utknął w lisiej norze, że musiałem go odkopywać? Powinienem natychmiast ruszyć na poszukiwania, tylko przypuszczam, że mogę być tutaj potrzebny.

- Nie, nie. Z całą pewnością nie.

- Ale pamiętaj, że ciągle jest tu Francis Cheviot!

- Kolos jest ważniejszy niż Francis Cheviot.

- Tego nie musisz mi mówić! Pies jest wart więcej niż tuzin takich jak on. Pomyśl tylko, Ned. Kolos natychmiast szczeka na jego widok, a wcale go do tego nie zachęcałem. To wyjątkowo inteligentny pies. Musiałem go pilnować, żeby

nie ugryzł Francisca, bo z takim facetem nigdy nic nie wiadomo... Och, żeby się już jak najszybciej znalazł.

- Na tle go znam, to przed nocą nie wróci.
- Rozumiesz chyba, Ned, jak trudno będzie mi tutaj czekać, kiedy on tkwi w jakiejś pułapce.
- Drogi chłopcze, nie ma powodu, żebyś tracił czas czekając tu na niego.

- No, to może pójde go szukać, ale ostrzegam cię, Ned, to na pewno potrwa parę godzin, a nie wiadomo, czy pod moją nieobecność Francis nie zacznie znów wyprawiać jakichś sztuczek.

- Myślę, że nie.
- Oczywiście - burknął ze złością Nicky. - Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, co obmyśliłeś, to nie musisz, aie to podłe z twojej strony.

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, było rozbawione spojrzenie Carlyona, więc wyszedł obrażony z pokoju i po chwili galopował w kierunku posiadłości sir Matthewa Kendala.

Carlyon też opuścił bibliotekę i kazał sprowadzić swój powóz. Panna Beccies zastała go w holu, kiedy wkładał już rękawiczki.

- Opuszcza pan nas, milordzie? - spytała z lekkim niepokojem w głosie.

Uśmiechnął się i skinął głową

- Jest pan pewien, że pańska obecność nie jest tu już konieczna? - zapytała.
- Z pewnością nie. Poprosiłem panią Cheviot, żeby się nie martwiła i nie myślała więcej o tym, co się dzisiaj zdarzyło.
- Jestem pewna, że skoro pan uważa, że ona może pozostać w Highnoons, to nic jej nie grozi.

Oczy Carlyona rozbłysły rozbawieniem, ale ukłonił się tylko i powiedział poważnie:

- Jest pani bardzo dobra, panno Beccies.

- Och, nie! Kiedy pan przyjeżdża, milordzie,... Doprawdy, taka jestem zobowiązana. Pan tak troszczy się o nas. Nie wątpię, że zawsze możemy polegać na panu, a zdanie waszej lordowskiej mości zawsze... Och, jeśli tylko pani Cheviot czymś się martwi, powtarzam jej: „Uspokój się, kochanie, gdy tylko jego lordowska mość przyjedzie, wszystko się wyjaśni”.

- A co na to pani Cheviot? - zapytał Carlyon.

Nieszczęsna dama zaczerwieniła się, a potem zaplątała w całym ciągu nie dokończonych zdań, z których na koniec można było dowiedzieć się, że chociaż kochana pani Cheviot ma niezwykły umysł i potrafi myśleć trzeźwiej niż większość kobiet, to jednak ostatnio, zapewne ze względu na skomplikowaną sytuację, w jakiej się znalazła, ulega czasem jakimś dziwnym nastrojom.

- Obawiam się, że pani Cheviot niezbyt wysoko ceni moje rady - zauważył.

- Och, milordzie, jestem pewna... Ona czasami bywa taka przekorna ... rezolutna. Ale pan, milordzie, jest przecież taki wyrozumiały! Nie ma pan jej chyba za złe, że czasem wykazuje brak dobrych manier.

- Absolutnie nie - zgodził się. - Czy skarży się czasem na mnie?

- Pan wie, że ona niekiedy potrafi powiedzieć coś uszczypliwego, milordzie - wyjaśniła panna Beccies. - Zresztą ostatnio jest trochę niespokojna i zapewne nie bez powodu. Ale chociaż lubi działać samodzielnie i zawsze z trudem podporządkowywała się innym, to nie ulega kwestii, że jest wdzięczna, gdy wasza lordowska mość wykazuje tyle dobroci, by doradzić jej, jak ma postępować.

- Dziękuję pani - wyciągnął do niej rękę. - Liczę na pani życzliwą pomoc, panno Beccies. Do widzenia. Przyjadę do Highnoons jutro.

Odszedł, a panna Beccles, mrugając oczami, patrzyła za nim nie mogąc wyjść ze zdumienia.

W godzinę później, po upewnieniu się, że Elinor głęboko i spokojnie śpi, postanowiła zejść na dół, by posilić się, gdyż po wydarzeniach minionego ranka czuła się nieco wyczerpana. Ze zdumieniem zobaczyła w holu Francis'a Cheviota, ubranego w obszytą futrem pelerynę, z ciepłym szalem obwiniętym wokół szyi i kapeluszem w ręku. Wydawał jakieś polecenia Barrowowi, ale odwrócił się, gdy usłyszał jej kroki na schodach.

- Och, jakże jestem rad, widząc panią, madam. Nie chciałem wysyłać po panią, gdyż przypuszczałem, że zajęta jest pani opieką nad nieszczęsną drogą panią Cheviot, ale cieszę się, że pani przyszła, bardzo się cieszę. Jak czuje się nasza chora?

- Pani Cheviot śpi, sir. Dziękuję - odparła dygając nieznacznie.

- To dobrze! Sen to zdrowie, jak pani wie. Proszę jej tylko nie budzić.

- Wcale nie miałam takiego zamiaru - powiedziała prosto-duszenie.

- Nie będę panią o to prosił, chociaż dobre maniere wymagałyby, żebym ją osobiście pożegnał. Och, jak trudno czasem zdecydować się, co zrobić.

- Czy pan... Czy pan nas opuszcza, sir? - zapytała, nie dowierzając własnym uszom.

- Niestety! Nie chciałbym urazić drogiej pani Cheviot, ale nie mogę pozostać dłużej w Highnoons. Moje nerwy są w takim opłakanym stanie, że mógłbym tylko sprawić wam kłopoty, a w niczym nie pomógłbym kuzynce. - Wymownym gestem uniosł rękę. - Tak, tak, wiem, co pani chce powiedzieć! To nierozsądne podejmować ryzyko podróży w taką przykrą pogodę. Tak, ma pani rację, ale jestem przekonany, że powinienem zaryzykować. Jeśli Crawley dobrze otuli mnie

pledem, a usta osłonię szalikiem, to wierzę, że nie skończy się to chorobą... śmiertelną chorobą!

Panna Beccles była tak zadowolona, gdy dowiedziała się, że Francis Cheviot istotnie opuszcza Highnoons, że zgodziła się z nim skwapliwie. Przypomniawszy jej na to delikatnie, że nie można lekceważyć niebezpieczeństw, jakie stwarza silny wschodni wiatr. Wyraziła więc nadzieję, że może wiatr nie będzie tak silny, jak on przypuszcza.

- Nie może pan jednak jechać bez posilenia się przed podróżą! - zawołała. - Och, Boże, dochodzi już pierwsza, pora na obiad. Tyle się dzisiaj działo, że nie zauważyłam, jak szybko upłynął czas. Zaraz każę przygotować coś do zjedzenia.

- Jest pani bardzo uprzejma, madam, ale jeśli mam dojechać do Londynu przed kolacją, to muszę zaraz wyruszyć. Przy moim stanie zdrowia nie mogę nawet myśleć o tym, by zjeść kolację w jakimś zajeździe. Rezultaty mogłyby okazać się fatalne. Zresztą kazałem już sprowadzić powóz i nie rozumiem, dlaczego nie ma go jeszcze przed drzwiami. Ci ludzie tak lubią się guzdrać. Ciekawe, czy Crawley przygotował mi gorącą cegłę pod stopy. Gdzie jest Barrow? Ach, poszedł po zegar, tak jak mu kazałem. Bo, widzi pani, panno Beccles, długo myślałem, jak mógłbym zrewanżować się pani Cheviot za jej wyjątkową gościnność, i przyszedł mi na myśl ten zegar, który tak bardzo ją denerwował, bo uparcie wskazuje kwadrans po piątej. To bardzo piękny zegar i dziwię się, że mój zmarły kuzyn Eustace nie kazał go już dawno naprawić. Ale ja postaram się uruchomić go i zrobi to mój zegarmistrz. Nie oddałbym go w ręce nikogo innego, bo, jak pani wie, ci fachowcy często więcej potrafią zepsuć, niż zreperować. Proszę powiedzieć pani Cheviot, że zegar wróci do niej w dobrym stanie, tak szybko, jak tylko zdołam to załatwić. O, jest już Barrow. Bądź tak dobry, Barrow, i ostrożnie umieść zegar w moim powozie. Panno Beccles, proszę przekazać pani

Cheviot moje gorące pozdrowienia i oczywiście wyrazy głębokiego ubolewania, że nie mogłem pożegnać się z nią osobiście. Mam nadzieję, że mi to wybaczy. Nie wątpię, że zrozumie moje pragnienie dotarcia do domu przed nocą. To kobieta o wyjątkowej wrażliwości. Jestem szczęśliwy, że tak niezwykła osoba została członkiem naszej rodziny. Ach, i drogi Nicholas! Właśnie, gdzie jest drogi Nicholas? Uroczy chłopiec, oby jak najszybciej wyrósł z tego swojego dziecięcego zamiłowania do dzikich zwierząt. Barrow, pošlij kogoś po pana Nicholasa. Jestem przekonany, że pragnąłby się ze mną pożegnać, a ja za nic nie chciałbym, żeby pomyślał sobie, że okazuję mu lekceważenie.

- Panicz Nicky szuka swojego psa i nie wiadomo, kiedy wróci, sir - mruknął Barrow.

- Co za pech! Proszę przekazać mu pozdrowienia, panno Beccles, i powiedzieć, że będę szczęśliwy, jeśli odwiedzi mnie przy okazji pobytu w mieście. Tylko bez psa! Po prostu nie znoszę psów. O, jesteś Crawley! Czy mój powóz jest już wreszcie gotowy? Można by pomyśleć, że sprowadzacie go z antypodów! Do widzenia, panno Beccles. Proszę nie zapomnieć przekazać moich pozdrowień i podziękowań pani Cheviot. Tylko niech pani przypadkiem nie odprowadza mnie do drzwi! Nigdy bym sobie nie darował, gdyby przeziębła się pani przeze mnie.

Panna Beccles, oszołomiona elokwencją gościa, dygnęła tylko i zapewniła go, że wszystko jak należy, przekaże pani Cheviot. Francis uklonił się i pozwolił zaprowadzić się do powozu, gdzie Crawley troskliwie otulił go kilkoma pledami, a pod stopami umieścił mu przyniesioną z kuchni gorącą cegłę.

- No, wreszcie odjechał - powiedział Barrow, kiedy powóz zaczął toczyć się po podjeździe. - On i ten jego cudak! A po co mu ten zegar?

- Chce go oddać do naprawy. To bardzo uprzejme z jego strony i jestem pewna, że pani Cheviot się ucieszy.

- Chce go naprawić? - powiedział z niedowierzaniem i dezaprobatą Barrow. - Co mu nagle przyszło do głowy? Ten zegar zatrzymał się wiele lat temu! Nawet nie pamiętam, kiedy przestał tykać.

Nic dziwnego, że stary sługa nie chce zmiany istniejącego stanu rzeczy, pomyślała panna Beccles, ale nie zamierzała się z nim spierać, powtórzyła tylko, że to duża uprzejmość ze strony pana Francisa. Dodała jeszcze, że ucieszyłaby się, gdyby pani Barrow zrobiła dla niej herbatę, więc Barrow mruczając coś na temat dziwnego zachowania pewnych gości poszedł do kuchni.

Ulga, jakiej doznała panna Beccles po odjeździe Francisa z Highnoons, była tak wielka, że po wypiciu herbaty i zjedzeniu kromki chleba z masłem, ucięła sobie drzemkę w fotelu przy kominku. Obudził ją Nicky, który wszedł do salonu około trzeciej ze smutną wiadomością, że dotąd nie udało mu się odnaleźć Kolosa, pomimo że przeszukał lasy sir Matthewa Kendala i nawet dwukrotnie spotkał jego gajowych.

- Pomyślałem jednak, że powinienem wrócić, żeby sprawdzić, czy ten cholerny Cheviot nie próbuje jakichś nowych sztuczek - powiedział.

- Och, drogi Nicky, on odjechał - poinformowała go panna Beccles pośpiesznie poprawiając sobie czepek na głowie. - Jakie to szczęście, prawda?

- Odjechał? - powtórzył zaskoczony Nicky.

- Tak, i zaczynam nawet wątpić, czy to on uderzył panią Cheviot w głowę, bo przecież to właśnie skłoniło go do opuszczenia nas. Bardzo się ucieszyłam. Od początku nie podobał mi się, a pani Barrow tak była zdenerwowana ciągłym przygotowywaniem specjalnych kleików, że po prostu bałam się pokazywać w kuchni.

- Och, bardzo dobrze - powiedział Nicky. - Przypuszczam, że to robota Carlyona, zresztą to nie moja sprawa. Cieszę się,

że wyjechał, bo będę teraz mógł spokojnie poszukiwać Kolosa. Tym powinienem się zająć, a nie kręcić się tam, gdzie mnie nie potrzebują.

- Coś mi się wydaje, że nie jest pan całkiem zadowolony, paniczu Nicky - powiedziała panna Beccles, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Niezadowolony? Nic podobnego! Ogromnie się cieszę, madam. Mogę pani powiedzieć, że Kolosa cenię nieco wyżej niż Cheviota. Gdyby Carlyon pytał o mnie, to proszę go poinformować, że wyszedłem w swoich sprawach i nie wiem, kiedy wrócę, ale może się o mnie nie troszczyć, bo sam sobie świetnie radzę.

Po wygłoszeniu tych gorzkich słów Nicky wyszedł z pokoju, zostawiając całkowicie zdezorientowaną pannę Beccles, która nie potrafiła znaleźć żadnego wyjaśnienia jego rozdrażnienia.

Pani Cheviot pojawiła się około czwartej. Była jeszcze nieco blada, ale stwierdziła, że czuje się już całkiem dobrze.

- Chyba przespałam całe popołudnie - powiedziała. - Nie, nie boli mnie już głowa, Becky... no, może troszeczkę, ale to nic godnego uwagi.

- Kochanie, powinnaś zostać jeszcze w łóżku. I widzę, że zdjęłaś bandaż. Och, pani Cheviot, czy to rozsądne?

- Nie zmuszaj mnie do robienia z siebie takiej cudacznej kukły - zaprotestowała Elinor.

- Och, wcale tak nie wyglądałaś! Zresztą teraz nie zobaczy cię nikt poza mną, kochanie, bo pan Nicky znów szuka Kolosa i powiedział, że nie wie, kiedy wróci. Nie mam pojęcia, co go tak zirytowało, ale był w fatalnym nastroju, kiedy przed godziną wyszedł z domu.

- Nicky był zły? Pewno znów zdenerwował go pan Cheviot. Czy ten okropny typ nadal leży w łóżku? Powiem pani Barrow, żeby mu przestała przygotowywać kleiki, to może szybciej wyjedzie z Highnoons.

- Och, kochanie, nie ma potrzeby! On już wyjechał!

- Becky! Oszukujesz mnie chyba!

- Ależ nie! Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła! Powiedział, że po tym, co przydarzyło ci się dzisiaj rano, nie może tu dłużej zostać. Muszę przyznać, że wydało mi się to nieco tchórzliwe i mało męskie, ale tak się ucieszyłam mogąc mu powiedzieć „do widzenia”, że nic nie zrobiłam, żeby go zatrzymać.

- Całe szczęście! Cudownie, że wyjechał! To robota Carlyona! Powiedział mi, że być może pan Cheviot opuści Highnoons wcześniej niż przypuszczam. Ciekawe, jak on to zrobił. Słowo daję, że mimo wszystko zaczynam go podziwiać.

- Kochanie, nie powinnaś się do niego tak źle odnosić. To jest wprost nieprzyzwoite z twojej strony. Jego lordowska mość wykazuje tyle wyrozumiałości, zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen. Pomyśl tylko, jaki to kontrast w porównaniu z panem Cheviotem. Tego nie można nie dostrzec.

Elinor zarumieniła się lekko, ale powiedziała z uśmiechem:

- Och, Becky, jeśli tylko jakiś mężczyzna dobrze się prezentuje i władczo zachowuje, to zawsze zaczynasz go podziwiać. Powiedz mi tylko, jak doszło do tego, że pan Cheviot w takim pośpiechu opuścił Highnoons?

- Wydaje mi się kochanie, że ocenialiśmy go zbyt surowo i prawdopodobnie to nie on uderzył cię w głowę. Poza tym nie przypuszczam, by lord Carlyon spowodował jego wyjazd, bo przecież odjechał do domu godzinę wcześniej. Pan Cheviot kazał przekazać ci pozdrowienia i wyrazy ubolewania, że nie mógł cię osobiście pożegnać, ale obawiał się, że nie zdąży dojechać do Londynu przed kolacją. Chociaż, jeśli o mnie chodzi, to uważam, że mógłby zjeść smaczną, prostą kolację w zajeździe, ale on ma takie dziwne kaprysy.

- Jada tylko kleiki! Jestem mu wdzięczna za tę uprzejmość



i mam nadzieję, że nie będę zmuszona gościć go ponownie w Highnoons.

- Kochanie, ale on starał się być miły w stosunku do ciebie. Wyjeżdżając zabrał ten irytujący cię popsuty zegar, żeby oddać go do naprawy i w ten sposób okazać ci wdzięczność.

Elinor siedziała wygodnie w fotelu, ale w tym momencie wyprostowała się raptownie i zapytała:

- Zabrał zegar? Który zegar?

- No, ten z biblioteki, kochanie. Ten, co zawsze tak bardzo cię irytował. Odda go do naprawy do własnego zegarmistrza i...

- Becky! Jak mogłaś pozwolić mu na to? - zawołała Elinor i nagle pobladała.

- Ależ, droga pani Cheviot, co masz przeciwko temu?

- Och, gdybyś ty wiedziała, czego się obawialiśmy! Gdybyś wiedziała, czego on tu szuka!

- Elinor, widzę, że twoje nerwy są całkiem rozstrojone. Co może mieć wspólnego zepsuty zegar z jakimiś papierami, których on szuka?

Elinor starała się nie słuchać słów starej guwernantki. Przycisnęła dłoń do skroni, jak gdyby próbowała zebrać myśli.

- Zegar był zamknięty - powiedziała wreszcie. - Ja próbowałam go otworzyć, a potem odstawiłam na poprzednie miejsce i... tak, tak, znów wzięłam spis inwentarza odłożony wcześniej na półkę. Zauważyłam wtedy, że zegar nie stoi całkiem prosto, poprawiłam go, ciągle trzymając papiery w ręku. W tym momencie otrzymałam cios, po którym upadłam. Becky, Becky! Czemu ja o tym wcześniej nie pomyślałam! To dlatego mnie uderzył. Francis Cheviot na pewno myślał, że udało mi się otworzyć drzwiczki zegara i znalazłam ten dokument. Teraz wszystko rozumiem, ale już za późno. On wiedział, że te papiery tam są, i tylko czekał na odpowiedni moment, żeby je wyjąć. Och, Becky, jak mogło

dojść do tego? Dlaczego pozwoliłaś mu zabrać zegar? Ale to moja wina! Co ja mam teraz zrobić? Musimy odzyskać zegar. Nicky... - przerwała. - Nie, nie Nicky. On działałby zbyt nierozważnie i może znów by mu się coś stało, a tego bym sobie nie darowała. Carlyon też by mi nie wybaczył. Becky, co robić?

- Naprawdę, bardzo mi przykro - powiedziała panna Beccles niezwykle przejęta. - Nie wiem, co robić, ale z pewnością ty, moja droga, jesteś w takim stanie, że nie wolno ci się denerwować. Bardzo cię proszę, uspokój się! Znów zaczniesz cię boleć głowa, jeśli będziesz się tym przejmować.

- Ból głowy to drobiazg w porównaniu z tym, co się stało. Może już za późno, żeby odzyskać dokument, ale muszę przynajmniej o wszystkim zawiadomić Carlyona. Dlaczego on znów wyjechał? Mógł się przecież domyślić, że coś złego się zdarzy, jeśli tylko opuści Highnoons. Jakże to do niego podobne! Cóż to za okropny, denerwujący człowiek! Becky, odszukaj szybko Barrowa i powiedz mu, że musi, najszybciej jak tylko może, przygotować dla mnie powóz. Nawet bryczkę, jeśli nie ma powozu... i żeby znalazł jakiegoś służącego, który będzie mi towarzyszył. Nie siedź tak i nie patrz na mnie, tylko pośpiesz się, Becky, błagam cię. Idę na górę, żeby się przebrać.

- Pani Cheviot - jęknęła panna Beccles. - Chyba nie jest pani tak szalona, żeby gdzieś jechać! I to bryczką! Elinor!

Pani Cheviot zerwała się z fotela i tupnęła.

- Rób, co ci każe, Becky. Naprawdę, nie żartuję! A jeśli przyjedzie Nicky, to ani słowa, to znaczy o tym, że pan Cheviot zabrał zegar.

## 18

Po podjęciu decyzji nic już, nawet usilne i wielokrotnie powtarzane prośby panny Beccles, nie mogły skłonić Elinor do odstąpienia od zamiaru udania się na poszukiwanie Carlyona. Elegancki powóz, używany niegdyś przez zmarłą panią Cheviot, stał ciągle w wozowni, pokryty tak grubą warstwą kurzu, że przygotowanie go w krótkim czasie okazało się niemożliwe. W tej sytuacji Elinor przystała na propozycję Barrowa, by skorzystać z powoziku, którym ostatnio posługiwał się Eustace Cheviot. Był to pojazd, który, zdaniem lokaja, bardziej powinien przypaść jej do gustu niż bryczka. Stajenny, uradowany, że wreszcie jakieś przyjemne obowiązki odrywają go od prac ogrodniczych, do jakich został ostatnio przypisany, szybko przywdział liberię i zaprzągnął do powoziku najlepszego konia. Kiedy zorientował się, że jego pani sama zamierza powozić, a on będzie tylko wskazywał drogę, grzecznie wyraził swoją dezaprobatę i poinformował ją, że klacz od wielu dni stała w stajni i może być trochę niespokojna. Pani Cheviot zignorowała tę uwagę, fachowo wzięła lejce i po chwili powóz toczył się już po podjeździe. Sposób, w jaki wyprowadziła zaprzęg przez bramę na drogę i umiejętność posługiwania się batem, wywarły na stajennym takie wrażenie, że zaczął traktować ją z najwyższym szacunkiem.

Tylko siedem mil dzieliło Highnoons od Hall, ale droga była wąska i pełna wybojów, minęły więc prawie trzy kwadransy, zanim znaleźli się na miejscu. Elinor w czasie podróży ochłoneła na tyle, że w miarę spokojnym głosem mogła zapytać o jego lordowską mość. I lokaj, i kamerdyner byli zbyt dobrze wychowani, by okazać zaskoczenie tą niekonwencjonalną wizytą. Została zaprowadzona do salonu, kamerdyner poprosił ją, by usiadła i powiedział, że zaraz zawiadomi jego lordowską mość o jej przybyciu. Nie czekała długo. Już po chwili usłyszała znajome energiczne kroki i wstała, zanim jeszcze lokaj zdążył otworzyć drzwi, by przepuścić przez nie lorda Carlyona.

- Droga pani Cheviot - powiedział wyciągając do niej rękę. - Powinna pani leżeć w łóżku! Co się stało?

- Milordzie, musiałam przyjechać - odparła ściskając mu dłoń. - Poczuję się już całkiem dobrze, a po przejeździe na świeżym powietrzu czuję się jeszcze lepiej. Zresztą i tak uważałabym za swój obowiązek przyjechać, nawet gdybym była bardzo chora.

- Nie wątpi pani chyba, że cieszę się, mogąc powitać panią w moim domu, ale przekonany jestem, że nie powinna pani podejmować żadnych wysiłków, i tylko to psuje moją radość. Może przejdziemy do biblioteki? Tutaj jest trochę chłodno, a myślę, że zmarzła pani w czasie jazdy.

- Dziękuję, to nie ma znaczenia. Mam panu do powiedzenia coś bardzo ważnego.

- W bibliotece będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Wyprowadził ją do holu i kazał lokajowi przynieść wino i ciasteczka.

- Naprawdę, nie trzeba - powiedziała Elinor.

- Pozwoli pani, że sam zadecyduję - odparł Carlyon zamykając drzwi. - Czy mogę pani pomóc zdjąć płaszcz? Jak

pani mogła wyjechać z domu w taką pogodę w tak cienkiej pelerynce,

- Cóż to ma za znaczenie! Milordzie, pan Cheviot po południu wyjechał z Highnoons, kiedy jeszcze spałam, i zabrał ze sobą zegar z biblioteki!

- Ach, zabrał zegar! - powiedział Carlyon wyraźnie czymś ucieszony.

- Pan nic nie rozumie. Nie pomyślałam o tym wcześniej, dopóki Becky nie powiedziała mi, że wziął zegar pod pretekstem oddania go do naprawy. Milordzie, jestem przekonana, że ten dokument był w nim ukryty! On o tym wiedział i dokument teraz jest już w jego rękach!

- Nie, nie, pani Cheviot. On nie ma tego dokumentu. Zapewniam panią - powiedział uspokajająco. - Pozwoli mi pani wziąć tę pelerynę?

Elinor ze złością klasnęła w dłoń.

- Musi mnie pan uważnie wysłuchać, milordzie. Pan nie zauważył... istotnie, jak pan mógł zauważyć... że dotykałam zegara w momencie, gdy otrzymałam cios w głowę. A...

- Wiem o tym, madam. Opowiedziała nam pani wszystko po odzyskaniu przytomności. Obawiam się, że to pani nie wysłuchiwała mnie uważnie. Czy nie powiedziałem, że nie ma już żadnego powodu, by się czegoś obawiać? To ja powinienem być zły o to, że naraża pani swoje zdrowie.

- A więc pan wiedział? - Elinor spojrzała na niego z niedowierzaniem. - I domyślił się pan, jakie to ma znaczenie?

- Naturalnie. Szybko zrozumiałem, że tu właśnie może się kryć rozwiązanie zagadki, i kiedy pani poszła do swojego pokoju, sprawdziłem, czy któryś z kluczyków mojego zmarłego kuzyna nie pasuje do zamka w drzwiczkach zegara. Moje podejrzenia okazały się słuszne. Wyjąłem dokumenty i teraz znajdują się w moim posiadaniu.

Elinor nie była w stanie nic powiedzieć, patrzyła tylko na niego z oburzeniem. Dwukrotnie otwierała usta i ponownie je zamykała, zanim zdołała na tyle się opanować, by wydobyć z siebie głos.

- Wyjął pan dokumenty? No tak, to przechodzi wszelkie wyobrażenie! I nie pomyślał pan, że mogę być choćby trochę zainteresowana informacją o tym nieistotnym zdarzeniu!

- Nie, ale...

- Przetrasnęłam wszystkie szafy, komody i kredensy w tym upiornym domu. Nie znalazłam chwili spokoju przez cały tydzień, zostałam brutalnie zaatakowana i to wszystko z powodu tych papierów, które teraz bezpiecznie spoczywają w pana kieszeni. No, świetnie! Jestem szczęśliwa, że tak jest, ale dlaczego musiałam w taką pogodę przejechać siedem mil, żeby się o tym dowiedzieć?

- To było z pewnością zbyteczne - odpowiedział spokojnie.

- Dowiedziałyby się pani o wszystkim jutro, w Highnoons. Teraz proszę mi pozwolić uwolnić panią od tej peleryny.

- A właśnie, że nie pozwolę! Proszę natychmiast kazać przywołać mój powozik! - wybuchnęła zirytowana Elinor.

- Niech pani będzie rozsądna, pani Cheviot - powiedział.

- Nie powinna pani mieć do mnie pretensji. Proszę się tylko zastanowić. Dopóki nie otworzyłem zegara, wszystko było w sferze domysłów i nie mogłem przecież niepokoić pani w tym stanie, w jakim się pani, ze zrozumiałych względów, znajdowała. Byłoby to dla pani trudne do zniesienia. Przede wszystkim zależało mi na tym, żeby pani znalazła się w łóżku i odpoczęła po doznanym szoku. Kiedy moje podejrzenia potwierdziły się, z innych jeszcze powodów doszedłem do wniosku, że powinienem to odkrycie zachować w tajemnicy. Nie potrzebuję pani mówić, że cała ta sprawa jest szczególnie delikatna. Miałem już pewien plan działania, ale uważałem, że pierwszym krokiem powinno być porozumienie się z moim

bratem. To właśnie z tego powodu nie powiedziałem pani, a również Nicholasowi, że znalazłem dokumenty. Gdybym zastał Johna w domu i ustalił z nim, co należy zrobić, niewątpliwie jeszcze dziś wróciłbym do Highnoons i opowiedział pani o wszystkim. Niestety, po przybyciu do Hall dowiedziałem się, że John udał się na polowanie i ciągle jeszcze nie ma go w domu. W każdej chwili oczekuję jego powrotu. Czy mogę zdjąć z pani tę pelerynę?

Tym razem pozwoliła mu, a również z przyjemnością pozbyła się kapelusza. Chociaż złagodniała po wysłuchaniu jego spokojnej, rozsądnej wypowiedzi, ciągle jednak czuła się oszukana i tylko zauważyła z goryczą, że mogła się spodziewać takich gładkich wyjaśnień.

- Powiedziałem całą prawdę, madam - odparł. - Przykro mi, że panią zirytowałem, i błagam, proszę się nie wahać i powiedzieć, jak niecnie postępowałem. Proszę usiąść wygodnie w tym fotelu, mam nadzieję, że nie stoi w przeciagu. Czy głowa mniej pani dolega? Widzę, że zdjęła pani bandaż. Nie należało tego robić.

- Gdybym nie była zmuszona wyjechać z domu - skłamała Elinor - to nadal miałabym zabandażowaną głowę. Nawet pan musi przyznać, że nie mogłam się pokazać w czymś tak cudacznym na głowie.

- Pani w ogóle nie powinna się była dzisiaj nigdzie pokazywać, madam.

Dalszą wymianę zdań na ten temat uniemożliwiło wejście lokaja z tacą. Po jego wyjściu Carlyon napełnił kieliszek maderą i podał go Elinor, a na stoliku obok niej postawił talerz z ciasteczkami. Potem nalał sobie wina. Wdowa patrzyła na niego z niechęcią.

- Żałuję, że nie wysłałam Nicholasa w pogoń za panem Cheviotem, choćby po to, żeby panu dokuczyć.

- Jestem przekonany, że w tym przypadku mogłem polegać na pani zdrowym rozsądku.

- Gdyby był w domu to, daję słowo, powinnam to zrobić. Niestety, wyszedł.

- Tak, zadbałem o to - zauważył Carlyon i podszedł do kominka.

- Teraz rozumiem, milordzie, jaką wartość miał pana poprzedni komplement.

- Och, nie zrobiłem tego z obawy, że może pani tak postąpić, madam. - Carlyon uśmiechnął się. - Nie chciałem tylko, żeby Nicky próbował Francisowi w czymkolwiek przeszkodzić.

Elinor mruknęła coś ze złością i zamilkła. Wypiła parę łyków wina, potem jej wzrok padł na ciasteczka. Bezwiednie wzięła jedno z nich, zaczęła jeść i wtedy zorientowała się, że jest głodna: od śniadania nie miała nic w ustach. Kilka ciasteczek na tyle poprawiło jej nastrój, że spojrzała na Carlyona, który cały czas przyglądał się jej ze skrywanym rozbawieniem, i roześmiała się.

- No tak, oszukał mnie pan i wykorzystał haniebnie, ale mogłam się tego spodziewać, gdyż od początku tak pan postępuje. Proszę mi tylko powiedzieć, co zrobi pan Cheviot, gdy stwierdzi, że w zegarze nic nie ma?

- Zobaczymy, madam. Czy pozwoli pani, że wyjdę na chwilę, żeby przekazać polecenie pani stajennemu? Uważam, że powinien niezwłocznie wrócić do Highnoons i zawiadomić pannę Beccles, że jest pani w Hall i że po obiedzie odwiezie panią do domu swoim powozem.

Próbowała protestować, zresztą niezbyt szczerze, ale Carlyon nie zwrócił na to uwagi. Wyszedł do holu i właśnie wydawał lokajowi polecenia, kiedy pojawił się John ze strzelbą myśliwską na ramieniu i kilkoma upolowanymi królikami, które wręczył lokajowi.

- Cześć, Ned. Jesteś już - zauważył. - Prawie przez całe przedpołudnie tkwiłem w domu licząc na to, że mogę ci być potrzebny w Highnoons. Ponieważ żadne wiadomości od ciebie nie dotarły, wybrałem się na polowanie.

- Tak, tak. Zostałem już o tym poinformowany. Wejźmy do biblioteki.

- Zaraz tam przyjdę, tylko umyję ręce - obieca! John.

Carlyon wrócił do Elinor:

- Za chwilę będzie tu mój brat - oznajmił. - Wreszcie zjawił się w domu.

- Domyślam się, że chce pan z nim porozmawiać na osobności. Przejdę do salonu, sir - powiedziała wstając z fotela.

- Proszę nie wychodzić - powstrzymał ją. - Jestem pewien, że mogę polegać na pani dyskrecji. Wie pani już tak dużo, że powinna pani dowiedzieć się wszystkiego.

- Jest pan bardzo miły, sir, ale może pan John Carlyon nie zechce rozmawiać o tych sprawach w mojej obecności, a nie chciałybym...

- Pan John Carlyon postąpi tak, jak ja sobie życzę - odparł.

- Od chwili pierwszego spotkania z panem wiedziałam, że jest pan despota, milordzie - uśmiechnęła się.

- Bardzo rzadko, zapewniam panią.. Odnoszę wrażenie, jak gdyby wiele czasu upłynęło od tego dnia.

- Obawiam się, że po prostu nudzi się pan w moim towarzystwie - zauważyła wdowa. - Proszę jednak zrozumieć, że w sytuacji, w jakiej się znalazłam, musiałam utracić umiejętność prowadzenia interesujących rozmów.

- Zauważyłem tylko, że zupełnie nie ucierpiała na tym ostrość pani języka, madam, a nawet dzisiaj spełniło się pani życzenie, by wreszcie wprowadzić mnie w zakłopotanie. Całkiem niezłe udało się to pani, i to zaraz po przybyciu do Hall.

Roześmiała się i potrząsnęła głową. W tym momencie do

pokoju wszedł John, rozcierając zmarznięte ręce. Na widok Elinor zatrzymał się zaskoczony.

- Pani Cheviot! Nie wiedziałem... Ned, powinienesz uprzedzić mnie, że mamy gości. Proszę wybaczyć, madam, mój wygląd. Przed chwilą wróciłem z polowania i nawet nie miałem czasu się przebrać.

- Pani Cheviot na pewno ci wybaczy - powiedział Carlyon.

- Przez całe popołudnie czekałem na ciebie. Memorandum zostało odnalezione.

- Coś takiego! Chyba nie w Highnoons? - zawołał John.

- W Highnoons. Ukryte było w zegarze stojącym na kominku w bibliotece.

- Dobry Boże! Nigdy bym na to nie wpadł! Czy to jest naprawdę ten dokument, który zaginał?

- Przerzuciłem go tylko pobieżnie, ale wydaje mi się, że to nie może być nic innego. Zresztą sam sprawdź. - Wyjął z kieszeni starannie poskładany plik papierów i podał go bratu.

John niecierpliwie przebiegł oczami po gęsto zapisanych arkuszach.

- Na Boga, to niewątpliwie ten dokument! Kto go znalazł?

- Ja, ale przy znacznym udziale pani Cheviot - odparł Carlyon.

John z uznaniem spojrział na Elinor.

- Istotnie, bez mojego udziału pański brat tak łatwo nie odniósłby sukcesu. Może pan sobie wyobrazić, jaka jestem szczęśliwa, że moja rozbita głowa przysłużyła się tak ważnej sprawie. Muszę przyznać, że początkowo nie byłam zachwycona, gdyż z różnych powodów nie lubię, gdy ktoś uderza mnie ciężkim przedmiotem w głowę, ale wkrótce pański brat dzięki swym umiejętnościom przekonywania udowodnił, że absurdem byłoby przejmowanie się takim drobiazgiem. Nie narzekam więc. W końcu wszystko wyszło na dobre.

- Droga pani Cheviot! Pani chyba żartuje! - zawołał zdumiony John.

- Wcale się nie dziwię, że jest pan zaskoczony. Z pewnością nie przypuszczał pan, że mogę odegrać tak ważną rolę w walce o odzyskanie dokumentu. Ja też nie przypuszczałam i przyznam się, że nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby moja rola była mniej aktywna.

John odwrócił głowę i pytająco spojrzął na brata. Carlyon uśmiechnął się i powiedział:

- To wszystko jest prawda, tylko że pani Cheviot we właściwy jej sposób opisała całe zdarzenie. Krótko mówiąc, pani Cheviot chciała uruchomić zegar, który stał na półce nad kominkiem i kiedy, bezskutecznie zresztą, próbowała otworzyć drzwiczki, do których kluczyki miałem ja, do biblioteki wszedł Francis. Zobaczył ją manipulującą przy zegarze, a przy tym z plikiem papierów w ręce. Był to domowy spis inwentarza, ale on o tym nie wiedział. Zbyt pochopnie wyciągnął wnioski. Przyciskiem do papieru, który leżał na biurku, ogłuszył panią Cheviot. Jestem przekonany, że nie uderzył tak mocno, by spowodować poważniejsze obrażenia, ale...

- Ach tak? - przerwała mu Elinor. - Jakie to miłe z jego strony! Zastanawiam się, czy nie powinnam napisać do niego, by wyrazić swoją głęboką wdzięczność.

- Wdzięczność?! - zawołał John, tak przejęty całą sytuacją, że nie wyczuł ironii w słowach Elinor. - To przechodzi ludzkie pojęcie! Mam nadzieję, Ned, że rozprawiłeś się z tym facetem.

- Nie. Odjechał do Londynu zabierając ze sobą zegar - odparł Carlyon.

John patrzył na niego przez chwilę.

- No nie, chyba całkiem opuścił cię zdrowy rozsądek.

Elinor wzięła z talerza następne ciasteczko.

- Muszę przyznać, że już parę razy zastanawiałam się, kiedy to smutne spostrzeżenie zagości w pana głowie - powiedziała. - Od początku byłam zdania, że coś nie jest w porządku z umysłem pańskiego brata, ale przypuszczałam, że do takiego stanu dochodził stopniowo i mógł pan wcześniej nic nie zauważyć.

- Nonsens! - oburzył się John. - Nie znam nikogo, kto miałby taki umysł jak mój brat! Ale, Ned, jak mogłeś tak postąpić? Przecież wszystko jest zupełnie jasne.

- Też tak sądzę, ale uważam, że powinniśmy w tej sprawie działać wyjątkowo rozważnie. Nie chciałem nic robić bez porozumienia z tobą. Z pewnością nie należy nadawać rozgłosu tym zdarzeniom. Jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni z Cheviotami. Musimy starać się uniknąć skandalu.

- Chyba nie przypuszczasz, że o tym nie pomyślałem - odparł John, nerwowo spacerując po pokoju. - To się jednak nie uda. Nawet gdybym znalazł sposób na potajemne podrzucenie memorandum, to i tak nie zrobiłbym tego. Człowiek honoru nie będzie krył zdrajcy ze względu na interes rodziny.

- Ani ze względu na żaden inny interes. Gdybyśmy jednak zyskali pewność, że zdrajca w przyszłości będzie nieszkodliwy...

- W jaki sposób możemy ją zyskać? - zapytał John.

- Wydaje mi się, że jest to możliwe.

- Ned, co ty, u licha, znów wymyśliłeś?

- To jeszcze nic pewnego. Mogę się mylić. To musi dopiero zostać potwierdzone.

- Nie wiem, o czym mówisz. Mam tutaj dokument, który należy natychmiast dostarczyć lordowi Bathurstowi i powiedzieć mu, w jaki sposób został zdobyty. Chyba inne rozwiązanie nie przychodzi ci do głowy. Naturalnie, trzeba

zachować wyjątkową dyskrecję. Nikt nie powinien wiedzieć, jak łatwo może zginąć dokument tej rangi.

Carlyon w milczeniu patrzył na dokument, który po odebraniu od brata znów starannie złożył. Po dłuższej chwili spojrzął na Johna i powiedział:

- Myślę, że najlepiej zrobimy oddając memorandum Francisowi Cheviotowi.

Jego słowa wprawiły i Elinor, i Johna w osłupienie, tym bardziej że wypowiedziane zostały tak spokojnie, jak gdyby dotyczyły czegoś zupełnie oczywistego.

- Uważasz... uważasz, że powinniśmy... Ned, ty naprawdę jesteś szalony - wyjąkał wreszcie John.

- Chyba nie. Nie miałem okazji powiedzieć ci o tym co odkryłem... a właściwie co sprawdziłem w Londynie. Louis De Castres istotnie został zasztyletowany.

Wyraz zakłopotania pojawił się na twarzy Johna.

- Ned, drogi bracie, co się z tobą dzieje? Przecież my o tym wiemy.

- Wiemy od Francisa. Tylko że takiej informacji nie było w *Morning Post*, a on powiedział, że właśnie z notatki w tej gazecie dowiedział się o śmierci swojego przyjaciela. W innych gazetach też nic znalazłem tego szczegółu. „Śmiertelnie ugodzony sztyletem”, takich słów użył. Zwróciłem na to uwagę i dokładnie zapamiętałem.

- Dobry Boże! Coś takiego każdy mógł powiedzieć, domyślić się, że tak właśnie było.

- Ale to okazało się prawdą. Przypomnij sobie jeszcze inny szczegół: Francis powiedział, że ciało znaleziono w zaroślach. To również jest prawdą, ale w żadnej gazecie nie znalazłem tej informacji.

John usiadł w fotelu i cicho powtórzył:

- Dobry Boże!

- Czy pan sugeruje... chce pan nam dać do zrozumienia, że to pan Cheviot zamordował tego młodego Francuza?

- Tak sędzę. Podejrzałem go od początku, ale potrzebny był mi dowód.

- Ned, to niemożliwe! - zawołał John. - De Castres był jego przyjacielem. Wszyscy o tym wiedzą.

- Nie kwestionuję tego. Powiedziałem ci, że Francis Cheviot jest niebezpiecznym człowiekiem. Byłem świadomy tego od dawna. Nie wątpię, że to człowiek zdolny do wszystkiego.

- Do diabła, ja też nie lubię tego faceta, ale ty robisz z niego niebываłego łotra.

- Łotrem zapewne jest, tylko że to nie on uknuł tę intrygę. Jeśli się nie mylę, autorem tego łotrstwa jest Bedlington.

- Bedlington! - jęknął John.

- Jak sam wiesz, istniała taka możliwość, chociaż wydawało mi się to nieprawdopodobne. Dopiero kiedy głębiej zastanowiłem się nad tą sprawą, doszedłem do wniosku, że moje pierwsze podejrzenia nie są zupełnie bezpodstawne. Francis nie mógł przecież zdobyć tego dokumentu.

- Zupełnie cię nie rozumiem! Żeby podejrzewać starego Bedlingtona, człowieka na takim stanowisku... Wydaje mi się to absolutnie niemożliwe.

- Jestem innego zdania - odparł Carlyon. - Gdyby Francis, bliski przyjaciel De Castres'a, był szpiegiem, to po co miałyby wykorzystywać Eustace'a jako pośrednika? Żaden pośrednik nie byłby mu potrzebny. To, że Eustace został zaangażowany, od początku wskazywało z całkowitą dla mnie jasnością, że człowiek, którego chcemy zidentyfikować, dba o to, żeby nie zdemaskować się przed francuskim agentem. Poza tym fakt, że pośrednikiem został Eustace, a musisz przyznać, że wybór był fatalny, również wskazuje na to, że nie mamy tu do czynienia z Francisem.

John milczał przez chwilę rozważając to, co usłyszał.

- To prawda - powiedział wreszcie. - Nie rozumiem, dlaczego sam na to nie wpadłem, a muszę przyznać, że nie przyszło mi to do głowy. Od jak dawna jesteś o tym przekonany, Ned?

- Przekonany! Nadal nie jestem całkiem przekonany. Dochodziłem do tego stopniowo. Dopiero kiedy poznałem okoliczności śmierci De Castres'a, i dowiedziałem się, że Bedlington wyjechał na wieś i pod pretekstem choroby unika spotkań z kimkolwiek, nabrałem w tej sprawie pewności na tyle, na ile można być pewnym bez rozstrzygającego dowodu, a muszę przyznać, że takim nie dysponuję. Właśnie dlatego nie chciałem nic robić bez porozumienia z tobą.

John skinął głową, potem podszedł do stołu i nalał sobie kieliszek madery. Przez chwilę stał, wpatrując się weń, a potem powiedział:

- Niełatwo w takiej sytuacji zdecydować się na jakies kroki.

- To prawda. Niełatwo.

- Powiedziałeś, że to tylko przypuszczenia. Jeśli masz rację, to powiedz, skąd Cheviot wiedział o działaniach swojego ojca?

Carlyon wzruszył ramionami.

- Może być wiele odpowiedzi na to pytanie, ale ja nie znam prawdziwej,

- Jeśli Cheviot istotnie zabił Louisa De Castres'a... - John przerwał i wypił łyk wina. - Czarna kamizelka... Obrzydliwe. Robi mi się niedobrze, gdy pomyślę o tym człowieku.

Do rozmowy włączyła się Elinor.

- Proszę mi wybaczyć, ale jeśli pan Cheviot nie był osobiście wplątany w tę szpiegowską afere, to skąd wiedział, że dokument ukryty jest w zegarze?

- Na to też nie potrafię odpowiedzieć - odparł Carlyon.

- I jeszcze jedno - odezwał się John. - Skoro Louis De Castres nie orientował się, kto stoi za Eustace'em, to skąd Bedlington dowiedział się o śmierci swego bratanka, zanim w gazetach ukazała się notatka?

- Powiedział nam, że poinformował go lokaj Eustace'a.

- Ale kiedy zapytałem cię, czy w. to wierzysz, odpowiedziałeś, że nie. A czy nie przypuszczasz, że De Castres, kiedy pani Cheviot poinformowała go o śmierci Eustace'a, pobiegł do Bedlingtona z tą wiadomością?

- Tak, uważam, że to możliwe. On mógł wiedzieć o Bedlingtonie.

- Ale skąd?

- Mój drogi, gdybyś znał ważną tajemnicę, to powiedz, czy zaufałybyś komuś takiemu jak Eustace?

- Na Boga, nie! - John roześmiał się. - Na pewno przypuszczasz, że Eustace po paru kieliszkach wygadał się przed Louistem, kto sprzedaje tajemnice.

- Jest to prawdopodobne, ale De Castres sam mógł się domyślić prawdy.

John zwrócił się teraz do Elinor.

- Czy Bedlington w czasie wizyty u pani interesował się tym zegarem? A może próbował zostać sam w bibliotece?

- Ani jedno, ani drugie - odparła Elinor. - Przyjęłam go w salonie i nie próbował przedłużać wizyty. Powiedział tylko, że wróci w dniu pogrzebu i wówczas chętnie zatrzymałby się w Highnoons.

- Przypuszczam, że był mocno przestraszony - powiedział John - a w każdym razie wyraźnie zaniepokojony. Podejrzania Neda skierowały się jednak w stronę Francis'a i o Bedlingtonie zapomnieliśmy. Ned, czy ty uważasz, że on stracił głowę i opowiedział o wszystkim Francisowi? A może Francis wiedział o tym od początku?



- Na pewno nie. Gdyby Francis był współnikiem ojca, to nie wątpię, że De Castres żyłby nadal. Nie wykluczam, że Bedlington widząc, że jego plan jest zagrożony, zwrócił się do Francisca o pomoc, by ratował go od hańby. To, że Bedlington w tak niepewnej i trudnej sytuacji wycofał się na wieś pod pretekstem choroby, wydaje się świadczyć o tym, że Francis zdecydował się wziąć sprawę w swoje ręce i zaczął twardo kierować postępowaniem ojca.

John w zamyśleniu znów wpatrywał się w wypełniony winem kieliszek.

- A ty chcesz mu oddać memorandum? - powiedział wreszcie.

- Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to musisz zgodzić się ze mną, że Francis Cheviot niczego nie pozostawił przypadkowi. De Castres był jego przyjacielem, ale De Castres nie żyje. Nie wiem, jak postąpi z ojcem, ale gdybym był na miejscu Bedlingтона, ślepo wykonywałbym rozkazy Francisca.

- Przecież własnemu ojcu nie zrobiłby krzywdy! - zawołała Elinor.

- Nie wiem, czy Bedlington jest tego samego zdania - zauważył cierpko Carlyon.

- Ned, nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków.

- Słusznie. Trzeba to wszystko przemyśleć. Jeśli uznasz, że należy ujawnić całą tę sprawę, to bardzo dobrze. Niech tak będzie - powiedział Carlyon. Potem spojrzął na zegar i dodał:

- Z pewnością zechcesz się przebrać przed kolacją, więc dajmy sobie spokój z tymi zagadkami. Pani Cheviot, oddam teraz panią pod opiekę mojej gospodyni, pani Rugby. Kolacja będzie za pół godziny.

Podziękowała i wstała z fotela, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Nicky. Był zabrudzony, wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego.

- Znalazłem go! - obwieścił triumfująco.

- Dobry Boże! - zawołał John. - Gdzie?

- Nigdy byś nie uwierzył. W naszych lasach, tych od zachodniej strony.

- Co takiego?

- Tak! Długo go szukałem, już prawie straciłem nadzieję, kiedy przyszło mi do głowy, że może być właśnie tam. Wiedział, że go szukam, i wiedział, że jestem piekielnie zły, bo ukrył się przede mną w krzakach. Wypatrzyłem go jednak, ale on sam nie wyszedł, o nie.

- Ukrył się przed tobą w zaroślach? - powtórzył z niedowierzaniem John.

- Tak. Musiałem go siłą stamtąd wyciągać. Jest tak ubłocony, że zamknąłem go w stajni, żeby wytarzał się w sianie. Boże, jak ja się cieszę, że jest już bezpieczny w domu.

- Ach, ty mówisz o tym swoim cholernym kundlu! - zawołała ze złością John.

- To nie jest kundel, tylko mieszaniec. Ciekawe, o kim innym miałbym mówić?

- Myślałem, że szukałeś Cheviota!

- Cheviota? W tym czasie kiedy zgubił się Kolos? O, nie. Dziękuję. A poza tym... - Nicky przypomniał sobie, że jest obrażony - nie interesuję się już tą sprawą, odkąd Carlyon dał mi do zrozumienia, że nie chce mojej pomocy. To nie jest mój problem i nie będę się nim zajmował.

- Na miejscu Carlyona zrobiłbym to wcześniej - zauważył John. - Myślę, Nicky, że powinienes przywitać się z panią Cheviot.

Dopiero w tym momencie Nicky zauważył obecność Elinor.

- Dobry wieczór, kuzynko Elinor! - zawołał. - Jak pani tu przyjechała? Myślałem, że ciągle leży pani w łóżku... Och,

wydaje mi się, że zdarzyło się coś ważnego, o czym zapewne nie będziecie chcieli mi powiedzieć.

- Nicky, nie bądź taki rozżalony. Oczywiście, że wszystko ci powiem - odezwał się Carlyon.

- Nie powinieneś tego robić! - zaprotestował John.

- Nonsens! To jest bardziej jego przygoda niż moja i uważam, że powinien poznać całą prawdę.

- Im mniej osób będzie wiedzieć, tym lepiej. To jest cholernie poważna sprawa, Ned, ale ty zapewne swoim zwyczajem potraktujesz ją jak zwykły drobiazg.

Nicky, który zaczerwienił się po uszy, powiedział urażonym tonem:

- Jeśli uważasz, że powierzenie mi tej tajemnicy jest niebezpieczne, to nie musisz nic mówić. Nie rozumiem tylko, skąd wzięła się taka opinia o mnie. To Gussie zdradzała zawsze sekrety, a nie ja.

John zorientował się, że zbyt mocno uraził uczucia młodszego brata.

- Nicky, na litość boską, bądź rozsądny - powiedział łagodnym tonem. - Wszyscy wiemy, że jesteś gadułą i możesz coś chlapać mimo woli. Ale skoro Ned tak zdecydował, to proszę bardzo. Ja nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie. Faktem jest, że dokument został odnaleziony, ma go Ned. Wiemy, że to Bedlington usiłował sprzedać go Boneyowi, a Francis próbował te papiery odzyskać i zapobiec skandalowi.

- Bedlington! - szepnął Nicky. - Bedlington? Och, na Jowisza! A ja przez cały czas, jak on był w Highnoons, trzymałem Kolosa przy sobie, żeby go nie ugryzł.

## 19

Przez dłuższą jeszcze chwilę Nicky natarczywie dopytywał się o szczegóły, wreszcie zdecydował się pójść na górę. by zabłoconą kurtkę i bryczesy zastąpić strojem bardziej odpowiednim do obiadu. Początkowo z niedowierzaniem traktował domysły Carlyona, ale to niedowierzanie miało swoje źródło raczej w niechęci do Francisa Cheviota, nie było zaś oparte na racjonalnych zastrzeżeniach. Wolałby widzieć Francisca jako zdrajcę, a nie człowieka oczyszczonego z takiego zarzutu. Kiedy dowiedział się o odnalezieniu przez Carlyona dokumentu ukrytego w zegarze, odżyło w nim uczucie rozżalenia na starszego brata. Patrzył na niego z niechęcią, a w rozmowie zwracał się do niego z chłodną grzecznością. Nikt nie wątpił, że trzeba będzie dołożyć wielu starań, by chłopiec odzyskał dobry nastrój, chociaż przy jego usposobieniu wykluczone było, by długo żywił urazę. Po wyjściu z salonu Carlyon położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

- Chyba nie chcesz mnie, Nicky, uśmiercić swymi groźnymi spojrzeniami.

- No nie, ale muszę ci powiedzieć, Ned, że w stosunku do mnie zachowałeś się niezbyt ładnie - odparł Nicky już nieco łagodniejszym tonem.

- Bardzo nieładnie - zgodził się Carlyon.

- Zupełnie jak gdyby nie można było mi zaufać.  
 - Absurd!  
 - Musisz przyznać, że postąpiłeś bezwzględnie, a przy tym egoistycznie. W końcu byłem w to wszystko bardziej zaangażowany niż ty, a nie pozwoliłeś mi uczestniczyć w najbardziej ekscytujących zdarzeniach.

- Tak, jestem nikczemy i małostkowy - powiedział żartobliwym tonem Carlyon. - Nie wiem, jak wytrzymałeś ze mną przez tyle lat. Myślę jednak, że jeśli się poprawię, to wszystko mi wybacysz.

- Ned, przestań się ze mną drażnić! - wybuchnął Nicky.  
 - W życiu nie spotkałem takiego opanowanego i zimnego jak łód człowieka. A jeśli myślisz, że jestem aż tak naiwny, że nie orientuję się, kiedy kpisz sobie ze mnie, to się mylisz.

- Nawymyślaj mi, Nicky, ile tylko chcesz. Zasłużyłem na to. Chcę ci tylko powiedzieć, że na kolację będzie pieczona gęś, więc jeśli się spóźnisz, to...

- O! - ożywił się nagłe Nicky. - Naprawdę będzie pieczona gęś? W takim razie żałuję, że tak ostro skarciłem biednego Kolosa, bo gdyby nie to, że musiałem go tak długo szukać, nie byłbym tutaj na kolacji i ominęłaby mnie taka wspianiała uczta.

Pobiegł, żeby się przebrać, i uporał się z tym tak szybko, że w jadalni zjawił się w samą porę, by razem ze wszystkimi zasiąść do stołu. Rozmowa, ze względu na obecność służby, toczyła się wokół jakichś nieistotnych spraw, nie była zresztą zbyt ożywiona, gdyż wszyscy myśleli o jednym interesującym ich problemie. Kiedy podano ciasta, Carlyon pozwolił odejść lokajowi i jego dwóm pomocnikom. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, John, który w czasie posiłku siedział pogrążony w myślach, stwierdził ponuro, że zupełnie nie wie, jaką powinien podjąć decyzję.

- A dlaczego ty masz ją podejmować? - zdziwił się Nicky.  
 - Ned wszystko załatwi!

Pani Cheviot nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu, natomiast John zdawał się jeszcze bardziej przygnębiony.

- Żałuję, że w ogóle dowiedziałem się o tym ~ powiedział.  
 - Wiem, że nie powinienem tak mówić, no i oczywiście zadowolony jestem, że dokument się znalazł, ale... Tak, to piekielnie trudna sprawa i Ned ma rację, że powinniśmy wyplatać się z niej możliwie ostrożnie... Gdyby ten Eustace nie był naszym krewnym...

Nicky powiedział, że nie widzi, jakie to ma znaczenie, i ta uwaga wywołała dłuższą wymianę zdań. Przerwał ją wreszcie Carlyon, który stwierdził, że ani beztraska, jaką wykazuje Nicky, ani nudziarstwo Johna nie wnoszą nic do sprawy.

- Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że jestem nudny, tylko dlatego, że...

- Ależ Ned, musisz przyznać...

W tym momencie otworzyły się drzwi i lokaj zaanonsował gościa:

- Pan Francis Cheviot chce się widzieć z waszą lordowską mością. Poprosiłem go do szkarłatnego salonu.

Lokaj czekał w otwartych drzwiach, ale kiedy Carlyon wstał, odezwał się John:

- Chwileczkę, Ned - powiedział półgłosem.

Carlyon spojrział na niego, a potem rzucił przez ramię w kierunku lokaja:

- Powiedz panu Cheviotowi, żeby zaczekał na mnie parę minut.

Lokaj uklonił się i wyszedł.

- Na Boga! Tego już za wiele! - zawołał Nicky, wpatrując się w brata oczami błyszczącymi z podniecenia. - Pomyśleć, że on odważył się przybyć tutaj! Widocznie otworzył zegar,

zanim wrócił do miasta. Ned, teraz zacznij się ostateczna rozgrywka. Czy mogę pójść z tobą, żeby być świadkiem jego sztuczek?

Carlyon potrząsnął przecząco głową.

- Ned, bądź ostrożny! - powiedział John. - Nie możesz iść bez broni na spotkanie z nim.

- Drogi bracie! - Carlyon uniósł brwi. - Przecież nie mogę przyjmować gości z pistoletem w ręku.

- Sam mówiłeś, że to niebezpieczny człowiek.

- Nadal tak uważam, ale nigdy nie twierdziłem, że jest głupcem. Miałby zamordować mnie w moim własnym domu po zaanonsowaniu przez lokaja swojej wizyty? John, chyba opuścił ci zdrowy rozsądek.

John wzruszył ramionami i roześmiał się nieszczere.

- Może i tak, ale pozwól mi przynajmniej, bym ci towarzyszył.

Nicky próbował protestować, ale Carlyon uciszył go gestem.

- Nie - powiedział. - Twoja obecność mogłaby go krępować. A poza tym chciałbym, żebyś, w tym czasie zabawił rozmową panią Cheviot. Spotkam się z nim w cztery oczy.

- Ale Ned, powiedz, co zamierzasz zrobić? - zapytał niespokojnie John.

- To zależy od sytuacji.

- Wygląda na to, że skoro miał czelność przybyć do Hall... Mimo wszystko wolałbym nie oddawać mu tego memorandum.

- Wobec tego zostań tutaj - powiedział Carlyon i wyszedł.

Nieoczekiwanego gościa zastał w szkarłatnym salonie. Francis stał przy kominku. Jedną nogę w wyczyszczonym do połysku bucie oparł na kracie paleniska, a ręką przytrzymał się półki nad kominkiem. Nadal miał na sobie obszytą futrem pelerynę, zdjął tylko szalik. Na widok gospodarza uśmiechnął się wymuszenie i powiedział z właściwą mu uprzejmością:

- Mój drogi, daruj mi, że niepokoję cię o takiej porze. Wierzę, że na pewno mi wybaczysz, gdyż sam musisz przyznać, kierując się swym wyjątkowym rozsądkiem, że to ty odpowiedzialny jesteś za tę wizytę. Powiedz tylko, czy musimy rozmawiać w tym salonie obitym czerwonym brokatem? Ten kolor fatalnie działa na moje nerwy. Poza tym jest tu chłodno, a wiesz, jak bardzo wrażliwy jestem na przeziębienia.

- Wiem, że wyjątkowo łatwo się przeziębiasz - powiedział oschle Carlyon.

- O tak, to prawda - zapewnił go Francis. - Nie sądzisz chyba, że przesadzam.

- Przejdźmy do biblioteki - zaproponował Carlyon i poprowadził gościa do drzwi.

- O, tutaj jest znacznie lepiej. - Francis rozejrzał się po pokoju. - Szkarłat i złoto! Tak, to przy pewnych okazjach wyjątkowo odpowiednie barwy, ale na pewno nie tym razem.

Odpiął spinkę przy pelerynie i zrzucił okrycie z ramion. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Podszedł do kominka i powiedział:

- Domyślasz się chyba, mój drogi, że jestem już zmęczony, a nawet kompletnie wyczerpany tą zabawą w chowanego, którą prowadzę z tobą od pewnego czasu. Wolałbym, żebyś przestał się zachowywać z taką rezerwą. Musisz przyznać, że jest to twoja wada. Gdybyś był ze mną szczery, oszczędzilibyśmy sobie wielu kłopotów.

- A pani Cheviot nie miałaby rozbitej głowy.

Francis wzdrygnął się.

- Proszę cię, nie przypominaj mi o zdarzeniu tak przykrym przy mojej wyjątkowej wrażliwości. Niestety, była to konieczność! Mam nadzieję, że ona czuje się już dobrze. Ja nadal jestem wstrząśnięty tym, co się stało. Widzisz, Carlyon, o ile

wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyś posiadał tę cenną cnotę, jaką jest szczerłość. Oczywiście, domyślałem się, że masz jakieś podejrzenia, ale chociaż na ogół nie jestem uważany za tępaka, nie potrafiłem ocenić, jak daleko sięga twoja wiedza, i odkryć, jak ją zdobyłeś.

- Dowiedziałem się od Johna, że zaginęło pewne memorandum - odparł Carlyon.

- Ach, więc to tak! Ten wszędobylski John. On nie powinien być nic o tym wiedzieć! To szokujące, jak niedyskretni są ludzie w pewnych urzędach. A propos, mam nadzieję, że to memorandum jest w twoim posiadaniu?

- Tak.

- Mimo wszystko muszę powiedzieć: dzięki Bogu. Pozwolisz, że pogratuluję ci bystrości, mój drogi Edwardzie. Miałem nadzieję, że nie dopatrzysz się związku między tym, jaką rolę odgrywał zegar, a tym, co przydarzyło się pani Cheviot. Powinienem być pamiętać, jak trudno coś przed tobą ukryć.

- Memorandum jest w moim posiadaniu - przerwał mu Carlyon - i domyślałem się, że przyjechałeś tu po to, żeby je odzyskać.

- Właśnie - uśmiechnął się Francis. - I jestem pewien, że to najlepsze z możliwych rozwiązań.

~ Ja również chciałbym być o tym przekonany.

- Tak, obawiałem się tego i postaram się ciebie przekonać, chociaż zapewniam, że wolałbym uniknąć rozwodzenia się nad pewnymi bolesnymi dla mnie i z pewnością przykrymi szczegółami. Chciałbym przede wszystkim, aby było jasne, że chociaż jestem wrażliwy na przeziębienia i wyżej cenię koty niż psy, to jednak nie sprzedaję informacji agentom Bonapartego. Ach, jakie to upokarzające, że muszę o tym mówić! Moje zaangażowanie w tę sprawę nie wynika ani z pobudek

osobistych, ani patriotycznych. Mam nadzieję, że zauważysz w tym, co ci powiem, przykład tej godnej podziwu cnoty, o której przed chwilą wspomniałem. Tylko czy byłem zupełnie szczerzy, kiedy powiedziałem, że nie działałem z pobudek osobistych? Powiedzmy lepiej, że chcę uniknąć skandalu. Przypuszczam zresztą, że ty, człowiek wyjątkowo rozsądny, też tego pragniesz.

- Masz rację, ale muszę najpierw dowiedzieć się całej prawdy.

Francis westchnął ciężko.

- No dobrze. Nie pozostaje mi nic innego jak tu, między nami, w tych czterech ścianach, wyłożyć całą nagą prawdę. Z pewnością zresztą już się domyśliłeś, że tym niezbyt doświadczonym szpiegiem, którego próbowałeś zdemaskować, jest mój nieszczęsny ojciec - przerwał, ale Carlyon nic nie mówiąc patrzył na niego wyczekująco. Francis znów westchnął i dodał: - Oczywiście, nietrudno domyślić się, co go do tego skłoniło.

- Czyżby?

- Och, myślę, że tak. Jego majątek nigdy nie był zbyt wielki, a w dodatku nie potrafił nim zarządzać. Godność para, która dawała mu tyle satysfakcji, nie wiązała się, niestety, z dochodami, które pozwoliłyby mu prowadzić życie w stylu, jaki uważał za właściwy. Mój drogi Edwardzie, czy ty widziałeś, jak on rozbudował dwór w Bedlington? Coś strasznego, zapewniam cię! Tyle ci tylko powiem, że jego doradcą w sprawach architektury był regent. - Francis zasłonił dłonią oczy i wdrygnął się wymownie. - Urządził tam nawet chiński salon. A czy potrafisz sobie wyobrazić, jak wygląda jego rezydencja w Brighton? Jedyłą pociechą jest to, że kiedy trzeba będzie ją sprzedać, a z pewnością do tego dojdzie, to nie wątpię, że ojciec otrzyma za nią pokaźną sumę. Jest akurat

w guście świeżo wzbogaconych kupców, pragnących potwierdzić swą przynależność do wyższych sfer.

- Jesteś pewien, że ojciec chce ją sprzedać? - zapytał Carlyon.

- Tak - odparł Francis. ~ Tak, drogi Edwardzie, teraz już chce. Przekonałem go o słuszności takiej decyzji. Na szczęście mam pewien wpływ na niego, nie zawsze taki, jakbym sobie życzył, ale jeśli dołożę starań to, mam nadzieję, będzie wystarczający. Nie jest już, jak wiesz, młody i musiał w końcu zrozumieć, że dalsze wzorowanie się na regencie może zrujnować zarówno jego zdrowie, jak i majątek. A jeśli dodać do tego partyjki wista z księciem Yorku w Oatlands, co ostatnio stało się jego pasją, to nie musisz szukać innych powodów, żeby zrozumieć, dlaczego jego finanse znalazły się w opłakanym stanie. On nie ma głowy do takiej niebezpiecznej gry. Prawdę mówiąc, nie ma też głowy do zajmowania się sprawami publicznymi i cieszę się mogąc cię zapewnić, że wycofał się z nich. Tak, przeszedł na emeryturę. Zresztą wiesz, jak bardzo dokucza mu gościec. Wycofał się jako człowiek zasłużony i na ile znam jego pogodę ducha, to nie wątpię, że szybko zapomni o przykrych zdarzeniach ostatnich miesięcy.

- W jaki sposób dowiedziałeś się o jego poczynaniach?  
- zapytał Carlyon.

- Sam mi o tym powiedział - odparł Francis.

- Coś takiego!

- O, tak. Oczywiście po moich naleganiach. Prawdę mówiąc, od pewnego czasu zacząłem coś podejrzewać. Jak wiesz, jestem w dobrych stosunkach z wieloma jego przyjaciółmi. Nie muszę ci mówić, że obracam się w najlepszym towarzystwie. Czasem nawet zastanawiam się, czy nie mógłbym rywalizować z Brummelem, gdyż wiele osób uważa, że

potrafię lepiej wiązać fular niż on. Wielu młodych elegantów zaczyna mnie naśladować.

- Może wrócimy do tematu naszej rozmowy - zaproponował Carlyon.

- Ach, wybacz mi. Słusznie zrobiłeś przywołując mnie do porządku. Wracając do meritum... Chodzi o to, drogi Edwardzie, że obracając się w kręgu znajomych słyszę czasem to, czego nie powinienem słyszeć. Na przykład dowiedziałem się o pewnych drobnych kłopotach, jakie pojawiły się w sztabie Gwardii Konnej. Przecieki informacji zdarzają się, niestety, dość często, ale tym razem sprawą zainteresowałem się bardziej niż zwykle. Pewne okoliczności, o których nie widzę potrzeby mówić, skłoniły mnie do podejrzeń, że w intrygę wplątany może być mój ojciec. Mówiłem ci już, że on nie nadaje się do takich spraw i wyraźnie zaczęło mu to ciążyć. Jako przywiązany syn nie mogłem nie zauważyć jego niepokojów, więc na ile było to możliwe, starałem się obserwować jego poczynania. Odwiedzałem go tak często, że zaczęło to irytować i mnie, i, jak sądzę, jego. Niestety, nigdy nie byłem z nim tak zżyty, jak można by sobie życzyć. Zbyt różnymi się upodobaniami, rozumiesz mnie. Nie zrezygnowałem jednak z wizyt, mimo że bardzo psuły mi humor. No i właśnie dzięki tym częstym wizytom dowiedziałem się w porę o jego nagłym wyjeździe do Sussex. Na Brook Street poinformowano mnie, że jego iordowska mość musiał nagie wyjechać, gdyż pan Eustace uległ wypadkowi i nie żyje. Fakt ten nie zaskoczył mnie, gdyż można się było spodziewać, że mego biednego kuzyna spotka wreszcie coś złego. Zapytałem tylko, kto poinformował ojca o tym nieszczęściu, i wtedy właśnie dowiedziałem się o wizycie Louisa De Castres'a na Brook Street. Lokaj był przekonany, że to właśnie on przyniósł tę smutną wiadomość. - Francis przerwał i w zamyśleniu

wpatrywał się w swoje dłonie. - Rozumiesz chyba, że byłem zaskoczony. O ile się orientowałem, Louis nie znał mojego ojca. Oczywiście, można uznać za zupełnie naturalne, że przekazał tę wiadomość człowiekowi, o którym wiedział, że Eustace jest jego bliskim krewnym. Zdziwiło mnie tylko jedno: jak to się stało, że Louis, który poprzedniego dnia wybierał się do Hertfordshire z wizytą do swoich zacnych rodziców, znalazł się nagle w Sussex.

~ Mnie natomiast dziwi - przerwał mu Carlyon - dlaczego Eustace wykorzystywany był w charakterze pośrednika w tej sprawie, skoro De Castres wiedział, kto za nim stoi.

- Mój drogi Edwardzie, Louis nie był głupcem! Przypuszczam, że domyślał się tego od początku, bo kto inny, jeśli nie mój ojciec, mógł wpaść na pomysł, żeby posłużyć się tak mało odpowiedzialnym pośrednikiem. Potem prawdopodobnie Eustace wygadał się po paru kieliszkach, ale to tylko potwierdziło jego domysły. Louis miał takie wyczucie, taką niezwykłą zdolność postrzegania! Rozumiał przecież, że mój ojciec musi mieć środki na to, by ulegać swoim kaprysom, ale taktownie milczał. Kiedy jednak Eustace tak niefortunnie stracił życie i Louis zorientował się, że dwór w Highnoons znalazł się w posiadaniu wdowy po nim, a przy tym nie udało mu się niepostrzeżenie zakraść do domu, uznał, iż nie może dłużej udawać, że nie dostrzega słabostek mojego ojca. Nawiasem mówiąc, całe szczęście, że Nicky chybił strzelając do niego. Gdyby go postrzelił, mielibyśmy skandal, z którym ani ty, ani ja nie potrafilibyśmy sobie poradzić.

- Tyle że uniknąłby wtedy śmierci z twojej ręki.

Francis spojrział na niego z wyrazem najwyższego zaskoczenia.

- A więc i o tym wiesz - powiedział cicho. - Skąd się dowiedziałeś?

- Od ciebie.  
- Naprawdę? W jaki sposób?  
- Czasem jesteś zbyt gadatliwy. Poinformowałeś nas, że De Castres zginął ugodzony sztyletem, a jego ciało zostało ukryte w zaroślach. Tego nie było w gazecie, z której rzekomo dowiedziałeś się o jego śmierci.

- Zdumiewająca jest twoja zdolność dostrzegania drobiazgów - powiedział Francis z odrobiną niechęci w głosie.  
- Cieszę się, że przynajmniej miałeś tyle wyrozumiałości, by nie dzielić się z nikim swymi podejrzeniami. Jest to oczywiście prawda. To ja uśmierciłem biednego Louisa. Naturalnie, z największym żalem. Bardzo to było dla mnie bolesne, ale co miałem robić? Nie mogłem pozwolić, by agent wroga kontynuował działalność. Nie miałem pewności, czy nie znał już treści memorandum, a nie mogłem przecież oskarżyć bliskiego przyjaciela. To byłoby nie do pomyślenia. Sama myśl o tym budzi we mnie sprzeciw.

- Domyślałam się, że zwabienie Louisa pod jakimś pretekstem na Lincoln's Inn Fields, żeby tam go zamordować, nie budziło twojego sprzeciwu.

- Drogi Edwardzie, niesprawiedliwie mnie osądzasz - powiedział Francis. - Nic nie mogłoby wzbudzić we mnie większej odrazy. Wszelka przemoc jest dla mnie odrażająca. Biedny Louis! Jeden z moich najlepszych przyjaciół! Jakie to przykre, że on, człowiek z tak zacnej rodziny, okazał się szpiegiem. I to szpiegiem Bonapartego! Zdumiewające! Jego maniery były równie nienaganne, jak moje. Znasz może jego ojca, markiza? Prawdziwie zacny człowiek, z pewnością nie wiedział o niczym. No więc wysłałem fałszywą wiadomość do Louisa... ciągle nie mogę o tym spokojnie myśleć... nigdy dotąd jako dżentelmen nie byłem zmuszony zrobić czegoś tak odrażającego. Louis mieszkał blisko Strandu, a ja byłem

zaproszony do znajomych w Holborn, więc prośba, by mi towarzyszył, była całkiem zrozumiała. Szliśmy razem jak przyjaciele. Ulgę przynosi mi tylko przekonanie, że do końca nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. O, tak, śmierć miała nagłą. Nie do zniesienia byłoby dla mnie, gdybym chybił. Nie zniósłbym myśli, że mógł cierpieć. Przyjaźń zobowiązuje. Zawsze byłem na to uwrażliwiony. To co zrobiłem, było w końcu dla niego przysługą. Pomyśl tylko, że musiałyby jako szpieg stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Nawet myśleć nie mogę o czymś tak strasznym. To mnie do głębi porusza.

Carlyon zacisnął zęby. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

- Można ci pogratulować tej decyzji.
- Dziękuję, Carlyon. Dziękuję ci stokrotnie. Rozumiesz, jak widzę, że błędem jest przedkładanie uczuć nad rozsądek i sprawiedliwość.
- Proszę cię, nie przeceniaj mojego rozsądku. Obawiam się, że mógłbym zawieść w takiej sytuacji.
- Rozczarowujesz mnie - powiedział ze smutkiem Francis.
- Myślałem, że rozumiałeś uczucia, jakimi kierowałem się w tej sprawie. Taki jesteś rozsądny. Pomyśl tylko, do czego nadmierny sentyment doprowadziłby mnie, a również obydwie nasze rodziny i krewnych nieszczęsnego Louisa. Nie sądzę, żebyś uważał, że powinienem przymknąć oczy na szpiegowską działalność. Nie, nie, kierując się uczuciami, sprowadziłbym na Louisa haniebną śmierć, pogrążyłbym swoją rodzinę w niesławie, a twojej przysporzył kłopotów i kompletnie złamał życie markizowi i jego uroczej małżonce. Natomiast teraz możemy wybrnąć z tej afery zupełnie bez szwanku.
- Nie jestem pewny, ale, proszę cię, mów dalej.
- Po tej dłuższej dygresji nie wiem, na czym skończyłem.

Ach, tak. Nieudana wyprawa Louisa do Highnoons, prawda? Z tego, jak potem postąpił, wnioskuję, że nie był wytrawnym szpiegiem. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to udać się do mojego ojca. Naturalnie, świadomość, że Louis doskonale wie o jego poczynaniach, była dla ojca wyjątkowo przykra. Jak wiesz, natychmiast udał się do Sussex, ale, prawdę mówiąc, nie wiem po co. Przecież nie wiedział, gdzie szukać memorandum. Ciagle się dziwię, że tak nierozsądny człowiek jest moim ojcem. Jednakże nie mam powodów, by podejrzewać, że moja zmarła matka nie dochowała mu wierności. Niech to już pozostanie tajemnicą. Dość, że po powrocie na Brook Street jego umysł był w stanie takiego zamętu, iż moje przybycie przyjął z ulgą. Bez większego trudu przekonałem go, a, jak wiesz, umiem przekonywać, by zdradził mi swoją tajemnicę. Nigdy jeszcze nie był tak skłonny służyć moich rad. Szybko udowodniłem mu, że ze względu na stan zdrowia powinien natychmiast wycofać się z działalności publicznej. Nie wiem, do czego by doszło, gdyby wrócił do swojego biura. Dzięki Bogu, uznał zasadność moich argumentów, chociaż nie zdawał sobie do końca sprawy, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie. Jakże często ludzie chcą nadal działać, chociaż rodzina i przyjaciele nie mają wątpliwości, że powinni oni ostatecznie zejść ze sceny.

To ostatnie zdanie wygłoszone zostało tonem pełnym życzliwości, ale Carlyon poczuł, że cierpnie mu skóra na plecach.

- Mam nadzieję, że dobrze cię rozumiałem - powiedział zachowując kamienny spokój.

- Tak, myślę, że tak - odparł z uśmiechem Francis strząsając pyłek z rękawa.

Carlyon milczał przez chwilę, wpatrując się w płomień na kominku. Gość usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i podziwiał srebrne sprzączki u swoich wysokich butów.



- Jak się dowiedziałeś, gdzie zostało ukryte memorandum?  
- zapytał nagle Carlyon.

- Drogi Edwardzie, dla mnie było to oczywiste. Eustace zapewnił ojca, że ma kryjówkę, której istnienia nikt nie podejrzewa. Musisz wiedzieć, że ten nieszczęśnik darzył mnie ogromnym szacunkiem. Przez lata próbował, zresztą bez rezultatu, nauczyć się wiązać fular moją metodą. Przyznam się, że zatruwał mi życie ciągłymi zaproszeniami do High-noon. Żałowałem często, że byłem tak ustępliwy i odwiedzałem go w Sussex. Wiesz, że nie przepadam za koniakiem. Pamiętam, jak kiedyś, po paru kieliszkach wypitych w mojej obecności, Eustace schował w zegarze cenną tabakierkę... nie wiem zresztą, do kogo należała... i właśnie wówczas, w tajemnicy, poinformował mnie, że z tej kryjówki korzysta, jeśli chce ukryć coś, czego nikt nie powinien znaleźć. Z rozbawieniem opowiadał mi, jak kiedyś schował tam jakiś drobiazg, który wyłudził od twojego brata Harry'ego, i jak ten przeszukał cały dom, ale nie przyszło mu do głowy, by zajrzeć do zegara. Rano Eustace nie pamiętał, że zdradził mi tę tajemnicę. Kiedy więc dowiedziałem się, że wszystkie jego papiery są w twoich rękach, ale nie ma wśród nich memorandum, stało się dla mnie jasne, że zegar jeszcze raz spełnił rolę tajemnej skrytki.

- Na Boga, Cheviot, czemu nie przyszedłeś wtedy do mnie jak uczciwy człowiek i nie powiedziałeś o wszystkim?

- zapytał Carlyon.

- Doprawdy, drogi Edwardzie, to niepodobne do ciebie!  
- zaprotestował Francis. ~ Czy nie rozumiesz, że tylko przykra konieczność zmusiła mnie do złożenia ci dzisiejszej wizyty i wyjaśnienia wszystkiego? Zastanów się, proszę. Z pewnością nie przyszło mi łatwo usiąść tutaj i opowiadać o szczególnych poczynaniach mojego ojca. To twoje pełne

rezerwy zachowanie uniemożliwiło mi zorientowanie się, co wiesz o całej sprawie, a moim pragnieniem było odzyskanie memorandum bez wzbudzania twoich podejrzeń. Osiągnąłbym sukces, gdyby Nicholas nie wszedł do domu w najbardziej nieodpowiednim momencie. Biedny chłopiec, byłoby mu przykro, gdyby wiedział, jak źle przysłużył się tej sprawie.

- Wiem, że jesteś odważnym graczem, ale w tym przypadku nie postawiłbym większej sumy na twoją wygraną - powiedział Carlyon z nutą ironii w głosie.

Francis uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Carlyon dorzucił parę bierwion do ognia i patrzył, jak liżą je płomienie.

- No i co teraz? - zapytał wreszcie.

- Jestem w twoich rękach, mój drogi - odparł Francis i westchnął.

Carlyon odwrócił się ku niemu i spojrzął na niego marszcząc brwi.

- Czy oczekujesz, że dam ci memorandum?

- Postąpiłbyś bardzo rozsądnie, gdybyś tak zrobił. - Francis dostrzegł ironiczny uśmiech Carlyona i wyciągnął rękę. - Och, nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał. Daleki jestem od myśli, by ci grozić! Nie, nie, chciałem tylko dać ci do zrozumienia, że ja łatwiej będę mógł zwrócić ten dokument. Z największą przyjemnością pozbędę się go, jeśli tylko uda się w ten sposób uniknąć skandalu.

- Jeśli mam być szczerzy, to ja również będę rad - powiedział Carlyon.

- Drogi Edwardzie, nigdy ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Jak to dobrze, że potrafiłiśmy się porozumieć. Powiedz mi tyłko, czy możemy ten dokument bezpiecznie powierzyć twojemu bratu? A może on już wyjechał?

- Jest tutaj. Nie wiem, co on na to powie, ale nie zrobię

nic w tej sprawie bez jego zgody. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że poproszę go tutaj?

- Oczywiście, pošlij kogoś po niego.

Carlyon pociągnął za sznur od dzwonka.

- Czy jesteś już po kolacji? - zapytał.

- Dziękuję, tak, o ile posiłek, który zjadłem, można w ten sposób określić. Jeśli zamierzasz zaproponować mi nocleg w twoim domu, a mam nadzieję, że tak, bo z zasady nie podróżuję nocą, nawet przy księżycu w pełni, to, proszę cię, kaź przysłać do mojego pokoju filizankę bulionu i może kieliszek burgunda, bo muszę wzmocnić swoje siły. Będzie to najlepsze zakończenie tego niezbyt miłego dnia. Chyba nie muszę cię prosić, żebyś przypomniał gospodyni, by kazała dobrze nagrzać moje łóżko. Wiem, że na niej można polegać. No i mam ze sobą Crawleya.

Carlyon skinął głową. Kiedy do pokoju wszedł lokaj, Carlyon powtórzył życzenia gościa, a potem dodał:

- Bądź tak dobry i poproś pana Johna, żeby tutaj przyszedł.

Na Johna nie trzeba było długo czekać. Już po chwili wszedł do biblioteki swym ciężkim krokiem, uprzejmie skinął głową Francisowi, a potem zwrócił się do brata:

- Słucham cię, Carlyon. Chciałeś ze mną porozmawiać?

- Tak, potrzebuję twojej rady - odparł Carlyon. - Z przyjemnością muszę ci powiedzieć, że Cheviot i ja jesteśmy zdania, iż memorandum należy zwrócić tam, skąd zostało wykradzione w taki sposób, by obydwie nasze rodziny uniknęły skandalu. Francis uważa, że jeżeli nie mamy zaufania do niego, to możemy dokument powierzyć tobie.

- Po to, bym zwrócił go potajemnie? - zapytał John. - Nie, nie. Ja nie mogę tak postąpić. Byłoby to z mojej strony wysoce niestosowne, nawet gdybym wiedział, jak to zrobić. Zresztą, na szczęście, nie wiem.

- Jakim ty jesteś nadzwyczajnym urzędnikiem, John! - mruknął Francis.

Carlyon uśmiechnął się, wyjął z kieszeni memorandum i wręczył je Francisowi.

- Wobec tego ty weź ten dokument - powiedział.

- Ned!

- Słucham cię, John? Masz dla mnie jakąś inną propozycję? Przecież nie mogę wręczyć memorandum Bathurstowi nie ujawniając roli Bedlingtona w tej szpiegowskiej aferze. Mogę tylko powiedzieć, że nie mam ochoty wplątać się w tego rodzaju skandal.

John milczał. Francis wsunął złożony plik papierów do kieszeni.

- Nie dziękuję ci - powiedział. - Wręczając komuś rozżarzony węgiel nie powinienes liczyć na wdzięczność. Kiedy będę miał to już za sobą, udam się do uzdrowiska w Cheltenham, żeby odpocząć. Tamtejsze powietrze dobrze mi robi.

- Jeśli to się uda - zauważył ponuro John.

Francis wzdygnął się.

- John, moje nerwy są już w takim stanie, że, proszę cię, nie mów nic więcej. I tak chyba nie zmruję oka tej nocy.

- Dobrze, dobrze - mruknął John. - Nie chcę cię denerwować. Mam tylko nadzieję, że Ned postąpił słusznie wręczając ci ten dokument.

- Ja też mam nadzieję - odparł Francis. - Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby w trakcie mojej jutrzejszej podróży do Londynu napadli na mnie bandyci?

- Bardzo dobrze, że próbujesz żartować, ale ja naprawdę nie wiem, jak uda ci się w tajemnicy podrzucić te dokumenty.

- Lepiej będzie dla ciebie, jeśli się nigdy nie dowiesz, mój drogi. Myślę, że nie okaże się to zbyt trudne. Muszę się tylko

zastanowić, kogo ze sztabu Gwardii Konnej najbardziej nie lubię. Wybór może być trudny, ale przypuszczam, że znajdę kogoś, kto najlepiej nadaje się do tej roli.

John sprawiał wrażenie przerażonego.

- Wolałbym nie wiedzieć, co zamierzasz zrobić - powiedział.

- Cóż za znakomity urzędnik! - Francis uśmiechnął się i wstał. - Jeśli pozwolicie, to udfm się teraz na spoczynek. Mam za sobą wyjątkowo męczący dzień. I te podróże... Mój lekarz zawsze mi je odradza. Zastanawiam się tylko, czy mam rację wybierając Cheltenham, a nie Bath. Mój Boże, że też człowiek zawsze musi mieć tyle problemów do rozwiązania.

20

Carlyon odprowadził gościa na górę, gdzie czekała na niego dobrze ogrzana sypialnia, powierzył go opiece lokaja i wrócił do salonu. Zastał tam Elinor i dwóch braci. Nicky dawał właśnie głośno wyraz swemu niezadowoleniu z powodu, jego zdaniem, mało atrakcyjnego finału całej przygody. Nie mogło się zdarzyć nic bardziej banalnego, oburzał się, jak przedłużająca się wizyta Francisca w tym domu. Gdyby go chociaż Kolos ugryzł, westchnął z żalem. Kolos, który uwolniony już został z więzienia i wylegiwał się przy kominku, zbyt był zmęczony, by żywiej zareagować. Uniósł tylko lekko głowę, parę razy leniwie zamerdał ogonem i ciężko westchnął, jak pies, który spędził pełen sukcesów, ale wielce wyczerpujący dzień.

Trudno byłoby oczekiwać, że John łatwo pogodzi się z wyreżyserowanym przez brata nieoczekiwanym zakończeniem sprawy. Głowę miał pełną niespokojnych myśli, wśród nich poczesne miejsce zajmowały poważne wątpliwości dotyczące szczerości Francisca. Wszystkie jego zastrzeżenia Carlyon przyjmował cierpliwie, z kamiennym spokojem. W końcu John przyznać musiał, że nie potrafi wskazać lepszego rozwiązania, wyraził jedynie zadowolenie, że decyzja nie należała do niego.

Elinor po wysłuchaniu relacji o poczynaniach Francisa stwierdziła, że na szczęście dla niej nie wiedziała, jak straszny człowiek gościł w Highnoons.

- No właśnie, wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby w momencie, kiedy zobaczył panią przy zegarze, miał w ręku tę łaskę z ukrytym w niej sztyletem - powiedział Nicky.

- Jestem przekonany, że nie zaważałby się go użyć. Jeśli ten człowiek był w stanie zasztyletować swego najbliższego przyjaciela, to zapewne nie cofnąłby się przed niczym.

- Ja też o tym pomyślałam - przyznała Elinor. - Mogę się tylko cieszyć, że tak się nie stało, chociaż doskonale rozumiem, że byłoby to wyjątkowo ekscytujące wydarzenie. Proszę sobie wyobrazić, jaka nuda zapanuje teraz w Highnoons.

- Na Jowisza, tak! - zawołał Nicky. - To będzie nie do zniesienia. Muszę powiedzieć, że takich atrakcji jeszcze nigdy w życiu nie miałem! Oczywiście, poza tym fatalnym zakończeniem, do którego obaj doprowadziliście.

- Na litość boską, Nicky, nie mów, że miałem z tym cokolwiek wspólnego - zaprotestował John. - Ned doskonale wie, jak daleki byłem od zaaprobowania jego planu.

- Naprawdę? - zdziwiła się Elinor. - Czy ja dobrze słyszę? - zwróciła się z pytaniem do Johna Carlyona.

- Nigdy nie ukrywałem swoich poglądów na tę sprawę, madam - powiedział z przejęciem. - Ale z moim bratem już tak jest. Zawsze realizuje swoje plany, choćby były najbardziej szalone.

- Och, John, przestań znowu marudzić - oburzył się Nicky. - Ned jest wspaniałym facetem!

- Tak, to prawda i chyba nie wątpisz, że zwykle jego pomysły uważam za świetne. W tym przypadku jest jednak inaczej. Nie mogę się z nim zgodzić. Pani jest kobietą

rozsadną, madam. Czy nie zauważyła pani, jak dziwnie zachowywał się w całej tej sprawie?

- Nie tylko w tej - zapewniła go Elinor. - A szczególnie nie podoba mi się u pańskiego brata to, że najbardziej dramatyczne zdarzenia traktuje, jak gdyby były czymś zupełnie normalnym. Nie mówiłam o tym wcześniej, ale nie zawaham się powiedzieć, że najpewniej doprowadziło do tego pobłażanie najbliższej rodziny. W rezultacie pański brat stał się człowiekiem apodyktycznym, działającym samowolnie i bezwzględnie, zawsze narzucającym własne zdanie, nie liczącym się z zastrzeżeniami innych...

- Kuzynko Elinor! A ja myślałem, że pani go lubi! - zawołał wstrząśnięty do głębi Nicky.

- Ciekawe, skąd coś takiego przyszło ci do głowy? Jakie miałabym powody, żeby lubić człowieka, który przysporzył mi tylu kłopotów? Moja reputacja dobrej guwernantki została podważona, straciłam szansę znalezienia posady w przyzwoitym domu, a na koniec wplątana zostałam w aferę szpiegowską i narażona na poważne niebezpieczeństwa.

- Słowo daję, to wszystko prawda - powiedział John. - Ned, ja naprawdę uważam, że postąpiłeś w stosunku do pani Cheviot niezbyt ładnie.

~ Nie mogę się z tym zgodzić - odparł Carlyon. - Z zasady na grząskim gruncie poruszam się na tyle ostrożnie, na ile jest to możliwe, a nie zaprzeczysz, że grunt w tej sprawie od początku do końca był wyjątkowo grząski. Przebrnęliśmy przez wszystko bezpiecznie, a jedyne koszty, jakie ponieśliśmy, to dziura w ramieniu Nicholasa i guz na głowie pani Cheviot.

- No, nie! - zawołała oburzona Elinor. - Tego już za wiele!

- Ja tam nie skarżę się z powodu mojego udziału w tej sprawie - stwierdził Nicky. - Wiem, kuzynko Elinor, że pani żartuje. Przecież nie chciałyby pani uniknąć takiej atrakcyjnej przygody, prawda?

Carlyon roześmiał się, a potem wstał z krzesła.

- Obawiam się, Nicky, że nigdy nie uda ci się nakłonić pani Cheviot, by przyznała ci rację. Chodźmy, madam, pora, bym odwiózł panią do Highnoons, zanim pozbawi mnie pani resztek zaufania, którym darzą mnie bracia.

- Doprawdy, milordzie, nie musi się pan trudzić z odwożeniem mnie - odparła Elinor i również wstała. - Po tym, co przesłałam, nie przeraża mnie perspektywa przebycia samotnie siedmiu mil, nawet gdybym spodziewała się napadu rozbójników.

- Oczywiście, nie musisz jechać, Ned - wtrącił Nicky. - Kuzynka Elinor nie pojedzie sama. Ja pojedę z nią, no i Kolos. Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli wezmę go do powozu, prawda, kuzynko? Jest zbyt zmęczony, żeby biec za powozem.

- Mój drogi Nicky, pani Cheviot nic już nie grozi, a poza tym najwyższy czas, żebyś zamieszkał we własnym domu.

- Tak, zgadzam się z tobą, Ned, ale czy nie sądzisz, że dzisiejszą noc powinienem spędzić jeszcze w Highnoons? Rozumiesz, zostawiłem tam przybory toaletowe i...

- Tutaj masz wystarczająco dużo przyborów - powiedział Carlyon.

- A co więcej, wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego - odezwał się John surowym tonem, który skrywał troskę o młodszego brata. - Nie rozumiem, dlaczego Ned zachęcał cię do takich długotrwałych wędrówek w poszukiwaniu psa.

- Och, drobiazg. Nigdy nie czułem się tak dobrze jak dzisiaj.

- Tak, tak! I ramię też cię nie boli, a na tym fotelu to wierzysz się z nadmiaru energii.

- Musisz się nim zająć, John - powiedział Carlyon. - Masz rację, nie powinienem namawiać go do pościgu za Kolosem. Już chyba lepiej byłoby, żeby spotkał się z Francisem.

Ta nie przemyślana uwaga sprawiła, że Nicky poderwał się z fotela z wyrazem oburzenia i zaskoczenia na twarzy.

- Ned! To dlatego kazałeś mi ścigać Kolosa, żeby się mnie pozbyć! Och, to było podłe z twojej strony. Nie przypuszczałem, że możesz mnie tak oszukać!

- Ależ, Nicky, nie sądzę, żebyś mógł oczekiwać czegoś innego ze strony lorda Carlyona - powiedziała Elinor. - Współczuję ci i jeśli chcesz wrócić ze mną do Highnoons, to będzie mi bardzo miło.

- Świetnie! Jadę z panią! - zawołał Nicky.

Dwaj starsi bracia wymienili wymowne spojrzenia, a potem John wziął Nicholasa pod rękę.

- O, nie. Nie pojedziesz - powiedział surowo. - Natychmiast idziesz do łóżka i dość już tych szaleństw. Zajmę się nim, Ned.

Nicky, który istotnie był bardzo zmęczony, jakoś pogodził się z tym.

- Dobrze, już dobrze, ale pamiętaj, nie jestem dzieckiem. Nie trzeba mnie układać do snu. Dobranoc, kuzynko Elinor. Rano przyjadę po swoje rzeczy. Chodź, Kolos!

John uściśnął dłoń Elinor.

- Muszę się z panią pożegnać, madam, gdyż jutro wyjeżdżam do Londynu i nie wiem, kiedy ponownie zjawię się w Sussex. Mam nadzieję, że kiedy znów się zobaczymy, będzie pani mieszkać już wygodnie i bezpiecznie w Highnoons i nie zostaną tam odkryte żadne inne tajemne przejścia. Zresztą Ned będzie się troszczył o panią.

Elinor pożegnała się z nim uprzejmie, a potem John wyprowadził Nicholasa z salonu. Carlyon podał jej pelerynę i kapelusz i poszli do czekającego już na nich powozu.

- Niepotrzebnie sprawia pan sobie tyle kłopotów, milordzie - powiedziała Elinor wsiadając do powozu. - Ja naprawdę nie boję się jechać sama.

- Ale ja mam ochotę panią odwiedzić - odparł Carlyon, otulając jej nogi baranicą i zajmując miejsce obok.

Powóz ruszył. Po chwili odezwała się Elinor.

- Gdyby to wszystko od początku potoczyło się inaczej, to Nicky mógł uniknąć rany w ramieniu.

- Nie sądzę,

Zapanowało długie milczenie.

~ Wydaje mi się dziwne, że nie muszę się już obawiać o życie - zauważyła po chwili Elinor. - Tak wiele działo się w ciągu tego tygodnia, że nie miałam okazji porozmawiać z panem o mojej przyszłości. Teraz jednak musimy o tym pomyśleć, milordzie. Przekonana jestem, że pan to rozumie.

- Niewiele można zrobić, dopóki ważność testamentu nie zostanie potwierdzona - odparł Carlyon.

- Zamierza mnie pan przetrzymywać w Highnoons aż do tej pory?

- Wydaje mi się, że zostało to między nami uzgodnione.

- Czyżby? - zapytała z powątpiewaniem.

- Oczywiście. Sprzeda pani Highnoons i, miejmy nadzieję, że długi kuzyna nie pochłoną całej sumy uzyskanej z tej transakcji.

Odwróciła się w jego stronę, ale w półmroku widziała tylko zarys jego twarzy.

- Milordzie, to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Sumienie nie pozwoliłoby mi wyciągać korzyści materialnych z tego małżeństwa. Proszę mnie zrozumieć.

- Jak pani sobie życzy - powiedział obojętnie.

Elinor była zaskoczona, bo spodziewała się sporu w tej sprawie i szykowała się już do odpierania jego argumentów. Po dłuższej chwili znów powróciła do przerwanej rozmowy.

- Proszę się zgodzić na to, bym możliwie szybko opuściła Highnoons. Rozumie pan przecież moją sytuację. Muszę się

rozejrzeć za jakąś przyzwoitą pracą i nie chciałabym z tym zwlekać.

- Pani Macclesfield - mruknął. - Znów do niej wracamy. Elinor roześmiała się.

- Niestety nie. Sądzę, że mój kredyt zaufania u niej został całkowicie wyczerpany. Ale nie żartujmy, sir. Obawiam się, że może minąć parę miesięcy, nim znajdzie pan nabywcę na Highnoons, a ja nie powinnam marnować czasu.

- Zastanawiałem się nad tym, madam, i jeśli, jak sądzę, nie ma pani ochoty wrócić na pewien czas do swoich krewnych, to doskonałym dla pani wyjściem byłoby zatrzymanie się u mojej siostry, lady Hartlepool. Jestem przekonany, że polubi ją pani. Jest to wyjątkowo miła osoba. Nie proponuję pani wizyty u lady Flint, gdyż ona oczekuje potomka, a moja trzecia siostra, Augusta, prowadzi tak bogate życie towarzyskie, że zamieszkanie u niej w okresie żałoby nie byłoby wskazane. Lady Hartlepool wkrótce mnie odwiedzi, więc będzie pani miała okazję ją poznać.

- Ale... ale czy lady Hartlepool poszukuje guwernantki? - zapytała Elinor.

- O, nie, jej dzieci pozostają jeszcze pod opieką niani.

- Wobec tego... Milordzie, ja nie wiem, co pan obmyślił, ale...

- Mam nadzieję, że będzie to lepsze niż poszukiwanie kolejnej posady guwernantki.

- Myślę, że nie, milordzie. Już panu kiedyś powiedziałam, że nie mam zamiaru pozostawać na pana utrzymaniu i, proszę mi wierzyć, nie zmieniłam zdania.

- A ja mam nadzieję, że zostanie pani moją żoną - powiedział ze zwykłym spokojem.

Znów zapadło milczenie. Elinor słyszała tylko mocne bicie swego serca. Po chwili Carlyon odezwał się.

- Nie wystąpiłem wcześniej z tą deklaracją, ale moje uczucia nie są chyba dla pani tajemnicą.

- Zupełną... zupełną tajemnicą, milordzie - powiedziała głosem, który wydał jej się obcy.

- Cóż, próbowałem je ukrywać. Rozumiem, że na odpowiedź jest jeszcze zbyt wcześnie, a za nic nie chciałbym wprawiać pani w zakłopotanie. Kiedy jednak minie okres ścisłej żałoby, moim najgorętszym pragnieniem będzie ponowić tę prośbę.

- Ależ to absurd! Jestem przekonana, że to jeszcze jeden z pańskich cudaczkich pomysłów, milordzie.

- Naprawdę, nie. Mówię najzupełniej serio. Jest pani jedyną kobietą, którą byłbym gotów poprosić o rękę. Przecież chyba pani widzi, jak ogromną przyjemność sprawia mi pani towarzystwo.

- Nie, nie, wcale tego nie dostrzegam... Och, proszę nie żartować, milordzie. To jakiś rycerski koncept. Pan nie może mówić tego poważnie!

- Moje drogie dziecko, jak może mnie pani posądzać o jakieś romantyczne fanaberie czy rycerskie koncepty. Raczej obawiam się, że moje apodyktyczne usposobienie wzbudziło w pani taką niechęć do mnie, że w żaden sposób nie potrafię jej pokonać. Czyżby tak było?

- Nie! - zawołała Elinor. - Och, nie! Ale...

Wziął jej rękę i podniósł do ust.

- Wiem, wykorzystałem panią haniebnie, ale już nigdy tego nie zrobię. Będę się panią czule opiekował, jeśli tylko pani pozwoli.

Elinor musiała szybko sięgnąć do torebki po chusteczkę. Siłąc się na spokój powiedziała:

- Nie, nie pozwolę. Jest pan niezwykle miły, milordzie, ale naprawdę, proszę się dobrze zastanowić.

- Już się zastanowiłem, a stwierdzenie, że jestem miły, brzmi absurdalnie.

- Och, proszę przestać! Przecież to szaleństwo! Proszę pomyśleć o swoich siostrach. Co one powiedzą? Pan chce się ożenić z kobietą, która jest tylko guwernantką bez posagu.

- Cóż to za nowe obiekcje? Czy pani zapomniała, że tydzień temu była pani panną Rochdale z Feldenhall?

- O niczym nie zapomniałam, ale myślę, że to pan zapomniął o okolicznościach... o śmierci mojego ojca.

- Pamiętam o tym doskonale, tylko pozostaje dla mnie tajemnicą, co to ma wspólnego z panią.

- Pańskie siostry mogą być innego zdania - powiedziała po chwili. - Proszę tylko pomyśleć, jakim szokiem byłyby dla nich pana zaręczyny ze mną.

- Jeśli znam dobrze moją siostrę Georgy ~ odparł Carlyon - to już napisała do Elizy i Gussie, a prawdopodobnie i do Harry'ego, z wiadomością, że Ned wreszcie zakochał się po uszy.

Elinor poczuła, że się rumieni. Zadowolona była tylko, że w ciemności tego nie widać.

- Och, nie! Proszę nie mówić takich rzeczy! - zawołała. - Nic takiego nie mogło przyjść jej do głowy!

- Ależ tak. Stwierdziła, że się dobrze maskuję, ale dla niej wszystko jest jasne.

- Nie chcę tego więcej słuchać - oznajmiła Elinor. - Przecież to śmieszne! Poznał mnie pan zaledwie tydzień temu, zmusił do poślubienia pańskiego potwornego kuzyna...

- Całe szczęście, że nie znałem pani wcześniej, bo gdyby tak było, z pewnością nie zrobiłbym tego.

Elinor stłumiła śmiech.

- Szalony, szalony człowiek - szepnęła.

- Liczę na to, że nauczy mnie pani, jak być mniej szalonym. Z przyjemnością skorzystam z takich lekcji.

- Lordzie Carlyon... - zaczęła poważnie Elinor.  
 - Czy pani wie, że ostatnio marzę o tym, żeby z pani ust usłyszeć zamiast tytułu swoje imię? - przerwał jej.

Elinor milczała przez chwilę.

- Zastanawiam się, czy ma pan prawo prosić mnie o to, skoro ciągle zwraca się pan do mnie: „pani Cheviot”, chociaż wie pan, jak bardzo tego nie lubię.

- Wobec tego w towarzystwie będę zwracał się do pani tak jak Nicky: kuzynko, ale tutaj, kiedy jesteśmy sami, odważę się powiedzieć: Elinor, zakochałem się w tobie i bardzo cię proszę, zostań moją żoną.

- Znowu wraca pan do tych nonsensów. Jeszcze będzie mi pan wdzięczny, że nie wzięłam poważnie pana słów - powiedziała z wyrzutem.

- Teraz jest pani niegrzeczna - odparł spokojnie. - Będę cię musiał, kochanie, nauczyć, jak należy odpowiadać na tego rodzaju deklaracje.

- Och, nie! Bardzo proszę... Niech pan się przez chwilę zastanowi. Jeśli mnie pan poślubi, to wszyscy powiedzą, że zrobił pan to tylko dlatego, żeby wejść w posiadanie Highnoons!

- Na pewno nie! Sprzeda pani Highnoons i przestaniemy się tym majątkiem zajmować. Przypuszczam, że pójdzie za pół darmo. Za to, co zostanie, po spłaceniu długów Cheviota, kupi sobie pani ślubną suknię i po kłopotcie. Znalazła pani jeszcze jakieś inne przeszkody?

- Och, gdybym tylko wiedziała, co powinnam zrobić!  
 - zawołała Elinor.

- Proszę wobec tego pozwolić mi zdecydować za panią. Ja nie mam żadnych wątpliwości w tej sprawie.

- Och, milordzie, obawiam się, że złożył mi pan tę propozycję tylko dlatego, że poważnie potraktował pan to, co

mówiłam... te nonsensy... zwykłe żarty... o tym, że przez pana mam zmarnowaną przyszłość...

Carlyon objął mocnym ramieniem drżącą z przejęcia wdowę. Nigdy nie przypuszczałem, że może pani być tak nierozsądna - powiedział i pocałował ją.

Elinor próbowała, raczej bez przekonania, odepchnąć go, ale kiedy stwierdziła, że jest to niemożliwe, poddała się. Kiedy już mogła mówić, szepnęła tylko:

- Och, Edwardzie, nie!

- Droga Elinor, przez sporą część mojego życia wysłuchiwałem cierpliwie różnych głupstw. W przypadku moich sióstr znosiłem to ze spokojem, natomiast jeśli chodzi o ciebie, to ani nie mogę, ani nie chcę. Powiedz mi więc, czy zostaniesz moją żoną?

Elinor nie miała już wątpliwości, że umysł jego lordowskiej mości uległ nieodwracalnym zaburzeniom. Zrezygnowała z dalszych prób zmiany tego stanu rzeczy, oparła z ufnością głowę na jego ramieniu i powiedziała potulnie:

- Tak, Edwardzie, jeśli tylko sobie życzysz... Pragnę tego nade wszystko!